

Rój

Crichton Michael



calibre 0.9.43

MICHAŁ CRICHTON

RÓJ

**WOJCIECH SZYPUŁA
AMBER**

Tytuł oryginału PREY

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBOFONIOK ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna EUGENIUSZ MELECH

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

MAGDALENA KWIATKOWSKA ELŻBIETA STEGLIŃSKA

Ilustracja na okładce EASTNEWS

Projekt graficzny okładki MAŁGORZATA CEBOFONIOK

Opracowanie graficzne okładki GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Copyright © 2002 by Michael Crichton. All rights reserved

For the Polish edition Copyright © 2002 by Wydawnictwo Amber Sp z o o

ISBN 8324102825

— Za pięćdziesiąt, może sto lat powstanie nowa klasa organizmów. Będą to twory sztuczne — zaprojektowane i stworzone przez człowieka — ale zarazem zdolne do rozmnażania i „ewolucji”, przemiany w formę odmienną od pierwotnej, a zatem „żywe” wedle każdej rozsądnej definicji tego słowa. Będą się rozwijały w nieznanym, zupełnie nowy sposób... Tempo ich ewolucji... będzie niewiarygodnie szybkie... Mogą wywrzeć ogromny wpływ na ludzkość i całą biosferę, większy niż rewolucja przemysłowa, broń atomowa czy zanieczyszczenie środowiska. Musimy przygotować się na ich powstanie...

Doyne Farmer i Alletta Belin, 1991

Wielu ludzi — między innymi ja sam — ma poważne wątpliwości co do wpływu tej nowej technologii na naszą przyszłość.

K Eric Drexler, 1992

Wprowadzenie

Sztuczna ewolucja w XXI wieku

Twierdzenie, że otaczający nas świat stale ewoluuje, jest truizmem. Rzadko jednak zdajemy sobie w pełni sprawę z konsekwencji. Nie zastanawiamy się, na przykład, co by się stało, gdybyśmy mieli do czynienia z epidemią choroby, która zmienia się z każdym dniem. Nie myślimy też ewolucji zwierząt i roślin w skali dni czy tygodni. Otaczająca nas przyroda na pierwszy rzut oka wcale nie wygląda na pole bitwy, na którym stosuje się wyrafinowaną broń chemiczną: rośliny produkują pestycydy, a owady wypracowują odporność na nie. Ale takie właśnie są fakty.

Gdybyśmy potrafili ogarnąć prawdziwą naturę przyrody, pojąć rzeczywiste znaczenie ewolucji, naszym oczom ukazałby się świat, w którym każda roślina, owad czy zwierzę zmienia się nieustannie, reagując na zmiany zachodzące w innych roślinach, owadach i zwierzętach. Całe populacje organizmów rodzą się i wymierają zmieniają się i ewoluują. Z tej wiecznej zmienności wszystkiego co żywe — bezlitosnej i niepoahamowanej jak przyływy i odpływy mórz — wynika, że nie można do końca przewidzieć skutków działań człowieka. Cały system, który nazywamy biosferą jest tak złożony, że nie sposób wyobrazić sobie wszystkich konsekwencji naszych zachowań.

Taka niepewność charakteryzuje również instytucje stworzone przez człowieka. Po tym jak pewnego październikowego dnia 1986 roku amerykański indeks giełdowy spadł o 22, wprowadzono przepisy regulujące wielkość maksymalnych wahań kursów. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć, czy nowe reguły ustabilizują rynek. Właśnie dlatego nawet najszczytniejsze ludzkie zamiary miewały w przeszłości niepożądane skutki: albo czegoś nie rozumieliśmy, albo odwiecznie zmienny świat w nieprzewidziany sposób reagował na nasze poczynania. Świadczy o tym historia szkód wyrządzonych środowisku. Jest zupełnie obojętne, czy wycinamy dżunglę dla celów przemysłowych, czy popieramy ekologiczną politykę gaszenia pożarów w lasach w obu wypadkach zapominamy, że wprowadzając w życie któryś z tych pomysłów, nieodwracalnie zmieniamy oblicze naszej planety.

Fakt, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć reakcji biosfery na nasze zachowania, nie upoważnia nas do beczynności. Musimy jednak zachować jak najdalej idącą ostrożność we wszystkim, co robimy. Ponieważ jednak już nieraz ludzie okazywali tak karygodną bezmyślność, trudno sobie wyobrazić, że w przyszłości będzie inaczej.

Wydaje nam się, że wiemy, co robimy. Nie umiemy przyznać się do błędów przeszłości. Każde pokolenie składa omyłki na karb nieudolności poprzedników — i z pełnym przekonaniem popełnia nowe, własne błędy.

Jesteśmy jednym z zaledwie trzech gatunków istot na Ziemi, które wykształciły samoświadomość, ale wygląda na to, że zdolność samooszukiwania się znacznie lepiej nas charakteryzuje.

Niewykluczone, że w XXI wieku naszej lekkomyślności nie da się dłużej pogodzić z coraz szybciej rozwijającą się techniką. Jednym z punktów zapalnych będzie miejsce styku nanotechnologii,

biotechnologii i informatyki. Specjaliści z każdej z tych trzech dziedzin potrafią skonstruować niezależne, zdolne do reprodukcji twory.

Ich pierwsze pokolenie już znamy towarzyszy nam od ładnych paru lat. To wirusy komputerowe. Zaczynamy też pomalutku oswajać się z problemami, jakie niesie biotechnologia. Niedawne doniesienia o pojawieniu się laboratoryjnie zmodyfikowanych genów kukurydzy w ziarnach kukurydzy uprawianej w Meksyku — mimo licznych obostrzeń, które miały temu zapobiec — to dopiero początek długiej i niełatwej walki o prymat człowieka nad techniką. Twierdzenie, że biotechnologia jest w gruncie rzeczy całkiem niegroźną dziedziną nauki (rozpowszechniane przez większość biologów od lat 70. XX wieku), wydaje się coraz bardziej wątpliwe. Po przypadkowym stworzeniu śmiertelnościowego wirusa (dokonali tego australijscy naukowcy w 2001 roku) wielu entuzjastów postanowiło przeformułować swoje dotychczasowe poglądy. Bez wątpienia w przyszłości będziemy ostrożniejsi z biotechnologią.

Nanotechnologia jest najmłodsza z tych trzech specjalności — najmłodsza ale pod pewnymi względami także najbardziej radykalną. Chodzi w niej o zbudowanie maleńkich maszyn o wymiarach rzędu stu nanometrów, czyli jednej dziesięciomilionowej części metra. Takie mechanizmy byłyby tysiącrotnie mniejsze niż średnica ludzkiego włosa. Specjaliści twierdzą, że znalazłyby zastosowanie dosłownie wszędzie: w komputerach nowych generacji, w leczeniu nowotworów, na wojnie.

Sama idea nanoskopowych mechanizmów wywodzi się z 1959 roku z wykładu Richarda Feynmana, zatytułowanego Na dnie jest jeszcze mnóstwo miejsca. Od tamtej pory minęło czterdzieści lat, i choć nanotechnologia wciąż jest w powijakach, widać pierwsze praktyczne efekty prac naukowych. Nie brakuje też funduszy — w nanotechnologię inwestują tacy rynkowi potentaci, jak IBM, Fujitsu i Intel przez ostatnie dwa lata rząd amerykański przeznaczył na te badania miliard dolarów.

Na razie techniki nanoskopowe wykorzystuje się przy produkcji okularów przeciwsłonecznych, plamoodpornych tkanin i kompozytów, które znajdują potem zastosowanie w konstrukcji samochodów. Wkrótce w oparciu o nie zaczną powstawać zminiaturyzowane komputery i pamięci masowe. Pojawiają się również pierwsze z dawna wyczekiwane „cudowne” wynalazki. W 2002 roku pewna firma wypuściła na rynek samoczyszczące się szkło, a inna — nanokrystaliczny opatrunek, który łączy właściwości przeciwzapalne z działaniem antybiotyku.

Jackson R.J., Ramsay A.J., Christensen CD., Beaton S., Hali D.F., Ramshaw I.A. Expression of Mouse Interleukin4 by a Recombinant Ectromelia Virus Suppresses Cytolytic Lymphocyte Responses and Overcomes Genetic Resistance to Mousepox. „Journal of Virology” 75, 120510, 2001.

Feynman, R.P. Theres Plenty of Room at the Bottom, „Eng. And Sci” 23 (1960), 2236.

Na razie nanotechnologia służy głównie do produkcji nowych tworzyw, ma jednak znacznie większe perspektywy. Od dziesięcioleci trwają spekulacje na temat maszyn zdolnych do reprodukcji. W 1980 roku NASA opublikowała artykuł, w którym przedstawiono kilka sposobów uzyskania takich automatów. Dziesięć lat temu dwoje znanych specjalistów podjęło ten wątek:

Za pięćdziesiąt, może sto lat powstanie nowa klasa organizmów. Będą to twory sztuczne — zaprojektowane i stworzone przez człowieka — ale zarazem zdolne do rozmnażania i „ewolucji”, przemiany w formę odmienną od pierwotnej, a zatem „żywe” wedle każdej rozsądnej definicji, tego słowa. Będą się rozwijały w nieznaną, zupełnie nowy sposób... Tempo ich ewolucji... będzie niewiarygodnie szybkie... Mogą wywrzeć ogromny wpływ na ludzkość i całą biosferę, większy niż rewolucja przemysłowa, broń atomowa czy zanieczyszczenie środowiska. Musimy przygotować się na ich powstanie...

Główny propagator nanotechnologii, K. Eric Drexler, w taki oto sposób wyraził swoje wątpliwości:

Wielu ludzi — między innymi ja sam — ma poważne wątpliwości co do wpływu tej nowej technologii na naszą przyszłość. Zmiany będą tak doniosłe, że nieprzygotowane na nie społeczeństwo może sobie z nimi nie poradzić. Ryzyko jest ogromne.

Nawet według najbardziej optymistycznych (a może pesymistycznych?) prognoz od stworzenia takich organizmów dzieli nas jeszcze kilka dziesięcioleci. Można więc mieć nadzieję, że zanim je skonstruujemy, uda się — na forum międzynarodowym — wypracować skuteczne metody ich kontroli. Programistów, którzy tworzą wirusy komputerowe, nauczyliśmy się traktować znacznie poważniej, niż było to do pomyślenia dwadzieścia lat temu hakerów już zamyka się w więzieniach, wkrótce dołączą do nich niepokorni biotechnolodzy.

— Istnieje jednak możliwość, że nie dorobimy się odpowiednich mechanizmów kontrolnych. Albo że do skonstruowania zdolnych do reprodukcji organizmów dojdzie znacznie szybciej, niż się spodziewamy. Trudno przewidzieć, co się wtedy stanie. O tym właśnie jest ta książka.

— Michael Crichton Los Angeles 2002

J. Doyne Farmer i Alletta dA. Belin „Artificial Life: The Coming Evolution” w *Artificial Life* pod redakcją C.G. Langtona, C. Taylora, J.D. Farmera i S. Rasmussena, Santa Fe Institute Studies in the Science of Complexity, Proc. Vol. X, Redwood City, CA: Addison Wesley, 1992, s. 815.

K. Eric Drexler „Introduction to Nanotechnology”, w *Prospects of Nanotechnology: Toward Molecular Manufacturing (Proceedings of the First General Conference on Nanotechnology Development, Applications and Opportunities)* pod redakcją Markusa Krummenackera i Jamesa Lewisa, Nowy Jork, Wiley & Sons, 1992, s. 21.

—

I

Północ. W domu jest ciemno. Nie wiem, jak to się wszystko skończy. Dzieci czują się fatalnie słyszę, jak mój syn i córka wymiotują każde w innej łazience. Zajrzałem do nich przed chwilą, chciałem sprawdzić, co się z nimi dzieje. Martwię się o małą ale u niej też próbuję wywołać wymioty. Inaczej nie byłoby dla niej nadziei.

Ze mną chyba wszystko w porządku. Przynajmniej na razie, bo wiem, że teoretycznie nie mam wielkich szans: ludzie, którzy byli zamieszani w całą sprawę, w większości już nie żyją. W dodatku tak niewiele wiem.

Zakład został zniszczony, ale nie mamy pewności, czy nie stało się to za późno.

Czekam na Mae. Dwanaście godzin temu pojechała do laboratorium w Palo Alto. Trzymam kciuki, żeby się jej udało, żeby ich przekonała. Sytuacja jest naprawdę dramatyczna. Miałem nadzieję, że ktoś się stamtąd odezwie, ale na razie jest cisza.

W uszach mi dzwoni. To zły znak. Czuję też jakieś drżenie w piersi i brzuchu. Mała nie tyle wymiotuje, co raczej zaplują się śliną. Kręci mi się w głowie. Nie chciałbym stracić przytomności jestem potrzebny dzieciakom, zwłaszcza małej. Boją się. Wcale im się nie dziwię.

Ja też się boję.

Siedzę tu po ciemku i w głowie mi się nie mieści, że tydzień temu moim największym zmartwieniem był brak pracy. Śmiechu warte.

Cóż, sprawy nigdy nie układają się tak, jak tego oczekujemy.

Dzień pierwszy, godzina 10.04

Sprawy nigdy nie układają się tak, jak tego oczekujemy.

Nie chciałem być gosposią, męską niańką, etatowym tatą — nazwijcie to, jak chcecie, nie ma na to dobrego określenia. Ale tak mi się właśnie ułożyło w życiu. Od pół roku prowadziłem dom i właśnie byłem na zakupach w Crate and Barrell w centrum San Jose. Miałem dokupić szklanki, a przy okazji zauważyłem, że mają tam ładne plecione maty pod talerze. Przydałyby się nam nowe. Mieliśmy wprawdzie komplet owalnych, słomkowych, kupionych rok wcześniej przez Julię, ale były już podniszczone i pokryte zaskorupiałym jedzeniem dzieci. Niestety, słomy nie można prać. Przystanąłem przy regale, szukając czegoś odpowiedniego. Najpierw wpadły mi w oko jasnoniebieskie maty, do których pasowałyby białe papierowe serwetki. Kupiłem je. Zaraz potem zauważyłem inne, żółte — były takie promienne, kuszące... Też chciałem je wziąć, ale ponieważ nie mieli sześciu na półce (a pomyślałem, że sześć będzie w sam raz), poprosiłem sprzedawczynię, żeby poszukała na zapleczu. Czekać na jej powrót, przymierzyłem matę do stołu, postawiłem na niej biały talerz i położyłem obok żółtą serwetkę. Wszystko razem tak dobrze wyglądało, że zacząłem się zastanawiać, czy nie kupić ośmiu mat. I wtedy zadzwoniła komórka.

To była Julia.

— Cześć: Co słychać?

W tle słyszałem rytmiczny łoskot jakiejś maszyny pewnie pompy próżniowej, podłączonej do mikroskopu elektronowego. U Julii w laboratorium stało kilka takich mikroskopów.

— Co porabiasz?

— Właśnie kupuję serwetki.

— Gdzie?

— Crate and Barrell. — Julia się roześmiała. co, jesteś tam jedynym facetem?

— No... Nie...

— Świetnie. — Najwyraźniej nasza rozmowa nic a nic jej nie interesowała. Coś innego zaprzętało jej myśli. — Posłuchaj... Przepraszam cię, Jack, naprawdę, strasznie mi przykro, ale znów późno wrócę z pracy.

— Aha... — Sprzedawczyni wróciła z paczką żółtych mat. Skinąłem na nią, żeby podeszła bliżej, i pokazałem na palcach, że wezmę jeszcze trzy sztuki. Dołożyła je do stosiku na ladzie. — Wszystko w porządku? — zwróciłem się do Julii.

— Jak zwykle urwanie głowy. Wieczorem mamy nadawać przez satelitę program demonstracyjny dla inwestorów z Azji i Europy, a mamy kłopoty z łącznością. Widzisz, wóz transmisyjny... Zresztą, co ja ci będę opowiadać... Jesteśmy dwie godziny do tyłu, może nawet więcej. Wrócę najwcześniej o ósmej. Mógłbyś zrobić dzieciakom kolację i położyć je spać?

— Oczywiście.

Nie spodziewałem się najmniejszych kłopotów. Przywykłem do tego, że ostatnio Julia coraz więcej czasu spędzała w pracy. Zwykle dzieci już spały, kiedy wracała do domu. Jej firma, Xymos

Technology, próbowała zdobyć nowe fundusze na działalność — a że chodziło o dwadzieścia milionów dolarów, presja była spora. Tym bardziej, że Xymos specjalizował się w dziedzinie, którą specjaliści nazywali produkcją molekularną, a większość zwykłych ludzi — nanotechnologią. Mało kto chciał teraz łądować w nią pieniądze. Przez ostatnie dziesięć lat zbyt wiele kasy utopiono w cudёнkach, które miały odmienić nasze życie, a w rzeczywistości nigdy nie wyszły poza próg laboratorium. Dla inwestorów nano to puste obietnice. Żadnych konkretów.

Zresztą komu jak komu, ale Julii nie trzeba było tego tłumaczyć sama w przeszłości współpracowała z dwoma takimi inwestorami. Z wy kształcenia była psychologiem dziecięcym, z czasem została jednak specjalistką od „inkubacji nowych technologii”: doradzała firmom, które chciały zarabiać na raczkujących technologiach. Żartowała czasem, że wcale nie zerwała z psychologią dziecięcą. Później zrezygnowała z posady konsultanta i na stałe związała się z jedną z takich firm. Teraz była wiceprezesem Xymosu.

Twierdziła, że udało im się dokonać kilku przełomowych odkryć i zostawić konkurencję daleko w tyle, że są dosłownie o krok od zbudowania prototypu pierwszego komercyjnego produktu. Traktowałem jej słowa z rezerwą.

— Muszę ci coś jeszcze powiedzieć, Jack — dodała niepewnym głosem. — Eric będzie na mnie zły.

— Czemu?

— Bo... Widzisz, powiedziałam mu, że będę na meczu.

— Dlaczego to zrobiłaś? Rozmawialiśmy przecież o takich obietnicach. Nie zdązysz, nie masz szans. Mecz jest o trzeciej. Po co mu to powiedziałaś?

— Myślałam, że się wyrobię.

Westchnąłem. Rozumiałem, że chciała w ten sposób okazać dzieciom trochę czułości.

— No dobrze, nie przejmuj się tym. Jakoś to załatwię.

— Dzięki. Aha, Jack, jeszcze jedno... Mówiłeś coś o serwetkach? Tylko nie kupuj żółtych, pamiętaj.

I rozłączyła się.

Na kolację zrobiłem spaghetti, które wszyscy chętnie jedli. O ósmej dwoje młodszych dzieci już spało, a Nicole kończyła odrabiać lekcje. Miała dwanaście lat i pilnowałem, żeby kładła się spać najpóźniej o dziesiątej. Nie przyznawała się do tego koleżankom.

Najmłodsza Amanda miała dopiero dziewięć miesięcy, zaczynała raczkować po całym domu i stawać na nogi, czepiając się mebli. Eric miał osiem lat i uwielbiał piłkę nożną. Najchętniej grałby bez przerwy, ale od czasu do czasu przebierał się jeszcze za rycerza i z plastikowym mieczem w garści uprzykrzał życie starszej siostrze.

Nicole przechodziła właśnie w życiu etap wstydlivej dziewczynki. Eric z upodobaniem porywał jej stanik i biegał po domu, wrzeszcząc:

— Nicky nosi stanik! Nicky nosi stanik!

Duma nie pozwalała siostrze gonić za młodszym bratem.

— Tato! — wołała Nicole. — On znów zaczyna! Tato!

Musiałem wówczas łapać Erica i tłumaczyć mu, żeby nie ruszał rzeczy siostry.

Tak właśnie wyglądało moje życie. Na samym początku, zaraz po tym, jak straciłem pracę w MediaTronics, łągodzenie konfliktów między rodzeństwem było nawet interesujące. I wcale nie tak bardzo różne od tego, czym zajmowałem się zawodowo.

W MediaTronics kierowałem działem informatycznym. Pełniłem rolę opiekuna gromady młodych, zdolnych programistów. W wieku czterdziestu lat sam nie nadawałem się już do tej roboty pisanie programów to zajęcie dla młodych. Zarządzałem więc takim zespołem, co wcale nie było łatwe. Podobnie jak u większości komputerowców w Dolinie Krzemowej, życie moich podwładnych toczyło się od jednego kryzysu do drugiego: rozbite Porsche, zdrada, niefortunny romans, spięcie z rodzicami, narkotyki — a do tego wyżyłowane terminy i całonocne nasiadówki przy komputerach, z litrami dietetycznej coca-coli i kilogramami chipsów.

Ale przynajmniej praca była ciekawa, w nowoczesnej branży. Tworzyliśmy rozproszone systemy przetwarzania równoległego do modelowania procesów biologicznych. Wpuszczaliśmy do komputera wirtualne twory, które później, w drodze interakcji, miały rozwiązywać rzeczywiste problemy. Brzmi to dziwnie, ale działa znakomicie. Jeden z naszych programów imitował na przykład mrówki zbierające pożywienie (mrówki umieją wyszukać najkrótszą drogę do jedzenia) w celu sterowania ruchem w rozległej sieci telefonicznej inne naśladowały zachowanie termitów, rojących się pszczół i polujących lwów.

Świetnie się czułem w tej robocie i pewnie dalej bym się nią zajmował, gdybym nie przyjął dodatkowych obowiązków. W ostatnich miesiącach przed zwolnieniem zostałem specem od zabezpieczeń. Zastąpiłem w tej roli konsultanta spoza firmy, który współpracował z nami od dwóch lat, ale nie zdołał w porę wykryć kradzieży należącego do firmy kodu źródłowego, dopóki nie pojawił się on w sprzedawanym na Tajwanie programie. Ba, kod pochodził nawet z mojego działu — chodziło o oprogramowanie do przetwarzania rozproszonego. I ktoś go ukradł.

Rozpoznaliśmy go, bo jajka niespodzianki pozostały nietknięte. Informatyk dla zabawy często zostawia w programie jakieś „jajko”, taki drobiazg, który nie służy żadnemu konkretnemu celowi. Tajwańczycy nie zmienili kodu ani na jotę — wzięli go tak, jak dostali, i wsadzili do swojego programu. Po naciśnięciu kombinacji klawiszy Alt-Shift-F9 na ekranie wyświetlała się data ślubu jednego z naszych chłopaków. Sprawa była oczywista. Kradzież.

Pozwaliliśmy ich, rzecz jasna, ale nasz prezes, Dan Gross, chciał mieć pewność, że sytuacja nie powtórzy się w przyszłości. Zrobił więc ze mnie szefa bezpieczeństwa, a ja ze złości na złodziei przyjąłem tę robotę. Na pół etatu, bo cały czas kierowałem działem informatycznym. Zacząłem monitorować wszystkie komputery w firmie. Nie było w tym nic niezwykłego w dzisiejszych czasach osiemdziesiąt procent firm kontroluje, do czego pracownicy wykorzystują swoje terminale. Można zainstalować kamery, rejestrować wprowadzane z klawiatury znaki, przeglądać pocztę elektroniczną w poszukiwaniu określonych słów kluczowych... Jest mnóstwo możliwości.

Dan Gross — prawdziwy twardziel, dawny komandos — nigdy nie wyzbył się swoich żołnierskich manier. Kiedy powiedziałem mu o wprowadzeniu nowego systemu zabezpieczeń, zapytał: Ale mojego komputera chyba nie sprawdzasz, co? Odpowiedziałem, że nie. Prawda wyglądała inaczej: wprowadziłem zabezpieczenia w całej firmie, objęły więc także jego komputer. Dzięki temu dwa tygodnie później dowiedziałem się, że ma romans z dziewczyną z działu księgowego, której przydzielił służbowy samochód. Poszedłem do niego i powiedziałem, że z analizy listów wysyłanych i odbieranych przez Jane z księgowości wynika, że ma z kimś romans. Mogła z tego tytułu otrzymywać nienależne jej dodatkowe świadczenia. Zapowiedziałem również, że choć nie wiem, o kogo chodzi, to jeśli wymiana emaili będzie trwała, wkrótce to ustalę.

Wydawało mi się, że Don zrozumie aluzję. Zrozumiał. Od tamtej pory kompromitujące listy wysyłał wyłącznie z domu. Nie wiedział tylko, że w drodze do Jane przechodziły przez główny

serwer w firmie i nadal trafiały do mnie. Wkrótce dowiedziałem się, że zagranicznym dystrybutorom udziela specjalnych „rabatów” na zakup oprogramowania, a na otwarte w banku na Kajmanach konto otrzymuje wysokie „wynagrodzenia za konsultacje”. Nie mogłem tego tak zostawić. Facet ewidentnie łamał prawo. Zapytałem o zdanie mojego adwokata, Garyego Mardera. Poradził mi, żebym odszedł z firmy.

— Jak to? Mam odejść? — Oczywiście.

— Co im powiem?

— Kogo to obchodzi? Dostałeś lepszą ofertę, masz kłopoty ze zdrowiem, sprawy rodzinne, kłopoty w domu... Po prostu daj sobie spokój. Odejdź.

— Zaraz, chwileczkę... Ja mam odejść, bo ten typ nas kantuje? To twoja oficjalna porada?

— Nie. Jako twój adwokat zalecam, żebyś zgłosił komu trzeba fakt łamania prawa. A jako twój przyjaciel radzę, żebyś trzymał gębę na kłódkę i wiał, gdzie pieprz rośnie.

— To by było tchórzostwo. Chyba powinienem zawiadomić właścicieli firmy.

— Gary westchnął ciężko i położył mi dłoń na ramieniu.

— Właściciele sobie poradzą, Jack. A ty uciekaj.

Wydawało mi się to niestosowne. Najpierw wkurzyłem się, kiedy skradziono mój program, a teraz zacząłem mieć wątpliwości, czy w ogóle ktoś go ukradł. Może zwyczajnie kupił?

— Firma była własnością prywatną, więc poszedłem z tą sprawą prosto do jednego z członków rady nadzorczej.

— Okazało się, że o wszystkim wiedział. Następnego dnia wylali mnie za rażące niedopełnienie obowiązków służbowych zagrozili mi procesem. Musiałem podpisać masę zobowiązań do zachowania tajemnicy służbowej, żeby w ogóle dostać odprawę. Mój adwokat wziął na siebie całą papierkową robotę, z ciężkim westchnieniem podsuwając mi kolejne dokumenty do parafowania.

— Kiedy było po wszystkim, wyszliśmy na dwór. Słońce świeciło blado.

— No — powiedziałem — przynajmniej mam to za sobą. Gary spojrzał na mnie dziwnie.

— Tak uważasz?

— Miał rację, to wcale nie był koniec. Nie wiem, jak to się stało, ale przyłgnęło do mnie paskudne piętno. Miałem wysokie kwalifikacje, pracowałem w rozwijającej się branży, ale podczas rozmów wstępnych widziałem, że nikt się mną nie interesuje. Starano się mnie zbyć jak najszybciej. Dolina Krzemowa jest rozległa, ale przypomina małą miejscinę. Nic się tu długo nie ukryje. Wreszcie natknąłem się na specja od rekrutacji, który był moim znajomym. Nazywał się Ted Landów. Rok wcześniej uczyłem grać w baseball jego syna. Po zakończeniu rozmowy spytałem wprost:

— Co się o mnie mówi? Pokręcił głową.

— Nic takiego, Jack.

— Ted, przez ostatnie dziesięć dni odbyłem dziesięć takich rozmów. Powiedz mi.

— Nie ma o czym mówić.

— Ted...

— Nie patrząc na mnie, zaczął przekładać papiery na biurku.

— Jack Forman sprawia kłopoty. — Westchnął. — Nie chce współpracować. Konfliktowy. Porywczy. Nie nadaje się do pracy w zespole. — Zawahał się i dodał: — Podobno zamieszany w jakieś machlojki. Nikt nie powiedział wprost, o co chodzi, ale to mętne interesy. Podobno brałeś w łapę.

— Ja? Ja brałem w łapę?! — Krew mnie zalała. Omal nie wybuchnąłem, ale w porę zdałem

sobie sprawę, że w ten sposób tylko potwierdzę krążącą o mnie opinię. Podziękowałem Tedowi za rozmowę.

— Posłuchaj, Jack — powiedział, kiedy już wychodziłem. — Daj sobie na wstrzymanie. Chwilowo. To ci dobrze zrobi. Tu, w Dolinie, wszystko się szybko zmienia. Masz mocne CV, świetne kwalifikacje, po prostu poczekaj...

— Ile, dwa miesiące?

— Raczej cztery. Może pięć.

— Wiedziałem, że ma rację. Po tym spotkaniu przestałem się starać o pracę. Rozeszły się plotki, że MediaTronics lada chwila padnie, że szykuje się fala procesów. Może jeszcze będę miał szansę na oczyszczenie się z zarzutów, ale na razie nie pozostało mi nic innego jak czekać.

— Niezwykłe uczucie, że rano nie muszę iść do pracy, szybko mi spowszedniało. Julia przesiadywała w firmie do późna, a ktoś musiał się przecież zająć dziećmi. Skoro byłem w domu, przychodziły do mnie, zamiast do Marii, naszej gosposi. Zacząłem odprowadzać je do szkoły, odbierać po lekcjach, wozić do lekarza, ortodonta i na treningi. Pierwsze kolacje, które gotowałem, były po prostu tragiczne, ale z czasem się wyrobiłem.

— Ani się obejrzałem, a już kupowałem serwetki i oglądałem nakrycia w Crate and Barrell. I nie widziałem w tym nic dziwnego.

— Julia wróciła do domu około wpół do dziesiątej. Bez szczególnego zainteresowania oglądałem w telewizji mecz Giants. Cmoknęła mnie w kark.

— Wszystkie śpią? — zapytała. — Nicole jeszcze nie. Odrabia lekcje.

— Rany! Nie za późno?

— Nie, kotku, tak się umówiliśmy, pamiętasz? W tym roku może się kłaść o dziesiątej.

— Wzruszyła ramionami. Może faktycznie zapomniała? W domu nastąpiła swoista zamiana ról: dawniej to ona wiedziała o naszych dzieciach dosłownie wszystko, teraz ja. Czasem źle się z tym czuła. Nie podobało się jej, że traci władzę.

— Co z małą?

— Lepiej. Już tylko kicha. I zaczęła więcej jeść.

— Poszliśmy do pokoiw dziecinnych. Julia weszła do sypialni Amandy, schyliła się nad łóżeczkiem i czule ucałowała śpiące dziecko. Patrząc na nią, doszedłem do wniosku, że żaden ojciec nie dorówna matczynej czułości. Julię łączyła z dziećmi więź, o jakiej nie mogłem nawet marzyć, nie silniejsza, ale po prostu inna. Wysłuchana w cichy oddech małej, stwierdziła: Rzeczywiście, ma się lepiej.

— Weszła do pokoju Erica, zabrała porzuconego na kocu gameboya i spojrzała na mnie spode łba. Wzruszyłem ramionami. Zaczynała mnie irytować. Wiedziałem, że Eric bawi się, zamiast iść spać, ale nie miałem czasu się nim zająć. Julia mogłaby czasem być bardziej wyrozumiała.

— Zajrzeliśmy do Nicole, która siedziała przy laptopie. Kiedy otworzyły się drzwi, zamknęła pokrywę.

— Cześć, mamó. — Późno już, a ty nie śpisz?

— Ale mamó...

— Miałaś odrabiać lekcje.

— Odrobiłam.

— To dlaczego jeszcze nie jesteś w łóżku? — No bo.

— Mamó... — mruknęła z wyrzutem Nicole.

— Codziennie widzicie się w szkole. To wam powinno wystarczyć. — Mamo...

— Nie patrz na ojca. Obie wiemy, że zrobi wszystko, o co go poprosisz. Teraz ja do ciebie mówię.

— Nicole westchnęła. — Wiem, mamo.

— Podobna wymiana zdań zdarzała się coraz częściej. Wiedziałem, że to normalne między matką i dzieckiem w takim wieku, ale jednak postanowiłem interweniować. Kiedy Julia była zmęczona, stawała się nieznośnie władcza. Objąłem ją.

— Już późno — powiedziałem pojednawczo. — Wszyscy jesteście zmęczeni. Napijesz się herbaty?

— Nie wtrącaj się, Jack.

— Nie wtrącam się, chciałem tylko...

— Właśnie że się wtrącasz. Ja rozmawiam z Nicole, a ty jak zwykle nam przeszkadzasz.

— Kochanie, zgodziliśmy się, że nie musi się kłaść przed dziesiątą. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Jeśli odrobiła lekcje, powinna iść do łóżka.

— Nie tak się umawialiśmy.

— Nie chcę, żeby przez cały dzień siedziała przy komputerze. — Nie siedzi.

Nicole wybuchnęła płaczem. Zerwała się od biurka.

— Zawsze mnie krytykujesz! Nienawidzę cię! — krzyknęła, uciekła do łazienki i trzasnęła drzwiami.

— Mała obudziła się i zaczęła płakać. Julia odwróciła się do mnie.

— Pozwól, że takie sprawy będę załatwiała sama, Jack.

— Oczywiście — zgodziłem się. — Przepraszam, miałaś rację.

W rzeczywistości wcale tak nie myślałem. Przyzwyczailem się uważać, że to mój dom i moje dzieci. Julia wdarła się do mojego domu w środku nocy, kiedy powinno być tu już cicho i spokojnie, tak jak lubię i tak jak być powinno. I zaczęła mącić.

— Wcale nie uważałem, żeby miała rację. Wręcz przeciwnie.

W dodatku tego rodzaju przypadki zdarzały się coraz częściej. Z początku zdawało mi się, że Julia ma wyrzuty sumienia, że tyle czasu spędza poza domem. Potem doszedłem do wniosku, że próbuje zachować autorytet, odzyskać władzę nad domem, który przechodził w moje ręce. Jeszcze później uznałem, że źle znosi presję w pracy i jest po prostu zmęczona.

Ostatnio jednak coraz wyraźniej czułem, że próbuję ją na siłę usprawiedliwiać. Julia się zmieniła, zrobiła się inna, bardziej spięta, bardziej ostra.

Mała darła się na całego. Wyjąłem ją z łóżeczka, przytuliłem, powiedziałem parę słów i sprawdziłem pieluchę. Była mokra. Położyłem Amandę na stoliku do przewijania, ale przestała płakać dopiero wtedy, kiedy dałem jej ulubioną grzechotkę. Teraz mogłem spokojnie zmienić pieluchę.

— Ja to zrobię — stwierdziła Julia.

— Nie ma potrzeby.

— To przeze mnie się obudziła, więc ja powinnam się nią zająć.

— Naprawdę nie musisz tego robić, kotku.

— Julia położyła mi dłoń na ramieniu. Pocałowała mnie w kark.

— Przepraszam, że taka ze mnie jędza. Jestem skonana, nie wiem, co mnie napadło. Daj,

przewinę ją. Ostatnio w ogóle jej nie widuję.

— No dobrze.

— Odsunąłem się i przepuściłem Julię do komody.

— Cześć, cukiereczku! — Podrapała małą pod brodą. — Jak się masz? — Amanda wypuściła z rączki zabawkę, zaczęła płakać i wiercić się na stoliku. Julia nie zauważyła, że poszło o grzechotkę. Przemawiając do małej uspokajająco, próbowała założyć nową pieluszkę, ale Amanda kopała i krzyczała coraz głośniej. — Amando, uspokój się!

— Z nią tak zawsze — wyjaśniłem. Faktycznie, Amanda nie cierpiała teraz przewijania. I potrafiła czasem mocno kopnąć.

— Powinna się wreszcie uspokoić. Amando, przestań!

Dziecko wydarło się jeszcze głośniej. Jeden z rzepów puścił, pielucha się zsunęła i Amanda zaczęła się staczać na brzeg stolika. Julia szarpnęła ją z powrotem. Mała wierzgała jak żrebak.

— Uspokój się, do cholery! — Julia dała jej klapsa w nóżkę. Amanda wrzasnęła i zaczęła kopać jeszcze mocniej. — Amanda! Przestań! Prze stań! — Julia znów ją uderzyła. — Przestań, mówię! Przestań!

— Nie od razu zareagowałem. Zatkano mnie, nie wiedziałem, co robić. Nóżki dziecka robiły się całe czerwone, Julią wymierzała kolejne klapsy.

— Kochanie... — Nachyliłem się do niej. — Nie dajmy się...

— Czy ty się musisz do wszystkiego wtrącać?! — krzyknęła Julia i trzasnęła otwartą dłońią w stolik. — Co się tutaj dzieje?!

— Wściekła wybiegła z pokoju.

— Odetchnąłem głęboko. Wziąłem małą na ręce. Płakała rozdierająco, trochę ze strachu, a trochę pewnie z bólu. Zanosilo się na to, że nie zaśnie bez butelki. Tuliłem ją i głaskałem po plecach, aż trochę się uspokoiła. Wtedy założyłem jej czystą pieluchę i zabrałem ją do kuchni, żeby podgrzać jedzenie. W kuchni panował półmrok, świeciła się tylko jarzeniówka nad blatem.

— Julia siedziała przy stole. Ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń popijała piwo z butelki.

— Kiedy wreszcie znajdziesz jakąś robotę? — spytała.

— Staram się.

— Tak? Nie wydaje mi się. Kiedy ostatnio byłeś na rozmowie?

— W zeszłym tygodniu.

— Lepiej się pospiesz — burknęła. — To wszystko doprowadza mnie do szału.

— Zdusiłem narastający we mnie gniew.

— Wiem. Wszystkim nam jest ciężko.

Był środek nocy, nie chciałem się z nią dłużej kłócić. Stałem przy kuchence i obserwowałem ją kątem oka.

Julia miała trzydzieści sześć lat. Była śliczną kobietą — drobną brunetką o ciemnych oczach, zadartym nosie i żywiołowym temperamentem. W przeciwieństwie do wielu kolegów i koleżanek po fachu była atrakcyjna, pociągająca. Łatwo nawiązywała kontakty, miała ogromne poczucie humoru. Dawno temu, jeszcze przed urodzeniem Erica, przynosiła do domu takie historie o swoich współpracownikach, że boki można było zrywać. Siedzieliśmy przy tym samym stole kuchennym i zanosiliśmy się ze śmiechu, aż nas brzuchy bolały. Malutka Nicole ciągnęła Julię za rękaw i pytała:

— Z czego się śmiejecie, mamo? Z czego się śmiejecie?

Julia znana była z tego, że nigdy nie dawała się ponosić emocjom. Jednak teraz, naturalnie, była

wściekła. Nawet na mnie nie patrzyła. Siedziała przy stole, machała niecierpliwie nogą założoną na drugą nogę i patrzyła w mrok. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że coś zmieniło się w jej wyglądzie, choć nie do końca wiedziałem co. Gdzieś zniknęła wrodzona łagodność jej rysów, kości policzkowe zarysowały się wyraźniej, podbródek wyostrzył.

Inaczej się też ubierała. Teraz miała na sobie białą bluzkę i ciemną spódnicę, zwykły strój biurowy. Tyle że spódnica była węższa niż zwykle. Zauważyłem też, że nosi buty na wysokich obcasach, z otwartą piętą i paskiem nad kostką. „Kurewskie buty”, jak je nazywaliśmy. Dawniej za żadne skarby nie włożyłaby ich do pracy.

Nagle zdałem sobie sprawę, że wszystko się w niej zmieniło: zachowanie, wygląd, sposób bycia. I w przeblysku geniuszu zrozumiałem, o co chodzi: moja żona miała romans.

Woda w podgrzewaczu zaczęła parować. Wyjąłem butelkę i przyłożyłem sobie do przedramienia. Za bardzo się nagrzała, musiałem chwilę poczekać, aż ostygnie. Mała zaczęła płakać, więc pokołysałem ją na rękach, chodząc w kółko po kuchni.

Julia ani razu na mnie nie spojrzała. Majtała nogą i gapiała się przed siebie.

Czytałem, że to typowy syndrom: mąż traci pracę, staje się mniej atrakcyjny, żona przestaje go szanować i zaczyna szukać nowych wrażeń. Trafiłem na taki artykuł w „Glamour”, „Redbook” czy innym kolorowym piśmie z rodzaju tych, które walają się po domu nauczyłem się je przeglądać, czekając, aż skończy się pranie albo mikrofalówka rozmrozi hamburgera.

Może jednak się mylę? Może sam sobie wymyślam takie niestworzone historie? Co z tego, że Julia nosi węższe spódnice i inne buty? Moda się zmienia, zmienia się też nastrój człowieka... Złości się czasem, ale czy to znaczy, że ma romans? Oczywiście że nie.

Jakoś jednak nie mogłem siebie przekonać. Żyłem z tą kobietą od ponad dwunastu lat widziałem, że się zmieniła, i wiedziałem dlaczego.

W naszym związku pojawił się ktoś inny, ktoś z zewnątrz. Intruz. Czulem to w kościach jak fizyczny ból. Sam się zdziwiłem, skąd ta pewność. Nie mogłem dłużej na nią patrzeć. Odwróciłem się.

Mała chwyciła butelkę, zaszczębiotała radośnie i zaczęła pić. Wpatrywała się w moją twarz tym niesamowitym, uporczywym wzrokiem, jak potrafią to czynić tylko małe dzieci. Obserwowanie jej sprawiało mi ulgę. Po chwili oczy jej się zamknęły, główka przechyliła na bok. Posadziłem ją prosto, poklepałem lekko, żeby się jej odbiło, i zaniósłem z powrotem do pokoju.

Położyłem Amandę w łóżeczku i wyłączyłem nocną lampkę. Jedyne światło w pokoju pochodziło z bulgoczącego w kącie akwarium. W błękitnozielonym blasku plastikowy płetwonurek przesuwał się po dnie, ciągnąc za sobą warkocz baniek.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Julię. Stała w progu, światło z kuchni podświetlało od tyłu jej ciemne włosy. Musiała mnie obserwować już od jakiegoś czasu. Nie potrafiłem odczytać wyrazu jej twarzy. Zesztywniałem, kiedy podeszła do mnie, objęła mnie i oparła głowę o moją pierś.

— Wybacz mi, jestem taka głupia. Świetnie sobie ze wszystkim radzisz, a ja po prostu jestem zazdrosna.

— Zaczęła płakać, aż koszula przesiąkła mi od jej łez.

— Nie przejmuj się tak — powiedziałem i przytuliłem Julię.

— Ciągle jednak byłem czujny i spięty. Miałem złe przeczucia i nie umiałem się ich tak łatwo pozbyć.

Wyszła spod prysznic, wycierając ręcznikiem włosy. Siedziałem na łóżku i próbowałem się

skupić na końcówce meczu, ale pomyślałem, że nigdy przedtem nie kąpała się wieczorem. Zawsze robiła to rano, przed wyjściem do pracy. Teraz zdarzało się nawet tak, że po powrocie z biura szła prosto pod prysznic, a dopiero później witała się z dziećmi.

— Wciąż byłem zdenerwowany. Wyłączyłem telewizor. „w — Jak pokaz?

— Jaki pokaz?

— Wasz. Nie robiliście tego programu demonstracyjnego?

— A, o tym mówisz... Wszystko poszło jak z płatka. Inwestorzy z Niemiec nie mogli go obejrzeć do końca z powodu różnicy czasu, ale... A może ty byś go chciał zobaczyć?

— Ja?

— Mamy kopię. Chcesz?

— Zaskoczyła mnie. Wzruszyłem ramionami.

— Pewnie.

— Ciekawa jestem twojej opinii — powiedziała. Wyczułem w jej głosie znajomą pobłażliwą nutę. Moja żona wpuszczała mnie do swojego świata zawodowego chciała, żebym poczuł, że jestem częścią jej życia. Wyjęła z teczki płytę DVD, wsunęła ją do odtwarzacza i usiadła obok mnie na łóżku.

— Co im takiego pokazaliście? — zaciekałem się.

— Nową technikę obrazowania w medycynie. Coś pięknego, mówię ci. — Julia przysunęła się bliżej i przytuliła do mnie. Zrobiło się miło, jak za dawnych, dobrych czasów. Objąłem ją niepewnie.

— Słuchaj, chciałem cię o coś zapytać... Dlaczego ostatnio kąpiesz się wieczorem, zamiast jak zwykle rano?

— Naprawdę tak robię? Sama nie wiem. Rano na nic nie mam czasu, zwijam się jak w ukropie... No, zaczyna się.

— Pokazała na ekran. Z biało-czarnego chaosu wyłonił się kolorowy obraz.

— Julia znajdowała się w ogromnym laboratorium, wyposażonym jak szpitalna sala operacyjna. Jakiś mężczyzna leżał na wznak na stole z umocowanym na dłoni zaworem do kroplówki. Obok stał anestezjolog. Nad nimi widać było okrągłą metalową płytę o średnicy blisko dwóch metrów dawało się ją opuszczać niżej, ale w tej chwili znajdowała się w górnym położeniu. Wszędzie pełno monitorów. Stojąca z przodu Julia też zerkała na jakiś ekran. Tuż obok stał technik nagraniowy.

— Fatalnie — stwierdziła, pokazując mu coś na monitorze. — Co to za zakłócenia?

— To chyba przez te pompy i filtry powietrza.

— Tak nie może być.

— Co mamy zrobić?

— Naprawić to.

— Będziemy musieli podkręcić moc, a wy tu macie... — Nieważne. Nie mogę pokazać inwestorom takiego obrazu. Widzieli na pewno lepsze zdjęcia z Marsa. Załatwcie to.

— Nie wiedziałam, że to też się nagrało — mruknęła leżąc obok mnie Julia. — Przewiń dalej.

— Wcisnąłem guzik na pilocie i obraz się rozjechał. Odczekałem chwilę i włączyłem odtwarzanie.

Sceneria się nie zmieniła, Julia nadal stała na pierwszym planie. Carol, jej asystentka, mówiła do niej półgłosem:

— No dobrze, ale co ja mu mam powiedzieć?

— Że musi poczekać.

— Ale on chce zacząć już teraz!

— Wiem, ale zaczniemy nadawać najwcześniej za godzinę. Spław go

— Asystentka zniżyła głos do szeptu: — Jest zdenerwowany, Julio. Nie dziwię mu się, sama bym się bała, gdyby w moim ciele pełzały miliony tych potworków...

— Nie miliony i nie potworków. Poza tym sam je skonstruował.

— Mimo wszystko...

— Czy to anestezjolog? — Nie, kardiolog.

— Niech mu poda coś na uspokojenie.

— Już mu podali, dostał jakiś zastrzyk.

— Przewiń, Jack — powiedziała Julia. Zrobiłem, jak prosiła. Obraz przeskoczył.

— Dobra, wystarczy.

— Julia jak poprzednio patrzyła na monitor, obok niej stał technik.

— Tak wystarczy — stwierdziła. — Nie jestem zachwycona, ale ujdzie. Przełącz na STM.

— Na co?

— Na STM. Mikroskop elektronowy. Chcę zobaczyć obraz z mikroskopu.

— Technik się zmieszał.

— Eee... Nikt nam nie mówił o żadnym mikroskopie.

— Rany boskie! Trzeba było przeczytać plan nagrania!

— Co jest w planie?

— Zglądałeś do niego?

— Przepraszam... Musiałem to przegapić.

— Za późno na przeprosiny. Załatw to!

— Nie musisz na mnie krzyżeć.

— Właśnie że muszę! Pracuję z samymi idiotami! — Julia gestykulowała energicznie. — Mam zaraz wejść na wizję, połączyć się na żywo z właścicielami jedenastu miliardów dolarów z pięciu krajów i zademonstrować im działanie technologii submikroskopowej, ale ponieważ mikroskop nie został podłączony, nic nie zobaczą!

— Wkurzył mnie ten facet — stwierdziła Julia. — To było coś straszne go: ostatnie odliczanie, zarezerwowany i wykupiony czas na satelicie, nic nie możemy zmienić, a tu trafił mi się taki palant. W końcu jakoś się udało. Przewiń.

— Na ekranie pojawiła się plansza z napisem:

Demonstracja zaawansowane techniki wizualizacji do celów medycznych

Xymos Technology

Mountain View, Kalifornia

Światowy lider produkcji molekularnej

Plansza zniknęła i zobaczyliśmy Julię, stojącą obok stołu i aparatu diagnostycznego. Poprawiła włosy i bluzkę.

— Witam państwa. — Uśmiechnęła się do kamery. — Jestem Julia Forman z Xymos Technology. Za chwilę zaprezentujemy państwu rewolucyjną, opracowaną przez Xymos metodę badań wizualizacyjnych. Oto Peter Morris, nasz pacjent. Za chwilę zajrzemy mu do serca i naczyń krwionośnych, i to z łatwością, o jakiej do niedawna można było jedynie pomarzyć. — Obeszła stół, cały czas mówiąc: — W przeciwieństwie do cewnikowania serca, nasza metoda jest całkowicie bezpieczna. Poza tym nie jesteśmy ograniczeni tylko do serca, możemy zajrzeć dosłownie w każdy

zakątek ludzkiego ciała, w głąb każdego, nawet najmniejszego naczynia krwionośnego. Zobaczą państwo obraz z aorty, największej tętnicy w ludzkim ciele, ale także z pęcherzyków płucnych i naczyń włosowa tych w opuszkach palców pacjenta. Wszystko to umożliwi nam nasza nowa kamera, mniejsza od czerwonej krwinki. I to sporo mniejsza. Opracowana w Xymos technologia pozwala produkować takie kamery szybko i tanio. Trzeba by ich zebrać tysiąc, by utworzyły kulkę wielkości kropki, jaką zostawia na papierze dobrze naostrzony ołówek. Tymczasem my możemy w godzinę wyprodukować kilogram takich kamer. Zdaję sobie sprawę, że słuchacie mnie państwo z powątpiewaniem. Wszyscy wiemy, że nanotechnologia wiele dotąd naobiecowała, ale żadnej obietnicy nie udało się spełnić. Naukowcy projektowali urządzenia o wielkości cząsteczek chemicznych, ale nie potrafili ich skonstruować. Otóż Xymos rozwiązał ten problem.

— Nagle dotarło do mnie, o czym Julia mówi.

— Co takiego? To żart, prawda?

— Bo jeżeli mówiła prawdę, było to niezwykle osiągnięcie, prawdziwy przełom, który oznaczał..

— Nie, to nie żart — odparła cicho Julia. — Mamy fabrykę w Nevadzie.

— Uśmiechnęła się. Moje zdumienie chyba sprawiało jej przyjemność. — Jedną z naszych kamer umieściliśmy przed mikroskopem elektronowym

— mówiła z ekranu tamta Julia. Wskazała na monitor. — Możecie państwo porównać ją z umieszczonym obok czerwonym ciałkiem krwi.

— Obraz zrobił się czarnobiały. Manipulator przesuwiał po tytanowej płytce coś, co przypominało małą kałamarnicę: miało łeb tępy jak pocisk i wlokące się z tyłu ramiona. I było dziesięć razy mniejsze od czerwonej krwinki, która w próżni mikroskopu elektronowego upodobniła się do wysuszonego rodzyńka.

— Nasza kamera ma długość czterech stumilionowych części milimetra i, jak państwo widzicie, z wyglądu przypomina małego głowonoga. „Nos” jest odpowiedzialny za generowanie obrazu, a mikrorurki z tyłu stabilizują ruch, podobnie jak ogon latawca. Prócz biernej stabilizacji mogą także poruszać się i napędzać kamerę. Jerry! Przesuń obraz i pokaz kamerę od przodu... O tak, dziękuję. Widzicie państwo to wgłębienie w środku korpusu? To miniaturowy detektor fotonów, wykonany z arsenku galu, który pełni taką samą funkcję jak siatkówka w ludzkim oku. Otacza go coś, co przypomina opłot opony radialnej... To substancja bioluminescencyjna, która oświetla obszar przed kamerą. Wewnątrz „nosa” znajduje się opatentowana przez nas kaskada ATP. Można powiedzieć, mózg naszej kamery. Jest oczywiście bardzo prymitywny, a jego możliwości sterowania kamerą są ograniczone, ale do naszych celów w zupełności wystarcza.

— Rozległ się trzask zakłóceń, jakieś chrząknięcie i w rogu ekranu otworzyło się małe okienko. Pojawił się w nim Fritz Leidermeyer.

— Przepraszam, pani Forman — powiedział Niemiec, moszcząc się w fotelu. — A gdzie jest obiektyw?

— Nie ma obiektywu.

— Jak kamera może działać bez obiektywu?

— Zaraz do tego dojdziemy.

— Camera obscura — powiedziałem.

— Zgadza się. — Julia pokiwała głową. — Camera obscura, czyli po łacinie „ciemny pokój”, to najstarsze znane człowiekowi urządzenie do odtwarzania obrazu. Starożytni Rzymianie zauważyli, że jeśli w ścianie ciemnego pokoju zrobić małą dziurkę, na przeciwległej powierzchni pojawi się

odwrócony obraz widoku na zewnątrz pomieszczenia. Przechodząc przez niewielki otwór światło ogniskuje się jak w soczewce. Na tej samej zasadzie działają proste aparaty fotograficzne, a nazwa „kamera” stąd właśnie pochodzi. Ale w tym wypadku..

— Gdzie jest otwór? — zapytałem.

— Sądziłam, że się domyślisz. Bo to twoja robota.

— Moja?

— Tak. Xymos wykupił licencję na program opracowany przez twój zespół.

— Nie wiedziałem... Który algorytm?

— Ten do sterowania siecią.

— To te kamerki pracują w sieci? Porozumiewają się ze sobą?! — Owszem. Tworzą rój. —

Julia uśmiechała się szeroko, ubawiona moją reakcją.

— Rój — powtórzyłem, usilnie starając się zrozumieć, jakie to ma znaczenie.

— Faktycznie, w moim zespole powstało kilka programów symulujących zachowanie roju. Modelowaliśmy w nich zachowanie pszczół. Okazały się całkiem przydatne. Rój składa się z mnóstwa odrębnych jednostek, co pozwala mu skutecznie reagować na zmiany w otaczającym go środowisku zewnętrznym. W obliczu nowych, nieznanych warunków program roju nie zawiesza się, lecz jak gdyby omija przeszkodę i działa dalej. Ale my tworzyliśmy wirtualne „pszczoły” we wnętrzu komputera, a Julia miała do czynienia z prawdziwymi mechanizmami w rzeczywistym świecie. Nie mogłem zrozumieć, jak zaadaptowała nasz program do swoich celów.

— Chodzi o strukturę — wyjaśniła. — Program tworzy z kamer rój. Oczywiście! Pojedyncza kamera molekularna była zbyt mała, by cokolwiek zarejestrować. Obraz powstawał dopiero po połączeniu działających równocześnie milionów urządzeń. Rój musiał się jednak odpowiednio ustawić w przestrzeni, przyjmując na przykład kształt sfery — i tu przydawał się nasz program. To zaś oznaczało, że Xymos stworzył sztuczne...

— To jest oko — stwierdziłem.

— W pewnym sensie... Właściwie tak.

— Gdzie źródło światła?

— Bioluminescencyjny pasek.

— To za mało.

— Wcale nie. Oglądaj dalej.

Tymczasem na ekranie Julia odwróciła się i wskazała zawór kroplówki. Z pojemnika z lodem wyjęła strzykawkę wypełnioną wodą. Tak się w każdym razie wydawało na pierwszy rzut oka.

— W tej strzykawce znajduje się około dwudziestu milionów kamer, w izotonicznej zawieszynie w soli fizjologicznej. Na razie zachowują się jak zwykłe cząsteczki chemiczne. Po wstrzyknięciu do krwiobiegu pacjenta ich temperatura wzrośnie i zaczną się gromadzić, tworząc określony kształt. Tak jak ptaki tworzą w locie klucz.

— Jaki to kształt? — zainteresował się któryś z inwestorów.

— Sfera z małym otworkiem. Może się kojarzyć ze znaną embriologom blastulą, ale w rzeczywistości jest to symulacja ludzkiego oka. Miliony detektorów połączą się, żeby przekazać obraz tak samo w oku obraz tworzą wspólnie miliony słupków i pręcików.

Wskazała monitor, na którym wyświetlała się animowana sekwencja. Kamery chaotyczną masą wpadały do żyły, jak niesiona wiatrem chmura. Napór płynącej krwi spłaszczał chmurę, tworząc z niej długą smugę, ale już po paru sekundach smuga zaczęła przybierać sferyczny kształt. Chwilę

później na ekranie widzieliśmy regularną, pozbawioną luk i deformacji kulę.

— Nie bez powodu ten widok kojarzy się państwu z budową oka — mówiła Julia. — Xymos stara się naśladować budowę struktur występujących w naturze. Przy projektowaniu naszych urządzeń wykorzystujemy cząsteczki organiczne. Zdajemy sobie sprawę z tego, że dzięki trwającej miliony lat ewolucji natura wykształciła tysiące sprawnie działających układów molekularnych. Dlatego je wykorzystujemy.

— Nie chcecie wynajdywać koła? — odpowiedział ktoś spoza kadru.

— Właśnie. Ani koła, ani oka.

— Na dany przez Julię znak płaski dysk zjechał spod sufitu, zatrzymując się kilka centymetrów od ciała pacjenta.

— Za pośrednictwem tej anteny sterujemy kamerami i odbieramy przekazywany przez nie obraz. Można go, naturalnie, dalej obrabiać, zapisywać, wzmacniać i dowolnie nim manipulować, jak to zwykle bywa z danymi cyfrowymi. Jeśli nie macie państwo pytań, możemy zaczynać. — Założyła igłę na strzykawkę i wbiła ją w gumową zaślepkę na zaworku kroplówki. — Zaczniście mierzyć czas.

— Zero koma zero zaczynamy cisnęła tłoczek do oporu.

— Jak państwo widzicie, procedura jest prosta. Wstrzyknięcie kamer nie wymaga szczególnych umiejętności. Nikomu i niczemu nic się nie stanie. Jeśli nawet skutek mikroturbulencji wywołanych przepływem płynu przez igłę kilka tysięcy kamer straci witki ruchowe i tak zostaną miliony, które zrobią, co do nich należy. — Julia wyciągnęła igłę. — Wszystko w porządku? Musimy odczekać około dziesięciu sekund, żeby kamery ułożyły się w żądany kształt, potem powinniśmy mieć obraz... O, coś już jest...

Kamera ukazywała coś, co na pierwszy rzut oka przypominało rój asteroidów: asteroidami były czerwone krwinki — czerwono-fioletowe poduchy, unoszące się w przezroczystej, żółtawej cieczy. Od czasu do czasu obok przemykała znacznie większa biała krwinka, wypełniała cały ekran i zniknęła za kadrem. Ten widok kojarzył mi się raczej z grą komputerową niż z obrazem z kamery medycznej.

— Coś niesamowitego, Julio — mruknąłem. Julia przytuliła się do mnie z uśmiechem.

— Miałam nadzieję, że zrobi to na tobie wrażenie. Z ekranu dalej płynął jej głos:

— Wstrzyknęliśmy kamery do żyły, więc krew nie jest natleniona. Kamera płynie w stronę serca, zobaczycie państwo, jak naczynia będą się robiły coraz szersze... Jesteśmy już blisko, widać, jak krew pulsuje przy skurczach komór...

— Kamera poruszała się teraz skokami. Słysząc było bicie serca. Pacjent leżał nieruchomo, antena zawisała tuż nad nim.

— Zbliżamy się do prawego przedsionka, zaraz powinniśmy zobaczyć zastawkę. Uruchomimy witki, żeby spowolnić ruch kamery. A oto i zastawka... No i jesteśmy we wnętrzu serca.

— Na ekranie mignęły czerwone fałdy, podobne do otwierających się i zamykających ust, kamera wpadła przez nie do komory — i zaraz wskoczyła w tętnicę.

— Teraz popłyniemy do płuc. Zobaczycie państwo coś, czego jeszcze nikt nie widział: proces natleniania krwi.

— Naczynia zwężyły się błyskawicznie, aż w pewnym momencie czerwone krwinki zaczęły pęcznieć, przybierając jaskrawoczerwony kolor. Proces ten przebiegał błyskawicznie.

— Krwinki związały tlen, a my wracamy do serca. — Odwróciłem się do leżącej obok mnie Julii.

— To fantastyczne!

— Miała przymknięte oczy, oddychała spokojnie.

— Julio?

— Spała.

Zawsze zasypiała przed telewizorem. Właściwie nic dziwnego, że zasnęła na własnej prezentacji, którą już widziała. Zrobiło się późno, sam byłem zmęczony. Doszedłem do wniosku, że resztę obejrzę kiedy indziej. Ile czasu trwała ta transmisja? Zanim wyłączyłem telewizor, zerknąłem na wyświetlony u dołu ekranu zegar. Z prawej strony cyferki przeskakiwały szybko, odliczając setne części sekundy te z lewej zmieniały się wolniej, a niektóre wcale. Zmarszczyłem brwi. Skrajne cyfry oznaczały datę. Nie zwróciłem na nią wcześniej uwagi, bo podano ją w zapisie międzynarodowym: rok, dzień, miesiąc. 02.21.09.

— Dwudziesty pierwszy września.

— Wczoraj.?

Program został nagrany poprzedniego dnia.

Wyłączyłem telewizor, zgasilem nocną lampkę, a potem położyłem się, próbując zasnąć.

Dzień drugi, godzina 9.02

Miałem kupić chude mleko, chleb tostowy, babeczki, galaretkę, płyn do mycia naczyń... i coś jeszcze, ale nie mogłem odcyfrować własnego pisma. Była dziewiąta rano, a ja stałem przed regałem w supermarkecie i łamałem sobie głowę, co też tu nagryzmołem.

— Cześć, Jack — rozległ się czyjś głos. — Jak leci? Przede mną stał Ricky Morse, szef jednego z działów w Xymosie. — Pomalutku. A co u ciebie, Ricky?

— Podaliśmy sobie ręce. Szczerze ucieszyłem się na jego widok. Zawsze przyjemnie było na niego patrzeć: opalony blondyn, z włosami na jeża, uśmiechnięty od ucha do ucha — można by pomyśleć, że jest mistrzem surfingu, gdyby nie koszulka reklamowa SourceForge 3.1. Choć niewiele młodszy ode mnie, emanował młodzieńczą energią. Byłem jego pierwszym pracodawcą, zaraz po tym, jak skończył college szybko awansował na kierownicze stanowisko. Zawsze wesoły, pełen entuzjazmu, doskonale spisywał się w roli kierownika projektów, chociaż zdarzało mu się mydlić szefostwu oczy nierealistycznymi terminami.

— Julia mówiła mi, że z tych samych powodów mieli z nim kłopoty w Xymosie: Ricky składał obietnice, których nie mógł dotrzymać. A czasem zwyczajnie mijał się z prawdą. Jego urok osobisty sprawiał jednak, że wszyscy mu wybacжали. Bardzo go polubiłem, traktowałem go niemal jak młodszego brata. Dałem mu świetne referencje, kiedy starał się o pracę w Xymosie.

Teraz szedł z wózkiem wypchanym paczkami jednorazowych pieluch też miał małe dziecko. Zapytałem, dlaczego jest w sklepie zamiast w biurze.

— Mary ma grypę, a niania wyjechała do Gwatemali. Obiecałem, że zrobię zakupy.

— Widzę, że kupujesz huggies — zauważyłem. — Ja wolę pampersy.

— Moim zdaniem huggies lepiej chłoną wilgoć. Poza tym pampersy są za ciasne, ocierają maluchowi nóżki.

— Ale mają taką specjalną wyściółkę, która odsysa wilgoć. Wydają się zawsze suche. Powodują mniej odparzeń.

— W pampersach zakładki z klejem są słabe i puszczają. A jak się pielucha napęlni, to wszystko spływa po nóżkach i mam więcej roboty. Dlatego wydaje mi się, że huggies są lepsze.

— Jakaś kobieta z wózkiem sklepowym spojrzała na nas podejrzliwie. Wybuchnęliśmy śmiechem gadaliśmy jak faceci z reklamy w telewizji.

— Jak tam mecz Giants? — zapytał donośnym głosem Ricky.

— Świetni byli, nie uważasz?

— Roześmialiśmy się i razem wyjechaliśmy spomiędzy regałów.

— Wiesz, jak jest naprawdę? — zapytał Ricky. — Mary woli huggies. Koniec, kropka.

— Wiem, jak jest.

— Widzę, że kupujesz chude mleko... — Ricky zajrzał do mojego wózka.

— Daj spokój. Jak tam w pracy?

— Całkiem nieźle. Technologia się sprawdza, jeśli można tak powiedzieć. Zrobiliśmy mały

pokaz dla gości, którzy mogą sypnąć trochę grosza.

— Jak Julia sobie radzi? — zapytałem najbardziej obojętnym tonem, na jaki mogłem się zdobyć.

— W porządeczku. Tak mi się w każdym razie wydaje. Zerknąłem na niego spod oka. Co tak nagle nabrał wody w usta? Czy coś ukrywał? Nie miałem pojęcia.

— Prawie się nie widzimy — dodał. — Rzadko bywa w firmie. — Ja też ją rzadko widzę.

— Wiesz, to dlatego, że przesiaduje głównie w kompleksie produkcyjnym. Tam się teraz najwięcej dzieje. — Ricky rzucił mi badawcze spojrzenie. — Rozumiesz, te nowinki...

Należący do Xymosu zakład produkcyjny zbudowano w rekordowym tempie, biorąc pod uwagę, jak skomplikowana była to konstrukcja. Właśnie tam inżynierowie montowali cząsteczki, sklejali molekuly z atomów jak z klocków lego. Większość prac prowadzili w próżni, w bardzo silnym polu magnetycznym. W zakładzie zainstalowano masywne zestawy pomp i potężny układ chłodzenia elektromagnesów. Julia mówiła, że tego rodzaju kompleks zbudowano po raz pierwszy na świecie.

— To niewiarygodne, że tak szybko go wam postavili — powiedziałem.

— Naciskaliśmy ich. Molecular Dynamics depcze nam po piętach. A teraz mamy zakład produkcyjny i całą masę gotowych, opatentowanych rozwiązań. No, ale MolDyne i NanoTech nie zostaną daleko w tyle.

— Montujecie już gotowe cząsteczki?

— Tak. Produkcja molekuł idzie pełną parą. I to od dobrych kilku tygodni.

— Nie wiedziałem, że Julia tak się tym interesuje — przyznałem. Zawsze myślałem, że lubi w pracy kontakt z ludźmi.

— Bardzo ją to wciągnęło. Poza tym w zakładzie dużo się programuje... Doskonałą proces produkcyjny.

— Pokiwałem głową.

— Co piszecie?

— Przetwarzanie rozproszone, sieci... W ten sposób koordynujemy działanie poszczególnych elementów.

— To wszystko po to, żeby wyprodukować kamerę medyczną?

— Tak. — Ricky zawiesił głos. — Między innymi. — Uśmiechnął się niepewnie, jakby bojąc się powiedzieć za dużo.

— Nie chcesz, to nie mów — uprzedziłem go.

— Nie o to chodzi... Kurczę, przecież znamy się od lat, Jack. — Poklepał mnie po plecach. — W dodatku twoja żona jest w zarządzie. Co mi tam!

Ale wyraźnie wciąż się wahał. Wyraz jego twarzy nie pasował do beztróskich słów. W dodatku nie patrzył mi w oczy, kiedy mówił o żonie.

Byłem napięty jak struna. Zawsze czujemy się niezręcznie, wiedząc, że nasz rozmówca coś ukrywa — bo się wstydzi, bo nie wie, jak to powiedzieć, bo nie chce nas mieszać do swoich spraw, bo uważa, że sami powinniśmy się domyślić... Zwłaszcza kiedy chodzi o niewierną żonę. Gość patrzy na ciebie z politowaniem, ale pary z gęby nie puści. Facet nigdy nie powie drugiemu facetowi, że ma o n puszczałską żonę. Co innego kobiety — te zawsze dzielą się swoją wiedzą o niewiernych mężach, — Tak już jest.

— Tylko że ja miałem ochotę...

— Rany, patrz, która godzina! — Ricky uśmiechnął się do mnie. — Mary mnie zabije, muszę lecieć. I tak jest wściekła, bo na parę dni wyjeżdżam do zakładu. Mnie nie będzie, niania jeszcze nie

wróci,.. Wzruszył ramionami. — Co ci będę mówił, sam wiesz.

— Wiem, stary. Trzymaj się.

— Ty też.

Podaliśmy sobie ręce, mruknęliśmy coś na pożegnanie i Ricky skręcił z wózkiem między regały.

Czasem nie sposób się zmusić, żeby rozpamiętywać coś, co człowieka boli. Po prostu nie można zebrać myśli mózg odmawia współpracy, mówi: „dzięki, nie mam ochoty, zmienmy temat”. Tak właśnie było ze mną. Nie mogłem skupić się na Julii, więc zacząłem sobie przypominać, co Ricky opowiadał o fabryce molekuł. Brzmiało to sensownie, chociaż jego słowa przeczyły powszechnemu wyobrażeniu o nanotechnologii.

Wśród specjalistów przez długi czas pokutowało przekonanie, że kiedy już nauczą się montować atomy w cząsteczki, reszta będzie banalna. Każdy będzie mógł się tym zająć i z taśm produkcyjnych na całym świecie zaczną spływać przeróżne cudenka. Wystarczy parę dni, a nowa technika całkowicie zmieni nasze życie. Tylko niech ją ktoś wreszcie opracuje.

Była to, naturalnie, wierutna bzdura. Idiotyzm. W swoich założeniach produkcja molekuł nie różni się specjalnie od składania komputerów czy samochodów. Potrzeba czasu, żeby wszystko wyszło jak należy. W pewnym sensie przypomina to kompilację programu z poleceń kodu źródłowego: kod nigdy nie zaskakuje od razu. Informatycy długo jeszcze muszą w nim dłubać i wprowadzać poprawki, a i po skompilowaniu program nigdy nie działa jak należy. Nie za pierwszym razem, nie za drugim, nawet nie za setnym. Trzeba go analizować, analizować i analizować. Bez końca. A potem jeszcze raz.

Wydawało mi się, że z produkcją molekuł będzie tak samo: trzeba będzie je poprawiać dziesiątki razy, zanim wyjdą takie jak trzeba. A jeśli Xymos chciał zmusić do współpracy całą chmurę cząsteczek, musiał opracować dla nich system łączności, choćby najbardziej nawet ograniczonej. Bo w chwili, kiedy molekuly zaczynały się ze sobą porozumiewać, tworzyły sieć, a taką siecią można było zarządzać, pisząc takie programy, jakimi zajmowałem się w MediaTronics.

Dlatego nie zdziwiłem się, kiedy Ricky powiedział, że programowanie odbywa się równocześnie z produkcją. Nie rozumiałem tylko, co robi przy tym Julia. Fabryka znajdowała się daleko od centrali, w dziurze zabitej dechami — niedaleko Tonopah, na pustyni w Nevadzie. A Julia nie lubiła prowincji.

Siedziałem w poczekalni u pediatry przywiozłem Amandę na kolejne obowiązkowe szczepienia. Razem ze mną czekały cztery mamy chore maluchy siedziały u nich na kolanach, a starsze dzieci bawiły się na podłodze. Mamy rozmawiały z ożywieniem i demonstracyjnie mnie ignorowały.

Zaczynałem się do tego przyzwyczajać. Facet w domu, facet z dzieckiem u pediatry — to było coś niezwykłego. Podejrzanego. Musiał mieć jakiś feler: stracił pracę, pewnie wylali go za picie albo ćpanie, a teraz żyje z zasiłku — mężczyzna nie miał prawa w południe siedzieć w poczekalni u pediatry. Dlatego mamusie udawały, że wcale mnie tu nie ma.

Czasem tylko zerkwały na mnie spod oka, jakby bały się, że zechcą je zgwałcić. Nawet Gloria, pielęgniarka, patrzyła na mnie podejrzliwie. Spojrzała na Amandę, która wyglądała całkiem zdrowo.

— Co my tu mamy?

— Wyjaśniłem, że przyjechaliśmy na szczepienie.

— Jest pan krewnym dziecka? Powiedziałem, że jestem ojcem.

W końcu Gloria zaprosiła nas do gabinetu. Przywitałem się z lekarzem był bardzo uprzejmy i wcale nie pytał, dlaczego to ja przywiozłem córkę, a nie matka albo niania. Zrobił małej dwa zastrzyki. Amanda się rozplakała. Próbowałem ją utulić.

— Może się pojawić zaczerwienienie po zastrzyku, może mała opuchlizna. Gdyby nie zeszła po czterdziestu ośmiu godzinach, proszę za dzwonić.

— Znalazłem się z powrotem w poczekalni. Właśnie sięgałem po kartę kredytową, jednocześnie ucinając małą, kiedy zadzwonił telefon. Julia.

— Cześć, co porabiasz? — spytała. Musiała usłyszeć płacz.

— Płacę za szczepienia.

— Pewnie nie możesz rozmawiać?

— Nie bardzo...

— Dobra, w takim razie będę się streszczać: dzisiaj mam wreszcie wolny wieczór i wrócę na kolację. Przywieźć coś do jedzenia?

— Byłoby świetnie.

Zaczynało się ściemniać. Trening piłkarski Erica jak zwykle trochę się przeciągnął. Przechadzałem się wzdłuż linii boiska i zastanawiałem, czy nie powinienem zwrócić na to uwagę trenerowi. Nicole zadzwoniła z komórki, że próba w szkolnym teatrze już się skończyła. Miała pretensje, że po nią nie przyjechałem. I gdzie właściwie jestem? Powiedziałem, że czekam na Erica i poradziłem, żeby popytała innych rodziców, czy ktoś by jej nie zabrał.

— Tato... — Była zrozpaczona. Zupełnie jakbym kazał jej wracać do domu na czworaka.

— Na razie nie mogę się stąd ruszyć.

— Jasne — powiedziała z sarkazmem.

— Nie tym tonem, młoda damo.

— Chwilę później trening nieoczekiwanie się skończył: na boisko wjechała ciężarówka firmy ogrodniczej. Wysiedli z niej dwaj ludzie w maskach i gumowych rękawicach, ze zbiornikami na plecach. Zamierzali spryskać trawę jakimś herbicydem czy innym świństwem i do rana nikt nie mógł korzystać z boiska.

— Oddzwoniłem do Nicole, że zaraz ją odbierzemy.

— Kiedy?

— Już jedziemy

— Po treningu tej małej paskudy?

— Daj spokój, Nicole. — Dlaczego on zawsze musi być ważniejszy? — Wcale nie jest ważniejszy. — Właśnie że jest. jest małą paskudą. — Nicole...

— Przepraszam, tato.

— No, do zobaczenia. — Rozłączyłem się. Dzieciaki szybko teraz dorastają, i

— Wpół do szóstej byliśmy już w domu i dzieciaki przypuściły szturm na lodówkę. Nicole złapała kawał sera. Kazałem jej go odłożyć, bo nie zje kolacji, i wróciłem do nakrywania stołu.

— Kiedy będzie kolacja?

— Niedługo. Mama coś przywiezie.

— Aha. — Wyszła z kuchni, ale po paru minutach wróciła i oznajmiła: — Mama przeprasza, że nie zadzwoniła. Wróci późno do domu.

— Właśnie nalewałem wodę do rozstawionych na stole szklanek.

— Co takiego?

Mama przeprasza, że nie zadzwoniła, ale późno wróci do domu. Właśnie z nią rozmawiałam.

— Szlag by to trafił! — Wkurzyłem się. Zwykle starałem się nie okazywać złości przy dzieciach, ale nie zawsze mi się udawało.

— Ja naprawdę jestem głodna, tato.

— Zabierz brata i zejdźcie do auta. Jedziemy coś zjeść.

— Wieczorem Amanda stroiła fochy i za nic nie dawała się uspić. Złożyłem to na karb zastrzyków. Kiedy nie chciała zasnąć, był tylko jeden sposób: musiałem wziąć ją na ręce, obnosić po domu, mówić do niej cichutko i pokazywać jej kwiatki, zdjęcia na ścianach, widok z okna... i czekać, aż ziewnie. Potem mogłem spokojnie położyć ją do łóżka. Kłopot w tym, że czasem długo się czekało na to pierwsze ziewnięcie.

— Zacząłem od rundki po jej sypialni: obejrzała rysunki postaci z Kubusia Puchatka na kloszu lampki nocnej, zegar z Ciasteczkowym Potworem i wszystkie grzechotki, ale nie ziewnęła.

— Kiedy po jakimś czasie niosłem ją do łóżka, potrąciłem łokciem zdjęcie stojące na regale w salonie. Z trzaskiem spadło na ziemię, więc schyliłem się i podniosłem je. Przedstawiało Julię z czteroletnim Erikiem w Sun Valley. Oboje mieli na sobie kombinezony narciarskie. Promiennie uśmiechnięta Julia uczyła syna jeździć na nartach. Obok stała fotografia z Kona, dokąd wyjechaliśmy z Juliana urlop z okazji jedenastej rocznicy ślubu: był zachód słońca, ja miałem na sobie krzykliwą hawajską koszulę, Julia — wieniec z kwiatów na szyi. Całowaliśmy się. Wycieczka udała się doskonale byliśmy prawie pewni, że właśnie na Hawajach poczęliśmy Amandę. Pamiętam, jak któregoś dnia, niedługo potem, Julia wróciła z pracy.

— Pamiętasz, jak mówiłeś, że nadmiar maitai może nam zaszkodzić? — zapytała. — Powiem krótko: to będzie dziewczynka.

— Zakrztusiłem się, woda z bąbelkami, którą piłem, pociekła mi z nosa i oboje zaczęliśmy się śmiać.

— Dalej stało zdjęcie Julii i Nicole, robiących w kuchni babeczki malutka Nicole siedziała na blacie, mogła mieć najwyżej półtora roku. W skupieniu, ze zmarszczonym czołkiem nakładała ciasto wielką łyżką, bałaganiąc przy tym niemiłosiernie. Julia z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

— Rodzinne zdjęcie z wycieczki do Kolorado: Julia trzyma sześcioletnią Nicole za rękę, ja niosę Erica na barana, koszulę mam całą mokrą od potu (albo i czegoś gorszego, jeśli mnie pamięć nie myli miał wtedy dwa latka i jeszcze nosił pieluchę). Pamiętałem, że najbardziej bawiło go, kiedy na szlaku zasłaniał mi rączkami oczy.

— To zdjęcie przekrzywiło się w ramce. Puknąłem w nią, ale nawet nie drgnęło. Zauważyłem przy okazji, że inne fotografie wyblakły, poprzyklejały się emulsją do szkła zapomnieliśmy o nich. Amanda prychnęła i potarła oczy piąstkami czas spać. Odstawiłem na miejsce zdjęcia — obrazy z innych, dawnych, szczęśliwszych czasów. Z innego życia. Nie miałem już z nimi nic wspólnego. Wszystko się zmieniło.

— Cały świat.

— Zostawiłem nakryty stół, żeby zawstydzić Julię. Wróciła koło dziesiątej.

— Przepraszam, kochanie.

— Miałaś dużo pracy.

— Miałam. Wybaczysz mi?

— Wybaczę.

— Jesteś kochany. — Posłała mi całusa z drugiego końca pokoju. — Wezmę prysznic.

— Poszła do łazienki, a ja odprowadziłem ją spojrzeniem. Po drodze uchyliła drzwi do pokoju małej i weszła do środka. Usłyszałem, jak grucha coś do Amandy, która odpowiada jej, gulgocząc po swojemu. Wstałem i poszedłem do nich.

W sypialni panował półmrok Julia trzymała dziecko na rękach i pocierała nosem o jej nosek.

— Obudziłaś ją — powiedziałem.

— Wcale nie, nie spała. Prawdą pączuszkę? Wciała nie spałam, tatusiu. Amanda potarła oczka i ziewnęła szeroko. Widać było, że musiała dopiero przed chwilą się obudzić.

— Naprawdę jej nie obudziłam. — Julia spojrzała na mnie. — Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Jak?

— Wiesz jak, tak oskarżycielsko.

— O nic cię nie oskarżam.

— Mała pociągnęła noskiem i zaczęła popłakiwać. Julia sprawdziła jej pieluszkę.

— Zsiusiała się — stwierdziła. Oddała mi Amandę i wychodząc rzuciła: — Przewiń ją, mistrzu.

Sytuacja zrobiła się napięta. Przewinałem Amandę i kładłem ją spać, kiedy Julia, trzaskając drzwiami, wyszła z łazienki. Wiedziałem, że kiedy zaczyna trzaskać drzwiami, powinienem iść i ją ugłaskać, ale tym razem nie miałem na to ochoty. Byłem zły, że obudziła małą, drażnił mnie jej brak odpowiedzialności — nie podobało mi się, że nie uprzedziła o spóźnieniu. Bałem się, że zrobiła się roztrzepana, bo albo ma kogoś nowego, albo zwyczajnie przestało jej zależeć na rodzinie. Nie wiedziałem, co z tym zrobić, ale nie chciało mi się łagodzić napięcia.

— Pozwoliłem jej pohłasować. Przesuwane drzwiczki od garderoby zamknęła z takim impetem, że pękły z trzaskiem. Zakłęła paskudnie to był znak dla mnie, żebym w te pędy biegł ją pocieszyć.

— Wróciłem do salonu, wziąłem do ręki książkę, którą wcześniej czytałem i bezmyślnie wlepiłem wzrok w kartkę. Bez powodzenia próbowałem się skupić na lekturze. Wściekły nasłuchiwałem, jak Julia rozbija się w sypialni. Pomyślałem, że jeśli się nie uspokoi, obudzi Erica wtedy musiałbym z nią poważnie porozmawiać. Miałem jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Wreszcie wszystko ucichło prawdopodobnie poszła spać. Wiedziałem, że szybko zaśnie. Nigdy nie miała z tym problemów, nawet po kłótni. Ze mną było inaczej: nie mogłem spać kręciłem się wściekły po mieszkaniu, próbując ułożyć myśli.

Kiedy się kładłem, Julia spała jak zabita. Wśliznąłem się pod koc i skuliłem na swojej połowie łóżka, jak najdalej od niej.

Pierwszej w nocy obudził mnie płacz Amandy. Próbując namacać wyłącznik lampki, straciłem budzik i przypadkiem włączyłem radio, które ryknęło głośnym rock and roilem. Zakląłem, pomacałem jeszcze chwilę, wreszcie udało mi się włączyć światło i zgasić radio.

Mała dalej płakała.

— Co się stało? — spytała zaspana Julia.

— Nie wiem. — Wstałem i potrząsnąłem głową, żeby się rozbudzić. Poszedłem do pokoju małej, włączyłem światło. Zrobiło się przeraźliwie jasno, żółta tapeta z klaunami kłuła w oczy. Ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie telefon od Julii: dlaczego nie chciała żółtych serwetek, skoro cały pokój dziecienny pomalowała na taki właśnie kolor?

Amanda stała w łóżeczku, trzymała się sztachetek i darła rozpaczliwie, zanosząc się płaczem. Łzy płynęły jej po policzkach. Wyciągnęła do mnie rączki. Wyjąłem ją z łóżeczka i zacząłem bujać na rękach. Musiało jej się przyśnić coś złego.

Kołysałem ją delikatnie, ale nie dawała się uspokoić. Pomyślałem, że może coś uwierają w pieluszcze. Odwinałem ją i obejrzałem. Na brzuszku miała paskudną wysypkę. Czerwona smuga sięgała aż na plecy, a u góry dochodziła do szyi.

Do pokoju weszła Julia.

— Nie możesz jej uciszyć?

— Coś jej jest. — Pokazałem jej wysypkę.

— Ma gorączkę?

Dotknąłem czoła Amandy: było ciepłe i spocone, ale mogło to być spowodowane płaczem resztę ciała miała chłodną.

— Nie wiem... Raczej nie.

Zauważyłem, że ma wysypkę także na udach. Odniosłem wrażenie, że zaczerwienienie się rozprzestrzenia. Amanda zaś, jeśli to w ogóle możliwe, płakała jeszcze głośniejszym głosem niż na początku.

— Jezu Chryste... — szepnęła Julia. — Zadzwońię po lekarza.

— Dzwon.

Położyłem małą na plecach i zacząłem dokładnie oglądać całe jej ciało. Wysypka rzeczywiście rozprzestrzeniała się błyskawicznie. Widać było, że dziecko cierpi katusze.

— Nie płacz, malutka...

Tak, na pewno wysypka — rozprzestrzeniała się na moich oczach. Julia powiedziała, że zostawiła lekarzowi wiadomość.

— Nie będę czekał, aż się odezwie — stwierdziłem. — Zawiozę ją na ostry dyżur.

— Naprawdę myślisz, że to konieczne? Nie odpowiedziałem. Poszedłem do sypialni i zacząłem się ubierać.

— Chcesz, żebym pojechała z tobą?

— Nie, zostań z dziećmi.

— Na pewno?

— Tak.

— Dobrze.

— Julia wróciła do sypialni, a ja sięgnąłem Amanda wciąż płakała. .

— Wiem, że cierpi — tłumaczył mi stażysta — ale środki uspokajające mogłyby jej zaszkodzić.

Znajdowaliśmy się w odgradzonym parawanem zakątku izby przyjęć. Stażysta pochylał się nad moją córeczką i zaglądał jej do ucha przez specjalną tubkę. Całe ciało Amandy przybrało już intensywnie czerwony kolor, jakbym przed chwilą wyjął ją z wrzątku.

Byłem przerażony. Nigdy nie słyszałem o chorobie, w której dziecko robi się całe czerwone i bez przerwy płacze. Nie miałem zaufania do młodego stażysty, któremu z pewnością brakowało doświadczenia wyglądał tak, jakby jeszcze nie musiał się golić. Przystępowałem roztrzęsiony z nogi na nogę. Przez ostatnią godzinę Amanda nie milkła ani na chwilę. Stażysta zupełnie to ignorował, a ja go kompletnie nie rozumiałem. Miałem wszystkiego dość.

— Nie ma gorączki — stwierdził, notując to w karcie — ale u takich małych dzieci to jeszcze nic nie znaczy. Dopóki nie skończą roku, mogą przejść bez gorączki nawet całkiem poważne infekcje.

— Więc to jest infekcja?

— Nie wiem. Sądząc po wysypce, chyba tak. Wstępne wyniki badania krwi powinniśmy mieć za... O, świetnie. — Pielęgniarka podała mu kartkę papieru. — No tak...

— Co „tak”? — zaniepokoiłem się. Pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

— Co „tak”?! — powtórzyłem.

— To nie infekcja. Białe krwinki w normie, białko też... Nie reaguje system odpornościowy.

— Co to oznacza?

— Stażysta stał ze zmarszczonym w zadumie czołem. Minęły czasy, kiedy na medycynę szli tylko

najzdolniejsi, zwłaszcza odkąd rozpanoszyły się prywatne firmy lekarskie. Wyglądało na to, że trafiłem na przedstawiciela nowego pokolenia lekarzy: na durnia.

— Musimy przeprowadzić pełną diagnostykę — stwierdził. — Zamówię konsultacje chirurgiczne i neurologiczne, przyjdzie dermatolog i specjalista od chorób zakaźnych. Wszyscy będą chcieli z panem porozmawiać, ale...

— Nie mam nic przeciwko temu — przerwałem mu. — Jak pan sądzi, co jej jest?

— Nie wiem. Jeśli to nie zakażenie, będziemy szukać innych przy czyn takiej reakcji skórnej. Wyjeżdżał pan z nią za granicę?

— Nie.

— Mogła mieć kontakt z metalami ciężkimi? Z toksynami?

— To znaczy?

— Czy mogła się znaleźć w pobliżu wysypisk szkodliwych odpadów, zakładów przemysłowych, chemicznych...

— Nie, na pewno nie.

— Ma pan jakieś podejrzenia, co by to mogło być?

— Nic mi nie przychodzi do głowy... Chociaż... wczoraj była szczepiona.

— Na co?

— Nie wiem... Jak wszystkie dzieci w jej wieku...

— Nie wie pan, na co ją zaszczepiono? — Stażysta czekał z otwartym notesem.

— Nie, do diabła! Nie wiem! Pojechaliśmy do przychodni, dostała jakiś zastrzyk i już. To pan jest lekarzem, do cholery...

— W porządku, panie Forman — powiedział ugodowym tonem. — Wiem, że jest pan zdenerwowany. Proszę mi podać nazwisko pediatry, który opiekuje się pana córką. Zadzwoń do niego.

Skinąłem głową. Otarłem pot z czoła i przeliterowałem nazwisko lekarza. Próbowałem się uspokoić i uporządkować myśli. A moje dziecko cały czas płakało.

Pół godziny później dostała drgawek.

Zaczęły się w chwili, gdy pochylał się nad nią jeden ze specjalistów w białych kitlach. Ciało Amandy przebiegały skurcze, coś zagulgotało jej w gardle, jakby miała zwymiotować, nóżki podrygiwały spazmatycznie. Jej oddech stał się świszczący i tak przewróciła oczami, że widać było tylko białka.

Nie pamiętam, co wtedy powiedziałem czy zrobiłem, ale pielęgniarz, wielki jak zawodowy futbolista, przyparł mnie do ścianki parawanu i unieruchomił mi ręce w żelaznym uścisku. Patrzyłem mu przez ramię. Sześciu ludzi otoczyło moją córeczkę, pielęgniarzka wbiła jej w główkę igłę strzykawki. Zacząłem krzyczeć, próbowałem się wyrwać, a pielęgniarz cały czas krzyczał: Wypluwka! Wypluwka! Wypluwka!

— Wreszcie zrozumiałem, że ma na myśli kroplówkę. Wytłumaczył mi, że chcą podać Amandzie kroplówkę, bo się odwodniła i dlatego dostała drgawek. Mówił jeszcze coś o elektrolitach, magnezie, potasie...

— Drgawki ustąpiły po kilku sekundach. Tylko że mała wcale nie przestała krzyczeć.

— Zadzwoń do Julii. Nie spała.

— Co z nią?

— Bez zmian.

- Cały czas płacze? To ona? Musiała słyszeć w tle głos Amandy.
- Tak.
- Boże! — jęknęła. — Co mówią lekarze?
- Jeszcze nic nie wiedzą.
- Biedne maleństwo.
- Chyba z pięćdziesięciu lekarzy przyszło ją obejrzeć.
- Mogę ci jakoś pomóc?
- Chyba nie.
- No dobrze. Daj znać, jak się czegoś dowiesz.
- W porządku.
- Jak nie śpię.
- Dobrze.

Nad ranem grono specjalistów doszło do wniosku, że Amanda ma albo zatwardzenie, albo guz mózgu. W celu rozstrzygnięcia wątpliwości zdecydowali się na rezonans magnetyczny. Na dworze szarzało, kiedy wreszcie zawieźli ją na badanie. Na środku sali stała ogromna, sterylnie biała machina. Pielęgniarka poprosiła mnie o pomoc w przygotowaniu dziecka, które będzie się czuło pewniej przy ojcu. Wyjęła igłę z głowy małej, bo każdy metalowy przedmiot mógłby zakłócić badanie. Krew pociekła po buzi Amandy, spłynęła jej do oka. Pielęgniarka zaraz ją otarła.

Po przypięciu pasami do białej deski Amanda wjechała w trzewia maszynierii. Była przerażona jej widokiem, płakała cały czas. Pielęgniarka poprosiła, żebym zaczekał w pokoju techników. Mogłem stamtąd widzieć wszystko przez szyby.

- Ciemnoskóry technik nie był Amerykaninem.
- To dziewczynka? Ile ona ma?
- Dziewczynka. Dziewięć miesięcy, — Niezłe płucka.
- To prawda. — No, ruszamy.

Manipulując przy pokrętkach i zegarach, prawie wcale nie patrzył na moją córeczkę.

Amanda zniknęła w głębi aparatu. Jej płacz, transmitowany z wbudowanego mikrofonu, brzmiał słabiutko. Technik pstryknął przełącznikiem, zaterkotała pompa. Strasznie hałasowała, ale ja i tak słyszałem płacz Amandy.

Płacz, który nagle ucichł. Jak nożem uciął.

Zerknałem pytająco na technika i pielęgniarkę. Zaniemówili. Wszystkim nam przyszło do głowy, że musiało się stać coś strasznego. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Technik pośpiesznie wyłączył pompę i razem wbiegliśmy do sali.

Moja córeczka leżała przypięta do deski, zdyszana, ale najwyraźniej zdrowa. Zamrugwała niepewnie oczami. Jej skóra przybrała jaśniejszy, różowawy odcień, pojawiły się pierwsze placki w normalnym kolorze. Wysypka zniknęła.

— A niech mnie! — mruknął technik.

Nie chcieli wypuścić Amandy ze szpitala. Chirurdzy upierali się, że na pewno ma kłopoty z jelitami albo mózgiem i chcieli ją zatrzymać na obserwację. Wysypka ciągle zniknęła i po godzinie skóra małej przybrała normalną barwę.

Nikt nie umiał tego wytłumaczyć lekarze byli wyraźnie zaniepokojeni. Wkluli jej kroplówkę z drugiej strony główki, ale Amanda łapczywie pochłonęła całą butelkę odżywki dla niemowląt. Wpatrywała się we mnie tak, jak zwykle przy karmieniu — hipnotyzująco, uporczywie, aż zasnęła mi

na rękach.

Przesiedziałem w izbie przyjęć jeszcze godzinę, a potem powiedziałem nieśmiało, że powinienem wracać do domu, do dzieci, żeby wyprawić je do szkoły. Wkrótce potem lekarze odtrąbili kolejny triumf współczesnej medycyny i wypuścili nas. Amanda spała przez całą drogę do domu, nie obudziła się nawet wtedy, kiedy wyjąłem ją z fotelika. Kiedy szedłem przez podjazd, robiło się już jasno.

Dzień trzeci, godzina 6.07

W domu panowała cisza. Dzieci jeszcze spały. Julia stała nieruchomo przy oknie w jadalni i wyglądała na ogródek za domem. W rękach trzymała filiżankę kawy. Spryskiwacze pstrykały i szumiały cicho.

— Wróciliśmy — oznajmiłem. Julia odwróciła się od okna.

— Co z małą?

— Pokazałem jej trzymaną na rękach Amandę.

Chyba wszystko w porządku.

— Bogu dzięki! Tak się martwiłam, Jack. — Julia nie pogłaskała Amandy, nawet do nas nie podeszła. — Tak bardzo się martwiłam.

Mówiła dziwnym, nieswoim głosem, jakby w gruncie rzeczy wcale nie była zaniepokojona tym, co się stało. Przełknęła łyk kawy.

Przez całą noc oka nie zmrużyłam, tak się bałam... Okropnie się czułam, Boże... — Zerknęła przelotnie na mnie i spuściła wzrok. Zachowywała się, jakby dręczyły ją wyrzuty sumienia.

— Chcesz ją wziąć na ręce?

— Ja... nie... — Pokręciła głową i skinieniem wskazała trzymaną w dłoni filiżankę. — Nie teraz. Poza tym muszę sprawdzić spryskiwacze. Róże nie potrzebują aż tyle wody.

Wyszła do ogródka.

Patrzyłem, jak przygląda się spryskiwaczom. Obejrzała się na mnie, a potem demonstracyjnie sprawdziła wiszącą na ścianie puszkę z zegarem, który sterował ich pracą. Otworzyła pokrywę, zajrzała do środka. Nic nie rozumiałem. Tydzień wcześniej ogrodnicy nastawili zegar... Widocznie źle to zrobili.

Amanda pociągnęła głośno noskiem. Zabrałem ją do jej pokoju, przewinałem i położyłem spać. Kiedy wróciłem, Julia siedziała w kuchni i rozmawiała z kimś przez telefon komórkowy. To był jej kolejny nowy zwyczaj: przestała używać naszego stacjonarnego telefonu i wszystko załatwiała przez komórkę. Kiedy zapytałem, dlaczego to robi, odparła, że tak jest lepiej, bo często dzwoni za granicę, a za komórkę płaci firma.

Zwolniłem kroku. Idąc po dywanie, usłyszałem:

— Pewnie, że tak, do cholery! Po prostu musimy teraz uważać... — Julia podniosła wzrok. Gdy mnie zauważyła, natychmiast zmieniła ton: — No dobrze... Carol, posłuchaj, jeden telefon do Frankfurtu powinien to wyjaśnić. Na wszelki wypadek wyślij im jeszcze faks. Daj znać, gdyby się odezwali, dobrze?

— Rozłączyła się. Wszedłem do kuchni.

— Wiesz, Jack, że nie lubię wyjeżdżać z domu, zanim dzieci wstaną, ale...

— Musisz lecieć?

— Właśnie. Coś się tam wydarzyło w firmie. . Spojrzałem na zegarek: za piętnaście szósta.

— W porządku.

— Zajmij się dziećmi i w ogóle...

— Pewnie. Nie ma sprawy.

— Dzięki. Zadzwońię w ciągu dnia. I wybiegła z domu.

Byłem tak zmęczony, że w głowie mi się mąciło. Amanda spała i miałem nadzieję, że nie obudzi się przez najbliższe kilka godzin. Maria, nasza gosposia, przyszła o wpół do siódmej i zrobiła śniadanie. Starsze dzieci zjadły, a ja miałem odwieźć je do szkoły. Oczy mi się kleiły. Ziewnąłem szeroko.

Siedzący obok mnie Eric też ziewnął.

— Jesteś śpiący? – spytałem. Skinął głową.

— To przez tych ludzi nie mogłem spać.

— Przez jakich ludzi?

— Tych, co w nocy przyszli do domu.

— W nocy?

— Z odkurzacami. Wszędzie odkurzali. Odkurzyli też ducha.

— Ducha, akurat... — zadrwiła z tyłu Nicole.

— Chyba coś ci się przyśniło, synku — powiedziałem. Ostatnio Eric często miewał koszmary i budził się po nocach. Podejrzywałem, że Nicole pozwala mu oglądać horrory. Była w takim wieku, że uwielbiała filmy, w których zamaskowani psychopaci mordowali nastolatków za to, że się ze sobą przespali. Uprawiasz seks — umierasz. Ale Eric był za mały, żeby oglądać takie filmy. Nieraz to mówiłem Nicole.

— Nie, tato, wcale nie — zaprotestował Eric i znów ziewnął. — Ci ludzie naprawdę byli u nas w domu. Całe mnóstwo.

— Mhm. Mówiłeś jeszcze coś o duchu...

— Bo to był duch, cały srebrzysty i błyszczący. Tylko że nie miał twarzy.

— Aha. — Zajechaliśmy właśnie pod szkołę i Nicole tłumaczyła mi, że mam ją odebrać piętnaście po czwartej, a nie, jak zwykle, za piętnaście, bo po lekcjach ma próbę. Równocześnie Eric upierał się, że nie pójdzie do lekarza, jeśli znów ma dostać zastrzyk.

— Zobaczmy, jak to będzie — powiedziałem wymijająco.

Oboje wysiedli, wlokąc za sobą ważące po jakieś dziesięć kilo plecaki. To było coś, czego nie mogłem zrozumieć: za moich czasów nie nosiło się takich ciężarów. Teraz drugoklasiści szli do szkoły przygięci pod ciężarem plecaków jak Szerpowie niektórzy ciągnęli torby na kółkach, jak pasażerowie na lotnisku. Na świecie dominowała technika cyfrowa, wszystko stawało się coraz mniejsze i lżejsze, a tymczasem dzieci dźwigały do szkoły takie ciężary, jak nigdy przedtem.

Parę miesięcy wcześniej zapytałem na zebraniu, dlaczego tak się dzieje

— To rzeczywiście poważny problem — odparł dyrektor. — Wszystkich nas to martwi. mienił temat.

Tego też nie rozumiałem. Skoro się martwią, to czemu nic się z tym nie robi? No cóż, taka już nasza natura: nikt nic nie robi, dopóki nie jest za późno. Światła na skrzyżowaniu też instaluje się dopiero po śmiertelnym wypadku.

— Przedarłem się przez poranne korki i wróciłem do domu. Miałem nadzieję, że zdrzemnę się ze dwie godzinki. O niczym innym nie byłem w stanie myśleć.

— Maria obudziła mnie około jedenastej.

— Proszę pana! — powtarzała, zdecydowanym gestem potrząsając mnie za ramię. — Proszę

pana!

— Co się stało? — zapytałem półprzytomny. .

— Dziecko...

— Natychmiast oprzytomniałem. — .,

— Musi je pan zobaczyć. Całe jest...

— Jakie?!

— Niech pan sam zobaczy.

— Wytoczyłem się z łóżka i poszedłem do pokoju Amandy. Stała w łóżeczku, przytrzymując się sztchetek. Uśmiechała się od ucha do ucha i podrygiwała wesolutko. Właściwie wyglądała całkiem zdrowo, tylko że całe ciało miała jednolicie sine. Jak jeden wielki krwiak.

— Jezu Chryste! — mruknąłem.

Wiedziałem, że nie zniósłbym następnej wizyty w szpitalu, spotkania z tabunami odzianych w białe fartuchy lekarzy, którzy nic mi nie chcą powiedzieć nie chciałem znów tak się bać. Na myśl o ty, że moja córeczka jest jednak chora, coś mnie ścisnęło w żołądku. Nachyliłem się nad nią, a ona zagaworzyła radośnie i wyciągnęła do mnie rączkę. Sapnęła przy tym głośno, jak zwykle, kiedy chciała, żebym ją wziął na rękę.

Wyjąłem ją z łóżeczka. Wyglądało na to, że nic jej nie jest, bo od razu zaczęła tarłosić mnie za włosy i próbowała ściągnąć mi okulary. Zawsze tak się zachowywała, poczułem więc pewną ulgę. Widziałem teraz z bliska jej skórę: była rzeczywiście sina, ale wszędzie miała idealnie jednolity odcień, jakby ktoś wykapał małą w farbce. Ta równomierność najbardziej mnie zaniepokoiła.

Postanowiłem mimo wszystko zadzwonić na izbę przyjęć. Wygrzebałem z kieszeni wizytówkę lekarza, próbując nie stracić okularów, i jedną ręką wybrałem numer szpitala.

— Właśnie miałem do pana dzwonić — powiedział lekarz. — Jak się ma pańska córeczka?

— Wydaje mi się, że nieźle. — Szarpnąłem głową w tył, żeby okulary znalazły się poza zasięgiem rączek Amandy. Zachichotała tylko. Zabawa zaczęła się na dobre. Kłopot tylko w tym...

— Czy na jej ciele widać jakieś zasinienia?

— Tak, właśnie dlatego dzwonię.

— Jest cała sina? Równomiernie?

— Tak... Czemu pan pyta?

— Mam wyniki z laboratorium. Wszystko w normie. Dziecko jest całkowicie zdrowe. Czekamy jeszcze tylko na wyniki rezonansu magnetycznego, ale aparatura wysiadła. Podobno naprawa może potrwać kilka dni.

— Rozmawiając z lekarzem, nie mogłem cały czas kręcić głową, by ocalić swoje okulary. Włożyłem Amandę do łóżeczka, co, rzecz jasna, wcale się jej nie spodobało. Skrzywiła się i już miała zacząć płakać, gdy podałem jej Ciasteczkowego Potwora. Usiadła i zaczęła się nim bawić. Wiedziałem, że Ciasteczkowy Potwór wystarczy na jakieś pięć minut.

— — Cieszę się, że nic jej nie jest — powiedział lekarz. Odparłem, że też się cieszę.

— Zapadło kłopotliwe milczenie. Lekarz zakaszłał.

— Panie Forman, zauważyłem, że wypełniając szpitalny formularz, w rubryce „zawód” wpisał pan „inżynier informatyk”.

— Zgadza się.

— Czy ma pan coś wspólnego z produkcją komponentów komputerowych?

— Nie, jestem programistą.

— Gdzie pan pracuje?

— W dolinie Krzemowej.

— Ale nie w fabryce?

— Nie, w biurze.

— Rozumiem... — Chwila ciszy. — A mogę spytać, gdzie dokładnie? — Chwilowo jestem bezrobotny. — Ach tak... Od dawna? — Od pół roku.

— Mhm... — Znow chwila milczenia. — Chciałem to tylko Wyjaśnić.

— Ale po co? — zdziwiłem się.

— Słucham?

Dlaczego mnie pan tak wypytuje?

— Wie pan, to wszystko pytania z formularza

— Jakiego formularza? Wszystko, co trzeba, wypełniłem w szpitalu.

— Mam tu jeszcze jeden druk z Ministerstwa Zdrowia i Bezpieczeństwa.

— I o tu właściwie chodzi?

— Wiemy o jeszcze jednym przypadku, w którym pacjent miał bardzo podobne objawy.

— Gdzie to się stało?

— W okolicach Sacramento.

— Kiedy?

— Pięć dni temu, ale okoliczności są zupełnie inne. Czterdziestodwuletni biolog nocował pod gołym niebem w górach. Szukał jakiejś wyjątkowo rzadkiej roślinki czy coś w tym guście... W każdym razie trafił do szpitala w Sacramento. Objawy były takie same, jak u pańskiej córeczki: nagły, niewyjaśniony początek choroby, brak gorączki, bolesny rumień.

— Który ustąpił po badaniu rezonansu magnetycznego?

— Nie wiem, czy zrobiono mu takie badanie, ale wygląda na to, że choroba, czymkolwiek jest, ma typowy przebieg: nagły atak, równie nagłe ozdrowienie.

— Wyszedł z tego? — Nic mu nie jest. Po paru dniach zasinienie ustąpiło.

— To dobrze. Bardzo dobrze.

— Lekarz zapytał, czy może zatelefonować później, gdyby miał jeszcze jakieś pytania. Zapewniłem, że może dzwonić, kiedy tylko zechce. Poprosił o kontakt, gdyby u Amandy zaszły jakieś zmiany, a ja obiecałem, że na pewno dam mu o tym znać. Na tym rozmowa się skończyła.

— Amanda porzuciła Ciasteczkowego Potwora. Stała w łóżeczku, jedną rączką przytrzymywała się balasków, drugą wyciągała w moją stronę. Małe paluszki chwyciły powietrze. Wziąłem ją na rękę, a ona natychmiast ściągnęła mi okulary.

— Amanda...

— Za późno. Rzuciła je na podłogę.

— Zamrugalem oczami.

— Ponieważ okulary miały cieniutką oprawkę, nie mogłem ich wypatrzeć. Uklęknąłem z małą na rękę i powiodłem wolną ręką po podłodze w nadziei, że je namacam. Bez powodzenia. Zmrużyłem oczy, przesunąłem się do przodu i znow obmacałem podłogę. Nic. Kątem oka dostrzegłem refleks światła pod dziecinnym łóżeczkiem. Położyłem małą na ziemi, wczółgałem się pod łóżeczko, wyjąłem okulary i założyłem je.

— Tuż przed sobą zobaczyłem gniazdko elektryczne, a w nim małą, plastikową kostkę. Wyciągnąłem ją i obejrzałem z bliska. Miała kształt sześcianu i na pierwszy rzut oka przypominała

stabilizator napięcia — zwyczajny, dostępny w sklepach, importowany z Tajlandii. Na dole widniała biała naklejka z napisem Własność SSVT i kodem kreskowym. Taka firmowa nalepka inwentaryzacyjna.

— Obracałem kostkę w dłoni, zastanawiając się, skąd się wzięła pod łóżkiem Amandy. Od sześciu miesięcy zajmowałem się prowadzeniem domu wiedziałem, co gdzie jest, a w tym pokoju stabilizator napięcia do niczego nie był potrzebny. Co innego przy tak delikatnym sprzęcie, jak komputer. Ale nie tutaj.

— Wstałem i rozejrzałem się po pokoju, ciekaw, czy coś jeszcze się zmieniło. I ze zdumieniem dostrzegłem całe mnóstwo zmian, drobnych, ale niewątpliwych. Klosz nocnej lampki zdobiły rysunki postaci z Kubusia Puchatka. Zawsze obracałem go tak, żeby był zwrócony Tygrysiem w stronę Amandy, bo jego najbardziej lubiła. Teraz od strony łóżeczka był Kłapouchy. Kocyk, na którym przewijałem małą, miał płamę. Zawsze układałem go tak, żeby plama wypadła w lewym dolnym rogu, teraz była w prawym górnym. Balsam i zasypkę stawiałem na stoliku z lewej strony, po zasięgiem rączek Amandy teraz znajdowały się bliżej, tak, że mogłaby ich dosięgnąć. Poza tym...

— Usłyszałem kroki gosposi.

— Mario... Czy sprzątałaś ten pokój?

— Nie, proszę pana. — Ale wszystko jest poprzestawiane. Maria rozejrzała się i wzruszyła ramionami.

— Wcale nie, proszę pana.

— Właśnie że tak — uparłem się. — Spójrz. — Pokazałem jej lampkę i kocyk. — Są inaczej ustawione

— Znów wzruszyła ramionami.

— Może i tak, proszę pana.

— Była kompletnie zdezorientowana. Albo mnie nie rozumiała, alba pomyślała, że zwariowałem. No bo czy to normalne, żeby dorosły człowiek awanturował się o lampkę z Kubusiem Puchatkiem? ..

— Pokazałem jej stabilizator.

— Widziałaś wcześniej to urządzenie, Mario? —

— Nie — pokręciła głową. —

— Było pod łóżeczkiem.

— Nic o tym nie wiem, proszę pana. — Wzięła kostkę do ręki, obejrzała ją i oddała mnie. Niby zachowywała się naturalnie, ale cały czas obserwowała mnie podejrzliwie. Poczulem się nieswojo.

— Mniejsza z tym.

— Podniosła Amandę z podłogi.

— Nakarmię ją — zaproponowała.

— Dobrze. Wyszedłem z pokoju.

— Co to za firma to „SSVT”? Z ciekawości zajrzałem do Internetu. Znalazłem stronę świątyni Siwa Wisznu, ośrodka szkoleniowego WaffenSS w Konitz, sklepu z pamiątkami hitlerowskimi, Subsystems Sample Display Technology, szkoły zawodowej w South Shore, Optical VariTemp Cryostat Systems, sklepu z płytkami ceramicznymi, zespołu muzycznego Slingshot Venus, Szwajcarskiego Bractwa Kurkowego...

Odwróciłem się tyłem do komputera i wyjrzałem przez okno.

Maria wręczyła mi listę zakupów, napisaną jej niezbyt czytelnym charakterem pisma.

Wiedziałem, że powinienem zrobić zakupy, zanim odbiorę dzieci ze szkoły, ale nie ruszyłem się z miejsca. Zdarzały się takie chwile, kiedy nie wytrzymywałem wariackiego tempa domowego życia. Wtedy musiałem po prostu sobie trochę posiedzieć.

Zastanawiałem się, czy Julia znów zadzwoni wieczorem z nową wymówką. Myślałem o tym, jak się zachowam, jeśli pewnego dnia wejdzie do domu i od progu oznajmi, że kocha innego. I o tym, co zrobię, jeśli wciąż będę wtedy bez pracy.

— Bezmyślnie obracałem w rękach stabilizator napięcia, a moje myśli płynęły swobodnie.

— Pod oknem rosło wielkie drzewo koralowe, o mięsistych liściach i zielonym pniu. Zasadziliśmy je wkrótce po przeprowadzce, jako całkiem małą roślinkę. To znaczy, zasadzili je faceci z firmy ogrodniczej, ale wszyscy im przy tym asystowaliśmy: Nicole obserwowała ich z plastikową łopatką i wiaderkiem w rękach, Eric raczkował po trawniku w pielusze, a Julia, dzięki swojemu urokowi osobistemu, przekonała ich, żeby zostali do wieczoru i skończyli robotę.

— To drzewo — powiedziała — ocieni kiedyś cały nasz dom.

— Ale tak się nie stało. Po tym, jak w czasie burzy złamał się jeden z głównych konarów, drzewo się przekrzywiło. Nigdy nie wyrosło aż tak, żeby rzucić cień na cały dom.

Co nie zmieniało faktu, że cała tamta scena jak żywa stanęła mi przed oczami: patrzyłem przez okno i widziałem nas czworo na trawie. Wspomnienie, które nijak się miało do rzeczywistości.

Kiedy człowiek przez lata pracuje z systemami rozproszonymi, zaczyna postrzegać cały świat przez pryzmat ich działania. Środowisko rozproszone można porównać do szachownicy, na której rolę figur pełnią wirtualni agenci. Współdziałają ze sobą, aby osiągnąć określony cel. Różnica polega na tym, że agentów nikt nie przesuwają: sami wchodzi w interakcję i sami osiągają wyniki.

Jeżeli wyposażą się ich w pamięć, mogą poznawać środowisko. Zapamiętują, gdzie stali na planszy i co się z nimi działo. Mogą wrócić na zajmowane kiedyś pole, wiedząc, co ich tam czeka. W końcu rozwijają, jak to nazywają informatycy, pewne „nawyki”, które stają się dla nich podstawą do działania. Nie jest to może ściśle naukowy opis ich zachowania, ale w każdym razie tak to wygląda.

Najciekawszy jednak jest fakt, że z biegiem czasu niektórzy agenci nabywają błędne nawyki czy to z powodu konfliktu motywacji, czy z innych przyczyn zaczynają się zachowywać zupełnie niezrozumiale. Środowisko się zmienia, a oni tego nie widzą i naśladują przestarzałe wzorce. Ich zachowanie nie odzwierciedla już sytuacji na szachownicy, tak, jakby żyli wspomnieniami.

W programach ewolucyjnych takich agentów po prostu się likwiduje. Nie mają potomstwa. W innych systemach rozproszonych pomija się ich, spycha na margines, i korzystny trend zostaje zachowany. Czasem wprowadza się do programu moduł „kostuchy”, który wycina taką „martwą tkankę” i usuwa ją z szachownicy.

Ale najważniejsze jest to, że te niepożądane twory żyją wspomnieniami. Czasem wracają na właściwą drogę, a czasem nie.

Zrobiło mi się nieswojo. Zerknąłem na zegar i z ulgą stwierdziłem, że czas jechać po dzieci.

Eric odrabiał w samochodzie lekcje, kiedy czekaliśmy, aż Nicole skończy próbę. Przyszła wściekła. Miała nadzieję, że dostanie główną rolę w przedstawieniu, tymczasem trafiła się jej rolka z dwiema linijkami tekstu.

— Tylko dwie linijki! — burknęła, trzaskając drzwiami auta. — Wiesz, co mam powiedzieć? „Patrzcie, oto John!”. A w drugim akcie: „To bardzo poważna sprawa”. Dwie linijki! — Opadła na siedzenie i zacisnęła powieki. — Nie rozumiem pana Blakeya!

— Może uważa, że jesteś do niczego — zasugerował Eric.

— Ty szczurza kupo! — Nicole plasnęła go w głowę. — Małpi zadku!

— Dość tego — wtrąciłem się. Uruchomiłem samochód. — Pasy.

— Ale ten mały śmierdziel na niczym się nie zna! — poskarżyła się Nicole.

— Powiedziałem: dość.

— Sama jesteś śmierdziel — odparował Eric. ?

— Przestań, Eric.

— Właśnie, Eric, słuchaj ojca. Zamknij się. — Nicole... — Spojrzałem w lusterko wsteczne..

— Przepraszam.

— Wyglądała tak, jakby miała zaraz się rozplakać.

— Kotku, strasznie mi przykro, że nie dostałaś tej roli — powiedziałem. — Wiem, że bardzo ci na niej zależało. Musisz być strasznie rozczarowana.

— Wcale nie. Nic mnie to nie obchodzi.

— W każdym razie jest mi przykro

— Nie, naprawdę, tato. Było, minęło. Trzeba żyć dalej. — Nicole się uspokoiła, ale nie na długo.

— A wiesz, kto ją dostał? Ta głupia lizuska Katie Richards! Pan Blakey to palant!

Zanim zdążyłem zareagować, wybuchnęła głośnym płaczem. Eric spojrzał na mnie porozumiewawczo.

W drodze do domu obiecałem sobie w duchu, że po kolacji porozmawiam z Nicole o tym, jak się wyraża. Ale niech się najpierw uspokoi.

Kroiłem właśnie fasolkę szparagową, żeby łatwiej zmieściła się w garnku do gotowania na parze, kiedy Eric stanął w drzwiach kuchni.

— Tato? Gdzie jest mój odtwarzacz MP3?

— Nie mam pojęcia.

Dzieci zawsze oczekują, że będę wiedział, gdzie posiały swoje rzeczy: Eric gameboya albo rękawicę baseballową, a Nicole swoją koszulkę i bransoletkę...

— Nigdzie go nie ma — poskarżył się Eric. Nie podchodził bliżej, bo bał się, że zagonię go do nakrywania stołu.

— Gdzie szukałeś?

— Wszędzie, tato.

— Akurat. U siebie w pokoju?

— Wszędzie.

— W salonie?

— Też.

— W samochodzie? Może zostawiłeś go w aucie?

— Nie, tato

— Albo w szafce w szkole?

— Nie mamy szafek, tylko przegródki.

— W kieszeniach kurtki też sprawdzałeś?

— Tato, przestań. Wszędzie szukałem. Jest mi potrzebny.

— No, skoro już wszędzie szukałeś, to dlaczego myślisz, że ja go znajdę?

— Tato... Chodź, pomożesz mi.

Pieczeń miałem wyjąć dopiero za pół godziny, odłożyłem więc nóż i poszedłem do pokoju Erica. Zajrzałem we wszystkie tradycyjne schowki: do szafy, w której znalazłem rzucone na stos ubrania

(uznałem, że muszę porozmawiać o tym z Marią), pod łóżko, za szafkę nocną i do dolnej szuflady w komodzie w łazience przeszukałem też sterty szpargałów na biurku. Eric miał rację: odtwarzacza nie było. Przeszliśmy do salonu, a ja po drodze zerknąłem do pokoju małej.

Od razu go zobaczyłem: leżał na półce obok stolika do przewijania, obok balsamu dla niemowląt.

— Dzięki, tato! — Eric porwał odtwarzacz i wybiegł.

Nie było sensu go pytać, w jaki sposób odtwarzacz znalazł się w pokoju Amandy. Wróciłem do kuchni i zająłem się fasolką.

— Taatoo! Usłyszałem chwilę później,

— Co się stało?

— Nie działa!

— Nie krzycz.

Eric przydreptał do kuchni ze smętną miną.

— To ona go zepsuła.

— Kto?

— Amanda.

— Sprawdziłeś baterię? Spojrzał na mnie spode łba.

— No pewnie. To przez nią! Wszystko przez nią!

Wydawało mi się to mało prawdopodobne. W odtwarzaczach MP3 nie ma żadnych ruchomych części, nie bardzo ma się w nich co zepsuć, w dodatku ten był za duży, żeby Amanda mogła się nim bawić. Wrzuciłem fasolkę na sitko i wyciągnąłem rękę.

— Pokaż go.

Poszliśmy do garażu, gdzie trzymałem skrzynkę z narzędziami Eric śledził każdy mój ruch. Miałem cały zestaw narzędzi do pracy z komputerami i sprzętem elektronicznym. Szybko poszło: odkręciłem cztery wkręty z krzyżowymi nacięciami na łbach i zdjąłem tylną ściankę odtwarzacza. Zielona płytką obwodu drukowanego była równo przypudrowana szarym pyłem, który pokrył wszystkie elementy. Pomyślałem, że Eric musiał przewrócić się na ziemię z odtwarzaczem w kieszeni. Nic dziwnego, że przestał działać. Kiedy jednak obejrzałem go dokładnie, dostrzegłem gumową uszczelkę, biegnącą wzdłuż wszystkich krawędzi. Taki sprzęt jest zwykle pyłoszczelny...

Zdmuchnąłem pył i podniosłem odtwarzacz do światła. Spodziewałem się znaleźć jakiś poluzowany styk albo układ scalony, który wyskoczył z oprawki w każdym razie coś, co da się naprawić. Zmrużyłem oczy, próbując dostrzec literki na czarnych kostkach. Jednego napisu nie mogłem odczytać, tak jakby...

— Dziwne.

— Co się stało? — zainteresował się Eric.

— Podaj mi lupę.

Eric podał mi szkło powiększające, a ja ściągnąłem niżej lampę i zacząłem z bliska oglądać podejrzaną kostkę. Nic dziwnego, że nie mogłem odczytać napisu: cała powierzchnia chipu była skorodowana, poźłobiona maleńkimi rowkami. A więc to stąd pochodził ten pył.

— Naprawisz go, tato? Naprawisz? — dopytywał się Eric.

Co się mogło stać? Poza tym jednym chipem wszystko wyglądało normalnie procesor sterujący był nietknięty, korozji uległa tylko kość pamięci. Nie byłem wybitnym specem od hardware, ale wiedziałem dość, żeby naprawić domowy komputer: umiałem zainstalować twardy dysk, rozbudować pamięć... Miewałem już w rękach różne moduły pamięci, ale coś takiego widziałem

pierwszy raz w życiu. Widocznie w odtwarzaczach montowali najtańsze części.

— Naprawisz, tato? — Nie. Trzeba wymienić pamięć. Jutro ją kupię.

— Obśliniła go, prawda?

— Nie, — kość musiała być wadliwa od początku.

— Tato, przez rok działał świetnie. A teraz ona go obśliniła.

Jakby na dany znak, Amanda zaczęła płakać. Zostawiłem odtwarzacz na stole w garażu i wróciłem do domu. Spojrzałem na zegarek: zostało mi akurat tyle czasu, żeby przewinąć Amandę i zrobić jej płatki na obiad, zanim pieczeń będzie gotowa.

O dziewiątej wieczorem dwójka młodszych dzieci spała i w domu panowała cisza, zakłócana tylko głosem Nicole:

— „To bardzo poważna sprawa. To bardzo... poważna sprawa. To... bardzo poważna sprawa”.

Stała przed lustrem w łazience i powtarzała rolę.

Julia zostawiła w poczcie głosowej wiadomość, że będzie w domu przed ósmą. Nie zdążyła. Nie miałem zamiaru dzwonić i sprawdzać jej. Byłem tak zmęczony, że nie miałem siły się o nią martwić. Przez ostatnie pół roku poznałem sporo użytecznych sztuczek — jedną z nich było stosowanie folii aluminiowej, co znacznie upraszczało sprzątanie — ale i tak kiedy skończyłem gotować, nakryłem stół, nakarmiłem dzieci, poudawałem samolot, żeby namówić Amandę do zjedzenia płatków, sprzątnąłem ze stołu, wytarłem fotelik, położyłem małą spać i pozmywałem, byłem wykończony. Tym bardziej że Amanda uparcie pluła jedzeniem, a Eric przez całą kolację nudził, że nie chce pieczeni i zjadłby kurczaka.

Padłem na łóżko i włączyłem telewizor.

Kiedy przez dłuższą chwilę nie było obrazu, przypomniałem sobie, że cały czas jest włączony odtwarzacz DVD, który blokuje sygnał z kabla. Wcisnąłem guzik na pilocie i włączyłem odtwarzanie: ciąg dalszy nagranych przed paroma dniami programu demonstracyjnego Julii.

— Płynąca w krwiobiegu kamera znalazła się w sercu. W prawie bezbarwnym osoczu unosiły się czerwone krwinki, obijając się o siebie. Julia cały czas tłumaczyła, co widać na ekranie, a pod jej głos podłożone było bicie serca. Pacjent leżał nieruchomo, antena znajdowała się tuż nad nim.

— Wychodzimy z komory, przed nami aorta... Teraz popłyniemy przez tętnice...

Julia zwróciła się do kamery.

— Widoki szybko się zmieniają, ale możemy tak sterować kamerą, że przez pół godziny będzie krążyła w krwiobiegu, co pozwala stworzyć szczegółowy obraz interesujących nas narządów. Możemy ją nawet za trzymać w miejscu, potrzebne jest do tego pole magnetyczne. Po zakończeniu badania oczyścimy całą krew: przepuszczamy ją przez sztuczną przetokę, która znajduje się w silnym polu magnetycznym. I pacjent może iść do domu.

Na ekranie znów pojawiła się twarz Julii.

— Opracowana przez Xymos technologia jest bezpieczna, niezawodna i niezwykle łatwa w użyciu. Nie wymaga specjalistycznego personelu wystarczy umiejąca podać kroplówkę pielęgniarka albo technik medyczny. W samych Stanach Zjednoczonych choroby układu krążenia są przyczyną miliona zgonów rocznie u ponad trzydziestu milionów ludzi rozpoznano choroby sercowonaczyniowe. Nasza technika obrazowania ma przed sobą ogromną przyszłość z komercyjnego punktu widzenia. Jest bezbolesna, prosta i bezpieczna, z pewnością wyprze inne metody, takie jak tomografia komputerowa i angiografia. Wprowadzimy na rynek nanokamery, anteny i system monitorowania. Przewidywany koszt jednego badania to zaledwie dwadzieścia dolarów.

Wystarczy go porównać z badaniami genetycznymi, które kosztują od dwóch do trzech tysięcy. Przy cenie dwudziestu dolarów przewidywany zysk w pierwszym roku produkcji sięgnie czterystu milionów dolarów kiedy nasza metoda zostanie spopularyzowana, zyski wzrosną trzykrotnie, osiągając miliard dwieście milionów dolarów rocznie. Jeżeli macie państwo pytania...

Ziewnąłem i wyłączyłem telewizor. Pokaz robił wrażenie, argumentacja Julii brzmiała przekonująco. Nie miałem pojęcia, dlaczego Xymos ma kłopoty z finansowaniem dalszych prac. Przecież dla inwestorów była to żyła złota!

A może wcale nie mieli kłopotów? Może tylko tak to tłumaczyła, żeby móc co wieczór zostawać po godzinach, nie podając mi prawdziwych powodów?

Zgasiałem światło. Leżałem w łóżku i gapiłem się w sufit, a przed oczami migwały mi obrazy, które podsuwała mi wyobraźnia: udo Julii, oplatające nogę jakiegoś obcego mężczyzny jej wygięte w łuk plecy napięte mięśnie, chrapliwy oddech, ręka, którą zapierała się o wezglowie łóżka.

Wstałem i poszedłem sprawdzić, co u dzieciaków. Nicole jeszcze nie spała, pisała emaile do znajomych. Kazałem jej się kłaść. Eric przez sen zrzucił koc, więc go przykryłem. Amanda dalej była sina, ale spała smacznie, oddychała cicho i miarowo.

Wróciłem do łóżka. Próbowałem zmusić się do zaśnięcia, starałem się myśleć o czymś innym. Przewracałem się z boku na bok, poprawiałem poduszkę, przyniosłem sobie z kuchni ciastka i szklankę mleka — aż w końcu zapadłem w niespokojny sen.

Śniły mi się bardzo dziwne rzeczy.

Był środek nocy. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącą przy łóżku Julię. Rozbierała się do snu. Poruszała się powoli, jakby była bardzo zmęczona albo senna. Rozpinała bluzkę. Stała tyłem do mnie, ale widziałem jej twarz w lustrze. Była piękna jak królowa. Zdawało mi się, że rysy ma ostrzejsze niż zwykle, ale uznałem, że to kwestia oświetlenia.

Miałem półprzymknięte oczy, nie zorientowała się więc, że nie śpię. Powoli rozpinała guziki. Poruszała przy tym ustami, jakby coś szeptała albo modliła się. Wzrok miała nieobecny, zdawała się zatopiona w myślach.

Jej wargi stały się najpierw krwistoczerwone, a potem czarne. Nie zwracała na to uwagi. Czerń spłynęła z jej ust i rozpełzła się na policzki, żuchwę i szyję. Wstrzymałem dech w piersi, czując, że jestem w niebezpieczeństwie. Czerń spływała coraz niżej i niżej, aż niczym płaszcz pokryła całe jej ciało. Tylko górna połowa twarzy była odsłonięta. Julia ani drgnęła, obojętnie wpatrywała się w mrok, poruszając bezgłośnie ustami. Jej widok zmroził mnie do szpiku kości. Chwilę później czarna zasłona opadła na ziemię i zniknęła.

A Julia jak gdyby nigdy nic zdjęła bluzkę i poszła do łazienki.

Chciałem wstać i pójść za nią, ale nie mogłem. Zmęczenie przykuło mnie do łóżka, nie mogłem się ruszyć, nawet oddychanie przychodziło mi z najwyższym trudem. Czulem coraz większe otępienie, które w końcu pokonało moją świadomość. Poczulem, że oczy mi się zamykają, i zasnąłem.

Dzień czwarty, godzina 6.40

Rankiem, po przebudzeniu, od razu przypomniałem sobie ten koszmar. Był niepokojąco rzeczywisty. Bardziej przypominał jawę niż sen.

Julia już kręciła się po domu. Wstałem i przeszedłem na drugą stronę łóżka, tam, gdzie widziałem ją we śnie. Obejrzałem dywanik, szafkę nocną, zmiętą pościel, wygniecioną poduszkę. Nie znalazłem nic niezwykłego, żadnych ciemnych smug ani śladów.

Poszedłem do łazienki i przyjrzałem się kosmetykom Julii: stały równiutkim szeregiem z boku umywalki. Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Najwyraźniej był to tylko makabryczny sen.

Chociaż było w nim też ziarnko prawdy: Julia naprawdę wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle. Zastałem ją w kuchni, kiedy nalewała sobie kawy. Jej rysy nabrały wyrazistości, wyglądała szczupło i prześlicznie, jak modelka. Patrząc na nią, zwróciłem uwagę, że wcale nie schudła — po prostu jest bardziej umięśniona, ma sylwetkę sportowca.

— Świetnie wyglądasz — powiedziałem. ,

— Roześmiała się.

To ciekawe, bo jestem wykończona.

— O której wróciłaś?

— Koło jedenastej. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam. ,

— Nie, ale miałem dziwaczny sen.

— To znaczy? To znaczy, że...

— Mamo! Mamo! — Eric wpadł do kuchni. — To nie fair Nicole od godziny siedzi w łazience i nie chce wyjść! To nie fair!

— Możesz iść do naszej łazienki.

— Ale tam są moje skarpetki, mamo.

Eric miał kilka ukochanych par skarpetek, które nosił dzień w dzień, aż szerniały od brudu. Nie wiadomo czemu inne skarpetki nie odpowiadały mu. Co rano powtarzała się ta sama historia.

— Eric, rozmawialiśmy już o tym — wtrąciłem. — Powinieneś nosić czyste skarpetki.

— Ale te są jeszcze dobre!

— Masz całe mnóstwo dobrych skarpetek.

— To nie fair, tato. Ona naprawdę od godziny siedzi w łazience. Serio!

— Idź po inne skarpetki. — Tato...

Pokazałem mu drzwi. — O rany...

Odwróciłem się do Julii, gotów kontynuować naszą rozmowę, ale zmroziła mnie spojrzeniem.

— Ty tego nawet nie zauważasz, prawda?

— Czego nie zauważam?

Eric chciał porozmawiać ze mną, a ty od razu przejąłeś inicjatywę.

— Przepraszam.

— Ostatnio prawie nie widuję się z dziećmi, Jack. Chyba mam prawo Z nimi porozmawiać bez

twojego udziału.

— Przepraszam. Cały czas załatwiam takie sprawy i tak jakoś...

— To nie żarty, Jack.

— Mówiłem już: przepraszam.

— Wiem, co mówiłeś, ale nie sądzę, żebyś był szczery. Nie widzę, żebyś próbował coś zmienić.

Chcesz wszystkich kontrolować.

— Julio... — W tej chwili próbowałem przede wszystkim zapanować nad nerwami. Wziąłem głęboki wdech. — Masz rację. Przepraszam, że tak się zachowałem.

— Zamykasz mi usta. Pozbawiasz mnie kontaktu z dziećmi...

— Do cholery, Julio! Nigdy nie ma cię w domu!

Zapadła lodowata cisza.

— Właśnie że jestem — odparowała po chwili Julia. — Nie waż się twierdzić, że jest inaczej.

— Zaraz, zaraz, kiedy ostatnio byłaś w domu o jakiejś ludzkiej porze? Kiedy zdążyłaś na kolację? Wczoraj nie, przedwczoraj też nie, ani dzień przedtem. W tym tygodniu ani razu. Wiecznie cię nie ma.

Posłała mi nienawistne spojrzenie.

— Nie wiem, o co ci chodzi, Jack. Nie rozumiem twojej gry.

— To nie jest żadna gra. Zadałem ci proste pytanie.

— Jestem dobrą matką. Umiem pogodzić pracę z życiem rodzinnym. Szkoda, że nie mogę liczyć na twoją pomoc.

— O czym ty mówisz?! — zapytałem podniesionym głosem. Wydawało mi się, że śnię.

— Podcinasz mi skrzydła, podrywasz mój autorytet, nastawiasz dzieci przeciwko mnie. Widzę, do czego zmierzasz, nie myśl, że jestem ślepa. Nie mam w tobie za grosz oparcia. Po tylu latach małżeństwa traktujesz mnie jak śmiecia.

Zacisnęła pięści i sztywnym krokiem wyszła z kuchni. Była tak wściekła, że nie zauważyła stojącej przy drzwiach Nicole, która słyszała całą tę wymianę zdań i patrzyła na mnie bezradnie.

— Jechaliśmy do szkoły.

— Ona zwariowała!

— Wcale nie.

— Wiesz, że mam rację. Tylko udajesz, że jest inaczej.

— Nicole, mówimy o twojej mamie. Wcale nie zwariowała. Ostatnio bardzo ciężko pracuje.

— To samo mówiłeś tydzień temu, jak się pokłóciliście.

— Bo tak się składa, że to prawda.

— Kiedyś się tak nie kłóciliście.

— Teraz jesteśmy bardziej zestresowani.

Nicole prychnęła, skrzyżowała ręce na piersi.

— Nie rozumiem, jak z nią wytrzymujesz.

— A ja nie rozumiem, dlaczego podsłuchujesz.

— Tato, co ty mi za głupoty opowiadasz? — Nicole...

— Przepraszam. Chciałabym po prostu normalnie z tobą porozmawiać, a nie cały czas wysłuchiwać, jak jej bronisz. Ona jest nienormalna. I dobrze wiem, że ty też tak myślisz.

— Wcale nie.

Siedzący z tyłu Eric pacnął Nicole w głowę

— Sama jesteś nienormalna!

— Zamknij się, wypierdku!

— To ty się zamknij, rzygowino!

— Oboje się zamknijcie — przerwałem tę wyliczankę. — Nie mam ochoty tego słuchać.

Zajechaliśmy pod szkołę. Nicole wysiadła, wzięła plecak z siedzenia, spojrzała mi w oczy i poszła.

Nie uważałem Julii za wariatkę, ale wiedziałem, że coś się zmieniło. Odtwarzałem w pamięci poranną sprzeczkę, znajdując w niej dość powodów do niepokoju. Wiele jej uwag brzmiało jak argumenty, które można przedstawić w sądzie: metodyczne, poukładane, stopniowane.

„Zamykasz mi usta i pozbawiasz mnie kontaktu z dziećmi”.

„Jestem w domu, tylko ty tego nie zauważasz”.

„Jestem dobrą matką. Umiem pogodzić pracę z życiem rodzinnym”.

„Nie mam w tobie za grosz oparcia. Podcinasz mi skrzydła, podrywasz mój autorytet”.

„Nastawiasz dzieci przeciwko mnie”.

Wyobrażałem sobie, jak jej prawnik używa takich właśnie argumentów. Niedawno czytałem w „Redbooku” artykuł o tym, że „wyobcowanie uczuciowe” jest ostatnio najmodniejszym argumentem w sądzie. Ojciec nastawia dzieci przeciw matce, a mamusia jest jak zwykle niewinna.

Każdy ojciec zdaje sobie sprawę, że system prawny jest beznadziejnie stronniczy, działa na korzyść matek. Oficjalnie panuje równouprawnienie, ale sądy zawsze orzekają, że matka jest dzieciom bardziej potrzebna. Nawet jeśli się z dziećmi nie widuje, bije je i zapomina nakarmić. Dopóki ich nie masakruje i nie ćpa, w oczach sądu nadaje się na ich opiekunkę. Zresztą nawet jeśli ćpa, wcale nie stoi na straconej pozycji. Jeden z moich kolegów w MediaTronics miał żonę narkomankę, uzależnioną od heroiny. To szła na odwyk, to z niego wracała — i tak całymi latami. Wreszcie rozwiedli się i sąd orzekł wspólną opiekę nad dziećmi. Ona twierdziła, że zerwała z narkotykami dzieci mówiły co innego. Mój znajomy zaczął się niepokoić. Nie chciał, żeby woziła dzieci samochodem, kiedy będzie naćpana nie chciał, żeby wychowywały się wśród dealerów i narkomanów. Złożył wniosek o pozbawienie jej praw rodzicielskich. I przegrał. Sędzia stwierdził, że matka na serio podjęła walkę z nałogiem, a dzieciom jest potrzebna i już.

Taka jest rzeczywistość. A teraz wszystko wskazywało na to, że Julia chce iść ze mną do sądu. Na samą myśl o tym przechodziły mnie ciarki.

Byłem już nieźle zdenerwowany, kiedy odezwała się moja komórka. To Julia dzwoniła z przeprosinami.

— Przepraszam, nagadałam ci takich głupstw... Wcale tak nie myślę.

— Nie myślisz?

— Wiem, że mogę na ciebie liczyć, Jack. Bez ciebie nie dałabym sobie rady. Świetnie się opiekujesz dziećmi. Ja... Ja po prostu nie panuję teraz nad sobą. Głupio się zachowałam, Jack. Przepraszam.

Kiedy się rozłączyła, żałowałem tylko, że nie mogłem jej nagrać.

O dziesiątej byłem umówiony z Annie Gerard, moim doradcą zawodowym. Czekala na mnie w słonecznym ogródku kafejki przy Baker Street. Zawsze spotykaliśmy się na dworze, żeby Annie mogła palić. Miała laptopa z bezprzewodowym modemem. Papieros zwisał jej z kącika ust, kiedy wpatrywała się we mnie zmrużonymi od dymu oczami.

— Masz coś? — zapytałem, sadowiąc się naprzeciwko.

— Mam. Dwie bardzo dobre oferty.

— To świetnie. Słucham.

— Co powiesz na to: główny analityk naukowy w IBM, ze specjalizacją w architekturze systemów rozproszonych.

— To dokładnie moja działka.

— Tak właśnie pomyślałam. Masz doskonale kwalifikacje, Jack, pro wadziłeś przecież laboratorium, w którym miałeś pod sobą sześćdziesiąt osób. Dwieście pięćdziesiąt podstawy, plus opcja na akcje na pięć lat, plus tantiemy od wszystkiego, co opracujecie.

— Całkiem nieźle. Gdzie?

— Armonk.

— Nowy Jork? — Pokręciłem głową. — Odpada. Co jeszcze masz?

— Szef zespołu projektowego systemów rozproszonych w firmie ubezpieczeniowej. Prawdziwa okazja, w dodatku...

— Gdzie?

— Austin.

— Annie — westchnąłem — Julia ma tu pracę, którą lubi. Bardzo się w nią zaangażowała i nie rzuci jej w tej chwili. Moje dzieci się uczą i...

— Ludzie cały czas przenoszą się z miejsca na miejsce, Jack. I też mają dzieci w szkole. Dzieci się przystosowują. — Ale Julia.

— Nie ty jeden masz pracującą żonę. Mimo te możecie się przeprowadzić.

— Wiem, ale chodzi o to, że Julia...

— Rozmawiałeś z nią o tym? Przynajmniej próbowałeś? , . —

— No... Nie, bo... Widzisz...

— Jack. — Annie złożyła ekran laptopa i spojrzała mi w oczy. — Daruj sobie tę gadkę-szmatkę. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Masz problem, Jack. Wypadłeś z obiegu.

— Wypadłem z obiegu — powtórzyłem.

— Właśnie. Od pół roku nie masz pracy. W takiej branży to bardzo dużo. Pracodawcy dochodzą do wniosku, że skoro tak długo szukasz zajęcia, coś musi być z tobą nie w porządku. Niedługo skończą się nawet oferty rozmów kwalifikacyjnych nie będzie San Soje, Armonk, Austin, Cambridge. Łódka odpłynie bez ciebie. Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię?

— Tak, ale...

— Żadnych ale, Jack. Musisz porozmawiać z żoną. Musisz jakoś wejść w obieg.

— Nie mogę wyjechać z Doliny.

— Tu nie masz szans. — Otworzyła laptopa. — Kiedy tylko pojawia się twoje nazwisko, zaraz zaczynają... Posłuchaj, jak właściwie wygląda sytuacja w MediaTronics? Czy Don Gross stanie przed sądem?

— Nie wiem.

— Plotki krążą od miesięcy, ale nic konkretnego się nie dzieje. A dla ciebie dobrze by było, żeby zaczęło się dziać. I to szybko.

— Nic nie rozumiem — przyznałem. — Mam kwalifikacje w niezłej specjalności...

— Niezłej? — Annie zmrużyła oczy. — Przetwarzanie rozproszone to wspaniała, perspektywiczna specjalność. Cała Dolina uważa, że właśnie dzięki niej nastąpi przełom w stworzeniu sztucznego życia.

To prawda.

Chodziło o to, żeby napisać program, który miałby wszystkie cechy żywej istoty: zdolność do adaptacji, nauki, współpracy z innymi. Sztuczne życie miało zastąpić sztuczną inteligencję.

W przetwarzaniu rozproszonym pracę do wykonania dzieli się między kilka czy kilkanaście procesorów, albo między połączonych w sieć wirtualnych agentów, siedzących w jednym komputerze. Istnieje kilka metod, które pozwalają uzyskać taki efekt. Jedna z nich polega na stworzeniu licznej populacji niezbyt mądrych agentów, którzy współpracując ze sobą, będą dążyli do wyznaczonego celu — tak jak mrówki wspólnymi siłami budują mrowisko. Mój zespół pisał sporo takich właśnie programów.

Inny sposób wymagał stworzenia tak zwanej sieci neuronowej, modelującej połączenia między neuronami w ludzkim mózgu. Okazało się, że nawet proste sieci neuronowe mają zaskakująco duże możliwości. Potrafią się uczyć, wykorzystywać nabyte doświadczenie. Tym też się zajmowaliśmy.

Trzecia technika polegała na wprowadzeniu do komputera wirtualnych genów, które miały swobodnie ewoluować w swoim wirtualnym świecie, aż osiągną żądany cel.

Istniały jeszcze inne procedury. Łączyło je zupełnie nowe podejście do starego problemu sztucznej inteligencji. Dawno, dawno temu informatycy usiłowali opisać w programie wszystkie możliwe sytuacje. Próbowali na przykład nauczyć komputery, że jeśli ktoś kupuje coś w sklepie, powinien przed wyjściem zapłacić za to. Okazało się jednak, że taką życiową wiedzę bardzo trudno jest zaprogramować. Komputery myliły się. Dodawano wtedy nowe reguły, które miały pomóc im uniknąć błędów, ale pojawiały się inne błędy, które wymuszały nowe reguły — i tak dalej. Programy rozrastały się do gigantycznych rozmiarów, liczyły miliony linii kodu i nie wytrzymywały własnej złożoności. Były zbyt skomplikowane, żeby dało się je analizować. Nikt już nie wiedział, skąd biorą się błędy.

Wyglądało więc na to, że sztuczna inteligencja oparta na zbiorze reguł, nie może istnieć. W latach osiemdziesiątych profesorowie angielscy doszli do wniosku, że mózg elektroniczny nigdy nie dorówna ludzkiemu.

Tymczasem sieci rozproszone pozwoliły spojrzeć na sprawę z zupełnie nowej perspektywy — i przyjąć nową filozofię programowania. Stare programy powstawały według tej zasady, że kompletnemu systemowi próbowano narzucić wymagane zachowania.

Teraz program definiował tylko zachowanie pojedynczych agentów na najniższym poziomie strukturalnym nikt nie sterował systemem jako całością. Jego zachowanie stanowiło wypadkową setek interakcji poszczególnych elementów. A ponieważ nikt nim nie kierował, prace przyniosły nadzwyczajne wyniki. Wyniki, których żaden informatyk by nie przewidział. To właśnie dlatego systemy rozproszone wydawały się takie „żywe”.

— Jack.

— Annie dotknęła mojej ręki. Otrząsnąłem się.

— Jack? Słyszałeś, co do ciebie mówiłam?

— Nie, przepraszam.

— Nie słuchasz mnie. — Dmuchnęła mi dymem w twarz. — Masz rację, to branża rozwojowa, ale tym bardziej powinieneś się martwić, że poszedłeś w odstawkę. Tutaj zmiany następują błyskawicznie. W sześć miesięcy firma może paść — albo wypłynąć.

— Wiem o tym.

— Sporo ryzykujesz, Jack.

— Rozumiem.

— To dobrze. Porozmawiaj z żoną, dobrze? Proszę cię.

— Porozmawiam.

— Tylko nie zapomnij. Inaczej nie będę mogła ci pomóc.

Annie wrzuciła niedopałek do szklanki zasyczał i zgasł. Zamknęła laptopa, wstała i zostałem sam.

Zadzwoiłem do Julii, ale nie udało mi się jej złapać. Nagrałem jej wiadomość. Wiedziałem, że rozmowa o przeprowadzce będzie tylko stratą czasu. Julia na pewno odmówi — zwłaszcza jeśli miała nowego faceta. Niemniej jednak Annie miała rację: znalazłem się w tarapatkach. Musiałem coś zrobić.

Siedziałem przy biurku, obracałem w rękach kostkę z SSVT i zastanawiałem się, co dalej. Za półtorej godziny miałem jechać po dzieci. Zależało mi na tym, żeby pogadać z Julią. Postanowiłem zadzwonić do firmy, może im uda się ją namierzyć.

— Xymos Technology — słucham.

— Chciałbym rozmawiać z Julią Forman.

— Chwileczkę. — Muzyczka, za chwilę inny głos: — Biuro pani Forman.

Po głosie rozpoznałem Carol, asystentkę Julii.

— Cześć, Carol, tu Jack.

— Dzień dobry, panie Forman. Jak się pan miewa?

— Dziękuję, nieźle.

— Szuka pan Julii?

— Właśnie.

— Wyjechała na cały dzień do Nevady, do zakładu produkcyjnego. Mogę spróbować pana tam połączyć.

— Jeśli można...

— Proszę zaczekać.

— Tym razem czekałem znacznie dłużej.

— Jeszcze przez godzinę będzie na spotkaniu, proszę pana. Potem powinna oddzwonić. Powiem jej, żeby zadzwoniła do domu, dobrze?

— Bardzo proszę.

— Czy coś jeszcze mam przekazać?

— Nie. Po prostu niech zadzwoni.

— Dobrze, proszę pana. Odłożyłem słuchawkę i zagapiłem się w przestrzeń, bawiąc się plastikowym pudełkiem. „Wyjechała na cały dzień do Nevady”. Nic mi nie mówiła, że wyjeżdża. Odtworzyłem w myślach całą rozmowę z Carol. Czy kryła Julię? Tego nie wiedziałem właściwie nic już nie wiedziałem. Patrzyłem bezmyślnie przez okno. Akurat włączyły się spryskiwacze i po kryły wodną mgiełką cały trawnik. Był środek dnia, najgorsza pora na podlewanie. Znów się zepsuły, a przecież dopiero co były regulowane.

Patrzyłem na zalewającą trawnik wodę i czułem narastające przygnębienie. Nic nie szło jak należy: nie miałem pracy, nie miałem żony, dzieci mnie wkurzały, zupełnie sobie z nimi nie radziłem — a teraz jeszcze te francowate spryskiwacze się popsowały. Wypalą całą trawę!

W tym momencie Amanda zaczęła płakać.

Nie doczekałem się telefonu od Julii. Na kolację pociąłem pierś kurczaka na paski (cała sztuka polega na tym, żeby mięso nie rozmarzło do końca), bo paluszki z kurczaka były obok spaghetti

drugim daniem, które wszyscy lubili. Przygotowałem ryż. Zajrzałem do lodówki i uznałem, że marchewka może trochę się zeschnęła, ale jeszcze się nada.

Krojąc marchew, skaleczyłem się w palec. Rana nie była duża, ale krwawiła obficie i nawet opatrunek nic nie pomógł. Kolejne plastry przesiąkały jeden po drugim, więc przyklejałem wciąż nowe i nowe.

Kolacja się spóźniła, a dzieci zrobiły się marudne. Eric powiedział, że paluszki z kurczaka w moim wykonaniu są do niczego, że w McDonalddie dają o wiele lepsze. I że czemu właściwie nie pojedziemy do McDonalda? Nicole ćwiczyła swoje kwestie sceniczne, zmieniając głos i mimikę, a Eric przedrzeźniał ją półgłosem. Amanda pluła płatkami, dopóki nie domieszałem do nich papki bananowej. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie wpadłem na ten pomysł, przecież już podrosła i mogła mieć serdecznie dość mdłego jedzenia dla niemowląt.

Eric zapomniał zapisać, co ma zadane do domu. Kazałem mu zadzwonić do kolegów i zapytać, ale uparł się, że tego nie robi. Nicole przez całą godzinę siedziała w Internecie, plotkując z przyjaciółkami. Kiedy zaglądałem do niej i upominałem ją, że najpierw ma odrobić lekcje, odpowiadała, że zaraz się do tego weźmie. Amanda rozrabiała i musiałem się nieźle namęczyć, żeby ją uśpić. Wróciłem do Nicole.

— Dość tego, do cholery! — powiedziałem.

— Rozplakała się. — Eric od razu przybiegł się z niej naśmiewać, więc zapytałem go, czemu jeszcze nie jest w łóżku. Kiedy zobaczył moją minę, natychmiast czmychnął do swojego pokoju. Nicole, pochlipując, stwierdziła, że powinienem ją przeprosić, na co ja odparłem, że sama jest sobie winna, bo wcześniej dwa razy ją upominałem. Wtedy uciekła do łazienki i trzasnęła drzwiami.

— Co to za hałas?! — wydarł się Eric. — Nie mogę spać!

— Jeszcze słowo, a będziesz miał przez tydzień szlaban na oglądanie telewizji! — odkrzyknąłem.

— To nie fair!

Włączyłem telewizor w sypialni, żeby obejrzeć końcówkę meczu. Pół godziny później poszedłem sprawdzić, co słychać u dzieci. Amanda spała smacznie. Eric też spał, ale jak zwykle zrzucił koc. Przykryłem go. Nicole się uczyła. Przeprosiła mnie, a ja ją przytuliłem.

Wróciłem do sypialni. Oglądałem mecz przez jakieś dziesięć minut, zanim zasnąłem.

Dzień piąty, godzina 7.10

Kiedy się obudziłem, druga połowa łóżka była nietknięta. Julia w ogóle nie wróciła na noc do domu. Sprawdziłem pocztę głosową — nie zostawiła wiadomości. Eric zajrzał do sypialni, spojrzął na łóżko.

— Gdzie mama?

— Nie wiem, synku.

— Już wyszła?

— Chyba tak.

Popatrzył na mnie, na posłane łóżko i wyszedł. Wolał nie próbować tego zrozumieć.

Za to ja nie miałem wyboru. Może nawet powinienem był spotkać się z adwokatem. Jeżeli sprawy zaszły tak daleko, zapewne nie uda się już uratować małżeństwa. Jednak nie chciałem uwierzyć, że moje małżeństwo się rozpada, wołałem więc nie myśleć o prawnikach.

Postanowiłem zadzwonić do San Diego, do siostry. Ellen jest psychologiem klinicznym, ma praktykę w La Jolla. O tak wczesnej porze mogłem jeszcze zastać ją w domu — i rzeczywiście, odebrała telefon. Chyba się zdziwiła, że dzwonię. Kocham ją, ale naprawdę bardzo się od siebie różnimy. W każdym razie wyjaśniłem jej w dwóch zdaniach, o co podejrzewam Julię i na jakiej podstawie.

— Nie wróciła do domu i nie zadzwoniła?

— Tak.

— Czy do niej dzwoniłeś?

— Jeszcze nie. !

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Może miała wypadek, jest ranna..

— Nie sędzę.

— Jak to?

— O wypadkach się słyszy. To nie był wypadek.

— Martwisz się, Jack?

— Sam nie wiem. Może i tak.

— Masz poważny problem — powiedziała po chwili milczenia Ellen. — Czemu nic z tym nie robisz?

— Co masz na myśli?

— Mógłbyś spotkać się z terapeutą rodzinnym. Albo z adwokatem. — Jezu Chryste... — Nie uważasz, że to dobry pomysł? — Nie wiem. Nie, jeszcze nie teraz.

— Posłuchaj, Jack. Nie wróciła na noc do domu. Nie chciało jej się zadzwonić. Czego ci jeszcze trzeba, żebyś uwierzył?

— Nie wiem.

— Cały czas powtarzasz „nie wiem”. Zdajesz sobie z tego sprawę — Chyba tak.

— Dobrze się czujesz, Jack? — Nie wiem.

— Chcesz, żebym wpadła na parę dni? Bo dla mnie to żaden kłopot. Miałam wyjechać z moim chłopakiem, ale ma dużo roboty. Jestem wolna.

— Nie, dam sobie radę.

— Na pewno? Martwię się o ciebie.

— Niepotrzebnie.

— Jesteś przygnębiony?

— Nie. Czemu pytasz?

— Nie masz kłopotów ze spaniem? Dbasz o kondycję?

— Śpię nieźle. Ćwiczę niewiele.

— Aha. Znalazłeś już pracę?

— Nie.

— Jakie masz perspektywy?

— Kiepskie.

— Musisz porozmawiać z adwokatem.

Może za jakiś czas.

— Co się z tobą dzieje, Jack? Sam mi powiedziałeś, że żona jest wobec ciebie agresywna i oziębła. Okłamuje cię. Dziwnie traktuje dzieci, zachowuje się, jakby już nie zależało jej na rodzinie. Chodzi wściekła, prawie nie ma jej w domu. A na dodatek podejrzewasz, że ma romans. Tej nocy nie wróciła do domu ani się nie odezwała. Zamierzasz to tak zostawić?

— Nie wiem, co robić.

— Powiedziałam ci: spotkaj się z adwokatem.

— Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

— Najlepszy, do cholery!

— No nie wiem... — Ellen westchnęła zrozpaczona.

— Posłuchaj, Jack. Wiem, że bywasz czasem bierny...

— Nie jestem bierny — przerwałem jej. — I nie cierpię, kiedy wchodzisz w rolę terapeutki.

— Żona ci się puszcza, podejrzewasz, że chce ci odebrać dzieci, a ty nic z tym nie robisz. To się nazywa bierność.

— A co niby mam zrobić?!

— Już ci powiedziałam. — Kolejne ciężkie westchnienie. — Dobrze, wezmę parę dni wolnego i wpadnę do was.

— Ellen...

— Nie kłóć się ze mną. Przyjadę. Powiedz Julii, że pomogę ci przy dzieciach. Będę po południu.

— Ale...

— Nie kłóć się.

— Odłożyła słuchawkę.

— Nie jestem bierny. Po prostu lubię wszystko spokojnie przemyśleć. A Ellen jest zawsze pełna energii. Idealnie nadaje się na psychologa, uwielbia mówić ludziom, co powinni zrobić. Uważam, że jest arogancka, a ona uważa, że jestem bierny.

Tak mnie właśnie postrzega. Pod koniec lat siedemdziesiątych poszedłem na studia do Stanford, gdzie zająłem się biologią populacyjną, dziedziną czysto naukową, bez żadnych praktycznych

zastosowań. Po takich studiach mogłem liczyć na pracę tylko na uczelni. Biologia populacyjna przeżywała akurat małą rewolucję za sprawą badań na zwierzętach w środowisku naturalnym i postępów w genetyce. Jedno i drugie wymagało analizy komputerowej i stosowania złożonych algorytmów matematycznych. Ponieważ nigdzie nie mogłem znaleźć programów, które pasowałyby do moich badań, sam zacząłem je pisać. I tak jakoś wdepnąłem w informatykę — kolejne dziwactwo naukowe.

Obrona mojej pracy magisterskiej zbiegła się w czasie z rozkwitem Doliny Krzemowej i całej branży komputerów osobistych. W nowo powstałych firmach, zatrudniających minimalną liczbę ludzi, szybko zbijało się fortunę. W mojej pierwszej pracy też radziłem sobie całkiem nieźle. Poznałem Julię, pobraliśmy się, pojawiły się dzieci. Wszystko szło jak po maśle. Zarabialiśmy krocie, pracowaliśmy sumiennie. Wkrótce podkupiła mnie inna firma i pojawiły się możliwości. Załapałem się na falę postępu lat dziewięćdziesiątych i w krótkim czasie byłem już nie zwykłym programistą, lecz kierownikiem zespołu informatycznego. Nie musiałem się wysilać, wszystko samo układało się po mojej myśli. Pozwoliłem się nieść życiu, które nigdy tak naprawdę nie dało mi w kość.

Tak to wyglądało z punktu widzenia Ellen. Ja to widzę inaczej. Nigdy i nigdzie na świecie konkurencja nie była tak bezwzględna jak w Dolinie Krzemowej. Ludzie pracowali po sto godzin tygodniowo, na wyścigi, żeby tylko skrócić cykl produkcyjny. Początkowo taki cykl trwał trzy lata w wypadku nowych produktów (albo nowych wersji starych programów). Potem został skrócony do dwóch lat, do półtora roku — a teraz wynosił równo dwanaście miesięcy. Co roku nowa wersja. Jeżeli przyjąć, że analiza danych i szlifowanie gotowego programu trwa cztery miesiące, zostaje tylko osiem na prawdziwą robotę. Osiem miesięcy, po których miliony linii kodu muszą chodzić jak w zegarku.

Krótko mówiąc: człowiek bierny nie zagrzałby długo miejsca w Dolinie Krzemowej. Nie jestem zatem bierny. Dzień w dzień urabiałem sobie ręce po łokcie, dzień w dzień musiałem udowadniać, ile jestem wart, bo inaczej w ogóle by mnie tam nie było.

Tak właśnie wyobrażałem sobie siebie. I byłem pewien, że się nie mylę.

W jednym musiałem przyznać Ellen rację: przez całą zawodową karierę nie opuszczało mnie ani na chwilę szczęście. Dzięki moim studiom miałem przewagę nad konkurentami, kiedy programy komputerowe zaczęły naśladować systemy biologiczne. Niektórzy informatycy na przemian programowali i prowadzili badania na zwierzętach, żeby na bieżąco doświadczenia z pracy w terenie przenosić na pracę z komputerami.

Nie koniec na tym: specjalizowałem się przecież w biologii populacyjnej, czyli nauce o grupach żywych organizmów. Informatyka zaś ewoluowała w stronę modelowania sieciowych struktur równoległych, czyli populacji inteligentnych tworców. Wymagało to specyficznych nawyków myślowych, w których szkoliłem się od lat.

Doskonale wpasowałem się w obowiązujące trendy i rozwijałem się wraz z branżą. Znalazłem się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie.

To wszystko prawda.

Programy naśladowujące populacje biologiczne zyskiwały coraz większe znaczenie w świecie rzeczywistym — tak jak mój model zachowania mrówek, który pozwolił zarządzać ruchem w sieci telekomunikacyjnej, czy program, który, symulując podział pracy w kolonii termitów, sterował termostatem w nowoczesnym wieżowcu. Od nich całkiem blisko było już do modelowania doboru genetycznego, które znalazło dziesiątki zastosowań.

Pokazywano na przykład świadkom przestępstwa zdjęcia dziewięciu osób, z których mieli wybrać jedną, najbardziej podobną do sprawcy. Potem pokazywano im następne dziewięć zdjęć, i następne, za każdym razem każąc dokonać wyboru. Na podstawie relacji świadków program pomalutku tworzył portret pamięciowy przestępcy, o wiele dokładniejszy od tego, który wyszedłby spod ręki najlepszego policyjnego rysownika. Świadkowie nie musieli nawet tłumaczyć, dlaczego to czy inne zdjęcie zwróciło ich uwagę dokonywali tylko wyboru, a program sam sobie radził.

A potem firmy biotechnologiczne doszły do wniosku, że nie mogą produkować nowych sztucznych protein, bo cząsteczki ulegają dziwnym deformacjom. Z czasem zaczęto stosować programy do selekcji genetycznej, dzięki którym białka same „ewoluowały” do żądanej postaci. Minęło dosłownie kilka lat, a takie procedury przyjęły się na dobre, stały się standardem i systematycznie zyskiwały na znaczeniu.

Rzeczywiście znalazłem się we właściwym miejscu w odpowiednim czasie. Nie byłem jednak bierny. Po prostu miałem fart.

Nie zdążyłem się jeszcze wykapać ani ogolić. Poszedłem więc do łazienki, zdjąłem koszulkę i obejrzałem się w lustrze. Zaskoczyło mnie, że mam sflaczały brzuch. No tak, czterdziestka na karku, mało ruchu, zwłaszcza ostatnio — i gotowe. Zaniedbałem się nie z przygnębienia, po prostu przy dzieciach na nic nie miałem czasu, a jak już znalazłem chwilę dla siebie, byłem skonany. Po prostu nie miałem ochoty na żaden sport.

Patrzyłem na swoje odbicie i zastanawiałem się, czy Ellen mimo wszystko nie miała racji.

Z wiedzą psychologiczną zawsze jest jeden problem: nikt nie jest w stanie zastosować jej do własnej osoby. Łatwo jest wnikliwie obserwować znajomych, ich żony, mężów i dzieci, bezbłędnie dostrzegać wszystkie ich wady — a zarazem nie umieć krytycznie spojrzeć na siebie. Ci sami ludzie, którzy z lodowatą przenikliwością analizują otaczający ich świat, żyją złudzeniami na swój temat. Psychologia nie sprawdza się w lustrze. I o ile mi wiadomo, tego zjawiska nikomu jeszcze nie udało się wyjaśnić.

Osobiście uważam, że psychologom mogłaby tu przyjść z pomocą informatyka. Mam na myśli procedury rekursywne: program się zapętla i przetwarza wygenerowane przez siebie informacje tak długo, aż uzyska pożądany wynik. Ta metoda sprawdza się na przykład w niektórych algorytmach sortowania danych. Trzeba z nią jednak uważać, bo zawsze istnieje ryzyko, że komputer wpadnie w tak zwaną nieskończoną regresję. To taki komputerowy odpowiednik gabinetu luster, w którym dwa ustawione naprzeciw siebie zwierciadła odbijają się nawzajem w nieskończoność, a ich obrazy stają się coraz mniejsze i mniejsze. Program działa, powtarza zadany cykl, ale nic z tego nie wynika. Komputer się zawiesza.

Zawsze uważałem, że podobnie sprawa ma się z ludźmi, którzy skierują swój analizator psychiczny na siebie. Ich mózg się zawiesza. Proces myślowy trwa, ale donikąd nie prowadzi. Z pewnością tak to właśnie wygląda wiadomo przecież, że ludzie potrafią w kółko rozmyślać o sobie. Ba, są tacy, którzy nie myślą o niczym innym. A jednak nie zdarza się, żeby ktoś się zmienił pod wpływem tak intensywnej introspekcji, żeby lepiej zrozumiał samego siebie. Prawdziwa samowiedza to rzadkość. Tak jakby ktoś inny musiał nam powiedzieć, kim naprawdę jesteśmy. Podstawić nam lustro. Jest to dość dziwaczne...

A może nie?

Teoria sztucznej inteligencji od lat zadaje sobie pytanie, czy program może być świadomy swojego istnienia. Informatycy zgodnie twierdzą, że to niemożliwe wszystkie próby uzyskania tego

efektu spełzły na niczym.

Istnieje jednak bardziej fundamentalna, filozoficzna wersja tego pytania: czy jakakolwiek maszyna może zrozumieć to, jak działa? Niektórzy powiedzą, że jest to również wykluczone. Maszyna nie może zgłębić swojej istoty, tak jak człowiek nie może ugryźć się w zęby. I rzeczywiście z pozoru tak to wygląda: mózg człowieka jest najbardziej skomplikowaną strukturą w całym znanym wszechświecie, ale sam niewiele o sobie wie.

Od trzydziestu lat w piątek po pracy, przy piwie, rozmawia się o takich sprawach, ale nikt nie traktuje tego poważnie. Nikt nie traktuje ich poważnie. Ostatnio jednak podobne rozważania nabrały nowej wagi coraz lepiej umiemy bowiem naśladować różne funkcje mózgu. Na przykład, zanim wyrzucono mnie z firmy, mój zespół próbował za pomocą przetwarzania rozproszonego zmusić komputer do nauki, do spontanicznego uporządkowania danych, rozumienia języków naturalnych, ustalania priorytetów, wybierania zadań. Najciekawsze było to, że komputery naprawdę się uczyły. Nabierały doświadczenia, stawały się coraz lepsze. Jest to nieosiągalne nawet dla niektórych ludzi.

Zadzwoił telefon. Ellen.

— Dzwoniłeś do adwokata?

— Jeszcze nie. Na miłość boską...

— Dziesięć po drugiej mam samolot do San Jose. Koło piątej będę u ciebie.

— Posłuchaj, Ellen, naprawdę nie ma potrzeby...

— Wiem. Po prostu chcę się stąd wyrwać. Odpocząć. Do zobaczenia. Rozmowa się skończyła.

Ellen na serio zabrała się do mnie.

Uznałem, że na razie i tak nie ma sensu umawiać się z prawnikiem miałem mnóstwo innych zajęć. Musiałem odebrać pranie. Zrobiłem to i poszedłem do Starbucka po drugiej stronie ulicy, żeby zamówić latte na wynos.

Tam właśnie spotkałem Garyego Mardera, mojego adwokata, w towarzystwie młodziutkiej blondynki w biodrówkach, z odsłoniętym brzuchem. Stali przytuleni w kolejce do kasy. Dziewczyna nie miała chyba nawet dwudziestki. Poczuję się niezręcznie i już chciałem wyjść, kiedy Gary zauważył mnie i pomachał ręką.

— Cześć, Jack.

— Cześć, Gary.

Podaliśmy sobie ręce.

— Poznaj Melisę.

— Miło mi — mruknąłem.

— Cześć.

Wydawało mi się, że moje pojawienie się nie było jej na rękę. Miała taki otumaniony, nieobecny wzrok, typowy dla młodych dziewczyn w towarzystwie dorosłych mężczyzn. Pomyślałem, że jest zaledwie o jakieś sześć lat starsza od mojej Nicole. Co ona robi z takim facetem jak Gary?

— Co słyhać? — Gary objął Melisę w talii.

— Nic nowego — odparłem. — Jakoś leci.

— Tak? To super. — Gary zmarszczył brwi.

— To znaczy... Wiesz... — Zawahałem się. Czuję się głupio w obecności tej dziewczyny, ona też najwyraźniej chciała, żebym już sobie poszedł, ale wyobrażałem sobie, co powie Ellen: „Spotkałeś się z adwokatem i nic mu nie powiedziałaś?” — Gary, możemy porozmawiać?

— Jasne.

— Dał dziewczynie pieniądze na kawę i odeszliśmy na bok.

— Posłuchaj mnie — zniżyłem głos. — Chyba powinienem porozmawiać z jakimś specem od rozwodów.

— Dlaczego?

— Podejrzewam, że Julia ma romans.

— Podejrzewasz czy wiesz?

— Nie wiem. Nie jestem pewien.

— Tylko tak przypuszczasz?

— Tak.

Gary westchnął i spojrzał na mnie pytająco.

— To nie wszystko — dodałem. — Ostatnio zarzuciła mi, że nastawiam dzieci przeciwko niej.

— Wyobcowanie uczuciowe. — Pokiwał głową. — Przebij ostatnich dni. Często tak mówi?

— Kiedy się kłócimy. Kolejne westchnienie.

— Jack, ludzie w złości mówią różne głupstwa. To może nic nie znaczyć.

— Ale ja myślę, że znaczy. Boję się, że znaczy.

— Martwisz się tym?

— Tak.

— Rozmawiałeś z jakimś doradcą rodzinnym?

— Nie.

— To porozmawiaj.

— Po co?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze: zwyczajnie powinieneś to zrobić. Od dawna jesteście małżeństwem i to, o ile wiem, udanym. Po drugie: udowodnisz w ten sposób, że próbowałeś ratować wasz związek. To obali zarzut wyobcowania uczuciowego.

— Rozumiem, ale...

— Mój drogi, jeżeli masz rację i Julia naprawdę chce cię ciągać po sądach, musisz bardzo uważać. Taki zarzut jak wyobcowanie uczuciowe trudno odeprzeć. Dzieci są złe na mamę, a ona twierdzi, że to przez ciebie. Jak możesz udowodnić, że kłamie? To niewykonalne. W dodatku spędzasz dużo czasu w domu, więc tym łatwiej ludzie jej uwierzą. Sąd orzeknie, że jesteś sfrustrowany i zły na pracującą żonę. — Uciszył mnie gestem. — Wiem, Jack, wiem, że to nieprawda, ale aż się prosi, żeby się sięgnąć po taki argument. Jej adwokat na pewno go wykorzysta. Jesteś rozżalony i nاپuszczasz na nią dzieci.

— Bzdura.

— Naturalnie. Zdaję sobie z tego sprawę. — Gary poklepał mnie po plecach. — Porozmawiaj z doradcą. Jeśli nie wiesz, do kogo się zwrócić, zadzwoń do mnie do biura. Barbara podsunie ci parę dobrych nazwisk.

Zadzwoniłem do Julii, żeby zawiadomić ją o wizycie Ellen. Oczywiście nie udało mi się jej złapać, odezwała się poczta głosowa. Nagrałem dłuższą wiadomość, w której wszystko wyjaśniłem, i poszedłem na zakupy. Skoro spodziewaliśmy się gościa, musiałem uzupełnić domowe zapasy.

Byłem w supermarkecie, kiedy zadzwonił telefon. Usłyszałem głos młodego lekarza z izby przyjęć. Zapytał, jak się czuje Amanda, więc odparłem, że zasinienie prawie ustąpiło.

— To świetnie — powiedział. — Bardzo się cieszę.

— Są wyniki rezonansu?

Wyjaśnił mi, że maszyna się popsuka i w ogóle nie zrobiono badania.

Szczerze mówiąc, boimy się o wszystkie wyniki z ostatnich kilku tygodni. Wygląda na to, że aparatura psuka się stopniowo już od jakiegoś czasu.

— Jak to?

— Korodowała czy coś w tym guście. Kości pamięci stopniowo się rozsywały.

Zmartwiałem. Przypomniałem sobie odtwarzacz Erica.

— Ale dlaczego?

— Teorie są różne. Prawdopodobnie rozkładały się pod wpływem jakiegoś gazu, który nocą ulatniał się z przewodów technicznych. Na przykład mógłby tak działać chlor. Sęk w tym, że uszkodzona jest tylko pamięć, inne układy działają bez zarzutu.

Wydarzenia przybierały coraz dziwniejszy obrót, a do reszty zgłupiałem, kiedy parę minut później zadzwoniła Julia, cała w skowronkach. Oznajmiła, że wróci do domu wczesnym wieczorem i na pewno zdąży na kolację.

— Cieszę się, że zobaczę Ellen. Po co przyjeżdża?

— Chciała się po prostu wyrwać z domu.

— Świetnie. Dobrze ci zrobi towarzystwo jakiejś dorosłej osoby.

— Na pewno.

Czekałem, aż wyjaśni, dlaczego nie wróciła na noc, ale usłyszałem tylko: Słuchaj, Jack, muszę lecieć. Później pogadamy...

— Julio — przerwałem jej. — Zaczekaj.

— Słucham?

Zawahałem się nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć.

— Martwiłem się o ciebie wczoraj w nocy.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Bo nie wróciłaś do domu.

— Przecież dzwoniłam... Musiałam zostać w zakładzie. Sprawdzałeś pocztę głosową?

— Tak.

— To, nie było wiadomości ode mnie?

— Nie, nie było.

— No to nie wiem, co się stało. Nagrałam ci się. Najpierw zadzwoniłam do domu, ale odebrała Maria i nie bardzo mogła... No wiesz, było to dla niej zbyt skomplikowane. Więc zadzwoniłam do ciebie na komórkę i zostawiłam ci wiadomość, że dopiero dziś będę mogła wyrwać się z zakładu.

— Nie dostałem jej — powiedziałem, nie chcąc już tego komentować.

— Przykro mi, skarbie. Sprawdź komórkę. A teraz naprawdę muszę pędzić. Do zobaczenia wieczorem! Pa, pa.

Koniec.

Sprawdziłem pocztę głosową: nie było żadnej wiadomości. Przeszukałem pamięć telefonu: w nocy nikt do mnie nie dzwonił.

Zrobiło mi się ciężko na sercu, poczułem nawrót przygnębienia. Gapiłem się bezmyślnie na wyłożone na półkach towary, nie mogłem sobie przypomnieć, co robię w sklepie.

Właśnie miałem wyjść, kiedy telefon znów się odezwał. Tym razem dzwonił Tim Bergman, facet, który zajął moje miejsce w MediaTronics.

— Siedzisz? — zapytał.

— Nie, a co?

— To lepiej usiądź. Mam dla ciebie ciekawą wiadomość. Tylko trzymaj się mocno.

— W porządku...

— Don chce do ciebie zadzwonić. Don Gross, szef firmy, który wyrzucił mnie z pracy.

— Po co?

— Chce, żebyś wrócił!

— Co takiego?!

— Poważnie. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale on chce, że byś wrócił.

— Po co? — powtórzyłem.

— Mamy problem z systemami rozproszonymi, które pracują u klientów.

— Z którymi? — Z PRAZWIERZEM.

— To starocie. Kto je kupił?

PRAZWIERZA opracowaliśmy ponad rok wcześniej. Podobnie jak większość naszych programów, oparty był na modelu biologicznym, z uwzględnieniem zachowań drapieżnika i jego ofiary. Miał bardzo prostą strukturę.

— Xymos chciał coś możliwie najprostszego.

— Sprzedaliście PRAZWIERZA Xymosowi?

— Tak. To znaczy, sprzedaliśmy licencję z kontraktem na serwis. I teraz mamy urwanie głowy.

— Dlaczego?

— Bo program źle działa. Algorytm poszukiwania całkiem ocipiał i program całymi godzinami błąka się bez celu.

— Nic dziwnego, skoro nie ma zdefiniowanych wzmacniaczy.

— Ewoluuący w sieci agenci potrafią się uczyć, ale może to sprowadzić ich na manowce. Trzeba więc w jakiś sposób skłonić ich, by nie stracili z oczu wyznaczonego celu. Na dobrą sprawę agenci przypominają dzieci: zapominają różne rzeczy, gubią, upuszczają na ziemię.

Wszystkie te zachowania wynikają z ewolucji nie programuje się ich — są efektem programowania. I Xymos najwyraźniej miał z nimi kłopot.

— Don uznał, że skoro kierowałeś zespołem, który napisał ten program, najlepiej to załatwisz. Poza tym twoja żona jest w kierownictwie Xymosu, więc jak dołączysz do ekipy, nabiorą do nas zaufania.

Wydawało mi się, że nie ma racji, ale nic nie powiedziałem.

— W każdym razie tak to właśnie wygląda — zakończył Tim. — Chciałem sprawdzić, czy Don ma po co do ciebie dzwonić. Boi się, że go spławisz.

— Krew mnie załała.

— Nie mogę do was wrócić, Tim.

— Nie będziesz pracował u nas, tylko w zakładzie produkcyjnym Xymosu.

— Jak to? Nie rozumiem...

— Don zatrudni cię jako niezależnego konsultanta.

— Aha — odparłem jak najbardziej niezobowiązująco. Cała ta propozycja wyglądała nedorzecznie. Nie miałem najmniejszej ochoty pracować dla tego sukinsyna Dona. Poza tym powroty do firmy, z której cię wylano, zawsze źle się kończą. Bez względu na warunki. To znany fakt. Z drugiej jednak strony, godząc się na posadę konsultanta, znalazłbym się znów w obiegu. No i wyrwałbym się z domu. Upiekł bym dwie pieczenie przy jednym ogniu.

— Wiesz co, Tim? Chciałbym to sobie przemyśleć. — Oddzwonisz?

— Tak.

— Kiedy? — Wyraźnie słyszałem napięcie w jego głosie.

— Widzę, że to pilna sprawa...

— Nie da się ukryć. Mówiłem ci, mamy urwanie głowy z tym kontraktem. Pięciu ludzi z zespołu, który pisał program, niemal nie wychodzi z fabryki Xymosu, ale na razie nie daje to żadnych efektów. Jeżeli nam nie pomożesz, będziemy musieli szukać dalej.

— Zadzwoń jutro — obiecałem.

— Rano?

— Dobrze, jutro rano.

Po rozmowie z Timem powinienem był poczuć się lepiej, ale nic z tego. Zabrałem małą do parku, posadziłem na huśtawce. Lubiła to, potrafiła się huśtać dwadzieścia, trzydzieści minut bez przerwy i zawsze płakała, kiedy ją zdejmowałem. Potem usiadłem na obramowaniu piaskownicy i patrzyłem, jak Amanda raczkuje po placyku. Próbowwała stawać na nóżki, chwytając się betonowych żółwi i innych sprzętów do zabawy. Któreś ze starszych dzieci szturchnęło ją i przewróciło, ale nie rozplakała się. Wyglądało na to, że lubi się bawić ze starszakami. Patrzyłem na nią i myślałem o powrocie do pracy.

— Oczywiście zgodziłeś się — powiedziała Ellen.

Siedzieliśmy w kuchni. Dopiero co przyjechała, nierozpakowana walizka stała jeszcze w kącie. Ellen nic a nic się nie zmieniła: miała te same co zawsze blond włosy, była chuda, energiczna i nie mogła usiedzieć na miejscu. Ani trochę się nie zestarzała. Piła herbatę, którą ze sobą przywiozła: jakąś ekologiczną odmianę ulunga ze specjalistycznego sklepu w San Francisco. To też się nie zmieniło. — Ellen od dziecka była kapryśna, a teraz, kiedy dorosła, wszędzie woziła ze sobą własną herbatę, własne sosy do sałatek i własne witaminy, posortowane w torebeczkach z kredowego papieru.

— Nie. Nie zgodziłem się. Powiedziałem, że się zastanowię.

— Zastanowisz się?! Żartujesz?! Musisz wrócić do pracy, Jack. I dobrze o tym wiesz. — Ellen taksowała mnie wzrokiem. — Jesteś w złej formie.

— Wcale nie.

— Powinieneś spróbować tej herbaty. Kawa źle ci robi na nerwy.

— W herbacie jest więcej kofeiny niż w kawie.

— Musisz wrócić do pracy.

— Wiem, Ellen.

— Konsultant... Przecież to idealny układ. Rozwiąże wszystkie twoje problemy.

— Sam nie wiem.

— Czego nie wiesz?

— Nie wiem, czy czegoś nie ukrywają. No bo jeśli Xymos rzeczywiście ma takie kłopoty, czemu Julia nic mi o nich nie wspomniała?

Ellen pokręciła głową.

— Wydaje mi się, że ostatnio Julia w ogóle niewiele ci mówi. Dlaczego od razu się nie zgodziłeś?

— Muszę się zorientować w sytuacji.

— Jak to: zorientować? — spytała z niedowierzaniem. Zachowywała się tak, jakbym był jej

pacjentem. Minęło dosłownie kilka minut od jej przyjazdu, a już dobierała mi się do skóry. Moja starsza siostra znów traktowała mnie jak dziecko. Wstałem od stołu.

Posłuchaj, Ellen. Całe życie pracuję w tej branży i wiem, jak działa. Mogą być dwa powody, dla których Don chce mnie ściągnąć z powrotem. Jeden jest taki, że nie mogą sobie poradzić i myślą, że im się przydam.

— Tak ci powiedzieli.

— Tak. Tak mi powiedzieli. Druga możliwość jest taka, że spieprzyli sprawę ponad wszelkie wyobrażenie i dobrze wiedzą, że nic już się nie da zrobić.

— Chcą na kogoś zwalić winę?

— Właśnie. Szukają kozła ofiarnego.

Ellen zmarszczyła brwi. Widziałem, że się waha.

— Naprawdę tak uważasz?

— Nie wiem, co o tym myśleć, i o to właśnie chodzi. Muszę się tego dowiedzieć.

— Dowiesz się...

— Dzwoniąc do paru osób. Może złożę jutro niezapowiedzianą wizytę w fabryce Xymosu.

— No dobrze. Chyba masz rację.

— Cieszę się, że się zgadzasz.

— Nie umiałem ukryć sarkazmu.

Ellen wstała i objęła mnie.

— Martwię się o ciebie.

— Doceniam to, ale martwiąc się, nie pomagasz mi.

— Rozumiem. Jak mogę ci pomóc? Przypilnuj dzieci. A ja podzwonię.

Pomyślałem, że najpierw zatelefonuję do Ricky'ego Morse'a, tego samego, którego spotkałem w supermarkecie, kupując pampersy. Znaliśmy się od dawna, teraz pracował w Xymosie, a że nigdy nie umiał trzymać języka za zębami, mógł mi szepnąć słówko o tym, co się tam dzieje. Problem polegał na tym, że Ricky siedział w biurze w Dolinie, a ich praca koncentrowała się teraz głównie w fabryce w Nevadzie. No, ale przynajmniej miałem jakiś punkt zaczepienia.

Zadzwoiłem do niego.

— Przykro mi — powiedziała sekretarka — ale pana Morse'a nie ma.

— Kiedy wróci?

— Naprawdę trudno mi powiedzieć. Chce pan zostawić wiadomość? Nagrałem się Ricky'emu na pocztę głosową i zadzwoniłem do niego do domu.

Telefon odebrała jego żona, Mary. Widziałem, że pisze doktorat z historii Francji wyobraziłem ją sobie, jak ślęczy nad książkami, trzymając dziecko na kolanach

. — Cześć, Mary. Co słychać?

— W porządku, Jack.

— Jak się chowa mała? Ricky mówił, że nie miewa nigdy żadnych odparzeń od pieluszek. — Staralem się udawać, że to zwykła towarzyska rozmowa. Nic zobowiązującego. — Do pozazdroszczenia.

— Mary roześmiała się.

— To dobre dziecko. Rzadko płacze. A co do odparzeń, to owszem, zdarzały się. Tylko Ricky'ego akurat nie było w domu.

— Właśnie go szukam. Jest w domu?

— Nie. Wyjechał na cały tydzień do tego zakładu w Nevadzie. — Ach tak...

— Byłeś tam? — zapytała Mary. Wydawało mi się, że jest zaniepokojona.

— Nie, ale...

— Julia spędza tam sporo czasu, prawda? Mówiła coś ciekawego? Tak. Na pewno coś ją gryzło.

— Niewiele. Wydaje mi się, że opracowali jakąś nowinkę i na razie trzymają ją w tajemnicy.

Czemu pytasz?

Wyczułem w jej głosie wahanie.

— Może mam bujną wyobraźnię...

— A o chodzi?

— Kiedy Ricky dzwoni, jest czasem jakiś dziwny.

— To znaczy?

— Wiem, że ciężko pracuje, jest zalatany, ale mówi dziwne rzeczy. Czasem zupełnie bez sensu. I robi uniki, tak jakby... nie wiem... jakby coś przede mną ukrywał.

— Ukrywał coś?

Mary zaśmiała się bez przekonania.

— Przyszło mi nawet do głowy, że ma kogoś na boku. Bo widzisz, w zakładzie pracuje ta Mae Chang. Zawsze mówił, że mu się podoba. No... jest ładna.

— Tak?

— Nie wiedziałem, że Mae Chang pracuje w Nevadzie.

— Tak. Sporo twoich starych ludzi z MediaTronics znalazło tam robotę.

— Nie sądzę, żeby Ricky miał romans, Mary. To do niego niepodobne. Do Mae zresztą też.

Cicha woda brzegi rwie — odparła Mary, najwyraźniej mając na myśli Mae. — A ja ciągle karmię piersią, nie schudłam jeszcze po porodzie. Uda mam jak szynki.

— Nie wydaje mi się...

— Ocierają się o siebie, kiedy idę.

— Jestem przekonany, że...

— Jak tam Julia? Nie zachowuje się dziwnie?

— Nie bardziej niż zwykle. — Próbowałem żartować, ale nie było mi z tym lekko. Od dawna marzyłem o tym, żeby porozmawiać z kimś szczerze o Julii, a jednak teraz straciłem na to ochotę. Nabrałem wody w usta. — Ma dużo pracy, więc nie zawsze jest w dobrym nastroju.

— Mówiła coś o czarnej chmurze? — Nie...

— Albo o nowym świecie? O narodzinach nowego ładu światowego? Brzmiało to jak spiskowa teoria dziejów.

— Nie, nic takiego nie słyszałem.

— Wspominała o czarnym płaszczu? Poczulem, że wszystko we mnie zastyga.

— O czym?

— Ricky dzwonił wieczorem i mówił coś o okrywającym go czarnym płaszczu. Było późno i musiał być zmęczony, bo trochę mu się język plątał.

— Co takiego powiedział?

— Nic konkretnego. Myślisz, że oni tam biorą narkotyki? — No nie wiem...

— Praca w stresie, cały czas na wysokich obrotach, mało snu. Pomyślałam, że coś biorą.

— Lepiej będzie, jak zadzwonię do Ricky'ego.

Mary podała mi numer jego komórki. Zapisałem go i miałem już dzwonić, kiedy trzasnęły drzwi i

usłyszałem głos Erica:

— Cześć, mamó! Co to za pan przyjechał z tobą samochodem? Wstałem i wyjrzałem przez okno. Na podjeździe stał kabriolet Julii, — BMW z rozsuwanym dachem. Spojrzałem na zegarek: było dopiero wpół do piątej.

Wyszedłem do przedpokoju, gdzie Julia właśnie witała się z Erikiem.

— To pewnie jakiś odblask słońca na szybie — powiedziała. — Przyjechałam sama.

— Właśnie że nie. Widziałem go.

— Naprawdę? — Julia otworzyła drzwi wejściowe. — Chcesz, to sam zobacz. — Eric wyszedł przed dom, a Julia uśmiechnęła się do mnie. — Wydawało mu się, że widział kogoś w aucie.

— Eric wrócił. Wzruszył ramionami.

— No dobra, pomyliło mi się.

— Chyba tak, kochanie. — Julia podeszła do mnie. — Ellen już jest?

— Właśnie przyjechała.

— Świetnie. Wezmę prysznic i porozmawiamy. Otworzymy jakieś wino. Co zjemy na kolację?

— Zrobiłem steki. — Wspaniale. Pomachała mi ręką i zniknęła w głębi domu.

Wieczór był ciepły, więc usiedliśmy w ogródku. Nakryłem stół czerwonym kraciastym obrusem, włożyłem kucharski fartuch z dewizą „Słowo kucharza jest święte”, upiekłem steki na grillu — typowy amerykański obiad rodzinny.

Julia była rozgadana i urocza: zagadywała Ellen, opowiadała o dzieciach, o szkole, mówiła o zmianach, które chciałyby wprowadzić w domu.

— Wyrzucimy to okno — wskazała za siebie, na okno od kuchni — i wstawimy wysokie drzwi balkonowe, żeby można było wyjść prosto do ogródka.

Nie posiadałem się ze zdumienia dzieci też wytrzeszczały na mamę oczy. Julia stwierdziła, że jest dumna z Nicole, która ma grać główną rolę w szkolnym przedstawieniu.

— Mamó, to nie jest główna rola.

— Nie przesadzaj, kochanie.

— Wcale nie przesadzam. Mam tylko dwie linijki tekstu.

— Ale na pewno...

— „Patrzcie, oto John!” — wtrącił się Eric. — To bardzo poważna sprawa.

— Zamknij się, wypierdku.

— Powtarza to w kółko w łazience — oznajmił Eric. — Tysiąc milionów razy.

— Kto to jest John? — zaciekała się Julia.

— To jest właśnie mój tekst z przedstawienia.

— Aha... Ale i tak wypadniesz świetnie. A nasz mały Eric wyrośnie na świetnego piłkarza, prawda?

— Za tydzień przerwa w treningach — mruknął Eric. Jesień się kończyła, a Julia ani razu nie przysłała na żaden mecz.

— Świetnie mu to robi — ciągnęła Julia, zwracając się do Ellen. — Sporty zespołowe zmuszają do współpracy, co dobrze wpływa na chłopców, zbyt chętnych do rywalizacji.

Ellen w milczeniu kiwała głową.

Julia uparła się, że nakarmi Amandę. Ustawiła jej wysoki stołek obok swojego krzesła. Mała przyzwyczała się do zabawy w samolot podczas jedzenia. Podsuwając jej łyżkę, należało zawarczeć i powiedzieć: „O, nadlatuje samolocik... Otwieramy buzię!” Ponieważ Julia tego nie robiła, Amanda

nie otwierała ust. To też była część zabawy.

Julia wzruszyła ramionami.

— Chyba nie jest głodna — stwierdziła. — Dałeś jej butelkę, Jack? — Nie. Butelkę dostaje dopiero po kolacji.

— To wiem. Ale wcześniej, kiedy ją karmiłeś?

— Nie karmiłem jej. Mogę spróbować?

— Oczywiście.

Julia oddała mi łyżkę, usiadłem więc przy Amandzie i zacząłem udawać samolot. Od razu się uśmiechnęła i otworzyła buzię.

— Jack cudownie radzi sobie z dziećmi, po prostu cudownie.

— Mężczyźnie dobrze robi, jeśli może posmakować domowego życia — powiedziała Ellen.

— Oczywiście! Jack bardzo mi pomaga. — Julia poklepała mnie po kolanie. — Naprawdę, Jack.

Jak na mój gust Julia była nazbyt ożywiona: gadała jak nakręcona, próbując popisać się przed Ellen, wystąpić w roli głowy rodziny. Widziałem po Ellen, że nie dała się przekonać, ale Julia zupełnie nie zwracała na to uwagi, tylko paplała w najlepsze. Przyszło mi do głowy, że faktycznie zachowuje się jak po narkotykach. No bo jak inaczej wyjaśnić to dziwaczne zachowanie? Amfetamina, nic innego.

— W pracy robimy takie kapitalne rzeczy — ciągnęła tymczasem Julia. — Xymos prowadzi naprawdę przełomowe badania, dokonuje od kryć, na które ludzkość czeka już od dobrych dziesięciu lat.

— Masz na myśli czarny płaszcz? — zapytałem podstępnie.

— Julia zamrugnęła ze zdziwienia.

— Słucham? O co ci chodzi, kochanie?

— Czarny płaszcz. Czy nie wspominałaś coś ostatnio o czarnym płaszczu?

— Nie... — Pokręciła głową. — Nie rozumiem, o czym mówisz. — Znów zwróciła się do Ellen: — Technologia molekularna znacznie wolniej zdobywa rynek, niż spodziewaliśmy się, ale nareszcie mamy ją w zasięgu ręki.

— Jesteś bardzo podekscytowana — przyznała Ellen.

— Bo to coś niesamowitego, Ellen. — Julia zniżyła głos. — W dodatku zanoszą się na to, że zbijemy fortunę.

— Byłoby fajnie. Ale pewnie masz teraz mnóstwo pracy, siedzisz do późna...

— Nawet nie. Najgorszy był ostatni tydzień.

Nicole wytrzeszczyła oczy, Eric gapił się na matkę, nie przerywając jedzenia, ale oboje milczeli. Ja zresztą też.

— To taki okres przejściowy — mówiła dalej Julia. — W każdej firmie się to zdarza.

— Naturalnie — przytaknęła Ellen.

Słońce zachodziło i zrobiło się chłodniej. Dzieci wstały od stołu. Zacząłem sprzątać. Ellen postanowiła mi pomóc. Julia jeszcze przez chwilę o czymś opowiadała, po czym nagle zmieniła temat:

— Bardzo chciałabym jeszcze z wami posiedzieć, ale mam pilną robotę w biurze. Muszę tam na chwilę podjechać.

Jeżeli Ellen zdziwiła się, słysząc te słowa, nie dała nic po sobie poznać.

— Masz dużo pracy — stwierdziła tylko.

— To okres przejściowy — powtórzyła Julia. — Dziękuję, że bronis honoru rodziny — rzuciła pod moim adresem, posyłając mi całusa. — Trzy maj się, Jack.

Weszła do domu.

Ellen odprowadziła ją wzrokiem, marszcząc brwi.

— Dość nagle rozstanie, nie uważasz? — Wzruszyłem ramionami.

— Pożegna się z dziećmi?

— Nie sędzę.

— Tak po prostu, wyjdzie z domu?

— Tak po prostu.

Ellen pokręciła głową.

— Nie wiem, Jack, czy Julia ma romans, czy nie... Ale czym ona się tak szprycuje?

— Chyba niczym. Ja w każdym razie o niczym nie wiem.

— Coś bierze, bez dwóch zdań. Nie schudła ostatnio? — Trochę...

— Mało sypia i chodzi taka podkręcona... Może być na spidzie. To teraz często się zdarza.

— Naprawdę nie wiem.

Ellen spojrzała na mnie bez słowa.

Wróciłem do gabinetu, żeby zadzwonić do Ricky'ego. Widziałem przez okno, jak Julia cofa samochód spod domu. Chciałem jej pomachać, ale patrzyła przez ramię za siebie. Promienie zachodzącego słońca, przeświecające przez gałęzie drzew, odbijały się od przedniej szyby. Samochód dojechał już prawie do ulicy, kiedy odniosłem wrażenie, że ktoś siedzi obok niej, na fotelu pasażera.

Refleksy światła nie pozwalały mi rozeznaczyć rysów tej osoby, a gdy samochód skręcił, Julia całkowicie zasłoniła mi pasażera. Wyglądało jednak na to, że rozmawiają o czymś z ożywieniem. Kiedy wrzuciła bieg i oparła się wygodnie, przez chwilę znów go widziałem: światło padało na niego z tyłu i nie mogłem rozróżnić rysów jego twarzy, ale sądząc po sylwetce, był młody, miał pewnie dwadzieścia parę lat, chociaż nie dałbym za to głowy. Potem braw przyspieszyło i zniknęło mi z oczu.

Niech to diabli! Wybiegłem z domu i wypadłem na ulicę w chwili, gdy BMW zatrzymało się przed najbliższym skrzyżowaniem. Światła stopu rozjarzyły się czerwienią. Samochód stał jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, oświetlony złocistymi, padającymi z boku promieniami słońca. Wydawało mi się, że poza Julią nikogo w aucie nie ma, chociaż wzrok mógł mnie mylić. Poczulem ulgę i zrobiło mi się głupio: bez żadnego powodu wybiegłem na środek jezdni, jak wariat. To wszystko wytwory mojej imagacji. Julia jechała sama.

— Kiedy skręciła w prawo, pasażer znów się pojawił, jakby przed chwilą siedział schylony, grzebiąc w schowku. Potem straciłem BMW z oczu, a cały uprzedni niepokój wrócił z dawną siłą, jak rozpalone żelazo przeszył moje ciało. Zabrakło mi tchu w piersi, zakręciło mi się w głowie.

— Ktoś jednak był z nią w samochodzie.

Wróciłem do domu, mając zamęt w głowie. Nie wiedziałem, co robić.

— Nie wiesz, co robić? — zdziwiła się Ellen. Myśliśmy w zlewie garnki i patelnie, których nie wkładałem do zmywarki. To znaczy ja myłem, Ellen wycierała. — Zadzwoń do niej.

— Jedzie samochodem.

— Ma przecież telefon w samochodzie.

— No dobrze, i co jej powiem? Słuchaj, Julio, kto siedzi obok ciebie? — Pokręciłem głową. —

To nie będzie łatwa rozmowa.

— Pewnie nie.

— Gotowy pretekst do rozwodu.

— Nie chcesz rozwodu, prawda?

— Oczywiście, że nie! Nie chcę, żeby mi się rodzina rozpadła.

— Może nie udać ci się jej utrzymać.

— To bez sensu. Chodzi mi o tego gościa w samochodzie, to był jakiś dzieciak.

— Co z tego?

— To nie w jej stylu.

— Tak? — zdziwiła się Ellen. — Miał dwadzieścia parę, może trzydzieści lat. To nie dzieciak.

Poza tym jesteś pewien, co jest, a co nie jest w jej stylu?

— Od trzynastu lat mieszkamy razem.

Ellen z hukiem odstawiła wytarty garnek.

— Widzę, że trudno ci się z tym pogodzić, Jack.

— Bardzo trudno. — Cały czas rozpamiętywałem oglądaną przez okno scenę. Siedząca obok Julii postać była jakaś dziwna. Wciąż starałem się zobaczyć jej twarz, ale bez skutku. Światło przesuwawało się po szybie, kiedy samochód jechał. .. Nie widziałem oczu, kości policzkowych, ust cała twarz była ciemna i pozbawiona szczegółów. Próbowałem wytłumaczyć to Ellen.

— Wcale mnie to nie dziwi — stwierdziła. — Nie?

— Nie chcesz uwierzyć w to, co widziałeś. Wiedziałem, że ma rację.

— Chyba tak.

Zadzwonił telefon, kiedy miałem ręce po łokcie zanurzone w mydlinach. Poprosiłem Ellen, żeby odebrała, ale któreś z dzieci ją uprzedziło. Wyszorowałem więc kratkę z grilla i podałem ją Ellen do wytarcia.

— Musisz nauczyć się widzieć rzeczy takimi, jakie są naprawdę, a nie jakimi chcesz je widzieć.

— Wiem o tym. Zadzwonię do niej.

Do kuchni weszła Nicole. Była blada jak ściana.

— Tato? Dzwonią z policji. Chcą z tobą rozmawiać.

Dzień piąty, godzina 21.10

Mniej więcej osiem kilometrów od domu kabriolet Julii wypadł na zakręcie z drogi i stoczył się piętnaście metrów po stromym zboczu wąwozu, złobiąc przecinkę w szalwiach i jałowcach. Potem musiał przekoziółkować, bo leżał na boku, z kołami w powietrzu. Widziałem tylko podwozie. Słońce zdążyło już prawie zupełnie zająć, w wąwozie panował mrok. Na drodze stały trzy karetki z włączonymi czerwonymi kogutami. Ratownicy zjeżdżali w dół po linach. Na górze zamontowano przenośne reflektory, które zalały wszystko dokoła lodowatym, błękitnym blaskiem. Zewsząd dobiegał jazgot krótkofalówek.

Stałem na drodze, obok policjanta z patrolu motocyklowego. Nie pozwolił mi zjechać na dół.

— Jest ranna? — zapytałem, słysząc meldunki przez radio. — Czy moja żona jest ranna?

Policjant zachował absolutny spokój.

— Zaraz się dowiemy.

— Ten facet?

— Chwileczkę. — Musiał mieć radio wbudowane w kask, bo w tej samej chwili zaczął coś cicho mówić. Brzmiało to jak szyfr: — Aktualizacja, 402, tu 739...

— Zszedłem na krawędź wąwozu, próbując dostrzec coś w dole. Ratownicy znajdowali się już przy wozie. Czas włókł się niemiłosiernie.

— Pańska żona jest przytomna — odezwał się policjant. — Miała zapięte pasy, nie wypadła z auta. Wygląda na to, że nic się jej nie stało. Odruchy w normie, nie ma obrażeń kręgosłupa, tylko... Prawdopodobnie złamała rękę.

— Ale poza tym wszystko w porządku?

— Tak mówią ratownicy.

Policjant umilkł, wsłuchując się w komunikaty.

— Mam tu jej męża, tak że proponuję osiem siedem — powiedział. A potem zwrócił się do mnie: — Nic jej nie jest, chociaż trzeba ją będzie zabrać do szpitala na badania. Mogła mieć krwotok wewnętrzny. No i zła mała rękę. Właśnie kładą ją na nosze.

— Chwała Bogu.

— To paskudny odcinek drogi. — Policjant pokiwał głową.

— Zdarzają się tu wypadki?

— Regularnie. Co parę miesięcy. I mało kto ma tyle szczęścia, co pań skazona.

Zadzwoń z komórki do Ellen, żeby dała dzieciom znać, że z mamą wszystko w porządku.

— Porozmawiaj z Nicole — dodałem. — Zajmę się tym — obiecała Ellen.

Wyłączyłem telefon i zapytałem policjanta:

— Co z tym mężczyzną?

— Jechała sama.

— Nie, ktoś z nią był.

Powiedział coś do mikrofonu, posłuchał odpowiedzi i odwrócił się do mnie.

— Twierdzą, że była sama. Nie ma śladu pasażera.

— Może wypadł.

— Właśnie wypytują pana żonę... Mówi, że nikt z nią nie jechał. — To jakieś żarty. zruszył ramionami.

— Tak mówi.

W migającym czerwonym świetle nie potrafiłem nic wyczytać z jego twarzy, ale ten ton głosu mówił wszystko: kolejny frajer, który za grosz nie zna własnej żony. Odwróciłem się do niego plecami i spojrzałem w dół zbocza.

Ramię wyciągarki jednego z wozów ratunkowych wysunęło się ponad wąwozem, opuszczono hak na linie. Patrzyłem jak ratownicy, z trudem zachowujący równowagę na stromiźnie, mocują linę do noszy. Julia leżała przypięta do noszy, przykryta srebrną folią. Nosze zaczęły się podnosić, przecięły snop niebieskiego światła i znów zniknęły w ciemności.

— Pytają o lekarstwa i narkotyki. Czy pańska żona coś zażywa?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Co z alkoholem? Piła coś?

— Wino do kolacji. Kieliszek, może dwa.

Gliniarz odwrócił się, coś tam mruknął, potem usłyszałem wyraźniejsze: „Tak, potwierdzam”. Nosze obracały się wolno w poziomie jeden z ratowników, stojący w połowie zbocza, wyciągnął rękę i zatrzymał je.

Nie mogłem przyjrzeć się Julii, dopóki nosze nie znalazły się na poziomie jezdni i ratownicy nie odpięli od nich liny. Miała opuchniętą twarz, sińce na lewym policzku i na czole nad lewym okiem musiała się mocno uderzyć w głowę. Oddychała płytko. Podszedłem do noszy.

— Jack... — wykrztusiła. Spróbowała się uśmiechnąć.

— Spokojnie kaszlnęła cicho.

— To był wypadek, Jack.

— Niosący ją sanitariusze manewrowali noszami, żeby wyminąć motocykl. Ja też musiałem uważać, gdzie idę.

— Oczywiście — zgodziłem się.

— To nie to, co myślisz, Jack.

— To znaczy?: Mówiła nierównym głosem, raz głośniejsz, raz ciszej.

— Wiem, co sobie myślisz. — Złapała mnie za rękę. — Obiecuj mi, że się w to nie wplączesz, Jack.

— Wydawało mi się, że majaczy.

— Mocniej ścisnęła moją dłoń.

— Obiecuj mi, że będziesz się trzymał od tego z daleka.

— Obiecuję.

Odprężyła się, puściła moją rękę.

— To nie ma nic wspólnego z naszą rodziną. Dzieci są bezpieczne, ty też. Po prostu się do tego nie mieszaj, dobrze?

— Dobrze — przytaknąłem. Nie chciałem jej denerwować,

— Jack?

— Jestem przy tobie.

Zbliżyliśmy się do karetki. Drzwi się otworzyły i jeden z ratowników — zapytał: — Jest pan

krewnym?

— Mężem.

— Chce pan z nią jechać?

— Tak.

— To niech pan wskakuje. — Wsiadłem do karetki, wsunięto nosze, zamknięto drzwi. Ryknęła syrena i ruszyliśmy do szpitala.

Dwaj sanitariusze odsunęli mnie na bok i zajęli się Julią: jeden nagrywał komentarz na dyktafon, drugi podłączył ją do kroplówki. Niepokoiło ich spadające ciśnienie krwi. Podczas tych zabiegów w ogóle nie widziałem Julii, ale słyszałem, że usiłuje coś powiedzieć. Chciałem się nad nią nachylić, ale jeden z sanitariuszy odepchnął mnie.

— Proszę nie przeszkadzać, pańska żona jest ranna. Musimy się nią zająć.

Siedziałem więc na rozkładanym siedzeniu i trzymałem się kurczowo wystającego ze ściany uchwyty, kiedy karetka przechylała się na zakrętach. Nie miałem już wątpliwości, że Julia ma jaczę. Usłyszałem coś o „czarnych chmurach”, które „nie były już czarne” potem wspomniała coś o „buncie młodzieńczym” pytała o Amandę i Erica, czy wszystko z nimi w porządku. Była wyraźnie roztrzęsiona. W końcu ograniczyła się do powtarzania, że nie zrobiła nic złego, nie chciała zrobić nic złego.

Karetka pędziła przed siebie.

Słuchając Julii, martwiłem się coraz bardziej.

Z pobieżnych oględzin wynikało, że obrażenia mogą się okazać poważniejsze, niż pierwotnie sądzono: nie można było wykluczyć złamania miednicy, krwotoku wewnętrznego, pęknięcia kręgosłupa w odcinku szyjnym złamana w dwóch miejscach lewa ręka na pewno wymagała gwoździowania. Chyba najbardziej lekarze obawiali się złamania kości miednicy na oddziale intensywnej opieki obchodzili się z Julią jak z jajkiem.

Była przytomna, od czasu do czasu zerkąła na mnie i uśmiechała się, a potem zasnęła. Lekarze zapewnili mnie, że do niczego się nie przydam. Mieli budzić ją co pół godziny i zatrzymać w szpitalu co najmniej przez trzy dni, może nawet tydzień.

Przed północą wyszedłem ze szpitala.

Pojechałem taksówką na miejsce wypadku, ponieważ zostawiłem tam swój samochód. Noc była zimna. Wozy policyjne i karetki zniknęły, a ich miejsce zajęła ogromna ciężarówka z niską platformą, na którą ładowano wyciągnięte z wąwozu BMW Julii. Chudy facet z papierosem w ustach obsługiwał wyciągarę.

— Nie ma co oglądać — poinformował mnie. — Wszyscy pojechali do szpitala.

— Wyjaśniłem, że BMW należy do mojej żony.

— Nie da się nim już jeździć — odparł i poprosił o kartę ubezpieczeniową. Wyjąłem ją z portfela i podałem mu. — Podobno żonie nic się nie stało?

— Na to wygląda.

— Farciarz z pana. — Kciukiem wskazał stojącą po drugiej stronie jezdni furgonetkę. — Zna ich pan?

— Mała biała furgonetka z przyciemnianymi szybami nie miała żadnych oznaczeń na bokach, żadnego logo firmy, nic. Tylko u dołu przednich drzwi dostrzegłem wymalowany czarną farbą numer i napis: Pojazd SSVT.

— Nie znam. — Są tu od godziny. Nawet nie wysiedli.

— Nie widziałem nikogo w furgonetce. Ruszyłem w tamtą stronę. Usłyszałem stłumiony trzask krótkofalówki, a kiedy znalazłem się trzy metry od auta, zapaliły się światła, zawarczał silnik i samochód ruszył z kopyta. Śmignął przede mną i zniknął w oddali.

— Przez mgnienie oka dostrzegłem kierowcę: miał na sobie połyskliwy kombinezon ze srebrzystego tworzywa, z kapturem. Z szyi zwieszał mu się jakiś dziwny przyrząd — przypominał maskę przeciwwgazową, tylko że był cały srebrny.

Na tylnym zderzaku dostrzegłem jeszcze dwie zielone naklejki z dużą literą X. Logo Xymosu. Ale moją uwagę zwróciła przede wszystkim tablica rejestracyjna. Samochód był zarejestrowany w Nevadzie.

Przyjechał z zakładu produkcyjnego na pustyni.

Zmarszczyłem brwi. Doszedłem do wniosku, że czas złożyć tam wizytę.

Wyjąłem z kieszeni komórkę i zadzwoniłem do Tima Bergmana. Wyjaśniłem, że przemyślałem sprawę i przyjmuję ich ofertę. i|

— Świetnie! — stwierdził Tim. — Don będzie zachwycony.

— Ja też się cieszę. Kiedy zaczynam?

Dzień szósty, godzina 7.12

Musiałem się zdrzemnąć, uśpiony wibracjami śmigłowca. Obudziły mnie głosy w słuchawkach. Męskie głosy. Ziewnąłem.

— Na czym właściwie polega problem?

— Wygląda na to, że z zakładu przedostała się do środowiska jakaś substancja. To był wypadek. Na pustyni, niedaleko zakładu, znaleziono kilkanaście martwych zwierząt.

— Kto je znalazł?

— Ekolodzy, którzy zlekceważyli tablice ostrzegawcze i zaczęli węszyć w okolicy. Domagają się przeprowadzenia inspekcji.

— Nie możemy sobie na to pozwolić.

— Nie możemy.

— To co zrobimy? — wtrącił się trzeci, nieśmiały głos.

— Proponuję poinformować o minimalnym skażeniu i opublikować dane, z których wynika, że nie będzie żadnych szkód dla środowiska.

— Powinniśmy wszystkiemu zaprzeczyć. Nic się nie stało. Jakie są dowody, że coś przedostało się do atmosfery?

— Padłe zwierzęta: kojot, parę szczurów, pewnie jakieś ptaki.

— Rany boskie, przecież zwierzęta zdychają cały czas, to naturalne. Pamiętacie to zamieszanie z krowami? Podejrzewano już, że to ufoludki szlachtują nam bydło, a okazało się, że krowy padały same z siebie. Pamiętacie?

— Nie bardzo...

— Nie jestem pewien, czy możemy tak po prostu zaprzeczyć...

Pewnie że tak, do kurwy nędzy!

— Zdjęcia? Ci ekolodzy na pewno porobili zdjęcia.

— Kogo to obchodzi? Co będzie na tych zdjęciach, zdechły kojot? Nikt się nim nie przejmie, zaufaj mi. Pilot? Hej, pilot? Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

Otworzyłem oczy. Siedziałem w kabinie śmigłowca, obok pilota. Lecieliśmy na wschód, prosto w stronę wiszącego nisko nad horyzontem słońca. W dole przemykał płaski teren z kępami kaktusów, jałowców i rachitycznymi jukami. Pilot prowadził maszynę wzdłuż linii wysokiego napięcia słupy ciągnęły się po horyzont, stojąc szeregiem jak stalowi żołnierze. Rzuciły długie cienie.

Potężnie zbudowany mężczyzna w garniturze, pod krawatem, wychylił się z tylnego fotela.

— Daleko jeszcze?

— Właśnie wlecieliśmy do Nevady. Za dziesięć minut będziemy na miejscu.

Elegant odchrząknął i opadł na swoje siedzenie. Przedstawił mi się, kiedy wsiadaliśmy, ale zapomniałem, jak się nazywa. Obejrzałem się za siebie: siedziało ich tam trzech, wszystko specjaliści od kształtowania wizerunku firmy, wynajęci przez Xymos. Łatwo dopasowałem ich wygląd do słyszanych wcześniej głosów. Szczupły, nerwowy chłopak, który cały czas zaciskał i

prostował palce mężczyzna w średnim wieku z aktówką na kolanach i trzeci — starszy, ponury, najwyraźniej ich przełożony.

— Właściwie dlaczego zbudowali zakład w Nevadzie?

— Prostsze przepisy, mniej kontroli... Kalifornia krzywo patrzy na nowe fabryki, trzeba by czekać rok na sporządzenie raportów o wpływie zakładu na środowisko. Poza tym w Nevadzie łatwiej dostać pozwolenie.

Ich szef wyjrzał przez okno.

— Co za dziura! Nic mnie nie obchodzi, co się tu dzieje. A pan czym się zajmuje? — zwrócił się do mnie. i

— Jestem programistą.

— Podpisał pan lojalkę?

— Miał na myśli umowę o zachowaniu tajemnicy zawodowej, która miała zamknąć mi usta.

— Tak.

— Będzie pan pracował w zakładzie?

— Tak, jako konsultant.

— Konsultant. — Pokiwał głową, jakby dostrzegając we mnie sprzymierzeńca. — I o to właśnie chodzi. Przedstawić im opinię, ale nie brać na siebie odpowiedzialności.

W słuchawkach zatrzeszczało i zabrzmiał głos pilota:

— Zakład produkcji molekularnej Xymosu. Już go widać. Trzydzieści kilometrów przed nami pojawił się na horyzoncie niski kompleks zabudowań.

— To tu? — burknął szef ekipy od wizerunku firmy. — Takie nic?

— Zakład jest większy, niż się wydaje.

— Kompleks składał się z połączonych betonowych klocków, pomalowanych na biało i całkowicie nijakich. Moi współpasażerowie byli zachwyceni.

— Jak tu ładnie!

— Cholera, wygląda jak szpital.

— Architektura na najwyższym poziomie.

— Świetnie wyjdzie na zdjęciach.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Bo nie ma żadnych wystających elementów — wyjaśnił mi człowiek z aktówką. — Anten, szpikulców, nic nie sterczy bez sensu. Ludzie boją się anten i innych wypustek, tak wynika z badań. Co innego taka regularna bryła, w dodatku biała. Idealny kolor: kojarzy się z dziewictwem, szpitalem, zdrowiem, czystością... Taki budynek nie budzi złych skojarzeń.

— Ci ekolodzy są popieprzeni — stwierdził z satysfakcją ich szef. — Tu się prowadzi badania naukowe, prawda? W służbie medycyny?

— Niezupełnie...

— To się zmieni. Przekonam ich. Wszyscy tego chcą. Zatoczyliśmy koło nad kompleksem. Pilot pokazywał nam kolejne budynki.

W tym pierwszym są generatory. Dalej widać łącznik i pomieszczenia mieszkalne. Obok magazyny, laboratoria... Ten kanciasty, dwu piętrowy gmach bez okien to główny zakład produkcyjny. Podobno to tylko zewnętrzna makieta, a w środku jest drugi budynek. Ta niska, płaska szopa z prawej to zewnętrzny magazyn i wiata dla samochodów. Trzeba parkować w cieniu, bo inaczej od upału deska rozdzielcza może się wypaczyć. Jak człowiek dotknie kierownicy, ma oparzenia pierwszego

stopnia.

— I ludzie tu mieszkają? — zdziwiłem się. Pilot pokiwał głową.

— Muszą. Do najbliższego motelu, koło Reno, jest dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

— Ilu ludzi może jednocześnie przebywać w zakładzie? — zainteresował się szef ekipy.

— Mają pokoje dla dwunastu osób, ale zwykle na miejscu jest od pięciu do ośmiu. Wszystko jest zautomatyzowane. Tak słyszałem.

— Co jeszcze pan słyszał?

— Niewiele. Trzymają gębę na kłódkę. A ja nigdy nie byłem w środku.

— Bardzo dobrze.

— Pilot pchnął drążek sterowy. Śmigłowiec przechylił się i zaczął zniżać lot.

Otworzyłem plastikowe, przezroczyste drzwi kabiny i wysiadłem. Poczułem się jak w piekarniku.

Upał zatykał dech w piersi.

— To jeszcze nic! — pocieszył mnie pilot, przekrzykując łoskot wirnika. — Mamy prawie zimą, najwyżej czterdzieści stopni!

— Świetnie. — Nabrałem w płuca rozpalonego powietrza. Wyciągnąłem z maszyny moją torbę i laptopa.

— Muszę się odlać — stwierdził szef ekipy i rozpiął pasy.

— Dave... — Mężczyzna z aktówką próbował go powstrzymać. — Przecież to tylko chwilka!

— Dave... — Ten z aktówką spojrział na mnie z zakłopotaniem. Zniżył głos. — Zabronili nam wysiadać z helikoptera, pamiętasz?

— Daj mi spokój, nie wytrzymam następnej godziny. Zresztą co za różnica? — Machnięciem ręki wskazał otaczającą nas pustynię. — W promieniu tysiący kilometrów nic tu nie ma.

— Dave...

— Wkurzasz mnie już. Idę się odlać.

Wygramolił się z fotela. Reszta rozmowy mi umknęła, bo w tym momencie zdjąłem słuchawki. Dave wylazł z maszyny, a ja wziąłem bagaże i ruszyłem w stronę zakładu. Schyliłem się pod łopatami wirnika, których cień ślizgał się po betonie. Na skraju lądowiska beton kończył się raptownie. Wijąca się wśród kaktusów ścieżka prowadziła do budynku stacji zasilania. Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. W ogóle nikogo nie było widać.

Odwróciłem się. Dave zapiął spodnie i wsiadł do śmigłowca. Pilot zatrzasnął drzwi, pomachał mi i poderwał maszynę w powietrze. Sypnęło mi piaskiem w twarz. Helikopter zrobił kółko i ruszył na zachód. Warkot wirnika szybko cichł w oddali.

Zrobiło się cicho, jeśli nie liczyć pomruku biegnącej kilkaset metrów dalej linii wysokiego napięcia. Wiatr tarosił na mnie koszulę i spodnie. Obróciłem się w miejscu. Nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Przypomniałem sobie słowa jednego z tamtych ludzi: „Zabronili nam wysiadać z helikoptera, pamiętasz?”

— Hej! Proszę pana! — Odwróciłem się. W ścianie stacji zasilania otworzyły się drzwi i ktoś wystawił przez nie głowę. — Pan Jack Forman?

— Tak! — odkrzyknąłem.

— Na co pan czeka, na specjalne zaproszenie? Niechże pan wchodzi, na litość boską!

Zatrzasnął drzwi.

Takie właśnie powitanie zgotował mi zakład produkcyjny Xymosu.

Sprawy nigdy nie układają się tak, jak tego oczekujemy.

Znalazłem się w małym pomieszczeniu o ciemnoszarych ścianach z jakiegoś sztucznego tworzywa. Dopiero po chwili moje oczy przywykły do półmroku. Dostrzegłem, że ściana naprzeciw wejścia jest cała ze szkła. Za nią znajdowała się kolejna klitka i następna szklana przegroda. W poprzek obu szklanych tafli biegły stalowe wysięgniki, zakończone metalowymi przyssawkami. Przywodziły na myśl drzwi do skarbcza w banku.

Za drugą szklaną ścianą czekał na mnie barczysty mężczyzna w niebieskich spodniach i roboczej koszuli z logo Xymosu na kieszeni na piersi. Wyglądał na technika. Skinął na mnie.

— To jest śluza — wyjaśnił. — Drzwi otwierają się automatycznie. Proszę podejść.

Zrobiłem krok do przodu i pierwsze szklane drzwi otworzyły się z sykiem. Zapaliła się czerwona lampka. Klitka, do której miałem wejść, miała gęstą kratę zamiast podłogi, sufitu i dwóch bocznych ścian. Zawahałem się.

— Wygląda jak opiekacz, co? — Technik uśmiechnął się. Brakowało mu paru zębów. — Niech się pan nie boi, po prostu trochę pana obdmucha. Proszę wejść.

Wszedłem do klatki i postawiłem torbę na ziemi.

— Nie, nie, proszę ją podnieść.

Posłusznie podniosłem bagaż. Drzwi zamknęły się z sykiem, wysięgniki wyciągnęły się na pełną długość, uszczelki zaskoczyły z metalicznym szczękiem. Poczułem ucisk w uszach, kiedy w zamkniętej hermetycznie śluzie wzrosło ciśnienie.

— Lepiej zamknąć oczy — poradził mi technik.

Posłuchałem go. Chłodny płyn prysnął mi w twarz, przemoczył ubranie. Śmierdział acetonem, niczym zmywacz do paznokci. Wzdrygnąłem się.

Najpierw dmuchnęło z góry. Podmuch szybko nabrał siły huraganu. Zaparłem się mocno na nogach, żeby nie stracić równowagi. Ubranie przylgnęło mi ciasno do skóry, musiałem mocniej chwycić torbę, żeby wichura nie wyrwała mi jej z ręki. Nagle wiatr ucichł — i zaraz dmuchnął znowu, tym razem od spodu. Nie trwało to długo. Zaświszczały pompy i próżniowe, zakłuło mnie w uszach jak przy lądowaniu samolotu. I zrobiło się całkiem cicho.

— Już — usłyszałem. — Proszę wejść.

Otworzyłem oczy. Śmierzący acetonem płyn wyparował, byłem zupełnie suchy. Drzwi otworzyły się z sykiem i wszedłem do środka. Technik spojrzał na mnie z troską.

— Dobrze się pan czuje?

— Chyba tak.

— Nic nie swędzi?

— Nie.

— To dobrze. Bywają ludzie uczuleni na to świństwo, ale nie mamy wyboru. Musimy wszystkich oczyścić, zanim wejdą do laboratorium.

Skinąłem głową. W tej procedurze nie było nic niezwykłego, chodziło o pozbycie się kurzu i innych zanieczyszczeń. Płyn odkażający musiał być niezwykle lotny, parował szybko w temperaturze pokojowej i przy okazji usuwał z ubrania i skóry niepożądane mikrocząsteczki. Dmuchawy i obniżone ciśnienie załatwiały sprawę do końca. Wszystkie farfocle zostały ze mnie albo zmyte, albo odessane.

— Vince Reynolds — przedstawił się technik. Nie podał mi ręki. — Możesz mi mówić Vince. Ty jesteś Jack, prawda?

— Powiedziałem, że tak.

— No dobrze, czekają na ciebie, więc nie tracimy czasu. Musimy zachować ostrożność, jak zwykle w SPM, w silnym polu magnetycznym. Ponad trzydzieści trzy tesle... — Podał mi tekturowe pudełko. — Zdejmij zegarek.

— Wrzuciłem zegarek do kartonu.

— Pasek.

— Zdjąłem pasek i dołożyłem go do zegarka.

— Nosisz jakąś biżuterię? Bransoletka, łańcuszek, kolczyki, jakieś metalowe znaczki?

— Nie.

— Masz jakieś kawałki metalu w ciele? Śrut, odłamki? Gwoździowane kości po złamaniu?

Metalową rzepekę? Protezę kości biodrowej? Nic? Sztuczne zastawki, ścięgna, pompkę? Implanty? v,

— Odparłem, że nie mam żadnej z tych rzeczy.

— Cóż, jesteś jeszcze młody. A co masz w torbie?

Kazał mi wyłożyć wszystko na stół. W torbie miałem całkiem sporo metalowych przedmiotów: drugi pasek ze sprzączką, obcinacz do paznokci, piankę do golenia w aerozolu, maszynkę, żyłki, scyzoryk, džinsy z nitami...

— Vince wziął scyzoryk, džinsy i pasek.

— Resztę spakuj, ale pod jednym warunkiem: torbę możesz wnieść do kwater mieszkalnych, nie dalej, jasne? Przy drzwiach wyjściowych jest wykrywacz metali, który włączy alarm, gdybyś chciał coś wnieść do laboratorium. Standardowa procedura zabezpieczająca wyłącza wtedy elektromagnesy i trzeba czekać dwie minuty, aż się znów włączą. Cała bieżąca produkcja idzie w diabły.

Obiecałem, że postaram się o tym pamiętać.

— Reszta twoich rzeczy zostaje tutaj. — Skinieniem głowy wskazał ścianę za moimi plecami. Wbudowano w nią kilkanaście skrytek z szyfrowymi zamkami. Przy każdej znajdowała się klawiatura numeryczna. — Ustal sobie szyfr i zamknij skrytkę. — Odwrócił się dyskretnie. Zegarek nie będzie mi potrzebny? Pokręcił głową.

— Dostaniesz inny.

— Pasek?

— Pasek też ci damy.

— Co z laptopem?

— Trzymaj go w schowku, jeśli nie chcesz, żeby pole magnetyczne poharatało ci dysk.

Schowałem wszystko do skrytki, dołożyłem komputer i zamknąłem drzwi. Czuję się dziwnie nagi, jakbym właśnie przekroczył próg więzienia.

— Ale sznurówek mi nie zabierzecie? — zażartowałem.

— Nie. Będą ci potrzebne, gdybyś się chciał powiesić.

— Dlaczego miałbym się wieszać?

— Nie mam pojęcia. — Vince wzruszył ramionami. — Ale jak patrzę na gości, którzy tu pracują... Banda świrów. Robią te mikroskopijne szajbki, przedstawiają molekuly, kleją je... To delikatna robota, spory stres, no i wariują od tego. Wszyscy są popieprzeni, co do jednego. Chodź, idziemy.

Przekroczyliśmy następne szklane drzwi. Tym razem obeszło się bez spryskiwaczy.

Weszliśmy do stacji zasilania. W sinym blasku halogenów błyszcząły trzymetrowe metalowe kadzie i ceramiczne izolatory grubości męskiego uda. Aparatura buczała cicho, czułem, jak drży podłoga. Wszędzie wisiały tabliczki z czerwoną błyskawicą i napisem: Uwaga! Wysokie napięcie!

Grozi śmiercią lub kalectwem!

— Zakład zżera sporo prądu — zauważyłem.

— Tyle co małe miasteczko. — Vince wskazał jedną z tabliczek. — Więc lepiej traktować to poważnie. W swoim czasie mieliśmy tu pożary.

— Pożary?

— W budynku załęgły się szczury, włąziły, gdzie nie trzeba, i smażyły się w instalacji. Nie cierpię smrodu palonej szczurzej sierści, a ty?

— Nie miałem okazji...

— Śmierdzi tak, jak można się tego spodziewać.

— Aha. Jak się tu dostały?

— Włazły kibelem. — Widząc moje zdumienie, Vince pospieszył z wyjaśnieniami: — Nie wiedziałeś? To stara sztuczka. Gdybyś akurat siedział na kłocie, zrobiłyby ci paskudną niespodziankę. — Roześmiał się. — Wykonawca budynku wykopał za płytkie szambo, no i szczury włązły. Odkąd tu jestem, zdarzały się już różne wypadki.

— Naprawdę? Jakie? Wzruszył ramionami.

— Chcieli, żeby zakład był doskonały, bo pracują nad takimi maleństwami. Ale nasz świat nie jest doskonały, Jack. Nigdy nie był. I nie będzie.

— Jakie wypadki? — powtórzyłem.

— Przeszliśmy przez całe pomieszczenie. Vince szybko wpisał kod. Szczęknięto i zamek się odblokował.

— Szyfr jest wszędzie taki sam — wyjaśnił. — Zero sześć, zero cztery, zero dwa.

Otworzył drzwi. Znaleźliśmy się w krytym łączniku, prowadzącym z elektrowni do pozostałych części kompleksu. Mimo nastawionego na pełny regulator klimatyzatora było tu gorąco jak w piekle.

— To znowu wina wykonawcy, nie wyregulował klimatyzacji. Pięć razy wzywaliśmy serwis, ale w łączniku zawsze jest upał.

Korytarz kończył się następnymi drzwiami. Vince kazał mi wpisać szyfr i drzwi się otworzyły. Prowadziły do kolejnej śluzy ze szklanym wyjściem, za którym zobaczyłem Ricky'ego Morse'a w dżinsach i koszulce. Uśmiechał się szeroko i machał do nas.

Na koszulce miał napis: Masz mnie słuchać, jestem szefem.

Przejmę go, Vince — powiedział przez interkom Ricky.

— W porządku.

— Sprawdzaleś ciśnienie?

— Przed godziną, a co?

— W głównym laboratorium chyba nie trzyma.

— Sprawdzę jeszcze raz. Może znów mamy jakąś nieszczelność. — Vince klepnął mnie w plecy i wyprostowanym kciukiem pokazał Ricky'emu, że wszystko w porządku. — Powodzenia — dodał. Odwrócił się i wyszedł.

— Miło cię widzieć — odezwał się Ricky. — Znasz kod? Odparłem, że znam. Wskazał mi klawiaturę. Wklepałem cyferki

Szklana ściana odsunęła się na bok. Znalazłem się w następnej klitce z ażurowymi ścianami, podłogą i sufitem. Drzwi zamknęły się za mną.

Dmuchnęto wściekle od dołu wiatr wydał mi nogawki spodni, wytarł mi na mnie koszulkę. Zaraz potem przysły podmuchy z boków, później z góry, na głowę i ramiona. Zaszumiały pompy, ciśnienie

spadło i drzwi przede mną się otworzyły. Przyczesalem włosy i przeszedłem dalej.

— Przepraszam za tę szopkę, ale przynajmniej nie musimy nosić żadnych fikuśnych kombinezonów. — Ricky z ożywieniem uściśnął moją dłoń. Nieźle się prezentował był szczupły, muskularny.

— Świetnie wyglądasz, Ricky. Ćwiczysz? Nawet nie...

— Wyglądasz jak atleta. — Szturchnąłem go w biceps.

— To ze stresu. — Uśmiechnął się. — Vince pewnie cię nastraszył? — Nie za bardzo...

— On jest trochę dziwny. Wychowywał się na pustyni. Matka mu umarła, kiedy miał pięć lat. — Ricky wzruszył ramionami. — W każdym razie cieszę się, że jesteś, Jack. Bałem się, że się nie zgodzisz. — Wyglądał zdrowo, ale widać było, że jest podenerwowany. Wyszliśmy na korytarz.

— Jak się czuje Julia?

— Złamała rękę i mocno uderzyła się w głowę. Została w szpitalu na obserwacji, ale nic jej nie będzie.

— To świetnie, bardzo się cieszę. — Pokiwał głową, idąc przodem. — Kto się zajmuje dziećmi?

— Powiedziałem, że właśnie przyjechała do nas moja siostra.

— To znaczy, że nie spiesz ci się do domu? Możesz zostać parę dni?

— Chyba tak... — przytaknąłem. — Jeśli będę potrzebny. Zazwyczaj informatycy konsultanci nie przesiadują za długo u klienta — dzień, góra dwa. Nie więcej.

Ricky obejrzał się na mnie przez ramię.

— Czy Julia... opowiadała ci coś o tym miejscu?

— Właściwie nie.

— Ale wiedziałeś, że często tu bywa?

— Tak, oczywiście

— Przez ostatnie kilka tygodni przylatywała prawie codziennie, kilka razy nawet nocowała.

— Nie wiedziałem, że tak ją interesuje produkcja. — Ricky zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— To coś zupełnie nowego, Jack... Naprawdę nic ci nie powiedziała? Nic a nic? — Zmarszczył brwi.

— Nie. A czemu pytasz?

— Nie odpowiedział.

— Otworzył drzwi i weszliśmy do środka. — To moduł mieszkalny. Śpimy tu i jemy.

— Po dusznym łączniku powietrze tutaj było przyjemnie chłodne. Ściany wykonano z tego samego tworzywa, na które już przedtem zwróciłem uwagę słyszałem cichy, miarowy szum klimatyzacji. Z korytarza odchodziło na boki kilkoro drzwi. Na jednych z nich znalazłem moje nazwisko, wypisane flamastrem na kawałku plastra. Ricky otworzył drzwi.

— Witaj w domu, Jack.

Pokój był urządzony po spartańsku: łóżko, maleńkie biurko, na którym z trudem mieściła się klawiatura i monitor, zawieszona nad łóżkiem półka na książki i ubrania. Wykonane z plastikowego laminatu meble miały gładkie powierzchnie i łagodne kontury, nie było żadnych zakamarków, w których mógłby się zbierać kurz. Na zajmującym miejsce okna ekranie ciekłokrystalicznym widniał obraz rozciągającej się na zewnątrz pustyni.

Na łóżku znalazłem plastikowy zegarek i pasek do spodni z plastikową sprzączką. Założyłem je.

— Zostaw rzeczy — powiedział Ricky. — Oprowadzę cię. Zaprowadził mnie do salonu. Pokój był średnich rozmiarów. Przy niskim stoliku stała sofa i kilka krzeseł, na ścianie wisiała tablica

ogłoszeniowa. Także i tu wszystkie meble były plastikowe.

— Po prawej stronie jest kuchnia i świetlica z telewizorem i automatami do gier — powiedział Ricky.

Weszliśmy do kuchni, gdzie zastaliśmy dwie osoby, które jadły kanapki, stojąc przy blacie.

— Chyba ich znasz. — Uśmiechnął się.

— Oczywiście, że znałem. Pracowali w moim zespole w MediaTronics.

Rosie Castro była szczupłą, śniadą brunetką, miała egzotyczną urodę i cięty język. Stała przed nami w workowatych roboczych spodniach i opiętej na pokaznym biuście koszulce z napisem. Możesz sobie pomarzyć! Niezależna, buntownicza Rosie specjalizowała się na Harvardzie w twórczości Szekspira, dopóki pewnego dnia nie doszła do wniosku, że „Szekspir od wieków już nie żyje, nic nowego się z niego nie wycisnie, więc nie ma co się męczyć”. Przeniosła się do MIT, gdzie trafiła pod skrzydła Roberta Kima i zajęła się językami naturalnymi. Ostatnio programowanie w językach naturalnych coraz częściej wiązało się z przetwarzaniem rozproszonym. Okazało się, że ludzie przetwarzają słyszane zdania na różne sposoby nie słuchają do końca, mając własne oczekiwania na dany temat. Taka sytuacja idealnie nadaje się dla systemów rozproszonych, które analizują równolegle kilka aspektów problemu.

— Ciągle te same koszulki, Rosie — zauważyłem. W MediaTronics miewaliśmy kłopoty z jej wyzywającym ubiorem.

— Cześć. Przynajmniej chłopaki mają rozrywkę.

— Nie zwracamy na nie uwagi — odezwał się David Brooks, jak za wsze sztywny, oficjalny, do przesady schludny i — w wieku dwudziestu ośmiu lat — niemal zupełnie łysy. Nosił okulary o grubych szklach. — Wcale nie są takie rewelacyjne.

— Rosie pokazała mu język.

David, jak niemal każdy inżynier, zawsze mówił, co myślał, nie zwracając uwagi na konwenanse. Miał obsesję na punkcie czystości i do pracy zawsze przychodził starannie ubrany. Za to w weekendy ścigał się w crossach rowerowych, z których wracał utyłany w błocie po uszy. Energicznie uściśnął moją rękę.

— Fajnie, że przyjechałeś, Jack.

— Będziecie mi musieli wyjaśnić, dlaczego tak się cieszycie z mojej obecności.

— Widzisz... — zaczęła Rosie. — Znasz się lepiej na algorytmach rozproszonych niż...

— Najpierw go oprowadzę — przerwał jej Ricky. — Potem będzie czas na pogawędki.

— Dlaczego? — zdziwiła się Rosie. — Chcesz mu zrobić niespodziankę?

— I to jaką — mruknął David.

— Nic takiego. — Ricky zmroził ich spojrzeniem. — Po prostu go oprowadzę.

— Ile czasu to potrwa? — David spojrzął na zegarek. — Bo mamy jakieś...

— Powiedziałem, że najpierw go oprowadzę — warknął Ricky. — Chryste Panie!

— Zdziwiłem się nigdy dotąd nie widziałem, żeby dał się ponieść nerwom. Ale Rosie i David najwyraźniej przywykli do jego wybuchów.

— Dobrze, Ricky, w porządku — zgodził się David.

— Ty tu jesteś szefem — zawtórowała mu Rosie.

— Właśnie. — Widziałem, że wciąż jest wściekły. — A przerwa skończyła się dziesięć minut temu. Wracajcie do pracy. — Zajrzał do świetlicy. — Gdzie reszta?

— Naprawiają czujniki obwodowe.

— Są na dworze?!

— Nie, nie, w warsztacie. Bobby podejrzewa, że czujniki są źle wykalibrowane.

— Mówiliście o tym Vince'owi? w

— Nie, bo to sprawa softwarowa. Bobby już się tym zajął.

W tym momencie zabrzączał mój telefon. Wyjąłem go z kieszeni. — To komórki tu działają? — zapytałem zdziwiony.

— Tak, mamy zasięg — odparł Ricky i wrócił do kłótni z Rosie i Davidem.

Wyszedłem na korytarz, żeby odsłuchać wiadomości. Była tylko jedna — ze szpitala, na temat Julii.

— Jak rozumiem, jest pan mężem pani Forman. Bardzo prosimy o pilny kontakt.

Numer wewnętrzny doktora Rany. Oddzwoniłem od razu.

— Oddział intensywnej opieki, słucham. Poprosiłem o przełączenie do doktora Rany.

— Mówi Jack Forman, mąż Julii Forman.

— Ach tak, pan Forman. — Doktor miał miły, melodyjny głos. — Dziękuję, że się pan odezwał.

Z tego, co wiem, przyjechał pan wczoraj z żoną do szpitala, prawda? Zdaje pan sobie zatem sprawę, jak poważne może mieć obrażenia. Uważamy, że należy przeprowadzić kompleksowe badania, które pozwolą wykluczyć podejrzenie uszkodzenia kręgosłupa, zakrzepu w mózgu i złamania miednicy.

— Wiem o tym, mówiliście mi państwo o tym już w nocy. O co w ta kim razie chodzi?

O to, że pańska żona nie zgadza się na te badania.

— Naprawdę?

— Pozwoliła nam prześwietlić i poskładać złamany nadgarstek. Tłumaczyliśmy jej, że nie wszystko da się odczytać ze zdjęcia rentgenowskiego i że powinna poddać się badaniu rezonansu magnetycznego. Odmówiła.

— Dlaczego?

— Twierdzi, że takie badanie nie jest konieczne.

— Przecież to bzdura.

— Zgadzam się z panem. Nie chcę pana niepokoić, ale jeżeli miednica jest uszkodzona, istnieje ryzyko rozległego krwotoku wewnętrznego, który może doprowadzić do śmierci pacjentki. I to w bardzo krótkim czasie, więc...

— Co mam zrobić?

— Proszę z nią porozmawiać.

— Oczywiście. Proszę jadać do telefonu.

— Niestety, to chwilowo niemożliwe. Zawieźliśmy ją właśnie na dodatkowe prześwietlenie. Może mi pan podać jakiś telefon do siebie? Komórkę? Świetnie. I jeszcze jedno, panie Forman. Nie udało nam się wyciągnąć od pańskiej żony żadnych informacji potrzebnych do sporządzenia profilu psychiatrycznego.

— Dlaczego?

— Nie chce o tym rozmawiać. Chodzi nam o to, czy zażywała narkotyki, czy miała zaburzenia psychiczne... Może nam pan udzielić jakichś informacji?

— Postaram się...

— Nie chciałbym pana niepokoić, ale problem polega na tym, że pań skażona zachowuje się odrobinę... irracjonalnie. Chwilami mamy wrażenie, że majaczy.

— Ostatnio żyje w ogromnym stresie.

— To jej na pewno nie pomaga — zgodził się doktor Rana. — Poza tym doznała urazu głowy, którego jeszcze dokładnie nie zbadaliśmy. Nie chcę pana niepokoić, ale nie można wykluczyć zespołu maniakalno-depresyjnego, uzależnienia od narkotyku albo jednego i drugiego jednocześnie.

— Rozumiem...

— Zresztą takie pytania zawsze się pojawiają, kiedy dochodzi do wypadku z udziałem tylko jednego samochodu...

— Chodziło mu o to, że wypadek mógł być próbą samobójczą. Wydawało mi się to mało prawdopodobne.

— Nic mi nie wiadomo o tym, żeby żona zażywała narkotyki. Przyznam jednak, że jej zachowanie niepokoiło mnie od kilku tygodni.

Ricky wyszedł na korytarz i stanął przy mnie, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Zasłoniłem mikrofon.

prawie Julii — wyjaśniłem.

Skinął głową, spojrzął na zegarek i uniósł brwi. Zdziwiłem się, że próbuje mnie poganiać, kiedy rozmawiam z lekarzem, który opiekuje się w szpitalu moją żoną — a jego przełożoną.

Lekarz gadał tak jeszcze chwilę, ja starałem się jak najlepiej odpowiadać na jego pytania, ale problem polegał na tym, że nie wiedziałem nic, co mogłoby mu się przydać. Obiecał, że każe Julii zadzwonić do mnie po powrocie z prześwietlenia. Na tym rozmowa się skończyła.

— Wybacz, że cię tak poganiam, ale... chcę ci pokazać różne rzeczy — powiedział Ricky.

— Mamy mało czasu? — Nie wiem. Być może.

— Chciałem zapytać, co ma na myśli, ale już ruszył przodem. Opuściliśmy moduł mieszkalny, przeszliśmy przez następne szklane drzwi i następny korytarz — tym razem, jak zauważyłem, hermetyczny. Szliśmy zawieszoną nad podłogą szklaną kładką. W szkle znajdowały się maleńkie otworki, od których odchodziły przewody pomp próżniowych. Zaczynałem się przyzwyczajać do stałego szumu klimatyzatorów.

ołowie korytarza znajdowały się kolejne drzwi, przez które musieliśmy przejść pojedynczo: otwierały się przed zbliżającą się osobą i zamykały zaraz za jej plecami. Znów poczułem się jak w więzieniu zanurzałem się w jego trzewia, przechodząc przez kolejne okratowane wrota.

Nawet najnowsza technika i błyszczące, szklane ściany nie były w stanie zatrzeć tego wrażenia.

Dzień szósty, godzina 8.12

Znaleźliśmy się w ogromnym pomieszczeniu. Napis na drzwiach głosił: Warsztat i niżej MolProdPozyw. Ściany i sufit były wyłożone znanym już mi laminatem. Na podłodze piętrzyły się stopy dużych plastikowych pojemników. Z prawej strony zauważyłem rząd wpuszczonych w ziemię kotłów z nierdzewnej stali, z których wychodziło mnóstwo opatrzonych zaworami rurek i przewodów, biegnących w górę, na wyższy poziom. Czułem się jak w browarze. Chciałem właśnie zapytać, co to jest, gdy Ricky zawołał triumfalnie.

— Więc tu jesteście!

Przy skrzynce sterowniczej stało trzech innych członków mojego dawnego zespołu. Mieli zawstydzone miny, jak dzieci przyłapane na grzebaniu w słoju z ciasteczkami. Szefem był — któżby inny — Bobby Lembeck. Miał trzydzieści pięć lat i najczęściej już nadzorował innych, ale jeżeli zachodziła potrzeba, umiał nieźle programować. Jak zwykle miał na sobie wytarte dżinsy, koszulkę z plakatem z Ghost in the Shell i nieodłącznego walkmana przy pasku.

Obok stała piękna, delikatna Mae Chang. Była biologiem, studiowała w Syczuanie zachowanie jakichś rzadkich małp, zanim w wieku dwudziestu paru lat zainteresowała się pisaniem programów. Rzadko się odzywała, poruszała się prawie bezszelestnie. Tak jak wielu biologów, którzy pracowali w naturalnym środowisku, umiała wtopić się w tło.

Ostatni z trójki był Charley Davenport, zgryźliwy, pomarszczony, otyły trzydziestolatek. Poruszał się ospale i niezgrabnie, jego ubranie zawsze wyglądało jakby w nim sypiał (co często mu się zdarzało, zwłaszcza po maratońskich nasiadówkach przy komputerze). Pracował u Johna Hollanda w Chicago i Doynea Farmera w Los Alamos, a specjalizował się w algorytmach genetycznych, czyli programach, które rozwiązywały problemy, naśladując strategię doboru naturalnego. Miał irytujący charakter: wiecznie nucił pod nosem, prychał, mówił do siebie i pierdział hałaśliwie. Tolerowano go wyłącznie ze względu na nieprzeciętne umiejętności.

— Czy naprawdę potrzeba do tego całej waszej trójki? — zapytał Ricky, kiedy skończyliśmy z powitaniem.

— Tak, szefie. To skomplikowana sprawa.

— Dlaczego? I nie nazywaj mnie szefem.

— Według rozkazu, szefie.

— Przejdź do rzeczy.

— Po dzisiejszym porannym zdarzeniu sprawdziłem czujniki i doszedłem do wniosku, że są rozkalibrowane. Ponieważ nikt nie wychodzi na zewnątrz, nie wiadomo do końca, czy źle odczytujemy dane, czy same sensory są wadliwe. A może tylko niedostosowane do naszej aparatury? Mae się na nich zna, bo podobnych używała w Chinach. Ja wprowadzam zmiany w kodzie, a Charley za cholerę nie chce się od nas odczepić.

— Kurczę, mam ciekawsze zajęcia — wtrącił Charley — ale to ja napisałem algorytm, który steruje czujnikami, i będę musiał go zoptymalizować. Czekam tylko, aż oni przestaną mi się pętać pod

nogami. Wtedy wezmę się do roboty. — Spojrzał znacząco na Bobby'ego. — Nie macie o tym zielonego pojęcia.

— Bobby ma — powiedziała Mae. — Akurat. Zająłoby mu to z pół roku.

— Jak dzieci, jak dzieci — odezwał się Ricky. — Nie popisujcie się przed gościem.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Prawdę powiedziawszy, wcale ich nie słuchałem — przyglądałem się im tylko. Należeli do moich najlepszych programistów. Teraz z zaskoczeniem stwierdziłem, że zrobili się rozdrażnieni, zdenerwowani, kłótniwi. Przypomniałem sobie Rosie i Davida: oni też byli spięci.

Charley zaczął nucić pod nosem, jak miał to w zwyczaju.

— Rany boskie! — westchnął Bobby Lembeck. — Powiedz mu, żeby się zamknął.

— Charley — odezwał się Ricky. — Rozmawialiśmy o tym. Charley nie przestawał mrużyć.

— Charley...

Dopiero teraz westchnął teatralnie i umilkł.

Dziękuję — powiedział Bobby.

Charley przewrócił oczami i wbił wzrok w sufit.

— No dobrze, pospieszcie się i wracajcie na stanowiska.

— Robi się — uspokoił Ricky'ego Bobby. — Pospieszcie się.

— Dobrze.

— Nie żartuję. Chcę was zaraz widzieć na swoich miejscach.

— Dobrze już, dobrze, Ricky, spokojnie. Zamknij się i daj nam pracować, dobrze?

Przeszliśmy z Ricky'm do małego pokoju.

— Ricky — powiedziałem — oni zachowują się zupełnie inaczej, niż kiedy u mnie pracowali.

— Wiem, wszyscy jesteśmy trochę podminowani.

— Dlaczego?

— Przez to, co tu robimy.

— A co właściwie tu robicie?

Ricky zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do jeszcze mniejszego pomieszczenia.

— Julia nie mogła ci nic powiedzieć, bo to ściśle tajne. Przyłożył do drzwi kartę magnetyczną.

— Ściśle tajne? — zdziwiłem się. — Sprzęt do wizualizacji medycznej?

Zamek ustąpił i weszliśmy do środka. Drzwi zamknęły się za nami. W pokoju znajdował się tylko stół i dwa krzesła, a na stole monitor i klawiatura. Ricky usiadł i zaczął coś pisać.

— Na pomysł zastosowania w medycynie wpadliśmy później — wyjaśnił. — To tylko mało znaczące komercyjne zastosowanie technologii, nad którą tu pracujemy.

— Jakiej technologii?

— Wojskowej.

— Xymos robi coś dla wojska?!

— Tak, mamy podpisany kontrakt. Dwa lata temu, po doświadczeniach w Bośni, Departament Obrony doszedł do wniosku, że nieocenionym urządzeniem jest zautomatyzowana kamera, która krążyłaby nad terytorium wroga i na żywo przekazywała obraz. W Pentagonie uważają, że w przyszłości latające kamery znajdą wiele zastosowań. Będą mogły wyśledzić żołnierzy wroga, jeśli nawet ukryją się oni w dżungli czy w budynkach. Nadają się do naprowadzania sterowanych laserem rakiet, do identyfikacji oddziałów sprzymierzonych i tak dalej, i tak dalej. Na ziemi, w dowództwie, oficerowie oglądaliby interesujące ich obrazy od razu w żądanym widmie: w świetle widzialnym, w

podczerwieni, ultrafiolecie...

— No dobrze, ale...

— Kłopot w tym, że zrobotyzowane kamery były łatwym celem. Nieprzyjaciel strzelał do nich jak do kaczek. Więc Pentagonowi zamarzyła się kamera, której nie da się zestrzelić najlepiej malutka, wielkości ważki. Pojawiły się wtedy problemy z zasilaniem, sterowaniem i z rozdzielczością tak małego obiektywu. Przede wszystkim potrzebowano większego obiektywu.

— Wtedy wy wpadliście na pomysł roju nanokamer.

— Tak jest. — Ricky wskazał ekran komputera, na którym czarne punkciki szybowały w powietrzu jak stado ptaków. — Chmura nanoskopowych komponentów pozwala stworzyć kamerę z dowolnie dużym obiektywem, której w dodatku nie da się zestrzelić, bo każdy pocisk przejdzie przez nią na wylot. Poza tym można taką chmurę rozproszyć, tak jak można spłoszyć i rozgonić stado ptaków. Wtedy stanie się niewidoczna, dopóki nie prześle się nowych poleceń. Wyglądało na to, że znaleźliśmy idealne rozwiązanie. Pentagon zapewnił nam trzyletnie finansowanie z funduszy Agencji Obrony.

— Jak wam poszło?

— Ledwie zabraliśmy się do pracy, stało się jasne, że mamy problem z inteligencją rozproszoną.

Wiedziałem, o co mu chodzi. Nanokamery w chmurze musiały wykazywać jakieś minimum inteligencji, żeby się ze sobą komunikować i tworzyć rój. Taką koordynację ruchów obserwuje się na przykład u ptaków czy u ryb, które nie należą do najbardziej bystrych stworzeń na ziemi.

Przeciętny obserwator podejrzewa, że stado ptaków czy ławica ryb musi mieć swojego przywódcę, za którym podąża reszta osobników. Rozumowanie to wynika z faktu, że ludzie — i większość ssaków, wykazujących zachowania społeczne — rzeczywiście mają swoich przywódców. U ptaków i ryb jest jednak inaczej, ich skupiska są zorganizowane według odmiennych zasad. Szczegółowe badania nad ich zachowaniem — a zwłaszcza analiza nagrań filmowych — ujawniły, że nie potrzebują przywódcy. Ptaki i ryby reagują na kilka prostych bodźców, a efektem tych reakcji jest jednolite zachowanie. Nikt nimi nie steruje, nie kontroluje ich, nie prowadzi.

Co więcej, umiejętność łączenia się w grupy nie jest u nich wrodzona, nie mają jej w genach. Ptaki nie znają imperatywu: „Kiedy stanie się to i to, twórzcie stado”. Łączenie się w stada i ławice wynika z prostych reguł, przykazań w rodzaju: „Trzymaj się najbliższego ptaka, ale uważaj, żeby na niego nie wpaść”. Takie proste recepty wystarczą, żeby jednostki tworzyły liczne, skoordynowane skupiska.

Ponieważ skłonność do łączenia się w stada wynika z bardzo prymitywnych reguł, nazywa się ją zachowaniem emergentnym (wyłonionym). Ścisła, naukowa definicja mówi o zachowaniu zaobserwowanym w grupie, które jednak nie zostało wpojone żadnemu z jej członków. Zachowanie emergentne może się pojawić również wśród programów komputerowych, robotów, roju nanoskopowych składników.

— Mieliście kłopoty z zachowaniem emergentnym? — upewniłem się.

— Tak.

— Nie umieliście go przewidzieć?

— To mało powiedziane.

Pojęcie zachowania emergentnego w ostatnich latach zrobiło furorę w informatyce. Oznacza ono, że można zaprogramować zachowanie pojedynczego agenta, ale nie grupy agentów. Pojedynczych agentów (moduły programu, mikroprocesory, czy — tak jak w tym wypadku — nanoroboty) można

zmusić do tego, żeby w pewnych warunkach współpracowali, a w innych — konkurowali ze sobą. Można wyznaczyć im cel i kazać, żeby poświęcili mu całą swoją uwagę, albo zmusić ich do pomocy innym. Nie da się jednak przewidzieć skutków tych interakcji. Dlatego ostateczny wynik ich działań bywa zaskakujący.

W pewnym sensie jest to oszalamiająca perspektywa: po raz pierwszy okazało się, że autor programu może nie przewidzieć skutków jego działania. Takie programy bardziej przypominają żywe istoty niż stworzone ludzką ręką automaty. Na dłuższą metę jest to równie ekscytujące, jak frustrujące.

Właśnie przez swoją nieprzewidywalność. Czasem konkurujący ze sobą agenci zapędzają się w ślepy zaułek i program do niczego nie dochodzi czasem tak silnie na siebie oddziałują, że tracą z oczu wyznaczony cel i znajdują sobie nowy. Pod tym względem programy są jak dzieci, które na niczym nie umieją się dłużej skupić. Pewien informatyk powiedział: „Programowanie inteligencji rozproszonej przypomina rozmowę z pięciolatkiem. Kiedy każesz mu iść do pokoju, przebrać się i wrócić, może to zrobić, ale równie dobrze może o tym zapomnieć i więcej się nie pojawić”.

Ze względu na takie właśnie podobieństwa programiści próbują przeprowadzać analogie między programami i żywymi organizmami. Wykorzystując obserwacje biologów, starają się chociaż w pewnym stopniu zapanować nad swoimi twórcami.

Nic więc dziwnego, że studiują zachowanie mrówek, budowę kopców termitów i taniec pszczół, a potem w oparciu o nie piszą automatyczne translatory, programy centrum kontroli lotów czy oprogramowanie, kierujące ruchem przesyłek pocztowych. Zwykle udaje im się to znakomicie, czasem jednak, zwłaszcza przy gwałtownych zmianach okoliczności zewnętrznych, program traci z oczu cel i się zawiesza.

Dlatego właśnie pięć lat temu zająłem się modelowaniem związków między drapieżnikiem i ofiarą, widząc w nich lekarstwo na tę „sklerozę”. Głodny drapieżnik nie zapomina o ofierze. Okoliczności mogą go zmusić do improwizacji, do opracowania nowej metody polowania, do wielokrotnego powstawania prób — ale nie sprawia, że zapomni, co robił.

Tak stałem się ekspertem od drapieżników i ich ofiar. Dowiedziałem się sporo o hienach, sforach likaonów, lwicach, armiach mrówek. Prze studiowaliśmy w naszym zespole mnóstwo publikacji biologicznych, a po dokonaniu pewnych uogólnień zawarliśmy nasze spostrzeżenia w module PRAZWIERZ. Można było za jego pomocą kontrolować zachowanie skupiska agentów i nadawać sens ich działaniom. PRAZWIERZ zmuszał ich do szukania celów.

Patrzyłem na ekran, na którym pojedyncze punkciki tworzyły skoordynowany rój.

— Zaprogramowaliście poszczególne jednostki na wzór PRAZWIERZA? — zapytałem Ricky'ego.

— Tak, wykorzystaliśmy ten sam zestaw reguł. — Wyglądało, że zachowują się całkiem nieźle. W czym problem? — Sami nie do końca wiemy. — Jak to? Wiemy, że problem istnieje, ale nie jesteśmy pewni, co go powoduje. Czy to wina programowania, czy czegoś innego.

— Na przykład czego? — Zmarszczyłem brwi. — Nie rozumiem, Ricky. Przecież to tylko stado mikroskopijnych robotów, zrobią wszystko, co im każecie. Jeżeli macie kłopot z programem, to go poprawcie. x Ricky spojrział na mnie niepewnie i wstał od stołu.

— Pokażę ci, jak je wytwarzamy. Wtedy mnie zrozumiesz.

Po obejrzeniu taśmy z nagraniem Julii byłem strasznie ciekawy, co pokaże mi Ricky. Tym bardziej, że wielu ludzi, których darzyłem szacunkiem, uważało, że produkcja molekularna jest niemożliwa. Jednym z głównych argumentów był czas potrzebny na stworzenie sprawnie działającej

cząsteczki. Aby w ogóle miało to sens, nanofabryka musiałaby być bardziej wydajna od wszystkiego, co do tej pory stworzył człowiek. Wszystkie taśmy produkcyjne działają w zbliżonym tempie: około jednej części na sekundę. W samochodzie jest tych części kilka tysięcy, toteż można go złożyć w parę godzin. Samolot pasażerski składa się z sześciu milionów segmentów, więc montaż trwa kilka miesięcy.

Tymczasem przeciętna sztucznie wytworzona molekula musiałaby się składać z 1025 elementów. To znaczy 10 000 000 000 000 000 000 000 000 000 części. Nasz mózg nie jest w stanie ogarnąć tej liczby nie ma ona dla człowieka żadnego praktycznego sensu. Z obliczeń wynika jednak, że nawet montując cząsteczkę w tempie miliona elementów na sekundę, na złożenie jej w całość potrzeba by prawie biliona lat, czyli więcej czasu, niż istnieje wszechświat. A to już był poważny problem, znany jako problem czasu budowy.

— Prowadzicie produkcję na skalę przemysłową...

— Tak — przytaknął Ricky.

— W takim razie musieliście jakoś rozwiązać problem czasu budowy.

— Rozwiązaliśmy.

— Jak?

— Jeszcze chwila cierpliwości.

Większość specjalistów zakładała, że ograniczenie to da się obejść, konstruując cząsteczki z większych prefabrykatów, cząsteczek liczących miliardy atomów. W ten sposób dałoby się skrócić czas montażu do kilku lat. Dalej, stosując częściowy automontaż, dałoby się zejść do kilku godzin, może nawet do godziny. Ale nawet takie udoskonalenie procesu nie pozwalałoby produkować opłacalnych ilości molekuł. Nie chodziło bowiem o to, żeby w godzinę uzyskać jedną cząsteczkę, lecz kilka kilogramów cząsteczek.

Nikt nie wiedział, jak to osiągnąć.

Przeszliśmy przez kilka laboratoriów, w tym jedno wyglądające jak zwykła pracownia mikrobiologa czy genetyka. Krzątała się w nim Mae. Chciałem zapytać Ricky'ego, po co im laboratorium mikrobiologiczne, ale uciszył mnie gestem. Wyraźnie się niecierpliwił i spieszył widziałem, że zerka na zegarek. Stanęliśmy przed ostatnią śluzą. Na szkle widniał napis z samoprzylepnych liter: Mikroprodukcja. Ricky skinął na mnie.

— Wchodzimy pojedynczo. Taki jest system.

Wszedłem do śluzy. Drzwi zasunęły się z sykiem, przyssawki szczęknęły i zaczęło wiać: z dołu, z boków, z góry. Już się do tego przyzwyczajałem. Otworzyły się drugie drzwi i znalazłem się w korytarzu, prowadzącym do wielkiej hali. Oślepiająco białe światło było tak silne, że zabołały mnie oczy.

Ricky wszedł za mną. Cały czas coś mówił, ale nie mogłem skupić się na jego słowach. Wybałuszałem tylko oczy, bo znaleźliśmy się w głównym gmachu produkcyjnym — pozbawionym okien hangarze o wysokości trzech kondygnacji. Miałem przed sobą niezwykle skomplikowaną, błyszczącą jak klejnot konstrukcję, która zdawała się wisieć w powietrzu.

Dzień szósty, godzina 9.12

Nie wiedziałem, co to jest: wisiała nade mną olbrzymia, połyskliwa ośmiornica o lśniących, kanciastych ramionach, rozpościerających się we wszystkich kierunkach. Odbite od nich światło tworzyło na ścianach tęczowe wzory. Tylko że ramion było znacznie więcej niż u ośmiornicy. Wyrastały z korpusu na czterech poziomach: pierwsze, najniższe, ciągnęły się tuż nad podłogą, drugie wyrastały na wysokości mojej piersi, trzeci i czwarty poziom znajdował się już ponad moją głowę. Wszystkie mieniły się i błyszczały prześlicznie.

Zamrugalem oczyma, oślepiiony odblaskami, i z wolna zacząłem rozróżniać szczegóły. Ośmiornica znajdowała się wewnątrz nieregularnej konstrukcji ze szklanych sześcianów. Wszystko miało tu kanciaste kształty: podłoga, ściany, sufit, schody. Układ szklanych kostek wyglądał na przypadkowy, tak jakby ktoś rzucił na środek pokoju wielkie przerośnięte kryształki cukru. Rozpełzające się na boki ramiona ośmiornicy podtrzymywane były czarnymi wspornikami, które ginęły w morzu odblasków. Dlatego właśnie na pierwszy rzut oka ośmiornica zdawała się wisieć w powietrzu.

— Montaż zbieżny — wyjaśnił z uśmiechem Ricky. — Architektura fraktalna. Robi wrażenie, co?

— Pokiwałem głową. Dostrzegałem coraz więcej szczegółów: zamiast ośmiornicy widziałem teraz rozgałęzioną drzewiastą strukturę, której centralna kolumna o kwadratowym przekroju wznosiła się w samym środku hangaru. We wszystkich kierunkach odchodziły od niej mniejsze konary, z nich wyrastały jeszcze drobniejsze gałązki, a nich jeszcze cieńsze — i tak dalej. Na ostatnim odcinku miały grubość ołówka. Wszystkie błyszczały jak obłożone lusterkami.

— Czemu to się tak świeci?

— Powłoka diamentowa. Na poziomie molekularnym szkło przypomina ser szwajcarski, tyle w nim dziur. Atomy swobodnie przez nie przecho- dzą.

— Więc nałożyliście powłokę.

— Właśnie. Musieliśmy tak zrobić.

W szklanym lesie uwijali się David i Rosie: robili notatki, regulowali zawory, sczytywali dane z palmtopów. Zrozumiałem, że mam przed sobą rozgałęzioną taśmę produkcyjną. Do najcieńszych rurek wprowadzało się molekuly i dołączano do nich pierwsze atomy. Dalej, w grubszych przewodach, dodawano następne atomy. Molekuly rosły, przesu- wając się do środka maszynerii, aż w końcu gotowe trafiały do centralnej kolumny.

— Tak to się właśnie odbywa — przytaknął Ricky. — Od taśmy w fabryce samochodów różni się tylko skalą. Molekuly przesu- wają się po taśmie do środka, a my dodajemy do nich to sekwencję protein, to znów grupę metylową... Tak jak w samochodzie montuje się drzwi i koła. Na końcu uzyskuje się gotową strukturę molekularną. Zbudowaną na zamówienie.

— Po co aż tyle ramion?

— Można równolegle produkować różne cząsteczki. Dlatego ramiona nie są identyczne. — Gdzieś rury przechodziły przez stalowy, wzmocniony nitami tunel próżniowy, w innych

miejscach spowijała je srebrzysta izolacja termiczna. Obok stały zbiorniki z ciekłym azotem, używanym do zamrażania. — Pokażę ci nasze laboratoria kriogeniczne — ciągnął Ricky. — Uzyskujemy w nim temperaturę do minus siedemdziesięciu stopni.

Przeszliśmy przez hali po szklanych chodnikach, wijących się między ramionami ośmiornicy kilka razy po schodach przechodziliśmy nad najniższymi przewodami. Ricky'emu usta się nie zamykały: opisywał mi wszystkie szczegóły techniczne — przewody próżniowe, metalowe separatory faz, kulowe zawory kontrolne. Kiedy dotarliśmy do zaizolowanego odcinka rury, otworzył masywne drzwi i znaleźliśmy się w maleńkim pomieszczeniu, do którego przylegało drugie, równie mikroskopijne. Wyglądały jak przegrody zamrażarki. W obu drzwiach były małe okienka. W tej chwili w środku panowała temperatura pokojowa.

— Można ustawić jedną temperaturę tutaj, a inną obok — wyjaśnił Ricky. — Procedura jest zautomatyzowana, ale można też sterować stąd produkcją w drugim pomieszczeniu.

Wyszliśmy na zewnątrz. Ricky spojrzął na zegarek.

— Spieszymy się na jakieś spotkanie? — zainteresowałem się.

— Słucham? Nie, nic z tych rzeczy.

Zatrzymaliśmy się przy dwóch sporych metalowych sześciach. Nie miały okien, a do środka wchodziły grube wiązki przewodów elektrycznych.

— Elektromagnesy? — domyśliłem się.

— Tak. Impulsowe. Do sześćdziesięciu tesli w rdzeniu. Pole jest milion razy silniejsze niż pole magnetyczne Ziemi.

Ricky stęknął z wysiłku, otwierając stalowe drzwi. Elektromagnes miał kształt pączka z dziurką o średnicy blisko dwóch metrów otwór w środku miał zaledwie dwa, może trzy centymetry średnicy. Opleciony przewodami magnes znajdował się w grubej plastikowej izolacji, umocowanej śrubami.

Maleństwo musi mieć porządne chłodzenie. I zasilanie: piętnaście kilowoltów. Kondensatory ładują się pełną minutę. Oczywiście możemy go włączać tylko impulsowo gdybyśmy puścili na stałe, rozwaliliby go pole, które generuje. — Ricky pokazał duży przycisk w podstawie elektro magnesu, na wysokości kolan. — Obwód zabezpieczający, tak na wszelki wypadek. Odcina zasilanie. Jeśli masz zajęte ręce, możesz go uruchomić kolanem.

Więc używacie silnych pól magnetycznych do montażu... — zacząłem, ale Ricky już wyszedł. Spojrzął na zegarek. Pospieszyłem za nim. — Ricky...

— Chcę ci pokazać jeszcze kilka rzeczy.

— Ricky, jestem pod wrażeniem. — Skinąłem na błyszczącą ośmiornicę. — Ale wygląda na to, że większość produkcji odbywa się w temperaturze pokojowej, bez próżni, bez kriogeniki, bez pola magnetycznego.

— Zgadza się. W normalnych warunkach. — Jak to możliwe? Wzruszył ramionami.

— Naszym monterom to nie przeszkadza.

— Monterom?! Chcesz mi powiedzieć, że macie tu mikroskopijnych monterów, którzy produkują dla was molekuły?

— Naturalnie. Myślałem, że to oczywiste. — Nie, Ricky. Wcale nie. I nie lubię, jak się mnie okłamuje. !

— Spojrzął na mnie urażony. — To wszystko prawda.

— Byłem pewien, że kłamie.

Naukowcy dość szybko przekonali się, że produkcja molekularna będzie niewiarygodnie trudnym

przedsięwzięciem. W 1990 roku specjaliści z IBM poustawiali atomy ksenonu na niklowej płytce w taki sposób, żeby utworzyły logo firmy. Znaczek miał długość czterech miliardowych części centymetra i można go było oglądać tylko pod mikroskopem elektronowym, ale wyglądał intrygująco i trafił do gazet. IBM przedstawiało to osiągnięcie jako przełom w produkcji molekularnej, ale w rzeczywistości była to tania sztuczka. Nic więcej.

Przesuwanie pojedynczych atomów i układanie z nich żądanych kształtów jest zajęciem żmudnym, długotrwałym i kosztownym. Ustawienie trzydziestu pięciu atomów zajęło ludziom z IBM cały dzień. Nikt nie sądził, że da się w ten sposób stworzyć nową technologię. Zakładano natomiast, że uda się zbudować monterów — maszyny molekularne, zdolne produkować żądane cząsteczki, tak jak automat do produkcji łożysk wypluwa gotowe wyroby.

Pomysł był intrygujący, ale trudności niewyobrażalne. Monterzy musieli być znacznie bardziej skomplikowani od molekuł, które wytwarzali, nie więc dziwnego, że prace nad ich stworzeniem od początku szły jak po grudzie. Nie słyszałem, żeby jakieś laboratorium na świecie uporało się z tym problemem. Tymczasem Ricky twierdził, że Xymos potrafi konstruować monterów molekularnych, którzy produkują potrzebne firmie cząsteczki.

— Nie wierzyłem w to.

Całe życie miałem kontakt z nowoczesną technologią i zawsze instynktownie wyczuwałem, co jest możliwe, a co nie. Nie było mowy, żeby komuś udało się wykonać taki wielki krok naprzód. Technika jak każda inna forma wiedzy, potrzebuje czasu, żeby się rozwijać, ewoluować, dojrzewać. Gdyby było inaczej, bracia Wright mogliby zbudować raketę i polecieć na Księżyc, zamiast przefrunąć sto metrów nad wydmami w Kitty Hawk.

— Nanotechnologia była ciągle na etapie Kitty Hawk.

— Daj spokój, Ricky, powiedz, jak naprawdę to robicie.

— Szczegóły techniczne nie są najważniejsze.

— Co ty mi tu pieprzysz? Jak to nie są najważniejsze?

— Jack... — Ricky uśmiechnął się promiennie. — Naprawdę myślisz, że cię okłamuję?

— Byłem pewien, że tak.

Powiodłem wzrokiem po otaczających nas zewsząd ramionach ośmiornicy. Zobaczyłem swoje odbicie w dziesiątkach błyszczących powierzchni. Nie mogłem się skoncentrować, zebrać myśli. Spuściłem wzrok i spojrzałem pod nogi. Poruszaliśmy się po szklanych chodnikach, zawieszonych nad podłogą. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że sama podłoga w niektórych miejscach też jest ze szkła. Podeszedłem do jednego takiego fragmentu, pod którym biegły stalowe przewody. Jedna rura szczególnie zwróciła moją uwagę: wychodziła z warsztatu, przebijała posadzkę i rozwidlała się, łącząc z cieniutkimi końcówkami ramion ośmiornicy. Domyśliłem się, że dostarcza surową materię organiczną, która w maszynie przetwarzana jest w gotowe molekuly.

Spojrzałem pod podłogę i prześledziłem bieg rury w drugą stronę, w kierunku sąsiedniego pomieszczenia. Fragment ściany, który przebijała, też był wykonany ze szkła. Dostrzegłem za nim zakrzywione spody kadzi, które wcześniej zwróciły moją uwagę. Tych samych, które kojarzyły mi się z browarem. Nic dziwnego: przecież browar to miejsce, w którym zachodzi kontrolowana fermentacja. Kontrolowany rozwój kolonii mikroorganizmów.

tedy zrozumiałem, co naprawdę mam przed sobą.

— Wy skurczybyki! — mruknąłem.

— Ricky uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— No co? Przynajmniej działa.

Kadzie rzeczywiście służyły do hodowania mikroorganizmów, ale nikt tu nie myślał o warzeniu piwa. Produkowano w nich mikroby, których przeznaczenie stało się teraz jasne. Nie mogąc skonstruować prawdziwych nanomonsterów, Xymos zmusił do pracy bakterie. To już nie była nanotechnologia, tylko inżynieria genetyczna.

— No, niezupełnie — odparł Ricky, kiedy podzieliłem się z nim swoimi przemyśleniami. — Chociaż muszę przyznać, że korzystamy z techniki hybrydowej. Chyba cię to nie dziwi, co?

Rzeczywiście nie było się czemu dziwić. Od co najmniej dziesięciu lat prorokowano, że inżynieria genetyczna, informatyka i nanotechnologia połączą się ostatecznie w jedną dziedzinę nauki. Wszystkie zajmowały się podobnymi problemami, dziedziny ich zainteresowań przenikały się. Różnica między komputerowym dekodowaniem genomu bakterii i wspomaganą komputerowo produkcją nowych protein na drodze manipulacji DNA jest naprawdę niewielka. Tak jak niewielka jest różnica między stworzeniem bakterii, która produkowałaby na przykład cząsteczki insuliny, i skonstruowaniem mikromechanicznego montera insuliny. Najważniejsze rzeczy działały się na poziomie molekularnym, toteż wszystko sprowadzało się do kontrolowania mikroskopijnych, niezwykle skomplikowanych systemów. A jeśli chodzi o stopień złożoności, projektowanie molekularne nie miało sobie równych.

Kiedy myślimy o cząsteczce chemicznej, przychodzi nam na myśl konstrukcja złożona z kolejnych atomów, jak z klocków lego. To wyobrażenie bywa jednak mylące. W przeciwieństwie do klocków, atomów nie można łączyć w dowolnie wybrane układy. Umieszczony w cząsteczce atom podlega działaniu potężnych sił magnetycznych i chemicznych, co grozi niepożądanymi skutkami: atom może zostać wytracony z zajmowanej pozycji, może zostać na miejscu, ale ustawiony pod złym kątem, może wreszcie doprowadzić do zaplątania w supel całej molekuly.

Produkcja molekularna jest sztuką. Najpierw trzeba znaleźć możliwe układy atomów, a potem tak nimi manipulować, żeby osiągnąć pożądane efekty. W obliczu takich trudności nie można było lekceważyć faktu, że istnieją w naturze sprawdzone i wydajne fabryki molekuł. Nazywa się je komórkami.

— Niestety, produkcja komórkowa ma swoje ograniczenia — tłumaczył Ricky. — Otrzymujemy w niej półprodukty, surowiec dla dalszej obróbki nanotechnologicznej. Musimy łączyć obie techniki.

— Wskazałem na metalowe kadzie.

— Jakie komórki hodujecie?

— Thetad 5972.

— To znaczy?

— Jeden ze szczepów E. coli.

— E. coli to popularna bakteria, występująca w naturze prawie wszędzie, nawet w przewodzie pokarmowym człowieka.

— Nie pomyśleliście o tym, że użycie komórek, które gnieźdzą się w człowieku, może nie być najszcześniejszym pomysłem?

— Nie, nikt się nad tym nie zastanawiał. Potrzebna nam była dobrze zbadana komórka, której pełny opis można znaleźć w literaturze naukowej. Standardowa komórka.

— Rozumiem...

— To chyba naprawdę żaden kłopot, Jack. Thetad nie zalęgnie się w człowieku. Jest przystosowana do pobierania pożywienia z różnych źródeł, żeby nie była za droga w utrzymaniu.

Podjejrzywam, że wyżyłaby nawet na śmietniku.

— Więc stąd się biorą wasze molekuly? Produkują je wam bakterie.

— Tak, protomolekuly są produkowane przez bakterie. Jest ich dwadzieścia siedem rodzajów.

Łączą się w środowisku wysokotemperaturowym. Atomy są wtedy bardziej aktywne.

— To dlatego tu jest tak ciepło.

— Właśnie. Reakcja osiąga maksymalną wydajność przy sześćdziesięciu czterech stopniach Celsjusza wtedy jest najwyższe tempo rekombinacji. Chociaż proces przebiega też w niższej temperaturze — cztery pięć stopni.

— Nie potrzebujecie żadnych dodatkowych warunków? — zdziwiłem się. — Próżni? Ciśnienia?

Pola magnetycznego?

— Nie, Jack. — Ricky pokręcił głową. — Owszem, przydają się, żeby przyspieszyć cały proces, ale nie są niezbędne. To bardzo dobry projekt i protocząsteczki zgrabnie się ze sobą łączą.

— Tworząc ostatecznie waszego montera?

— Tak. Montera, który potem składa docelowe molekuly.

— Rozwiązanie było bez wątpienia pomyslowe. Jednakże Ricky twierdził, że składniki łączą się automatycznie, jeżeli zachowana jest odpowiednia temperatura. Po co w takim razie zbudowali tego szklanego potwora?

— Dzięki separacji procesów zwiększa się wydajność. Możemy budować dziewięciu różnych monterów jednocześnie, każdego w innym ramieniu.

— Gdzie monterzy składają docelowe molekuly?

— W tej samej maszynie, ale najpierw potrzebna jest reaplikacja. Pokręciłem głową. Nie znalazłem tego terminu.

— Reaplikacja?

— Opracowaliśmy takie drobne udoskonalenie, chcemy je teraz opatentować. System działał od początku bez zarzutu, ale był bardzo mało wydajny: w godzinę uzyskiwaliśmy pół grama gotowych cząsteczek. W tym tempie budowa jednej kamery trwałaby kilka dni. Nie mogliśmy sobie z tym poradzić. Końcowy etap montażu odbywa się w fazie gazowej. Co się okazało? Monterzy są ciężcy i opadają na dno. Nad nimi sadowią się bakterie, uwalniając protomolekuly, które, jako najlżejsze, unoszą się ku powierzchni. Efekt jest taki, że monterzy prawie nie mają kontaktu z cząsteczkami, z którymi powinni pracować. Próbowaliśmy techniki hybrydowej, ale nic z tego nie wynikło.

— Co wtedy zrobiliście?

— Zmodyfikowaliśmy monterów. Zaopatrzyliśmy ich w lipotropową podstawę, która przykleja się do powierzchni bakterii. Dzięki temu monterzy mają lepszy kontakt z protocząsteczkami. Wydajność od razu skoczyła o pięć rzędów wielkości.

— Czyli monterzy po prostu siedzą na bakteriach?

— Tak. Przyczepiają się do zewnętrznej błony komórkowej.

Na stojącym obok komputerze Ricky wywołał obraz nanoskopowego montera. Z wyglądu przypominał mały wiatraczek: ze skupiska atomów rozchodziły się na boki spiralne ramiona.

— Jak ci już mówiłem, ma strukturę fraktalną — ciągnął Ricky. — Bez względu na powiększenie wygląda tak samo. — Wcisnął parę klawiszy. — A tak wygląda przyklejony to bakterii.

Na ekranie monter przykleił się do dużego, obłego obiektu. Wyglądał jak wiatraczek na kadłubie okrętu podwodnego.

— Bakteria Thetad z doczepionym monterem.

Patrzyłem, jak na powierzchni bakterii sadowią się następni monterzy.

— To właśnie ci monterzy produkują wasze kamery?

— Tak. — Znow wybrał jakąś kombinację klawiszy. Na ekranie pojawił się nowy obrazek. —

Tak wygląda gotowa nanokamera. Widziałeś już model, który można wstrzyknąć człowiekowi, a to jest wersja wojskowa — sporo większa i latająca, taki molekularny helikopter.

— Co z zasilaniem?

— Nie ma zasilania. Widzisz te zaokrąglone wypustki, sterczące pod różnymi kątami? Można powiedzieć, że to właśnie są silniki. Kamera wykorzystuje lepkość powietrza.

— Co takiego?

— Lepkość powietrza. Nie zapominaj, Jack, że mówimy o mikromaszynach. To jest zupełnie inny świat.

Projekt może i był nowatorski, ale na razie nie spełniał stawianych przez Pentagon wymagań. Owszem, udało się zbudować kamerę, która przekazuje zadowalający obraz i której nie można zestrzelić. Ricky twierdził, że podczas prób w zamkniętej przestrzeni działa bez zarzutów, ale na dworze wystarczył najlżejszy powiew wiatru, żeby rozwiać i rozproszyć chmurę kamer.

Inżynierowie Xymosu próbowali tak je zmodyfikować, żeby mogły się swobodnie poruszać. Bez powodzenia. Tymczasem Departament Obrony uznał, że nie da się przewyciężyć ograniczeń konstrukcyjnych i zarzucił ideę użycia nanokamer. Zerwał kontrakt z Xymosem i najdalej za sześć tygodni zamierzał ostatecznie zakręcić kurek z pieniędzmi.

— Czy to dlatego Julia tak rozpaczliwie szuka cywilnych inwestorów?

— Tak. Nie ma co owijać w bawełnę: może się okazać, że Xymos padnie jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

— Chyba że uda wam się tak przerobić kamery, żeby wiatr im nie przeszkadzał.

— No właśnie.

— Ricky, ja jestem informatykiem. Nie mogę wam pomóc, bo to jest kwestia inżynierii molekularnej. Nie znam się na tym.

— Wiem o tym. — Ricky zawiesił głos. Nachmurzył się. — Ale widzisz, naszym zdaniem odpowiednie oprogramowanie może załatwić sprawę.

— Oprogramowanie?

— Będę z tobą szczery, Jack. Popelniliśmy błąd. Z winy podwykonawców. — Ricky zaczął schodzić po schodach. — Chodź, sam zobaczysz.

Przeszliśmy na drugą stronę hangaru, gdzie czekała na nas przytwierdzona do ściany żółta klatka windy. Była malutka i otwarta, czułem się w niej niepewnie i starałem się nie patrzeć w dół.

— Masz lęk wysokości? — spytał Ricky.

— Tak jakoś wyszło.

— Lepiej jechać, niż iść. — Wskazał ręką umocowaną do ściany żelazną drabinę. — Gdyby winda wysiadła, musiałbyś się wdrapywać na piechotę.

— Wzdrygnąłem się.

Nie ma mowy.

Wjechaliśmy pod sam sufit, trzy kondygnacje nad ziemię, i znaleźliśmy się w płątaniu przewodów i rur, na ażurowym chodniku serwisowym. Nie podobało mi się to widziałem pod nogami cały hangar, aż po odległą podłogę. Staralem się nie patrzeć w dół. Musieliśmy się cały czas pochylać, przechodząc pod nisko zawieszonymi przewodami.

— Tu jest cała maszyna! — wyjaśnił Ricky, przekrzykując hałas. — Tam jest klimatyzacja! To zbiornik wody do spryskiwaczy! Tam są sterowniki! Znajdujemy się w sercu zakładu! — Zatrzymaliśmy się przy szerokim na metr kanale wentylacyjnym, który zniknął w zewnętrznej ścianie. Ricky nachylił się, mówiąc mi prosto do ucha: — To jeden z czterech głównych wylotów powietrza. Widzisz te zagłębienia? I te kwadratowe skrzynki, które w nich siedzą? To filtry. Kilka warstw mikrofiltrów ma zapobiegać zanieczyszczeniu środowiska.

— Widzę...

— Teraz każdy je widzi. Kłopot w tym, że początkowo wykonawca zapomniał je zainstalować w tym kanale. Nie wyciął nawet tych zagłębień i inspektor nadzoru nie zorientował się, że czegoś brakuje. Podpisał odbiór budynku, a my zaczęliśmy normalnie pracować. I bez filtrowania wydmuchiwaliliśmy wszystko na zewnątrz.

— Długo?

— Ricky przygryzł wargę.

— Przez trzy tygodnie. ... — A produkcja szła pełną parą?

— Pokiwał głową.

— Wypuściliśmy jakieś dwadzieścia pięć kilogramów śmiecia. — Jakiego śmiecia?

— Wszystkiego po trochu. Sami nie jesteśmy pewni. — E. coli, monterów, gotowe molekuly...

— Tak, nie wiemy tylko, w jakich proporcjach.

— A ma to znaczenie?

— Może mieć.

Ricky coraz bardziej się denerwował: przygryzał usta, drapał się po głowie, nie patrzył mi w oczy. Nie wiedziałem, co jest grane. Dwadzieścia pięć kilogramów odpadów przemysłowych to betka. Zmieściłyby się w torbie sportowej. Nie ma powodu do zmartwień, przecież nie są radioaktywne ani silnie toksyczne.

o z tego, Ricky? Wiatr rozproszył te cząsteczki na pustyni. Rozłożą się od światła i promieniowania kosmicznego, znikną. Wystarczy kilka godzin czy dni i będzie spokój. Czyż nie mam racji?

Ricky wzruszył ramionami.

— Widzisz, Jack, to niezupełnie...

— W tym momencie odezwał się brzęczyk alarmowy.

— Dźwięk nie był specjalnie przeraźliwy — ot, ciche, chociaż natrętne buczenie — ale Ricky skoczył jak oparzony. Jego kroki zadudniły na metalowej kracie, kiedy podbiegł do zamontowanego w ścianie terminalu. Na ekranie wyświetlał się czerwony napis: PV90 ENTRY.

— Co to znaczy? — zapytałem.

— Włączyły się czujniki obwodowe. — Ricky odpiął od pasa krótkofalówkę. — Vince? Odetnij nas.

— Radio zatrzeszczało.

— Jesteśmy odcięci, Ricky.

— Zwiększ ciśnienie.

— Już jest trzy i pół kilograma ponad normę. Dać więcej !

— Dawaj. Mamy obraz?

— Jeszcze nie.

— Cholera! — Ricky przypiął nadajnik do pasa i zaczął pisać na klawiaturze. Na ekranie

pojawiło się sześć prostokątów, w których wyświetlały się obrazy z zainstalowanych w kompleksie kamer przemysłowych: jedne musiały znajdować się gdzieś wysoko, na dachu, inne tuż nad powierzchnią ziemi. Obracały się wolno.

- Nie widziałem nic niepokojącego — tylko pustynię, kolczaste krzaki i kępy kaktusów.
- Fałszywy alarm?
- Ricky pokręcił głową.
- Chciałbym, żebyś miał rację.
- Ja nic nie widzę.
- Zaraz zobaczysz.
- Co zobaczę? To.

Ricky wskazał na monitor i przygryzł wargę.

Na ekranie pojawił się czarny obłoczek, złożony z maleńkich elementów. Wyglądał jak miniaturowa trąba powietrzna, jedno z tych niegroźnych zawirowań powietrza, które przemieszczają się nad rozpaloną powierzchnią pustyni, napędzane prądami konwekcyjnymi. Tylko że to tornado było całkiem czarne i układało się w intrygujący kształt: w środku miało przewężenie, które upodabniało je do butelki coca-coli. Ten kształt jednak nie utrzymał się długo, cały czas coś się w nim zmieniało. — Co to jest, Ricky?

- Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.
- Wygląda jak rój. Czy to wasze kamery? — Nie. To coś zupełnie nowego.
- Skąd wiesz?
- Bo nie możemy nimi sterować. Nie reagują na nasze sygnały radiowe.
- Próbowaliście?

— Tak. Od prawie dwóch tygodni usiłujemy nawiązać kontakt z tym rojem. Generuje pole elektryczne, udało nam się je nawet zmierzyć, ale nie możemy wymusić żadnej reakcji.

- Czyli rój wymknął się wam spod kontroli. . — Tak jest. — I lata sobie samopas. — Tak..
- Od jak dawna? — Mniej więcej dziesięć dni.

— Dziesięć dni? Jak to możliwe, Ricky? Ten rój to zbiorowisko mikrorobotów. Jak to się stało, że nie uległy rozkładowi? Skąd czerpią energię? I dlaczego nie możecie ich kontrolować? Jeżeli umieją tworzyć rój, to muszą się w jakiś sposób kontaktować ze sobą, zapewne modulując pole elektryczne. Wobec tego powinniście móc nimi sterować. Albo przy najmniej rozpędzić je na cztery wiatry.

— To wszystko prawda, ale nie potrafimy tego zrobić. A próbowaliśmy już wszystkiego. — Ricky z nateżeniem wpatrywał się w ekran. — Ta chmura nas nie słucha. Koniec, kropka.

- Więc ściągnęliście mnie tutaj...
- Żebyś pomógł nam ją złapać.

Dzień szósty, godzina 9.32

Takich problemów nikt się chyba nigdy nie spodziewał. Kiedy przez lata zajmowałem się programowaniem agentów, wszystkie nasze wysiłki skupiały się na tym, żeby zmusić ich do interakcji, która da pożądane efekty. Nikomu nie przyszło do głowy, że rój mógłby się wyrwać spod kontroli. To było po prostu niemożliwe. Pojedynczy agenci byli zbyt mali, żeby mieć własne zasilanie. Energię mogli czerpać tylko z jakiegoś zewnętrznego źródła, na przykład z pola elektrycznego albo mikrofalowego. Wystarczyło takie pole wyłączyć i rój umierał. Sterowało się nim równie łatwo jak robotem kuchennym: pstryk przełącznikiem — i spokój.

Tymczasem Ricky twierdził, że ta chmura od kilku dni jest samowystarczalna. To było bez sensu.

— Skąd czerpie energię? Ricky westchnął.

— Wbudowaliśmy kamerom element fotoelektryczny, żeby pod wpływem strumienia fotonów same mogły generować prąd. To zasilanie awaryjne, ale wygląda na to, że całkowicie im wystarcza.

— Więc są zasilane energią słoneczną — podsumowałem. — Tak.

— Czyj to był pomysł? — Pentagon się tego domagał.

— Wbudowaliście im jakąś pojemność?

— Tak, mogą przez trzy godziny przechowywać zgromadzony ładunek.

— No dobrze. — Nareszcie jakieś konkrety. — Energii wystarcza im na trzy godziny. A co robią w nocy?

— Przypuszczam, że przestają działać trzy godziny po zmroku. — I chmura się rozpada?

— Tak.

— Kamery spadają na ziemię? — Chyba tak. — Nie moglibyście wtedy ich pozbiierać?

— Moglibyśmy, gdybyśmy umieli je znaleźć. Co noc wychodzimy ich szukać, ale nic z tego.

— Są oznakowane?

— Oczywiście. Każda kamera ma w pokrywie moduł fluorescencyjny, który w ultrafiolecie świeci niebieskozielonym światłem.

— Chodzicie nocą po pustyni i wypatrujecie ich.

— Tak. Na razie bez skutku.

Nie byłem specjalnie zaskoczony. Jeżeli chmura opadała w jednym miejscu, tworzyła plamę o średnicy najwyżej piętnastu centymetrów. A pustynia w Nevadzie jest spora. Nic dziwnego, że ludzie Ricky'ego nie mogli niczego znaleźć.

Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że jeszcze jedna rzecz mi tu nie pasuje. Kiedy chmura opadała na ziemię (po tym, jak kamerom kończył się prąd), wiatr mógł ją rozwiać jak kupkę piasku i uniemożliwić jej ponowne uformowanie się. Jednak ta chmura odtwarzała się dzień po dniu. Jakim cudem?

— Podejrzewamy, że wieczorem się chowa — powiedział Ricky.

— Chowa się?

— Tak. Znajduje jakieś osłonięte od wiatru miejsce: dziurę w ziemi, zagłębienie w kamieniu, coś

w tym guście.

Pokazałem kłębiący się na monitorze obłok.

— Myślisz, że ten rój umie się ukryć?

— Myślę, że się przystosowuje. Nie, nie myślę: ja to wiem. Zresztą to nie jedyny taki rój.

— Jest ich więcej?!

— Co najmniej trzy.

Zgłupiałem. Nie wiedziałem, co myśleć, nie byłem w stanie ogarnąć znaczenia słów Ricky'ego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— One się rozmnażają, Jack. Te francowate kamery się rozmnażają.

Obserwowaliśmy zbliżający się rój okiem kamery, znajdującej się na poziomie gruntu. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że swoimi ruchami wcale nie przypomina tornada: drobinki podfruwały najpierw w jedną stronę, potem w drugą, na przemian, rytmicznie.

Tak mógł się zachowywać tylko rój.

O wyrażaniu się" mówimy w wypadku niektórych owadów, tworzących liczne społeczności (takich jak mrówki czy pszczoły), kiedy przenoszą gniazdo w nowe miejsce. Rój pszczół lata tam i z powrotem, jak falująca w powietrzu czarna rzeka. Może się zatrzymać, przyłgnąć do pnia drzewa i przesiedzieć tak godzinę, dwie albo całą noc, zanim ruszy w dalszą drogę. W pewnym momencie zostaje wybrane nowe miejsce pod gniazdo i rój przestaje być potrzebny.

Informatycy coraz częściej piszą programy, które naśladują to zachowanie. Algorytmy modelujące inteligencję roju mają ogromne znaczenie. Dla informatyka rój oznacza populację wirtualnych agentów, którzy — korzystając z inteligencji rozproszonej — wspólnie rozwiązują problemy. Symulacja roju szybko zyskała popularność jako metoda wymuszenia współpracy agentów. Powstały organizacje specjalizujące się wyłącznie w problemach inteligencji rojów, odbywają się konferencje poświęcone tylko tej dziedzinie. Ostatnio rój zyskał status uniwersalnego rozwiązania awaryjnego: jeżeli program nie działał w odpowiednio twórczy sposób, tworzyło się rój agentów.

Przyglądając się czarnej chmurze, doszedłem jednak do wniosku, że nie zachowuje się jak klasyczny rój. Falowanie było tylko jedną ze składowych jej ruchu oprócz tego obłok rozszerzał się i kurczył rytmicznie, pulsował, można by pomyśleć, że oddycha. Poza tym cząsteczki poruszały się w pionie: chmura wyciągała się w górę, zwężała, a potem znów pęczniała i przypadała do ziemi. Te kilka rytmów nakładało się na siebie nieustannie.

— Cholera, nigdzie nie widać pozostałych — mruknął Ricky. — A przecież nie przyleciał sam.

— Włączył krótkofalówkę. — Vince? Widzisz pozostałe?

— Nie, Ricky.

— Gdzie reszta? Hej, ludzie, zgłóście się. — Zatrzeszczały odbiorniki.

— Jest sam — odezwał się Bobby Lembeck.

— To niemożliwe.

— Czujniki nic nie wykazują — zameldowała Mae Chang.

— Jest tylko jeden rój, Ricky — potwierdził David Brooks.

— Na pewno nie! — Ricky ścisnął nadajnik tak mocno, że palce mu zbieleły. Wcisnął guzik nadawania. — Vince, podnieś ciśnienie do siedmiu.

— Jesteś pewien? — Tak.

— No dobrze, jeśli naprawdę uważasz...

— Daruj sobie komentarze i rób, co mówię!

Ricky chciał zwiększyć ciśnienie w kompleksie do siedmiu kilogramów na centymetr kwadratowy. W laboratoriach, gdzie ważna jest sterylność środowiska, zawsze utrzymuje się lekkie nadciśnienie, żeby przez ewentualne nieszczelności nie dostawał się do środka kurz — uciekające powietrze automatycznie wypycha go na zewnątrz. Zwykle wystarcza jednak nadciśnienie rzędu kilograma na centymetr kwadratowy. Siedem kilogramów to bardzo dużo. Nikt by tego nie robił, gdyby chodziło o bierne cząstki.

Ale o roju na pewno nie można było powiedzieć, że jest bierny.

Patrzyłem, jak rój zbliża się i faluje. Momentami odbijał światło słońca w taki sposób, że jarzył się metaliczną poświatą. Potem blask gasł i rój znów stawał się jednolicie czarny. To z pewnością słońce odbijało się w płytkach fotoelektrycznych. Ten efekt dowodził wysokiej ruchliwości elementów roju.

— Wydawało mi się, że Pentagon zrezygnował z waszych usług, bo nie potraficie kontrolować roju w locie.

— To prawda. Nie potrafimy.

— Ale w ostatnich dniach nieźle tu chyba dmuchało, co?

— Fakt. Wiatr zwykle zrywa się późno po południu, wczoraj wiał z prędkością dziesięciu węzłów.

— Dlaczego nie rozwiął roju?

— Bo rój wie, czego się spodziewać — odparł ponuro Ricky. — Dostosował się.

— Jak?

Patrz uważnie, to sam zobaczysz. Kiedy powieje wiatr, rój natychmiast przypada do ziemi. Podrywa się dopiero wtedy, kiedy przestanie wiać.

— Czy to zachowanie emergentne?

— Oczywiście. Nikt go nie zaprogramował. — Ricky przygryzł wargę. Czyżby znowu kłamał?

— Chcesz powiedzieć, że rój nauczył się...

— Tak, właśnie tak.

— Jakim cudem? Przecież kamery nie są wyposażone w moduł pamięci.

— No... To dłuższa historia.

— Czyli mają wbudowaną pamięć, tak?

— Mają. Ograniczoną, ale mają. — Ricky włączył krótkofalówkę. — Słyszycie coś?

Radio zaskrzeczało w odpowiedzi:

— Jeszcze nie. — Nic.

— Zupełnie nic? — Na razie nie.

— Czy ten rój wydaje jakieś dźwięki? — spytałem.

— Nie mamy pewności, ale czasem chyba tak. Próbowujemy to nagrać...

Postukał w klawisze komputera, przeglądając w powiększeniu obrazy z kamer. Pokręcił głową. — Nie podoba mi się to. Na pewno nie przyleciał sam, więc chciałbym wiedzieć, co się stało z resztą.

— Skąd ta pewność, że są w pobliżu?

— Zawsze są. — Ricky w napięciu wpatrywał się w monitor. — Ciekawe, co teraz knuje...

Nie musieliśmy długo czekać na odpowiedź. Rój znalazł się już kilka metrów od ścian zakładu, gdy nagle podzielił się na dwa mniejsze, z których jeden podzielił się jeszcze raz. Mieliśmy teraz trzy roje.

— To sukinsyn... Schował tamte dwa w sobie. — Ricky pstryknął przełącznikiem krótkofalówki.

— No, proszę państwa, mamy całą trójkę. I to bardzo blisko.

Faktycznie, roje unosiły się w powietrzu tak blisko fabryki, że znalazły się poza kadrem kamery na poziomie gruntu. Ricky przełączył się na widok z góry: trzy czarne chmury przesuwały się poziomo wzdłuż ściany. Wyglądało to na przemyślane, celowe zachowanie.

— Co one robią?

— Chcą wejść do środka.

— Po co?

— Musiałbyś je o to zapytać. Ale wczoraj jeden...

Nagle z pobliskiej kępy kaktusów wyskoczył dziki królik i popędził przed siebie. Roje ruszyły za nim w pogoń.

Ricky przełączył się na poprzednią kamerę: trzy roje osaczały przerażone zwierzątko, które gnało, ile sił w skokach — na ekranie widzieliśmy tylko białą smugę. Zaskoczyła mnie szybkość rojów, ale poza tym nie miałem wątpliwości, co się dzieje. Roje polowały na królika.

Poczułem przypływ irracjonalnej dumy: PRAZWIERZ działał bez zarzutu. Zachowanie rojów było tak przemyślane, jakby to lwy polowały na gazelę. Skręciły gwałtownie i rozdzieliły się, odcinając królikowi drogę ucieczki na boki. Wyglądało na to, że się porozumiewają. Były coraz bliżej.

Nagle jeden z rojów zanurkował i pochłonął królika. Dwa pozostałe opadły chwilę potem. Chmura zrobiła się tak gęsta, że zwierzę zniknęło w niej bez śladu. Musiało przewrócić się na grzbiet, bo ponad czarny obłok wystawały dwa spazmatycznie drgające skoki.

— Zabijają go — powiedziałem.

— Ricky pokiwał głową.

— Na to wygląda.

— Przecież to są tylko kamery.

— Cóż mogę ci powiedzieć?

— Jak to możliwe, żeby kamery polowały?

— Tego nikt nie wie, Jack. Ale są szybkie.

— Widzieliście już przedtem coś takiego?

— Nie

Ricky zawahał się, zagryzł wargę. Nie odpowiedział, patrzył tylko w milczeniu na ekran.

— Ricky! Widzieliście już przedtem coś takiego?!

— Tak — westchnął. — Wczoraj zabiły grzechotnika.

— „Wczoraj zabiły grzechotnika” — powtórzyłem w myślach.

— Jezu Chryste, Ricky...

Przypomniałem sobie pasażerów śmigłowca, którzy mówili o zdechłych zwierzętach. Ciekaw byłem, czy Ricky jeszcze coś przede mną ukrywa.

— No właśnie.

Królik przestał się ruszać. Jedna ze sterczących do góry łap zadygotała ostatni raz i znieruchomiała. Rój opadł zwierzę ze wszystkich stron, falując w górę i w dół. Trwało to prawie minutę.

— Co się teraz dzieje?

— Nie jestem pewien... — Ricky pokręcił głową. — Ale to też już robiły.

— Wygląda tak, jakby go jadły.

— Właśnie.

To czysty absurd. PRAZWIERZ był tylko symulacją świata zwierzęcego, niczym więcej. Patrząc na pulsującą chmurę, doszedłem do wniosku, że program mógł się zwyczajnie zawiesić. Nie mogłem sobie przypomnieć, jakie zaprogramowałem reguły zachowania po osiągnięciu celu. Prawdziwy drapieżnik pożarłby zdobycz, ale w wypadku mikrorobotów nie istniała sensowna analogia. Może po prostu chwilowo zgłupiały, ale nawet w takim wypadku niedługo powinny ruszyć z miejsca.

Zwykle przerwa w działaniu inteligencji rozproszonej była stanem przejściowym. Prędzej czy później wpływ środowiska musiał zaktywizować wystarczająco dużo agentów, żeby pobudzili do działania resztę. Wtedy program zaczynał działać od nowa — i szukał nowego celu.

Takie zachowanie można zaobserwować w sali konferencyjnej po zakończeniu wykładu. Publiczność przez chwilę kręci się w kółko — ludzie zagadują sąsiadów, przeciągają się, witają, zbierają swoje rzeczy, pakują się. Niektórzy od razu wychodzą, ale mało kto zwraca uwagę na te nieliczne jednostki. Kiedy jednak z sali zniknie określony procent publiczności, pozostali przestają się ociągać i sala szybko pustoszeje. Jakby ludzie nagle zmienili zainteresowania.

Jeżeli moje rozumowanie było słuszne, powinniśmy niedługo zaobserwować podobną zmianę w zachowaniu roju: chmura straci regularny wygląd, zmieni się w beładne strzępy. Dopiero wtedy cały rój ruszy z miejsca.,

Spojrzałem na wyświetlony w rogu monitora zegar.

— Ile to już trwa?

— Jakies dwie minuty.

Niezbyt długo jak na przerwę w programie. Podczas pisania PRAZWIERZA często robiliśmy na komputerze próbne symulacje. Kiedy program się zawieszał, resetowaliśmy komputer, ale któregoś razu postanowiliśmy poczekać i sprawdzić, czy zawiesił się nieodwracalnie. Okazało się, że może upłynąć nawet i dwanaście godzin, zanim znów zaskoczy. Zainteresowało to specjalistów od sieci neuronowych, ponieważ...

— Ruszają — powiedział Ricky.

Rzeczywiście, roje podrywały się do lotu. Od razu się zorientowałem, że nie miałem racji: nie było żadnych strzępków, żadnych przypadkowych ruchów. Trzy obłoki wzbily się w powietrze gładko, równo w ich zachowaniu nie było nic z przypadkowości. Przez chwilę szybowały osobno, potem zlały się w jeden rój. Słońce rozbłysło na jego powierzchni. Martwy królik leżał na boku. Rój odleciał w głąb pustyni. Kurczył się, kurczył, aż całkiem zniknął nam z oczu.

— Co ty na to? — Ricky spojrzał na mnie.

— Macie tu rój nanorobotów, którym nie umiecie sterować. W dodatku jakiś dureń wbudował mu zasilanie. Rój jest samowystarczalny.

— Myślisz, że uda się go sprowadzić z powrotem?

— Nie. Po tym, co widziałem, sądzę, że nie macie szans.

— Ricky westchnął i pokręcił głową.

— Ale na pewno można się go pozbyć — dodałem. — Można go zabić.

— Naprawdę?

— Oczywiście.

— Mówisz serio? — Ricky cały się rozpromienił.

— Oczywiście. — Mówiłem całkiem szczerze. Uważałem, że Ricky niepotrzebnie wyolbrzymił

problem, zamiast go dokładnie przemyśleć. Byłem pewien, że można szybko zlikwidować niepokorny rój — najdalej rano następnego dnia powinno być po wszystkim.

Niestety, zbyt mało wiedziałem o moim przeciwniku.

Dzień szósty, godzina 10.11

Patrząc wstecz, nie mam wątpliwości, że w jednym miałem rację: koniecznie trzeba było poznać przyczynę śmierci królika. Teraz wiem nie tylko, jak zginął, ale i dlaczego został zaatakowany. Jednak wtedy, pierwszego dnia w laboratorium, nie miałem zielonego pojęcia, co się właściwie dzieje. Nie mogłem się domyślić.

— Właściwie nikt nie miał na to szans.

— Ani ja, ani Ricky, ani nawet Julia. — Od zniknięcia rojów minęło dziesięć minut. Zebraliśmy się w warsztacie. Wszystkie oczy skierowały się na mnie, kiedy przypinałem do paska krótkofalówkę i zakładałem na głowę słuchawki i okulary z wbudowaną nad lewym okiem kamerą. Po chwili udało się dostroić przekaźnik obrazu.

— Naprawdę chcesz wyjść na dwór? — zapytał z niedowierzaniem Ricky.

— Tak. Muszę się dowiedzieć, co się przydarzyło królikowi. — Od wróciłem się do pozostałych. — Kto idzie ze mną?

— Nikt się nie zgłosił. Bobby Lembeck wsadził ręce do kieszeni i wbił wzrok w podłogę, David Brooks patrzył w ścianę, Ricky z uwagą oglądał swoje paznokcie. Spojrzałem w oczy Rosie Castro. Pokręciła głową.

— Nie ma mowy, Jack.

— Czemu nie?

— Sam widziałeś. One polują.

— Jesteś pewna?

— Jak cholera.

— Rosie, przecież pamiętasz, czego cię uczyłem. Jak to możliwe, żeby rój polował?

— Wszyscy to widzieliśmy. — Podniosła hardo głowę. — Trzy roje wspólnie polowały na królika.

— Jakim cudem?

Zmieszana Rosie zmarszczyła brwi.

— Dlaczego tak mnie wypytujesz? Nie ma w tym nic nadzwyczajne go: elementy roju porozumiewają się każdy z nich może generować sygnały elektryczne.

— To prawda, ale jak silny jest taki sygnał?

— No... — Wzruszyła ramionami.

— Musi być bardzo słabiutki, jeśli pojedynczy agent ma przekrój sto razy mniejszy od ludzkiego włosa. A pole elektromagnetyczne słabnie z kwadratem odległości, prawda?

Jest to fakt znany wszystkim uczniom liceum. Kiedy oddalamy się od źródła pola, pole to szybko zanika. Bardzo szybko. To zaś oznaczało, że agenci w roju mogli porozumiewać się na bardzo niewielkie odległości — tylko z najbliższymi sąsiadami. A nie z innym rojem, znajdującym się dwadzieścia czy trzydzieści metrów dalej.

Rosie zamyśliła się głęboko. David Brooks zakaszał.

— No to jak wyjaśnisz to, co widzieliśmy?

— Złudzenie — stwierdziłem stanowczo. — Widzieliśmy trzy niezależne roje, choć wydawało nam się, że ich działanie jest skoordynowane. To bzdura. Jestem przekonany, że inne wasze opinie na temat tych rojów też są błędne.

Wielu rzeczy na temat rojów nie rozumiałem w wiele innych zwyczajnie nie wierzyłem. Nie przyjąłem na przykład do wiadomości, że roje się rozmnażają. To, że Ricky tak uważał, a inni podzielali jego zdanie, świadczyło tylko o tym, jak bardzo mają zszarpane nerwy. Dwadzieścia pięć kilogramów zanieczyszczeń, które trafiły do atmosfery, aż nadto wystarczyłoby do stworzenia trzech rojów, które widziałem (przeciętny rój pszczół waży około półtora kilograma).

Ich zorganizowane zachowanie ani trochę mnie nie przerażało: taki był przecież cel programowania zachowań pojedynczych agentów. Nie wierzyłem natomiast w to, że roje się porozumiewają — ze względu na zbyt słabe pola elektryczne taka możliwość była wykluczona.

Podobnie nie wierzyłem w zdolności adaptacyjne rojów, jakie przypisywał im Ricky. Zbyt wiele widziałem pokazów rzekomo inteligentnego zachowania maszyn — na przykład robotów wspólnie popychających skrzynkę po pokoju, które w istocie były głupie, miały bardzo ograniczony program i współpracowały przez czysty przypadek. Istnieje wiele zachowań, które wyglądają na mądrzejsze, niż są w rzeczywistości.

Nie wierzyłem również w to, że mogą być niebezpieczne. Półtorakilogramowa chmura nanocząstek nie powinna stanowić zagrożenia nawet dla królika. A co do królika, to nie mieliśmy nawet pewności, że został zabity. Króliki są z natury płochliwe i często umierają ze strachu. Nanoroboty mogły też dostać mu się do nosa i pyszczka, zatkać drogi oddechowe i doprowadzić do uduszenia. A wtedy mielibyśmy do czynienia ze śmiercią przypadkową co wyglądało znacznie sensowniej.

Krótko mówiąc, doszedłem do wniosku, że Ricky i jego ludzie niewłaściwie interpretowali fakty, niepotrzebnie je demonizując.

Z drugiej strony... Musiałem przyznać, że niektóre wątpliwości nie dawały mi spokoju.

Przede wszystkim interesowało mnie, jak doszło do tego, że roje wymknęły się spod kontroli laboratorium. Kamery, tak skonstruowane, żeby dało się nimi sterować za pomocą nadajnika radiowego, teraz najwyraźniej ignorowały sygnały. Kompletnie tego nie rozumiałem, ale podejrzewałem, że popełniono błąd w fazie produkcji: molekuly zostały źle poskładane.

Drugą ciekawostką była długowieczność roju. Składał się z mikroskopijnych elementów, podatnych na uszkodzenie przez promieniowanie kosmiczne, rozkład fotochemiczny, odwodnienie łańcuchów białkowych i temu podobne procesy. Na pustyni powinny były już kilka dni temu „umrzeć ze starości”. Tak się jednak nie stało. Dlaczego?

Po trzecie nie wiedziałem, jaki mają cel. Ricky twierdził, że systematycznie wracają do laboratorium, próbują dostać się do środka. Nie wydawało mi się to prawdopodobne i chciałem przejrzeć ich kod. Najprawdopodobniej ktoś popełnił błąd w programie.

Chciałem też dowiedzieć się, dlaczego roje rzuciły się w pościg za królikiem. PRAZWIERZ nie czynił z agentów prawdziwych drapieźników opierając się na modelu polowania, pomagał tylko koncentrować ich wysiłki i ułatwiał im zapamiętanie celu. Wyglądało na to, że ta funkcja programu uległa zmianie i roje przeobraziły się w prawdziwych myśliwych.

Podejrzewałem kolejny błąd programisty.

Wszystkie te wątpliwości sprowadzały się właściwie do jednego pytania: jak zginął królik?

Zakładałem, że nie został celowo zabity, lecz zmarł przypadkiem.

Ale musiałem mieć pewność.

Poprawiłem słuchawki, założyłem okulary przeciwsłoneczne zaopatrzone w kamerę, wziąłem do ręki plastikowy worek na truchło królika i spojrzałem na pozostałych.

— Kto idzie ze mną?

— Po co ci ten wór? — zaniepokoił się Ricky.

— Przyniosę w nim królika.

— Nie ma mowy. Jeśli chcesz stąd wyjść, proszę bardzo, ale nie zgadzam się, żebyś cokolwiek przynosił.

— Chyba żartujesz.

— Nie. Mamy tu środowisko sterylne szóstej klasy, Jack. Ten królik jest zwyczajnie brudny. Nie przynoś go.

— No dobrze, zaniosę go do laboratorium Mae i...

— Nie, Jack. Nie wejdiesz z nim nawet do śluzy Wszyscy kiwali potakująco głowami.

— W takim razie zbadam go na zewnątrz.

— Naprawdę chcesz wyjść?

— Czemu nie? — Powiodłem po nich wzrokiem. — Wiecie, co wam powiem? Straszne z was cykory. Ta chmura nie jest niebezpieczna. Wy chodźcie. — Odwróciłem się do Mae. — Masz jakiś zestaw chirurgiczny...

— Pójdę z tobą — powiedziała cicho Mae.

— Dzięki.

Mae, jako biolog z długą praktyką, lepiej niż inni umiała realistycznie ocenić zagrożenie. Jej decyzja rozładowała napięcie, wszyscy wyraźnie się odprężyli. Mae poszła po sprzęt, kiedy zadzwonił telefon. Vince podniósł słuchawkę i spojrzał na mnie.

— Znasz jakąś Ellen Forman?

— To moja siostra.

— Chce z tobą rozmawiać.

Vince oddał mi słuchawkę i cofnął się o krok. Zaniepokoiłem się. Spojrzałem na zegarek: była jedenasta rano, czas porannej drzemki Amandy. Potem przypomniałem sobie, że obiecałem zameldować się o jedenastej.

— Halo, Ellen? Wszystko w porządku?

— Oczywiście. — Westchnienie ulgi. — Nic się nie dzieje. Byłam po prostu ciekawa, co u ciebie.

— Jesteś zmęczona?

— Wykończona.

— Dzieci w szkole?

— Tak. — Kolejne westchnienie. — W samochodzie Eric uderzył Nicole w głowę, a ona trzepnęła go w ucho.

— Pilnuj ich, żeby się nie bili.

— Staram się.

— Co z małą? Jak jej podrażnienia?

— Ma się coraz lepiej. Smaruję ją balsamem.

— Zachowuje się normalnie?

— Tak. Ma świetną kondycję. Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

— Nie, nie. — Odwróciłem się plecami do pozostałych i zniżyłem głos. — Nie ma kłopotów z kupą?

Charley Davenport zachichotał.

— Najmniejszych. Śpi teraz. Zrobiła się śpiąca, kiedy poszliśmy na spacer do parku. W domu wszystko w porządku, tylko płomyk pilotowy w termie cały czas gaśnie. Wezwałam faceta do naprawy.

— Dobrze, bardzo dobrze... Posłuchaj, Ellen, mamy tu małe zamieszanie...

— Julia dzwoniła przed chwilą ze szpitala. Szukała cię.

— — Aha...

Wkurzyła się, kiedy powiedziałam, że jesteś w Nevadzie.

— Dlaczego?

— Powiedziała, że ty nic nie rozumiesz, że tylko pogorszysz sprawę, coś w tym guście. Lepiej do niej zadzwoń. Była bardzo poruszona.

— Dobrze, zadzwonię.

— Jak rozwija się sytuacja? Wrócisz na noc?

— Dziś nie. Powinienem być z powrotem jutro rano. Na razie muszę kończyć, Ellen...

— Zadzwoń w porze kolacji, jeśli dasz radę. Dzieciaki chciałyby z tobą pogadać. Ciotka Ellen jest w porządku, ale co tata, to tata. Wiesz, jak jest.

— Dobrze. O której jecie, o szóstej?

— Mniej więcej. Obiecałem, że spróbuję zadzwonić, i rozłączyłem się.

Staliśmy z Mae przed szklanymi drzwiami śluzy. Po drugiej stronie widziałem stalowe wrota, prowadzące na zewnątrz budynku. Ricky stał obok nas i z ponurą miną śledził nasze ostatnie przygotowania.

— Naprawdę uważasz, że to konieczne? Musicie wyjść?

— Tak.

— To może chociaż poczekać do zmroku?

— Królik nie będzie czekał. Zajmą się nim kojoty albo sępy.

— Od dawna nie widzieliśmy tu ani śladu kojota.

— Do diabła! — Włączyłem słuchawki. — Zamiast się tu z tobą użerać, zdążyłbym już wyjść i wrócić. Na razie, Ricky.

Wszedłem do śluzy. Drzwi zamknęły się z sykiem, włączyły się dmuchawy — wszystko jak zwykle — i rozsunęły się drzwi naprzeciwko. Podszedłem do stalowych, ognioodpornych wrót zewnętrznych. Odwróciwszy się zobaczyłem wchodzącą do śluzy Mae.

Uchyliłem drzwi. Smuga oślepiającego światła pojawiła się na podłodze, poczułem na twarzy podmuch gorącego powietrza.

— Powodzenia — rozległ się w słuchawkach głos Ricky'ego. Wzięłem głęboki wdech, otworzyłem drzwi szerzej i wyszedłem na pustynię.

Wiatr osłabł, upał zrobił się obezwładniający. Gdzieś niedaleko zaświergotał ptak, poza tym panowała całkowita cisza. Zmrużyłem oczy przed słońcem. Wzdrygnąłem się i odetchnąłem głęboko.

Byłem absolutnie pewien, że roje są niegroźne, ale kiedy znalazłem się na zewnątrz, poczułem niepokój. Truchło królika leżało znacznie dalej, niż mi się wydawało: jakieś pięćdziesiąt metrów od drzwi. Okolica była pusta, teren całkiem płaski. Powiodłem wzrokiem po drgającej w upalnym

powietrzu linii horyzontu, wypatrując czarnych chmur. Nigdzie ich nie dostrzegłem.

Za moim plecami otworzyły się drzwi i usłyszałem głos Mae:

— Jestem gotowa, Jack.

— No to do roboty.

Ruszyliśmy w stronę królika. Piasek skrzypiał nam pod stopami. Gdy tylko oddaliliśmy się od zabudowań zakładu, serce podeszło mi do gardła. Zacząłem się pocić. Usiłowałem oddychać wolno i głęboko, zmusić się do spokoju. Słońce paliło mnie w twarz. Cały czas wodziłem oczami po widnokregu.

— Mae trzymała się dwa kroki z tyłu.

Szliśmy przez pole żółtych opuncji, sięgających nam do kolan. Połyskiwały w słońcu. Jakieś małe, ciche ptaszki kryły się w ich cieniu. Na nasz widok zerwały się do lotu — maleńkie punkciki na tle niebieskiego nieba. Usiadły sto metrów dalej.

Nad królikiem unosiła się czarna chmura. Stałem jak wryty.

— To muchy — uspokoiła mnie Mae.

Nie zwracając uwagi na muchy, uklękła na ziemi. Włożyła gumowe rękawiczki, podała mi drugą parę i rozłożyła foliową płachtę. Obciążyła ją w rogach kamieniami, po czym podniosła królika i położyła go na środku. Otworzyła futerał z zestawem chirurgicznym słońce rozbłysło na srebrzystych narzędziach: szczypcach, skalpeli, nożycach w kilku rozmiarach. Znalazła się też strzykawka i kilka probówek z gumowymi korkami. Mae miała ruchy sprawne, pewne widać było, że zna się na rzeczy.

Kucnąłem obok niej. Truchło nie zaczęło jeszcze śmierdzieć. Na pierwszy rzut oka trudno było określić przyczynę śmierci. Wpatrzone w nas różowe oko wyglądało zupełnie normalnie.

— Bobby? — odezwała się Mae. — Nagrywasz to?

— Opuść kamerę — zabrzmiał w słuchawkach głos Lembecka. Mae przekrzywiła zamontowaną w okularach kamerę.

— Jeszcze trochę... Jeszcze... W porządku, wystarczy.

— No dobrze. — Mae obróciła królika w rękach. Obejrzała go ze wszystkich stron, mówiąc do mikrofonu: — Oględziny zewnętrzne nie pozwalają stwierdzić żadnych odchyień od normy. Nie widać śladów zmian wrodzonych ani chorób, sierść jest gęsta i lśniąca. Nozdrza są częściowo zablokowane. Ślady odchodów przy odbyciu, ale to chyba normalna reakcja w chwili zgonu. — Obróciła zwierzątko na grzbiet i rozchyliła mu przednie łapy. — Będziesz mi potrzebny, Jack.

Musiałem przytrzymać łapy królika. Był ciepły nie zaczął jeszcze sztywnieć.

Mae wzięła do ręki skalpel i rozcięła tułów zwierzęcia. Z rany popłynęła krew. Odśloniły się żebra i wnętrzności. Mae ciąła dalej, cały czas mówiąc — opisywała fakturę i kolor tkanek.

— Przytrzymaj tu — poleciła mi.

Odgarnąłem na bok śliskie jelita, a ona jednym cięciem otworzyła żołądek. Ze środka pociekł zielonkawy, mętny płyn, zmieszany z pulpą, która wyglądała na niestrawiony błonnik. Od wewnątrz ścianka żołądka była dziwna.

— Zobacz...

— Gdzie?

— Tutaj. — Wskazała palcem. W kilku miejscach żołądek był zaczerwieniony, krwawił lekko, jakby wskutek otarcia. Pośrodku otarć widać było czarne placki. — To jakaś anomalia. — Mae obejrzała zaczerwienione miejsca przez lupę. — Widzę czarne plamki o średnicy od czterech do ośmiu milimetrów. Przypuszczalnie są to zlepki nanocząstek, które utkwily w wyściółce żołądka.

Występuje przy nich lekkie krwawienie ze ścian i kosmków.

— Nanomechanizmy w żołądku? — zdziwiłem się. — Jak one się tam dostały? Królik mimo woli nałykał się ich?

— Przypuszczam, że same się tu dostały.

— Po co miałyby to robić?

— Nie wiem.

Rozmawiając ze mną, Mae nie przerywała sekcji. Nożycami rozcięła mostek i rozchyliła klatkę piersiową. — Przytrzymaj.

Złapałem za żebra i rozchyliłem je. Krawędzie kości były dość ostre. Przytrzymałem je jedną dłonią w tej pozycji, drugą złapałem za skoki.

— Płuca różowe, jędrne, wyglądają normalnie. — Wycięła skalpelem jeden płat, potem drugi, trzeci, aż odstłoniła oskrzele. Rozcięła je. Od środka było całe czarne. — Oskrzela silnie zanieczyszczone zassanymi z powietrza nanocząstkami. Nagrywasz to, Bobby?

— Tak. Mamy dobry obraz.

Mae wykonała następne cięcie.

— Tnę w górę, w stronę gardła.... — Na chwilę zamknąłem oczy, kiedy doszła do gardła i cięła od przodu, od nosa przez pysk. Przez cały czas dyktowała spokojnie:

— Duża ilość nanocząstek w nosie i tchawicy. Przyczyną śmierci mogła być blokada dróg oddechowych.

— Spojrzałem na nią.

— Co takiego?

Mae odcięła dolną szczękę i zajrzała królikowi do gardła.

— Sam zobacz. Czarny zlepek zatyka tchawicę. Wydaje mi się mamy tu do czynienia z reakcją alergiczną albo...

— Hej, długo jeszcze? — wtrącił się Ricky.

— Tyle, ile będzie trzeba — splawiłem go i znów zwróciłem się do Mae. — O jakiej reakcji alergicznej mówisz?

— Widzisz ten fragment tkanki? Jest obrzmiały i poszarzały, co sugeruje...

— Ricky nie dał się tak łatwo zbyć.

— Jesteście na zewnątrz już cztery minuty — przypomniał.

— Tylko dlatego, że nie pozwoliłeś nam wnieść królika do środka.

— Zgadza się, nie możecie. Mae pokręciła głową.

— Nie pomagasz nam, Ricky...

— Nie kręć głową, Mae — odezwał się Bobby. — Obraz nam skacze.

— Przepraszam.

Podniosła jednak głowę, jakby oglądała horyzont — i w tej samej chwili odkorkowała probówkę i wrzuciła do środka skrawek wyściółki żołądka. Schowała probówkę do kieszeni. Dopiero potem spojrzała w dół, na królika. W zapisie wideo nie został ślad tego, co zrobiła.

— Dobrze, teraz pobierzemy próbki krwi — stwierdziła. — tylko krwi — powiedział Ricky.

— Wiem, spokojnie.

Mae wzięła strzykawkę, wkłuła się w tętnicę, pobrała trochę krwi i wstrzyknęła ją do plastikowego pojemnika. Jedną ręką zdjęła igłę, założyła następną i pobrała drugą próbkę, tym razem z żyły. Pracowała bardzo szybko.

— Masz wprawę — powiedziałem z uznaniem.

— To nic wielkiego. W Syczuanie pracowaliśmy nieraz podczas zadymki: nic nie widzisz, ręce ci grabieją, truchło jest zamrożone na kość, nie można wbić igły... — Odłożyła pojemniki na bok. — Jeszcze wymaz i będzie po wszystkim. — Zajrzała do zestawu. — Oj, to ci dopiero.

— Co się stało?

— Nie mam gazików. Ale przecież były?

— Były.

— Ricky, widzicie gdzieś gaziki?

— Tak, zostały przy słuzie. — Przyniósłbyś je?

— Jeszcze czego! — Ricky roześmiał się chrapliwie. — Za nic w świecie nie wyjdę stąd za dnia. Jeśli są wam potrzebne, to sami je sobie weźcie.

— Pójdiesz? — spytała Mae.

— Nie. — Cały czas przytrzymywałem rozcięty korpus. — Zaczekam. Ty idź.

— Dobrze. — Mae wstała. — Odganiaj muchy. Nie chcę tam mieć dodatkowych zanieczyszczeń.

Zaraz będę z powrotem.

Truchtem ruszyła do drzwi.

Słyszałem jej cichnące w oddali kroki, szczeł metalowych drzwi — a potem zrobiło się całkiem cicho. Zwabione wonią rozpołowionego truchła muchy wróciły całą chmarą: bzycały mi koło głowy, siadały na odsłoniętych wnętrznościach królika. Puściłem skoki i zacząłem się jedną ręką opędzać od much. Dobrze, że miałem czym się zająć przynajmniej nie myślałem o tym, że zostałem na zewnątrz całkiem sam.

Cały czas zerkalem w stronę widnokregu, ale nic nie widziałem. Odganiałem więc muchy, czasem muskając futerko królika — i wtedy zauważyłem, że jego skóra jest cała zaczerwieniona.

Wyglądała jak po oparzeniu słonecznym. Przeszedł mnie dreszcz.

— Bobby?

W słuchawkach zatrzeszczało.

— Tak, Jack?

— Widzisz królika?

— Widzę.

— Widzisz, jaką ma czerwoną skórę? Nagrywasz to? — Zaczekaj...

Usłyszałem ciche buczenie przy skroni. Bobby zdalnie ogniskował kamerę. Buczenie ucichło.

— Widzisz to? Masz obraz? Cisza.

— Bobby?

Teraz usłyszałem jakieś szepty, szmery... A może tylko zakłócenia?

— Bobby, jesteś tam?

Cisza. Przyspieszony oddech.

— Jack? — To był głos Davida Brooksa. — Wracaj.

— Czekam na Mae. Gdzie ona jest?

— W środku.

— Muszę poczekać, chciała pobrać próbki kultur...

— Nie, Jack. Wracaj.

Puściłem królika i wstałem. Rozejrzałem się dookoła.

— Nic nie widzę.

— Są z drugiej strony budynku.

Głos Davida, mimo że tak spokojny, całkiem mnie zmroził.

— Serio?

— Wracaj, Jack.

Schyliłem się, zgarnąłem próbki i zestaw chirurgiczny. Czarne skórzane etui było gorące od słońca.

— Jack?

— Już, chwilkę.

— Rzuć to.

Ruszyłem do drzwi. Piasek zgrzytał mi pod butami. Nadal nic nie widziałem.

— Ale coś słyszałem.

Dziwne buczenie. W pierwszej chwili wydawało mi się, że słyszę pomruk maszynierii w zakładzie, ale buczenie na przemian narastało i cichło, jak bicie serca. Nakładały się na nie inne rytmy i jakieś syczenie, tworząc naprawdę niezmierną melodię. W życiu czegoś takiego nie słyszałem.

Teraz, kiedy się nad rym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że chyba właśnie ten dźwięk był najbardziej przerażający.

Przyspieszyłem kroku.

— Gdzie są?

— Zbliżają się.

— Ale gdzie?!

— Jack! Biegiem!

— Co?!

— Biegnij!

— Wciąż nic nie widziałem, ale dźwięk narastał. Zacząłem biec. Dźwięk był tak niski, że w całym ciele czułem jego wibrację.

— Biegnij, Jack!

Pierwszy rój wypadł zza rogu, kłębił się, połyskiwał srebrzyście. Sycząc, posuwał się wzdłuż ściany w moją stronę. Wiedziałem, że pierwszy znajdzie się przy drzwiach.

Spojrzałem w bok: zza drugiego rogu wynurzył się właśnie następny rój, który też zmierzał w moją stronę.

W słuchawkach rozległ się trzask i głos Davida Brooksa.

— Nie masz szans, Jack.

— Widzę.

Pierwszy rój znalazł się już na wysokości drzwi i zawisł przed nimi, blokując mi przejście. Zatrzymałem się. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Podniosłem z ziemi długi, ponadmetrowy kij. Zamachnąłem się nim.

Rój zadygotał, ale nie ruszył się spod drzwi.

Druga chmura cały czas się zbliżała.

Musiałem odwrócić ich uwagę. Znałem kod PRAZWIERZA program rojów kazał im ścigać ruchomy cel, uciekający przed nimi. Co mogłoby stanowić taki cel?

Wziąłem zamach i rzuciłem zestaw chirurgiczny wysokim hakiem w kierunku drugiego roju. Upadł i potoczył się po ziemi.

Drugi rój natychmiast rzucił się w jego stronę.

Pierwszy też odskoczył od drzwi, kierując się w to samo miejsce. Zachowywał się jak pies, który ugania się za piłką. Nie posiadałem się z dumy a więc jednak był to zwykły, zaprogramowany rój.

Zacząłem biec.

To był błąd. Mój gwałtowny ruch zwrócił uwagę roju, który zatrzymał się, zawrócił i znów stanął mi na drodze do drzwi. Tkwił w miejscu, pulsując srebrem jak lśniące w słońcu ostrze.

Odciał mi drogę ucieczki.

Nie od razu zrozumiałem, co to oznacza. Poruszyłem się, ale rój zamiast mnie gonić, uniemożliwiał mi ucieczkę. Umiał przewidzieć moje posunięcia.

Tego nie było w kodzie. Rój wytwarzał nowe zachowania, zależne od sytuacji. Zamiast mnie ścigać, złapał mnie w pułapkę.

Wykroczył poza program — i to znacznie. Nie rozumiałem tego. Pojedyncze cząstki miały minimalną pamięć. Wynikało z tego, że i rój miał ograniczoną inteligencję. Powinien dać się łatwo przechytrzyć.

Zrobiłem zwód w lewo, potem w prawo. Rój podążał za moim ruchem, ale tylko przez krótką chwilę, bo zaraz z powrotem wracał pod drzwi. Tak jakby wiedział, że właśnie tam zmierzam, że wystarczy na mnie poczekać, by osiągnąć cel.

Był stanowczo za sprytny. Musieli zataić przede mną jakieś przeróbki w programie.

— Co wyście z nimi zrobili, do ciężkiej cholery? — powiedziałem do mikrofonu.

— Nie przepuści cię, Jack — odezwał się David. Działał mi na nerwy.

To się jeszcze okaże.

Rój był podatny na zmiany struktury. Składał się z elementów mniejszych niż drobinki kurzu. Gdyby udało mi się zaburzyć jego strukturę, musiałby się na nowo poskładać, tak jak spłoszone stado ptaków formuje się w powietrzu. A to zajęłoby mu przynajmniej kilka sekund. Przez ten czas dopadnę do drzwi.

Machnąłem kijem. Świsnął w powietrzu, ale na pewno by mi nie wystarczył. Potrzebowałem przedmiotu o znacznie większej powierzchni przydałoby się wiosło czy liść palmy, wtedy mógłbym wytworzyć silniejszy podmuch.

Różne pomysły przelatywały mi przez głowę. Musiałem coś znaleźć.

Tylko co?

Drugi rój już się do mnie zbliżał. Leciał zygzakiem, aby utrudnić mi ewentualną ucieczkę. Przyglądałem mu się zafascynowany — i śmiertelnie przerażony zarazem. Takiego manewru program też nie przewidywał to musiało być zachowanie emergentne, wyuczone. Nie miałem wątpliwości, czemu służy — rój próbował się do mnie podkraść.

Pulsujący dźwięk narastał.

Musiałem jakoś rozproszyc rój.

Obróciłem się w miejscu, rozglądając się po pustyni. Nie widziałem w pobliżu nic, co mogłoby mi się przydać. Samotny jałowiec rósł za daleko, opuncje były zbyt delikatne. Jak ja mam tu coś znaleźć, przecież to jest pustynia! Odwróciłem się w stronę zabudowań — może ktoś zostawił jakiś sprzęt, grabie, cokolwiek...

Nic z tego.

Stałem na środku pustyni, w samej koszuli na grzbiecie, i nikt mi nie mógł pomóc...

Ależ oczywiście!

Jack, posłuchaj mnie... — zaskrzeczały słuchawki.

Tyle tylko usłyszałem. Kiedy zdejmowałem koszulę, słuchawki spadły na ziemię. Zakręciłem koszulą młynka i, wrzeszcząc jak opętany, zaszarżowałem w stronę drzwi.

Rój zadrżał, wydał z siebie głębokie buczenie, rozplaszczyl się lekko, kiedy się zbliżyłem — i nagle znalazłem się w samym jego środku, w niezwykłym półmroku, jakby rozpętała się burza piaskowa. Nie widziałem drzwi, w ogóle nic nie widziałem musiałem po omacku znaleźć klamkę. Oczy szczypały mnie od nanocząstek, ale wywijałem uparcie koszulę i po chwili chmura trochę przerzedziła się. Udało mi się ją rozproszyć, elementy roju pofrunęły we wszystkie strony. Znowu coś widziałem, mogłem normalnie oddychać, chociaż gardło miałem suche i obolałe. Na całym ciele czułem tysiące ukłuć.

Znalazłem się tuż przed drzwiami, namacałem klamkę. Nagle rój rozproszył się całkowicie. Wykorzystałem ten moment: wśliznąłem się do środka i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

Zamrugalem powiekami. Sądziłem, że oczy powinny mi się przyzwyczaić stopniowo do półmroku, ale widziałem coraz gorzej. Ledwie rozróżniałem zarys szklanych drzwi śluzy. Cała skóra mnie świerzbiła, gardło miałem podrażnione, oddychałem z trudem i kręciło mi się w głowie.

Ricky i Mae obserwowali mnie z drugiej strony śluzy.

— Prędeż, Jack! — ponaglił mnie Ricky. — Pospiesz się!

Oczy paliły mnie żywym ogniem. Miałem coraz silniejsze zawroty głowy, musiałem oprzeć się o ścianę. Gardło mi obrzmiało, ledwie oddychałem. Czekałem, aż drzwi śluzy się otworzą, ale one nawet nie drgnęły. Nie wiedziałem, co robić.

— Musisz stanąć na wprost drzwi! Jack, stań prosto!

Umysł funkcjonował mi w zwolnionym tempie. Siły mnie opuszczały, byłem słaby i roztrzęsiony. Czułem coraz wyraźniej ukłucia na skórze. Otaczał mnie coraz gęstszy mrok. Bałem się, że nie ustoję o własnych siłach.

— Stań prosto, Jack!

Odepchnąłem się od ściany i zatoczyłem w stronę śluzy. Drzwi otworzyły się z sykiem.

— Wchodź!

Przed oczami latały mi ciemne plamy. Od zawrotów głowy czułem mdłości. Niezdarnie wgramoliłem się do śluzy, obiełem się o szklane drzwi naprzeciwko. Oddychanie kosztowało mnie coraz więcej wysiłku. Dusilem się.

Z zewnątrz dobiegło znajome buczenie. Odwróciłem się. Drzwi śluzy zamknęły się.

Spojrzałem w dół, ale ledwie widziałem zarysy własnego ciała. Byłem cały obolały i czarny od kurzu. Koszulę też miałem czarną. Zimny prysznic boleśnie skropił mi skórę. Zamknąłem oczy. Zahuczały dmuchawy, kurz opadł z koszuli. Zacząłem więcej widzieć, ale nadal nie mogłem oddychać. Koszula wypadła mi z ręki i rozplaszczyla się na dolnej kracie. Schyliłem się po nią. Zaczynałem dostawać drgawek. Słyszałem tylko ryk dmuchaw.

Poczułem mdłości, kolana ugięły się pod mną i osunąłem się po ścianie na podłogę.

Stojący za drzwiami Ricky i Mae wydawali mi się bardzo odlegli. Kiedy na nich patrzyłem, oddalali się coraz bardziej, aż w końcu przestało mnie to obchodzić, wiedziałem, że umieram. Zamknąłem oczy i runąłem na ziemię. Huk dmuchaw ucichł, zastąpiła go lodowata, absolutna cisza.

Dzień szósty, godzina 11.12

— Nie ruszaj się.

Jakaś zimna ciecz krążyła mi w żyłach. Wzdrygnąłem się.

— Nie ruszaj się, Jack. Jeszcze przez minutkę. Lodowaty płyn sączył się w górę mojego ramienia.

Otworzyłem oczy.

Nad głową miałem lampę — przeraźliwie jasną, o zielonkawym odcieniu. Zmrużyłem oczy. Wszystko mnie bolało, jakbym został porządnie poturbowany. Leżałem na plecach na czarnym stole w laboratorium biologicznym. Spod zmrużonych powiek dostrzegłem Mae: stała obok, pochylona nad moją lewą ręką. Wkłuła mi kroplówkę w zgięcie łokcia.

— Co się dzieje?

— Jack, nie ruszaj się. Nie robiłam tego na ludziach ćwiczyłam tylko na szczurach laboratoryjnych.

— Umiesz człowieka pocieszyć.

Podniosłem głowę. Zadudniło mi w skroniach i z jękiem opadłem na stół.

— Źle się czujesz?

— Fatalnie.

— Nie dziwię się. Musiałam trzy razy podawać ci kroplówkę. Byłeś w szoku anafilaktycznym. Na skutek ostrej reakcji alergicznej gardło ci się prawie zatkało.

— Uczulenie? Tak po prostu?

— Bardzo poważne.

— To rój je wywołał?

Mae zawahała się.

— Oczywiście — powiedziała.

— Czy nanomechanizmy mogą powodować taką reakcję?

— Z pewnością mogłyby...

— Ale ty tak nie uważasz.

— Nie, nie uważam. Wydaje mi się, że elementy roju są neutralne. Zareagowałeś na toksynę colipochodną.

— Toksyna colipochodną... — Ból głowy falami przybierał na sile. Wziętem głęboki wdech i powolutku wypuściłem powietrze. Łeb mi pękał i mózg nie funkcjonował jak należy. Toksyna colipochodną.

— Tak.

— Produkowana przez bakterie E. coli? Dobrze cię zrozumiałem?

— Tak. Najprawdopodobniej toksyna proteolityczna.

— Skąd?

— Z roju.

Nic już nie rozumiałem. Ricky mówił, że coli wykorzystywane są tylko do produkcji

protomolekuł.

— Skąd by się wzięła w roju?

— Nie wiem, Jack. Ale myślę, że to możliwe.

— Skąd taka niepewność? Zupełnie do niej niepodobne. Mae miała naturę naukowca, ścisłą i precyzyjną.

— Ale ktoś to musi wiedzieć. Ktoś ten rój zaprojektował i albo wprowadził do niego bakterie, albo nie.

Usłyszałem tylko jej westchnienie. Najwyraźniej czegoś wciąż nie rozumiałem. Tylko czego?

— Macie nanokamery, które zwiąło ze mnie w służbie? Zebraliście je?

— Nie. Zostały spalone.

— Co za inteligentne...

— Ten system tak działa, Jack. To standardowe zabezpieczenie, które go nie możemy wyłączyć.

— No dobrze. — Teraz to ja westchnąłem. Nie mieliśmy próbek do zbadania. Chciałem usiąść, ale Mae powstrzymała mnie, kładąc mi dłoń na piersi.

— Pomalutku, Jack.

Miała rację. Kiedy usiadłem, głowa rozbolała mnie jeszcze bardziej. Spuściłem nogi ze stołu.

— Długo byłem nieprzytomny?

— Dwanaście minut.

— Czuję się, jakby mnie pobito.

— Żebra bolały mnie przy każdym oddechu.

— Miałeś straszne problemy z oddychaniem.

— Dalej mam. — Wysiąkałem nos. W chusteczce zebrało się sporo czarnego śluzu, trochę krwi i kurzu z pustyni. Musiałem dmuchnąć cztery czy pięć razy, żeby się wszystkiego pozbyć. Zmiałem chusteczkę i chciałem ją wyrzucić, ale Mae wyciągnęła rękę.

— Daj, ja ją wezmę.

— Nie ma potrzeby... — Daj mija, Jack.

Schowwała chusteczkę do plastikowej torebki. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak otępiały mam umysł. Przecież w chusteczce musiały się znaleźć nanomechanizmy, które chciałem badać. Zamknąłem oczy i oddychając głęboko czekałem, aż ból trochę zelżeje. Kiedy znów spojrzałem na świat, światło w pokoju wydało mi się słabsze, prawie normalne.

— Właśnie... Dzwoniła Julia. Powiedziała, żebyś nie oddzwaniał, bo idzie na jakieś badanie, ale chciała z tobą rozmawiać.

— Mhm.

Patrzyłem, jak Mae wkłada torebkę z chusteczką do hermetycznie zamykanego słoja. Zakręciła go mocno.

— Mae, możemy przecież od razu sprawdzić, czy E. coli są w roju.

— Później to zrobię. Mam kłopot z jedną z kadzi fermentacyjnych. Mikroskopy bardziej tam będą mi potrzebne.

— Co to za kłopot?

— Jeszcze dokładnie nie wiem, ale wydajność fermentacji wyraźnie spadła. — Mae pokręciła głową. — Pewnie nic ważnego, ciągle to się zdarza. Cały proces produkcyjny jest bardzo skomplikowany, przypomina zonglowanie setką piłeczek jednocześnie. Mam ręce pełne roboty.

Pokiwałem głową, ale pomyślałem, że nie chce jej się sprawdzać chusteczki, bo i bez tego wie,

że w roju rzeczywiście są bakterie. Po prostu uznała, że kto inny powinien mnie o tym poinformować. A jeśli tak, to nie miałem co się łudzić: nic mi nie powie.

— Ktoś musi mi wyjaśnić, co tu się dzieje, Mae. I to nie Ricky, tylko ktoś, kto mnie nie okłamie.

— To doskonały pomysł. Naprawdę.

W ten sposób znalazłem się przy komputerze w jednym z mniejszych pomieszczeń. Obok mnie siedział inżynier projektu, David Brooks. Kiedy mówił, cały czas odruchowo poprawiał ubranie: gładził krawat, obciągał mankiety, poluzowywał kołnierzyk, podciągał spodnie na udach; potem założył nogę na nogę i podciągnął skarpetkę, to samo zrobił z drugą skarpetką; strząsnął z klap wyimaginowane drobinki kurzu — i zaczynał wszystko od nowa. Robił to, rzecz jasna, całkiem nieświadomie. Mogło to być irytujące, ale starałem się nie zwracać na niego uwagi. Tym bardziej, że od informacji, których udzielał mi David, coraz bardziej bolała mnie głowa.

W przeciwieństwie do Ricky'ego David miał naturę pedanta, zaczął więc opowieść od początku. Xymos dostał kontrakt na opracowanie roju nanorobotów, które mogłyby pełnić rolę latającej kamery. Udało się wyprodukować prototypy, które w zamkniętych pomieszczeniach działały bez zarzutu, ale na dworze okazały się za bardzo podatne na podmuchy wiatru. Mocniejsza bryza zdmuchnęła im rój, który testowali. To było sześć tygodni temu.

— Testowaliście później następne?

— Wielokrotnie, przez cztery tygodnie. — I żaden nie chciał działać jak trzeba? — Żaden. — Czyli tamte roje zniknęły? Porwał je wiatr? — Tak.

— Zatem roje, które obserwujemy, nie mają z tamtymi nic wspólnego?

— Nic.

— Są efektem zanieczyszczenia środowiska? David wytrzeszczył oczy.

— Jakiego zanieczyszczenia?

— Z powodu braku filtrów wydmuchnęliśmy do atmosfery dwadzieścia pięć kilogramów odpadów...

— Dwadzieścia pięć kilogramów? Kto ci to powiedział? — Ricky. — Nie, Jack. Dmuchałiśmy tym świństwem przez kilka dni. Wypuściliśmy z pięćset, może nawet sześćset kilo śmiecia: bakterii, molekuł, monterów...

Więc i w tej kwestii Ricky nie powiedział mi całej prawdy. Nie rozumiałem tylko, dlaczego mnie okłamał. Każdemu może się zdarzyć błąd, a w tym wypadku zawinił wykonawca.

— No dobrze. Kiedy zobaczyliście pierwszy z tych rojów?

— Dwa tygodnie temu — powiedział David i poprawił krawat. — Z początku rój był tak słabo zorganizowany, że wzięliśmy go za zwykłe gzy. Pojawił się, trochę pokręcił się koło laboratorium, a potem zniknął. Wyglądało to na przypadkowe zachowanie. Wrócił dwa dni później.

— To już był rój z prawdziwego zdarzenia taka zorganizowana chmura, jaką sam widziałeś. Nie mieliśmy wątpliwości, że to jeden z naszych.

— Co było potem?

— Kręcił się przy zakładzie, pojawiał się i zniknął. Przez kilka dni próbowaliśmy sterować nim przez radio, ale bez skutku. Aż w końcu, jakiś tydzień później, okazało się, że nie działają samochody. — David zawiesił głos. — Poszedłem je obejrzeć. Okazało się, że cała elektronika siadła. Wiesz, w dzisiejszych czasach każdy wóz ma wbudowany mikroprocesor, który steruje dosłownie wszystkim, od radia i wtrysku paliwa po zamek centralny.

Żaden z nich nie działał, tak?

— Tak. Kości pamięci mikroprocesorów były całkiem skorodowane. Zmieniły się w kupki pyłu.

— Jak do tego doszło?

— Nietrudno zgadnąć. To sprawka monterów gamma. Wiesz, co to jest? Nie? Przy produkcji wykorzystujemy dziewięć różnych modeli monterów. Każdy pełni inną rolę. Gamma tną węgiel na kawałki.

— Pocięły kości pamięci w samochodach.

— Tak, ale... — David obciągnął mankiety, poluźnił kołnierzyk. — Nie zapominaj, Jack, że upał pustynny bardzo im sprzyja. Im cieplej, tym są wydajniejsze.

Nie od razu go zrozumiałem. Co to za różnica, w jakiej temperaturze pracują nanoroboty? I co to ma wspólnego z chipami pamięci w samochodach?

Aż nagle doznałem olśnienia.

Rewelacje Davida oznaczały, że wydmuchnięte na pustynię komponenty — zaprojektowane w taki sposób, żeby reprodukować się w środowisku fabrycznym — mogły się reprodukować na pustyni. Niezależnie od ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że tak się właśnie stało.

Starłem się systematycznie wszystko sobie poukładać.

— Montaż zaczyna się od bakterii, które są wszystkożerne, więc na pewno znajdą na pustyni coś, czym się żywią.

— Zgadza się.

— Zaczynają się mnożyć i produkować protocząsteczki, które same składają się w większe molekuly. Z nich powstają monterzy, którzy biorą się do roboty i produkują ostateczne nanomechanizmy.

— Tak jest.

— Czyli elementy rojów naprawdę się rozmnażają.

— Tak.

— One mają pamięć.

— Tak, ale niedużą.

— Większej nie potrzebują. To jest właśnie główna zaleta inteligencji rozproszonej: łączą swoje zasoby. Są inteligentne, mają pamięć, a więc mogą się uczyć. Zdobywać doświadczenie.

— Na to wygląda.

— PRAZWIERZ pozwala im rozwiązywać problemy. Poza tym generuje dość elementów losowych, żeby symulować myślenie twórcze.

— Tak jest.

Głowa pękała mi z bólu. Rozumiałem już wszystkie implikacje i wcale mi się to nie podobało.

— Krótko mówiąc: rój się rozmnaża, jest samowystarczalny, uczy się na błędach, ma zbiorową inteligencję i może rozwiązywać problemy.

— Tak.

— Czyli z praktycznego punktu widzenia jest żywym organizmem.

— Tak się w każdym razie zachowuje.

— To bardzo zła wiadomość. Kurewsko zła.

— Nie musisz mi mówić.

— Dlaczego go nie zniszczyliście? Mogliście to zrobić dawno temu. David nic nie odpowiedział. Odwrócił wzrok i poprawił krawat.

— Bo zdajesz sobie chyba sprawę — ciągnąłem — że mamy tu do czynienia z epidemią. Ni

mniej, ni więcej, tylko z epidemią. Działa tak samo jak zaraza pochodzenia bakteryjnego albo wirusowego, tylko że wywołują ją mechanizmy. Wywołaliście zarazę.

— Nie da się ukryć. David pokiwał głową.

— Zarazę, która ewoluuje.

— Zgadza się.

W której nie ograniczają biologiom prawidłowej ewolucji. Prawdopodobnie rozwija się o wiele szybciej.

— Na pewno.

— O wiele szybciej?

— Bardzo szybko. — Brooks westchnął. — Rój, który wróci dziś po południu, będzie już inny.

— Wróci?

— Zawsze wraca.

— Po co?

— Próbuje się dostać do środka.

— Ale dlaczego?

— David zaczął się wiercić na krześle.

— Możemy się tylko domyślać...

— Słucham, mów.

— Jest taka teoria, że rój jest organizmem terytorialnym. Sam wiesz, że w kodzie PRAZWIERZA jest zapisane pojęcie zasięgu, terytorium, po którym drapieżnik może się poruszać wokół swego gniazda. Rój może uważać, że jego gniazdo jest właśnie tutaj, w zakładzie.

— Czy w to wierzysz?

— Właściwie nie... Szczerze mówiąc, większość z nas uważa, że rój szuka twojej żony, Jack. Szuka Julii.

Dzień szósty, godzina 11.42

Głowa pękała mi z bólu, kiedy dzwoniłem do szpitala w San Jose.

— Poproszę z panią Julią Forman.

— Przeliterowałem telefonistce nazwisko.

— Jest na oddziale intensywnej opieki.

— Zgadza się, to ona.

— Przykro mi, ale nie mogę tam łączyć bezpośrednich rozmów.

— W takim razie poproszę z dyżurką.

— Proszę bardzo.

Czekałem dłuższą chwilę, ale nikt się nie zgłaszał. Zadzwoiłem drugi raz na centralę i w końcu udało mi się połączyć z dyżurką intensywnej opieki. Pielęgniarka powiedziała mi, że Julia pojechała na prześwietlenie i nie wiadomo, kiedy wróci. Zdziwiłem się, że trwa to tak długo, na co pielęgniarka powiedziała oschłym tonem, że stoi właśnie przy łóżku Julii i może mnie zapewnić, że jest puste.

— Powiedziałem, że zadzwonię później.

Rozłączyłem się i spojrzałem na Davida.

— Jaka jest w tym wszystkim rola Julii?

— Ona nam pomaga, Jack.

— W to nie wątpię, ale jak?

Z początku próbowała zwabić rój do zakładu. Chcieliśmy, żeby znalazł się jak najbliżej, bo mieliśmy nadzieję, że da się nim kierować przez radio. Julia pomagała nam go przyciągnąć.

— W jaki sposób?

— No... Zabawiała go.

— Co takiego?

— Chyba można to tak nazwać... Dość szybko stało się jasne, że rój ma jakieś minimum inteligencji. Julia wpadła na pomysł, żeby potraktować go jak dziecko. Wyniosła na dwór kolorowe klocki i zabawki. Wyglądało na to, że rój na nią reaguje. Była strasznie podekscytowana.

— Wtedy rój nie był jeszcze tak niebezpieczny?

— To była zwykła chmura cząstek. — David wzruszył ramionami. — Po pierwszym dniu Julia postanowiła zrobić następny krok i zrobić mu test. Taki prawdziwy test psychologiczny.

— To znaczy, chciała go uczyć?

— Nie, tylko przeprowadzić test.

— David, rój ma inteligencję rozproszoną, działa jak sieć komputerowa! Uczy się na wszystkim. Testowanie to też uczenie. Jak dokładnie wyglądał ten test?

— To była taka zabawa. Julia kładła na ziemi trzy kolorowe klocki, dwa niebieskie i żółty, i sprawdzała, czy rój wybierze żółty. Potem ćwiczyła to samo, tylko na trójkątach i kwadratach. Różne takie duperele...

— Wszyscy zdawaliście sobie sprawę, że rój wymknął się wam spod kontroli, że powstał i rozwijał się poza laboratorium. Nikomu nie przy szło do głowy, żeby go zniszczyć?

— Przyszło. Wszyscy chcieliśmy go zniszczyć, ale Julia się nie zgodziła.

— Dlaczego?

— Chciała, żeby żył.

— To, nikt się jej nie postawił?

— Ona jest wiceprezesem Xymosu, Jack. Cały czas nam powtarzała, że powstanie roju to szczęśliwe zrządzenie losu, wspaniałe odkrycie, które może uratować firmę. I że nie wolno go niszczyć. Widzisz, Jack... Sam nie wiem... Strasznie ją wzięło. Była z niego dumna, tak jakby sama go stworzyła. Chciała go tylko „okiełznać”. Tak właśnie mówiła.

— Taak... Jasne. Kiedy to było?

— Na przykład wczoraj, Jack. — David wzruszył ramionami. — Przecież wyjechała stąd dopiero wczoraj po południu.

Chwilę trwało, zanim zdałem sobie sprawę, że David ma rację. Minał dopiero jeden dzień, odkąd Julia opuściła laboratorium. Potem miała wypadek. Przez ten czas rój poczynił ogromne postępy.

— Ile wczoraj było rojów?

— Trzy, chociaż widzieliśmy tylko dwa. Jeden się musiał gdzieś schować. — David pokręcił głową. — Bo widzisz, z jednym z nich, najmniejszym, szczególnie się zaprzyjaźniła. Traktowała go jak zwierzątko domowe. Czekał na nią przy drzwiach, a potem nie odstępował jej ani na krok. Czasem wzbijał się w powietrze i otaczał ją, jakby cieszył się na jej widok. A ona do niego mówiła, jak do psa.

Przyłożyłem dłoń do pulsujących bólem skroni.

— Mówiła do niego — powtórzyłem. — Chcesz powiedzieć, że roje mają jakieś czujniki akustyczne?

— Nie, nie mają.

— Czyli mówienie mogła sobie darować.

— Czy ja wiem... Może znajdowała się tak blisko roju, że reagował na rytm jej słów?

— Jak bęben? — W pewnym sensie... — uczył się.

— Tak.

— Westchnąłem.

— Zaraz usłyszę, że nauczył się jej odpowiadać.

— Nie, ale zaczął wydawać dziwne dźwięki.

— Pokiwałem głową. Słyszałem te dziwne dźwięki.

— Jak on to robi?

— Tego do końca nie wiemy. Bobby uważa, że proces przebiega od wrotnie do odkształcenia pod wpływem dźwięku. Cząstki formują powierzchnię, która drga jak membrana głośnika.

Brzmiało to sensownie, chociaż nieprawdopodobnie. Rój składał się z miniaturowych cząstek, które nie miały ani dostatecznej masy, ani energii, żeby generować fale dźwiękowe.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Czy wczoraj Julia też wyszła na dwór, do rojów?

— Tak, rano. Nic szczególnego się nie stało. Dopiero później, kiedy już wyjechała, zabiły węża.

— Wcześniej? Zabiły jakieś inne zwierzę?

— Być może... kojota, kilka dni temu, ale nie jestem pewien.

— Ale to możliwe, że grzechotnik nie był pierwszy?

— Chyba tak...

— Dziś zabiły królika.

— Zgadza się. Szybko się rozwijają.

— Dzięki, Julio — mruknąłem.

Tak właśnie działają systemy rozproszone na dobrą sprawę tak samo przebiega cała ewolucja, którą można potraktować jak długotrwały proces uczenia się. W obu wypadkach mamy do czynienia z długim okresem powolnego rozruchu, po którym rozwój wyraźniej przyspiesza.

Tak samo wyglądała ewolucja życia na Ziemi. Cztery miliardy lat temu pojawiły się pierwsze jednokomórkowce i przez następne dwa miliardy nic specjalnego się nie działo. Wtedy wykształciły się jądra komórkowe i zmiany nabrały tempa. Zaledwie kilkaset milionów lat później pojawiły się organizmy wielokomórkowe. Wystarczyło kolejne kilkaset milionów lat, by nastąpiła prawdziwa eksplozja najróżniejszych form życia. Dwieście milionów lat potem mieliśmy już na Ziemi rośliny i zwierzęta, nawet tak wielkie, jak dinozaury. Człowiek przyszedł na świat dosyć późno: cztery miliony lat temu małpy przybrały postawę wyprostowaną, po dwóch milionach lat zjawili się nasi bezpośredni przodkowie, a trzydzieści pięć tysięcy lat temu zaczęliśmy rysować na ścianach jaskiń.

Przyspieszenie było niewiarygodne. Gdyby ograniczyć historię życia na Ziemi do dwudziestu czterech godzin, organizmy wielokomórkowe pojawiłyby się w południe, dinozaury o jedenastej w nocy, najstarsi ludzie czterdzieści sekund przed północą, a człowiek współczesny — niespełna sekundę temu.

Dwa miliardy lat zajęło prymitywnym komórkom wykształcenie jądra, które stało się pierwszym krokiem na drodze do złożoności. Za to wystarczyło dwieście milionów lat — czyli jedna dziesiąta tego co poprzednio — żeby rozwinęły się zwierzęta wielokomórkowe. A potem w marne cztery miliony lat z małp o ptasich mózdzkach wyrosli ludzie, którzy manipulują własnymi genami. To się nazywa dynamika zmian.

Podobne tempo ewolucji wykazują rozproszone systemy komputerowe. Bardzo długo trzeba czekać, zanim agenci zbudują „fundamenty” i zakończą przygotowania, ale potem wydarzenia toczą się błyskawicznie. Fundamentów pominąć jednak nie można, tak jak człowiek nie może przeskoczyć dzieciństwa. Praca u podstaw jest nieodzowna.

Późniejsze przyspieszenie jest podobnie nieuniknione, można powiedzieć — wbudowane w system.

Nauka pozwala jeszcze bardziej przyspieszyć rozwój. Byłem przekonany, że badania Julii miały decydujący wpływ na obecne zachowanie roju. Przez samą interakcję z nim wprowadziła potrzebę selekcji i wymusiła wytworzenie niemożliwych do przewidzenia zachowań emergentnych. Popęłała głupstwo.

Dzięki niej rój jeszcze bardziej przyspieszył swój rozwój. A ponieważ był dziełem człowieka, nie obowiązywały go biologiczne ramy czasowe. Ewolucja była kwestią godzin.

I z każdą godziną coraz trudniej będzie go zniszczyć.

— No dobrze — powiedziałem — skoro roje zawsze wracają, przygotuj my się na ich przybycie.

Wstałem, skrzywiłem się, bo głowa ciągle pękała mi z bólu, i ruszyłem do drzwi.

— Co masz na myśli? — zaniepokoił się David.

— Jak ci się wydaje? Musimy je zabić, zatłuc, raz na zawsze zmieść z powierzchni ziemi. I to

szybko.

— Nie mam nic przeciwko temu, ale Ricky'emu się to nie spodoba.

— Dlaczego?

David wzruszył ramionami.

— Po prostu.

Czekałem, co jeszcze powie. Kręcił się niespokojnie, widać było, że coraz bardziej się denerwuje.

— Widzisz... On i Julia... zgadzają się w kwestii życia roju.

— Zgadzają się.

— No właśnie. Dobrali się jak w korcu maku. — Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic, tylko to, co już powiedziałem. Oboje twierdzą, że roju nie wolno zabić. Przypuszczam, że Ricky stanie okoniem.

Musiałem jeszcze raz porozmawiać z Mae. Znalazłem ją w laboratorium biologicznym, gdzie zgarbiona nad komputerem przeglądała zdjęcia białych kolonii bakterii na czerwonym tle.

— Posłuchaj, Mae, rozmawiałem z Davidem i... — Nie odrywała wzroku od monitora. — Hej, Mae? Co się dzieje?

— Chyba mamy problem z pożywką.

— Jaki problem?

— Świeże kolonie Thetad źle rosną. — Pokazała mi obraz w górnym rogu ekranu, gdzie kolonia bakterii tworzyła regularne okręgi. — To normalny wzrost coli, tak powinien wyglądać cały czas. — Wywołała nowy obraz, który zajął środek ekranu. Okręgi były zniekształcone i miały po szarpane krawędzie, jakby obgryzły je mole. — A to jest anomalia. — Mae pokręciła głową. — Mogło dojść do zanieczyszczenia fagami.

— Masz na myśli jakiś wirus? — Bakteriofagi to wirusy, które atakują bakterie.

— Tak. Coli są podatne na różne fagi. Najpowszechniej spotyka się oczywiście T4, ale Thetad są tak zaprojektowane, żeby były odporne na T4. Dlatego podejrzewam coś nowego.

— Nowy wirus? Który wyewoluował z poprzedniego?

— Na to wygląda. To pewnie mutacja istniejącego szczepu, któremu udało się obejść wbudowaną odporność. Źle nam to wróży: jeśli mamy zainfekowaną hodowlę bakterii, musimy wstrzymać produkcję, bo wirus zacznie się rozmnażać.

— Wstrzymanie produkcji nie byłoby takim najgorszym pomysłem.

— Chyba nie mamy wyboru. Spróbuję odizolować zarażone bakterie, ale nie wiem, czy obędzie się bez skrobienia kadzi i hodowania nowej kultury. Ricky się wścieknie.

— Mówiłaś mu o tym?

— Jeszcze nie. — Pokręciła głową. — I bez tego mamy dość złych wieści. A poza tym... — Mae urwała w pół zdania.

— Co takiego?

— Zależy mu na sukcesie firmy. — Spojrzała na mnie. — Bobby słyszał, jak przedwczoraj rozmawiał przez telefon o akcjach Xymosu. Xymos to dla niego ostatnia szansa, żeby zrobić większy skok na kasę. Pracuje tu od pięciu lat. Jak coś nam nie wyjdzie, będzie za stary, żeby zaczynać gdzieś od zera. Ma żonę i dziecko, nie może ryzykować i czekać następne pięć lat, aż nowa firma wypłynie. Dlatego wkłada w pracę całe serce; zarywa noce, projektuje, kombinuje; sypia najwyżej trzy, cztery godziny na dobę. Wydaje mi się, że zaczyna tracić zdrowy rozsądek.

— Wyobrażam sobie. W takim stresie...

— Przez ten brak snu zrobił się kompletnie nieprzewidywalny. Nigdy nie wiem, co zrobi, jak zareaguje. Czasem mam wrażenie, że wcale nie chce się pozbyć tych rojów. Może się boi.

— Może — zgodziłem się.

— W każdym razie jest nieprzewidywalny. Na twoim miejscu byłabym bardzo ostrożna z tym polowaniem na roje. Bo chyba do tego się przymierzasz, prawda? Chcesz je dopaść?

— Tak. Mam taki zamiar.

Dzień szósty, godzina 13.12

Wszyscy zebrali się w świetlicy, przy automatach do gier i flipperach. Nikt nie grał. Patrzyli na mnie z niepokojem, kiedy tłumaczyłem im, co musimy zrobić. Plan był prosty, tym bardziej że rój dyktował nam warunki, chociaż tego nieprzyjemnego faktu starałem się nie uwypuklać.

Wyjaśniłem, że mamy do czynienia z samodzielnym rojem, którego nie jesteśmy w stanie kontrolować i który wykazuje pewne przejawy samoorganizacji.

Samoorganizacja oznacza, że rój może znów się zebrać po rozproszeniu lub uszkodzeniu. Widzieliście, jak to wyglądało, kiedy się z nim spotkałem. Dlatego rój należy całkowicie fizycznie zniszczyć. Można tego dokonać, poddając jego elementy działaniu ognia, zimna, kwasu lub silnego pola magnetycznego. Z naszych obserwacji wynika, że największe szansę zniszczenia go będziemy mieli w nocy, kiedy straci energię i osiadzie na ziemi.

— Mówiliśmy przecież, że nie możemy go w nocy zlokalizować... — jęknął Ricky.

— Wiem o tym. Nie możecie, bo go nie oznakowaliście. Siedzimy w samym środku wielkiej pustyni. Jeżeli chcemy wytropić rój, znaleźć jego kryjówkę, musimy oznakować go w taki sposób, żeby dał się wyśledzić z bardzo daleka.

— To znaczy jak?

— Tego dotyczy moje następne pytanie. Czy dysponujecie jakimiś substancjami, które nadawałyby się na znaczniki? Przecież jesteśmy w fabryce, na pewno znajdzie się tu coś, co przylgnie do elementów roju i zostawi ślad, który nas poprowadzi. Jakiś silnie fluorescencyjny materiał, jakieś radioaktywne świństwo... Nic nie macie?

Pokręcili głowami.

— Oczywiście mamy izotopy promieniotwórcze — odezwała się Mae.

— Świetnie.

— Nareszcie do czegoś dochodziliśmy.

— Pozwalają wykrywać nieszczelności izolacji. Helikopter dostarcza co tydzień nowy zapas.

— Jakich izotopów używacie?

— Selenu-72 i renu-186, czasem ksenonu-133. Nie wiem, co teraz jest w magazynie.

— Jakie mają okresy półrozpadu? — Niektóre izotopy bardzo szybko tracą właściwości promieniotwórcze, dosłownie w kilka godzin czy nawet minut. Takie do niczego by się nam nie przydały.

— Przeciętne około tygodnia. Selen osiem dni, ren cztery, ksenon pięć z hakiem.

— Doskonale, każdy będzie dobry. Wystarczy, żeby radioaktywny ślad utrzymał się przez jedną noc po oznakowaniu.

— Zwykle przygotowujemy zawiesinę izotopu w FDG, ciekłej glukozie. Można ją przelać do spryskiwaczy.

— I ?

— To powinno wystarczyć. Gdzie znajdują się te izotopy?

Mae uśmiechnęła się ponuro. — W magazynie.

— To znaczy?

— Na zewnątrz. Przy samochodach.

— Trzeba będzie po nie pójść.

— Na miłość boską, czyś ty oszalał?! — zawołał Ricky, gestykulując gwałtownie. — Omal dziś nie zginąłeś, a teraz chcesz znów wyjść na dwór?!

— Nie mamy wyboru.

— Właśnie że mamy! Możemy poczekać do zmroku.

— Nie, bo to by oznaczało, że dopiero jutro uda nam się oznakować roje. I dopiero następnej nocy będziemy mogli je wytropić i zniszczyć. Mamy do czynienia z organizmem, który błyskawicznie ewoluuje. Nie możemy dać mu dodatkowych trzydziestu sześciu godzin. Za duże ryzyko.

— Jak to za duże? Jeśli teraz wyściubisz nos z budynku, zginiesz. Musisz mieć zajoba, żeby w ogóle o tym myśleć!

Charley Davenport, który dotąd wpatrywał się w monitor, odwrócił się do nas i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ja nie mam zajoba. Idę z Jackiem.

— Ja też — zgłosiła się Mae. — Wiem, gdzie są izotopy.

— Nie ma potrzeby, Mae — powiedziałem. — Wystarczy, że mi powiesz. ..

— Nie. Idę z wami.

— Będziemy musieli zmajstrować jakiś spryskiwacz — zauważył David Brooks, starannie podwijając rękawy. — Najlepiej zdalnie sterowany. Rosie zna się na tym.

Rosie zerknęła na Davida.

— W porządku, ja też pójdę.

— Wszyscy chcecie iść?! — Ricky z niedowierzaniem kręcił głową. — To bardzo niebezpieczne. Bardzo.

Nikt nie zareagował. Patrzyliśmy w milczeniu na Ricky'ego. — Ricky spojrział na mnie.

— Obawiam się, że nie mogę wyrazić na to zgody... — powiedział. — — A ja się obawiam, że nie masz innego wyjścia.

— Jestem tu szefem.

— Już nie.

Zdenerwował mnie. Miałem ochotę wrzasnąć na niego, że spieprzył sprawę, pozwalając rojom swobodnie ewoluować w naturalnym środowisku, ale nie wiedziałem, które z istotnych decyzji podjęła Julia, a które on. Jak by nie patrzeć, Ricky był po prostu lizusem, który próbował przypodobać się szefostwu. W ten sposób dobrze radził sobie w życiu.

— Nie uda wam się, Jack. Nie uda wam się tam wyjść i przeżyć.

— Uda się, uda — odparł Charley Davenport i wskazał na monitor. — Sam zobacz.

Na ekranie widać było obraz otaczającej nas pustyni. Promienie popołudniowego słońca padały na karłowate kaktusy i samotny jałowiec. Nie wiedziałem, o co Charley'owi chodzi, dopóki nie zauważyłem przesypanych piasku. Jałowiec przegiął się w bok.

— Tak, tak — ciągnął Charley — mocno dmucha. A jak dmucha, to roje się chowają, prawda? Muszą przypaść do ziemi. — Skierował się w stronę korytarza prowadzącego do stacji zasilania. — Czas nagli. Do roboty!

Wszyscy ruszyli za nim. Zdziwiłem się, gdy Ricky odciągnął mnie na bok i stanął między mną a

drzwiami.

— Przepraszam, Jack. Nie chciałem ci robić wstydu przy ludziach, ale nie mogę ci na to pozwolić.

— Komu możesz?

— Jak to? — nachmurzył się Ricky.

— Spójrz prawdzie w oczy. Doszło do katastrofy. Jeśli sami nie opanujemy sytuacji, będziemy musieli wezwać pomoc.

— Pomoc? Jaką pomoc?

— Trzeba będzie zadzwonić do Pentagonu, wezwać wojsko, kogoś, kto zapanuje nad tym rojem.

— Rany boskie, Jack, nie możemy tego zrobić!

— Nie mamy wyboru.

— Ale wtedy firma padnie! W życiu nie dostaniemy żadnych pieniędzy!

— To akurat nie moje zmartwienie. — Na samą myśl o tym, co ostatnio wydarzyło się na pustyni, dostawałem białej gorączki. Od miesiący wydawano błędne decyzje. Xymos prowadził krótkowzroczną politykę, skupiał się na doraźnym łataniu dziur nikogo nie interesowały długofalowe konsekwencje takiego zachowania. — Macie tu śmiercionośny rój, które go nie potraficie kontrolować. Nie można się z tym tak dłużej pieprzyć.

— Ale Julia...

— Julii tu nie ma.

— Ale powiedziała...

— Nie interesuje mnie, co powiedziała Julia. Firma...

— Pieprzę firmę. — Złapałem Ricky'ego za ramiona i potrząsałem nim z całej siły. — Dalej nie kapujesz?! Ty nie wyjdiesz na zewnątrz, bo się boisz tego roju, Ricky. Dlatego my musimy go zabić. A jeśli nie zrobimy tego szybko, będziesz musiał wezwać pomoc.

— Nie.

— Tak, Ricky.

— To się jeszcze okaże — warknął. Naprężył mięśnie, oczy błysnęły mu złowieszczo i złapał mnie za kołnierzyk. Nie poruszyłem się, patrzyłem mu tylko prosto w oczy. Spiorunował mnie wzrokiem i w końcu puścił. Poklepał mnie po ramieniu, poprawił mi kołnierzyk. — Do diabła, Jack, co ja najlepszego wyrabiam? — Obdarzył mnie tym swoim samo — krytycznym uśmiechem mistrza surfingu. — Przepraszam. Źle znoszę ten stres, a ty masz całkowitą rację. Pieprzyć firmę, musimy zniszczyć to draństwo.

Właśnie. — Nie spuszczałem go z oka. — Zniszczyć. Cofnął rękę.

— Pewnie masz mnie za wariata. A Mary by się z tobą zgodziła. Mówiła mi przedwczoraj, że jestem jakiś dziwny. Czy ja naprawdę zachowuję się jak wariat?

— Wiesz... — Wal śmiało, nie pogniewam się.

— Jesteś zdenerwowany... Dobrze sypiasz?

— Średnio, najwyżej parę godzin na dobę.

Może przydałyby ci się jakieś pastylki nasenne.

— Łykałem już, ale nic nie pomogły. To przez to napięcie. Siedzę tu od tygodnia. To miejsce daje człowiekowi w kość.

— Wyobrażam sobie.

To właśnie... Ale mniejsza z tym. — Odwrócił się do mnie tyłem, jakby nagle zrobiło mu się

wstyd. — Włączę nadajnik, będę z wami cały czas. Jestem ci bardzo wdzięczny, Jack, zaprowadziłeś tu porządek. Tylko... Uważaj na siebie, dobrze?

— Spokojna głowa. — Ricky odsunął się spod drzwi. — Wyszedłem ze świetlicy.

Kiedy znalazłem się w korytarzu, Mae zrównała się ze mną. Klimatyzacja ryczała na całego.

— Naprawdę nie musisz iść z nami, Mae — zapewniłem ją. — Możesz mi przez radio wydawać instrukcje, jak obchodzić się z tymi izotopami.

— Nie chodzi mi o izotopy — odparła półgłosem. Jej słowa utonęły w szumie klimatyzacji. — Tylko o królika.

— Pomyślałem, że się przesłyszałem.

— O co?

O królika. Muszę go jeszcze raz zbadać.

— Po co? .Pamiętasz tę próbkę wyściółki żołądka? Przed chwilą obejrzałam ją pod mikroskopem.

— Co?

— Mamy poważny problem, Jack.

Dzień szósty, godzina 14.52.

Pierwszy wyszedłem na dwór, mrużąc oczy przed pustynnym słońcem. Dochodziła trzecia, ale prażyło nie gorzej niż w południe. Dmuchał gorący wiatr. Poprawiłem mikrofon.

— Bobby, odezwiw się

— Słyszę cię, Jack.

— Masz obraz? — Tak.

Charley wyszedł za mną. Parsknął śmiechem.

— Wiesz co, Ricky? — powiedział. — Jesteś głupim palantem.

— Daruj sobie — odpowiedział Ricky. — Wiesz, że nie lubię komplementów. Bierzcie się do roboty.

Następna była Mae z przerzuconym przez ramię plecakiem.

— To na izotopy — wyjaśniła.

— Są takie ciężkie?

— Pojemniki sporo ważą. Obok nas stanęli David i Rosie.

— Jezu, jak gorąco — skrzywiła się Rosie.

— Tak to zwykle bywa na pustyniach — zauważył Charley.

— Przestań pieprzyć, Charley.

— Nie ośmieliłbym się pieprzyć.

Omiotłem wzrokiem horyzont, ale nie zobaczyłem nic podejrzanego. Samochody stały pod wiatą pięćdziesiąt metrów od nas. Wiat przylegała do kwadratowego, betonowego budynku z wąskimi oknami. To właśnie był magazyn.

— Ruszyliśmy w jego stronę.

Czy tam jest klimatyzacja? — zainteresowała się Rosie.

— Tak — odparła Mae — ale w środku i tak jest gorąco. Kiepska izolacja.

— Magazyn jest hermetyczny? — zapytałem.

— Właściwie nie...

— Czyli nie jest — uściślił z uśmiechem Davenport. — Jaki mamy wiatr, Bobby?

— Trzydzieści dwa kilometry na godzinę — odezwał się Lembeck. — Dobry, silny wiaterek.

— Kiedy ustanie? O zachodzie słońca?

— Pewnie tak. Czyli za trzy godziny.

— Mamy mnóstwo czasu — stwierdziłem.

Zauważyłem, że David w ogóle się nie odzywa. Ciężkim krokiem szedł w stronę wiaty. Rosie deptała mu po piętach.

— Nigdy nic nie wiadomo — zauważył Davenport. — W każdej chwili może być po nas.

nów się roześmiał w ten charakterystyczny, irytujący sposób.

— Może byś się wreszcie zamknął, Charley? — zasugerował Ricky.

— Chodź tu i mnie zmuś, twardzielu. Co, pękasz?

— Charley, skupmy się na tym, co mamy zrobić — wtrąciłem.

— Ja jestem skupiony. Cały czas.

Wiatr podrywał z ziemi piasek, tworząc brunatną chmurę tuż nad powierzchnią pustyni. Mae szła obok mnie.

— Chcę obejrzeć tego królika — powiedziała nagle. — Dogonię was.

Skreśliła w prawo, gdzie zostawiliśmy truchło. Poszedłem za nią, a wtedy wszyscy ruszyli moim śladem. Woleli zostać w grupie. Wiatr był wciąż silny.

— Po co ci ten królik, Mae? — zapytał Charley.

— Chcę coś sprawdzić. — Mae naciągnęła gumowe rękawiczki. Usłyszałem trzask w słuchawkach.

— Co wy tam, do cholery, wyrabiacie?

— Idziemy obejrzeć królika — odparł Charley.

— Po co?

— Mae chce mu się przyjrzeć.

— Już go widziała. Jesteście na otwartym terenie, na waszym miejscu nie brykałbym za bardzo.

— Nikt nigdzie nie bryka, Ricky.

Widziałem już w oddali martwego królika, chociaż chmura piasku częściowo skrywała go przed naszym wzrokiem. Wiatr przewrócił go na bok. Mae przykucnęła, obróciła go na grzbiet i rozchyliła brzegi nacięcia.

— O rany... — stęknęła Rosie.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że odsłonięte mięso nie było już gładkie i różowiatkie bardziej przypominało otartą skórę. W dodatku pokrywał je biały nalot.

— Wygląda, jakby go wykąpano w kwasie — zauważył Charley.

— To prawda — przytaknęła ponuro Mae.

Zerknąłem na zegarek: od śmierci królika minęły dwie godziny.

— Co się z nim stało?

Mae oglądała już królika przez szkło powiększające.

— Jest częściowo zjedzony — stwierdziła.

— Zjedzony? Co go zjadło?

— Bakterie.

— Zaraz, zaraz, masz na myśli Thetad? — zapytał Davenport — Ze żarły go E. coli?

— Niedługo się dowiemy.

Mae wyjęła z torebki kilka próbek ze sterylnymi gazikami.

— Przecież jest martwy dopiero od niedawna.

— Wystarczająco długo. Wysoka temperatura przyspiesza wzrost bakterii. — Mae pobrała próbki i włożyła gaziki z powrotem do próbek.

— To by oznaczało, że Thetad bardzo szybko się rozmnaża.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Wystarczy dobre źródło pożywienia, a bakterie przechodzą w fazę, w której liczebność kolonii podwaja się co dwie, trzy minuty. I tutaj chyba właśnie tak się dzieje.

— To by oznaczało, że rój...

— Nie wiem, co to oznacza, Jack — przerwała mi Mae. Zerknęła na mnie i ledwie zauważalnie potrząsnęła głową: Nie teraz.

— Ale inni nie dali się tak łatwo zbyć.

— Mae... — powiedział Davenport — uważasz, że rój zabił królika, żeby go zjeść? I wyhodować na nim więcej coli, które zbudują nowe roje?

— Tego nie powiedziałam, Charley — odparła Mae.

— Ale tak pomyślałaś. Uważasz, że roje żywią się tkanką ssaków, żeby się rozmnażać...

— Owszem, tak właśnie myślę, Charley. — Mae schowała próbki i wstała. — Pobrałam próbki kultur. Wsadzę je do roztworu agarowy, zrobię test Lurii... Zobaczymy.

— Założę się, że gdybyśmy wrócili tu za godzinę, ten biały nalot zniknie, a królik szernieje. Powstaną nowe nanocząstki, których z czasem wystarczy do utworzenia nowego roju.

— Też mi się tak wydaje.

— Czy to dlatego w okolicy nie ma żadnych zwierząt? — zaciekawiał się Brooks.

— Tak. — Mae odgarnęła kosmyk włosów z czoła. — Trochę już to trwa.

Zapadła cisza. Staliśmy nad martwym królikiem, wiatr smagał nas po plecach. Wydawało mi się, że bakterii przybywa na naszych oczach.

— Trzeba się pozbyć tego kurestwa — stwierdził Charley. Ruszyliśmy w stronę wiaty. Nikt nic nie mówił. Słowa były zbędne.

Na nasz widok chowające się w cieniu opuncji ptaszki poderwały się do lotu i świergocząc, zaczęły krążyć w powietrzu.

— Zwierząt nie ma, ale ptaki zostały? — zdziwiłem się.

— Na to wygląda — przytaknęła Mae. Stado zatoczyło koło i opadło na ziemię sto metrów dalej. — Może są dla rojów za drobne, mają za mało mięsa.

— Może — zgodziłem się, chociaż przyszedł mi do głowy jeszcze inny pomysł. Ale żeby się upewnić, musiałem najpierw przejrzeć program roju.

Wszedłem pod wiatę z blachy falistej, minąłem stojące w szeregu samochody i skierowałem się do magazynu. Jeśli wierzyć naklejkom na drzwiach, w środku groziły nam same niebezpieczeństwa: promieniowanie jądrowe, trucizny, mikrofały, materiały wybuchowe, promieniowanie laserowe.

— Teraz już wiesz, dlaczego trzymamy cały ten szajs na zewnątrz — mruknął Charley.

— Jack, telefon do ciebie — zabrzmiał w słuchawkach głos Vince'a. — Przełączę.

Zadzwoił mój telefon komórkowy. Podejrzywałem, że to Julia.

— Słucham?

— Tata! — W głosie Erica rozpoznałem natarczywą nutę, która oznaczała, że się martwi.

— Westchnąłem.

— Cześć, Eric.

— Kiedy wrócisz?

— Nie wiem dokładnie, synku.

— Zdążysz na kolację?

— Chyba nie. A co? Coś się stało?

— Ona jest taka beznadziejna.

— Powiedz po prostu, o co chodzi.

— Ciotka Ellen zawsze bierze jej stronę. To nie fair.

— Słuchaj, Eric, jestem trochę zajęty, więc powiedz mi, proszę...

— Czym jesteś zajęty?

— Powiedz, co się stało, synku.

— Nieważne. — Eric wyraźnie zmarkotniał. — Jeśli nie wracasz, to nieważne. A w ogóle to gdzie jesteś? Na pustyni?

— Tak. Skąd wiesz?

— Rozmawiałem z mamą. Ciotka Ellen zmusiła nas, żebyśmy pojechali do mamy do szpitala. Nie chciałem jechać, ale ona mnie zmusiła.

— Rozumiem. Jak się czuje mama?

— Wypisują ją.

— Zrobiła wszystkie badania?

— Lekarze chcieli, żeby została, ale ona nie chce. Ma rękę w gipsie. Mówi, że poza tym wszystko w porządku. Tata? Dlaczego ja zawsze muszę robić to, co mi każe ciotka Ellen?

— Daj mi ją do telefonu.

— Pojechała z Nicole kupić jej nową sukienkę do tej sztuki. — I co, zostawiły cię samego w domu?

— Z Marią.

— To dobrze. Odrobiłeś lekcje?

— Jeszcze nie.

— To bierz się do roboty, synku. Żebyś zdążył przed kolacją.

— To niesamowite, jak automatycznie rodzice wypowiadają takie słowa.

Stałem przed drzwiami i gapiłem się na naklejki. Niektórych nie znałem — był tam na przykład kwadrat, skierowany jednym wierzchołkiem do dołu, złożony z czterech kolorowych, ponumerowanych kwadratów. Mae otworzyła drzwi i weszła do środka.

— Tato? — chlipnął Eric. — Kiedy wrócisz?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że najdalej jutro.

— No dobrze. Obiecujesz?

— Obiecuję.

Usłyszałem, jak pociąga nosem. Powiedziałem mu, żeby zadzwonił jeszcze do mnie, jeśli będzie miał ochotę. Wziął się w garść, powiedział, że zadzwoni, i pożegnaliśmy się.

— Wyłączyłem telefon i wszedłem do magazynu.

Wnętrze zostało podzielone na dwa duże pomieszczenia. Betonowe ściany, betonowe posadzki, półki na każdej ścianie, regały na środku. W drugim pomieszczeniu były jeszcze jedne drzwi i żaluzja z blachy, wychodząca na rampę dla samochodów. Palące promienie słońca wpadały do środka przez okna w drewnianych ramach. Klimatyzacja hałasowała okropnie, ale Mae miała rację: w magazynie panował upał. Zamknąłem drzwi i obejrzałem uszczelkę: zwykły kawałek gumy. W żadnym wypadku nie mogło to być hermetyczne.

Przeszedłem między regałami, na których stały pojemniki z częściami zamiennymi dla zakładu i laboratoriów i znalazłem się w jeszcze innym pomieszczeniu, gdzie przechowywano bardziej zwyczajne zapasy: środki czyszczące, papier toaletowy, mydło, proszki do prania. Stały tam też lodówki zjedzeniem. Spojrzałem na Mae.

— Gdzie są izotopy?

— Tutaj.

Obeszliśmy regał i wskazała mi stalową klapę w podłodze. Klapa miała prawie metr średnicy i wyglądałaby jak zalany betonem duży pojemnik na śmieci, gdyby nie umieszczona pośrodku klawiatura numeryczna i świecące diody. Mae przyklęła i szybko wprowadziła szyfr.

Pokrywa uniosła się z sykiem.

Metalowa drabinka prowadziła w dół, do okrągłej komory o stalowych ścianach. Izotopy znajdowały się w metalowych pojemnikach różnej wielkości. Mae najwyraźniej rozpoznawała je po wyglądzie, bo od razu stwierdziła:

— Mamy selen-172. Nada się?

— Oczywiście. Zaczęła schodzić po drabince.

— Uspokój się, do kurwy nędzy! — David Brooks odskoczył od stojącego w kącie Charley'a, który bawił się spryskiwaczem po płynie do okien i obryzgiwał go wodą, bynajmniej nie przez nieuwagę. — Daj to!

— Powinien wystarczyć — zauważył spokojnie Charley. — Ale musimy mieć zdalne sterowanie.

— Przyda się?! — zawołała z pierwszego pomieszczenia Rosie. Pokazała nam błyszczący cylinder, z którego zwisały jakieś przewody. — To chyba przekaźnik elektromagnetyczny.

— Zgadza się — potwierdził David. — Sądzę jednak, że za słaby, żeby ścisnąć taką butelkę. Masz jakieś dane? Zresztą nieważne, musimy zna leżać coś większego.

— I jakiegoś pilota — przypomniał Charley. — Chyba że chcesz podejść i osobiście spryskać to draństwo.

Mae wyniosła z piwnicy ciężki metalowy walec. Stała przy zlewie, nałożyła grube rękawice i sięgnęła po butlę słomkowej cieczy. Pomału zaczęła dodawać do niej izotop. Umieszczony nad zlewem licznik Geigera terkotał rytmicznie.

— Nie zapomnieliście o czymś? — odezwał się Ricky. — Nawet jak opracujecie system zdalnego sterowania, nie zmusicie roju, żeby zbliżył się do spryskiwacza. A nie sądzę, żeby zawisł w powietrzu i grzecznie czekał, aż go oznakujecie.

— Spróbujemy go jakoś zwabić — odparłem.

— Jak?

— Zainteresował się królikiem, prawda?

— Nie mamy królików.

— Wiesz co, Ricky? — wtrącił Charley. — Jesteś niepoprawnym pesymistą. — Przypominam tylko fakty.

— Dzięki, że zechciałeś się nimi podzielić.

Charley musiał zauważyć to, co zwróciło uwagę Mae: Ricky stawał okoniem przy każdej okazji, jakby nie chciał zniszczyć roju. Nie rozumiałem tego, ale właśnie tak się zachowywał.

Powiedziałbym Charley'owi, co myślę o Ricky'm, ale przy włączonym mikrofonie wszyscy by mnie usłyszeli. Oto wada nowoczesnych środków łączności: każdy może cię podsłuchać.

— Hej, jak wam idzie? — spytał Bobby Lembeck.

— Pomalutku. A co?

— Wiatr słabnie.

— Jak bardzo?

— Teraz jest dwadzieścia osiem kilometrów na godzinę. Było trzydzieści trzy.

— Dwadzieścia osiem nam wystarczy, nie ma problemu.

— Masz rację, chciałem tylko, żebyście wiedzieli.

— Co to jest termit? — zapytała z drugiego pokoju Rosie. W rękach trzymała plastikowy pojemnik, w którym znajdowały się metalowe rurki o średnicy kciuka.

— Uważaj z tym! — powiedział David. — Zostało pewnie z czasów budowy. Używali termitu do

spawania.

— Ale co to jest?

— Mieszanka aluminium i tlenku żelaza. Ma bardzo wysoką temperaturę spalania, trzy tysiące stopni świeci przy tym tak jasno, że można oślepnąć. No i topi stal, dzięki czemu można ją spawać.

— Ile tego jest? — spytałem. — Może nam się w nocy przydać.

— Cztery pudełka. — Wzięła do ręki jedną rurkę. — Jak to się podpala? — Ostrożnie, Rosie.

Termit jest w osłonce z magnezu, którą można podpalić byle czym.

— Zapalkami też?

— Jeśli chcesz stracić rękę... Lepiej użyć czegoś z lontem, na przykład racy sygnałowej.

— Poszukam. — Rosie zniknęła nam z oczu.

Licznik terkotał bez przerwy. Odwróciłem się do zlewu: Mae zamknęła już walcowaty pojemnik z selenem i przelewała właśnie słomkowy płyn do butelki po płynie do szyb.

— Hej, proszę państwa! — znów odezwał się Bobby Lembeck. — Wiatromierz się waha, jest około dwudziestu dwóch kilometrów na godzinę.

— Dobrze, Bobby — uspokoilem go. — Nie musisz nam meldować o każdej najmniejszej zmianie.

— Po prostu rejestruję wahania.

— Na razie chyba nic nam nie grozi.

I tak musieliśmy chwilę poczekać na Mae. Włączyłem najbliższy komputer. Ekran się rozjaśnił, pojawiło się menu.

— Ricky? Mogę wywołać na tym komputerze program roju?

— Program roju? A po co?

— Chcę zobaczyć, coście z nim zrobili.

— Ale po co?

— Ricky, na miłość boską! Mogę czy nie?

— Oczywiście, że możesz. Wszystkie wersje kodu są w katalogu CDN. Musisz wpisać hasło.

— Znalazłem katalog, ale nie miałem do niego dostępu.

— Jakie jest hasło?

— 'langton', same małe litery.

— W porządku.

Wpisałem hasło i zacząłem przeglądać katalog, szukając po datach i rozmiarach plików. Wszystkie pliki były ogromne, musiały więc dotyczyć innych aspektów działania roju. Program sterujący powinien być króciutki: osiem, może dziesięć kilobajtów. Nie więcej.

— Ricky?

— Słucham, Jack?

— Gdzie jest kod roju? Nie ma go tam?

— Nie chrzań, do cholery!

— Jack, to nie ja jestem odpowiedzialny za archiwizację.

— To są pliki robocze, nie żadne archiwum. Gdzie?

Nastąpiła chwila ciszy.

— Masz podkatalog CDN? Tam znajdziesz kod.

— Przewinałem ekran w dół.

— Jest.

W katalogu CDN znalazłem listę krótkich plików. Najstarsza ze zmodyfikowanych wersji miała około sześciu tygodni, ostatnia była sprzed dwóch tygodni.

— Ricky, czy przez ostatnie dwa tygodnie w ogóle nie grzebaliście w kodzie?

— Chyba nie.

— Wywołałem na ekran najnowszy dokument.

— Są tu komentarze?

— Kiedy David i inni pracowali u mnie, pilnowałem, żeby każdy program opatrywali komentarzami w normalnym języku. Łatwiej się je potem przeglądało, a streszczenie problemu wymuszało klarowność rozumowania.

— Powinny być.

— Na ekranie wyświetlił się program:

S = 0 początkowa End For For i=1 to z do For =1 to LxV do

@ij = (state (x,y,z)) progowa wartość parametru 0 ij = (intent (Cj,Hj)) zamiar agenta Response =

0 początek reakcji agenta Zone = z(i) strefa początkowa, nieznana agentowi Sweep=1 aktywacja przemiatania End For End For

Główny A For kl=1 to RVd do For tm=1 to nv do

For @ = I to j do śledzenie otoczenia 0 ij = (intent (Cj,Hj)) zamiar spełniony @ij o (state (x,y,z))

agent w ruchu @ikl = (filed (x,y, z)) śledzenie sąsiednich agentów

Przejrzałem program, ciekaw wprowadzonych zmian, potem przewinałem w dół, żeby zobaczyć jego implementację w kodzie, ale brakowało najważniejszego fragmentu. Zachowania elementów roju były opisane jako odwołanie obiektowe do „compstatdo”.

— Co to za moduł „compstatdo”, Ricky? I gdzie go znajdę?

— Powinien tam być.

— Ale go nie ma.

— No to nie wiem. Może jest skompilowany.

— W takim razie niewiele z niego pożytku, prawda? — Kodu po kompilacji nie da się analizować. — Chcę obejrzeć ten cholerny moduł, Ricky! W czym problem?

— Nie ma żadnego problemu, będę go musiał po prostu poszukać. " — No dobrze...

Zajmę się tym, kiedy wrócić. Spojrzałem na Mae.

— Przeglądałaś kod?

Pokręciła przecząco głową. Z wyrazu jej twarzy wyczytałem, co o tym wszystkim myśli: Ricky nie da mi obejrzeć programu, będzie tylko wynajdował coraz to nowe wymówki. To nie miało żadnego sensu przecież przyjechałem po to, żeby pomóc im z oprogramowaniem, bo się na nim znam.

Rosie i David grzebali na półkach ze sprzętem, szukając przekaźników radiowych, ale na razie bez powodzenia. Charley Davenport pierdnął głośno i zawołał:

— Bingo!

— Rany, Charley — mruknęła Rosie.

— Nie można wstrzymywać takich odruchów. To niezdrowe.

— Sam jesteś niezdrowy.

— Ach tak... — Charley podniósł do góry jakiś metalowy gadżet. — Pewnie nie zainteresuje cię ten zdalnie sterowany zawór, co?

— Słucham? — Rosie spojrzała na niego.

— Żarty sobie robisz? — zainteresował się nagle David.

— Ciśnienie znamionowe dwadzieścia kilogramów na centymetr.

— Powinien być dobry.

— Jeśli czegoś nie spieprzycie.

Wszyscy podeszli do zlewu. Mae nie przelała jeszcze całej zawiesiny.

— Dajcie mi skończyć...

— Będę świecił w nocy? — Charley wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Będzie widać, jak pierdzisz — warknęła Rosie.

— Już widać. Wystarczy przyłożyć zapalnik...

— Jezu, Charley!

— To metan, pali się takim szlachetnym, niebieskim płomieniem. — Charley parsknął śmiechem.

— To miło, że umiesz śmiać się z własnych dowcipów. Nikogo poza tym nie bawią.

— Ojjoj... — Charley złapał się za pierś. — Umieram, pomocy...

— Nie rób nam nadziei.

— Hej tam! — zaskrzeczał w słuchawkach głos Bobby'ego. — Wiatr osłabł do jedenastu kilometrów na godzinę.

— Przyjąłem. — Odwróciłem się do pozostałych. — Kończmy już.

— Czekamy, aż Mae skończy — odparł David. — Potem założymy zawór.

— Możemy go założyć w laboratorium.

— Chcę się tylko upewnić...

W laboratorium — powtórzyłem. — Zbierajcie się, wyrząłem przez okno: wiatr tarosił jeszcze jałowce, ale nie podrywał już piasku z ziemi.

— Jack, spieprzajcie stamtąd! — odezwał się Ricky.

— Już idziemy.

— Nie ma sensu, żebyśmy wracali, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego zaworu... — zaczął David.

— Chodźmy już — przerwała mu Mae. — Skończymy kiedy indziej.

— Jak to?

— Pakuj się — dodałem. — Zamknij się i zbierz rzeczy.

— Osiem kilometrów na godzinę i słabnie — usłyszałem Bobby'ego Lembecka.

— Szybko! — Zacząłem ich poganiać.

— Nie! — odezwał się nagle Ricky.

— Co takiego?

— Nie możecie teraz wyjść.

— Dlaczego?

— Za późno. Już tu są.

Dzień szósty, godzina 15.12

Rzuciliśmy się do okien i zderzając się głowami, próbowaliśmy patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie. Nie widziałem nic niepokojącego.

— Gdzie są? – spytałem.

— Nadlatują z południa. Mam je na ekranach.

— Ile?

— Cztery. — Cztery?!

— Tak, cztery.

— Na południe od nas znajdował się główny budynek fabryki, ale z magazynu nie wychodziły na tamtą stronę żadne okna.

— Nic nie widzimy — stwierdził David. — Szybko się zbliżają?

— Szybko.

— Zdążymy uciec?

— Raczej nie.

— Raczej nie... — powtórzył David. — Jezus Maria...

— Zanim się zorientowałem, skoczył do drzwi i je otworzył. Widzieliśmy, jak stojąc w progu, patrzy na południe, osłaniając dłonią oczy. Wszyscy zaczęli krzyczeć:

— David!

— Co ty wyprawiasz, David?!

— David, ty palancie!

— Chciałem zobaczyć.. — Wracaj!

— Ty kretynie, chodź tu zaraz!

— Ale Brooks stał bez ruchu.

— Na razie nic nie widać — powiedział. — Ani nie słysząc. Wydaje mi się, że moglibyśmy przebiec... To znaczy... Już nie.

Wpadł do środka, potknął się na progu, przewrócił, zerwał na nogi i zatrzasnął drzwi. Kurczowo zacisnął dłonie na klamce.

— Gdzie są?

— Blisko. Bardzo blisko. — Głos drżał mu ze zdenerwowania. — Jezu Chryste, lecą tu. — Zaparł się nogami, z całej siły przyciskając drzwi do framugi. Lecą tu...

— No to pięknie — mruknął Charley. — Odbiła mu szajba. Położyłem Davidowi dłoń na ramieniu. Dyszał ciężko i nie przestawał dopychać drzwi.

— Davidzie — powiedziałem cicho. — Uspokój się. Zrób głęboki wdech.

— Nie mogę... nie mogę...

Był zlany potem, wszystkie mięśnie miał napięte, czułem, jak cały dygocze ze strachu.

— Davidzie, oddychaj głęboko, dobrze?

— Muszę... muszę... muszę...

— Głęboko, Davidzie. O tak, już lepiej. No, dalej... David kiwał głową, próbując skupić się na moich słowach. Odetchnął raz spokojnie, ale zaraz znów zaczął dyszeć.

— Właśnie tak, Davidzie, jeszcze raz...

— Drugi spokojny oddech, trzeci... Powoli się uspokajał, przestał się trząść.

— Świetnie...

— Wiedziałem, że ten facet jest pochrzaniiony — usłyszałem za piecami głos Charley'a.

— Trzeba się z nim cackać jak z dzieckiem.

— Spiorunowałem go wzrokiem.

— No co? Przecież mam rację — wzruszył ramionami.

— Nie pomagasz mu, Charley — zauważyła Mae.

— Mam to gdzieś.

— Zamknij ryj, dobrze? — rzuciła Rosie. Odwróciłem się do Davida.

— Już dobrze, Davidzie... — Starałem się mówić dobitnie i łagodnie. — Oddychaj, oddychaj...

No, a teraz puść klamkę.

David pokręcił głową widać było, że się waha, że nie wie, co powinien zrobić. Zamrugał i pokręcił głową, jakby wychodził z transu.

— Puść klamkę — powtórzyłem spokojnie.

Wreszcie rozluźnił uchwyt na klamce i osunął się na ziemię. Oparł głowę na dłoniach i zaczął płakać.

— O Jezu, jeszcze tego nam brakowało. — Charley westchnął.

— Stul dziób!

Rosie przyniosła butelkę wody z lodówki. Podała ją Davidowi, który zaczął pić chciwie. Pomogła mu wstać i skinieniem głowy dała mi znać, że już się nim zajmie.

Przeszedłem na środek pomieszczenia, gdzie inni skupili się przy komputerze. Program zniknął z ekranu, a jego miejsce zajął widok z kamery, skierowanej na pomocną ścianę głównego budynku. Cztery roje połyskiwały srebrzyście, przemieszczając się wzdłuż niej tam i z powrotem.

— Co one robią? — zdziwiłem się.

— Próbują dostać się do środka.

— Po co?

— Nie wiemy — odparła Mae.

Przez chwilę patrzyliśmy w milczeniu. Celowość zachowania rojów przywodziła na myśl niedźwiedzie, które usiłują się włamać do przyczepy kempingowej w poszukiwaniu jedzenia. Zatrzymywały się przy każdym oknie i każdych drzwiach, zawisały w powietrzu, sprawdzały uszczelki, a potem przenosiły się do następnego otworu.

— Zawsze tak obmacują drzwi?

— Tak, a co?

— Jakby nie pamiętały, że drzwi są uszczelnione.

— Bo nie pamiętają — zgodził się ze mną Charley. — Mają za mało pamięci?

— Albo tak, albo jest to nowe pokolenie.

— Nowe? Od dwunastej miałyby się pojawić nowe pokolenie?!

— Tak.

Spojrzałem na zegarek.

— Czyli co trzy godziny nowa generacja? Charley wzruszył ramionami.

— Może. Nie widzieliśmy, jak się rozmnażają. Tak tylko zgaduję.

Skoro nowe pokolenia nanomechanizmów powstawały w tak niewiarygodnym tempie, równie szybko musiały funkcjonować mechanizmy ewolucyjne, zapisane w ich programie. Algorytmy genetyczne — czyli takie, które symulują rozmnażanie żywych organizmów — potrzebowały zwykle od pięciuset do pięciu tysięcy pokoleń, zanim wypracowały optymalne rozwiązanie problemu. Jeżeli roje rozmnażały się co trzy godziny, przez dwa tygodnie pojawiło się około setki pokoleń. Po stu pokoleniach musiały być znacznie skuteczniejsze niż na początku.

— Przynajmniej trzymają się głównego kompleksu — zauważyła Mae. — Nie wiedzą, że tu jesteśmy.

— Skąd miałyby wiedzieć? — zdziwiłem się.

— Znikąd — odparł Charley. — Ich głównym kanałem zmysłowym jest wzrok. Podczas ewolucji nauczyły się też trochę słyszeć, ale bazują na wzroku. To czego nie widzą, nie istnieje.

Rosie z Davidem podeszli do nas. — Strasznie was przepraszam — powiedział David.

— Nie masz za co przepraszać.

— Nie wiem, co się stało. Po prostu nie mogłem tego wytrzymać.

— Nie przejmuj się, David — pocieszył go Charley. — Rozumiemy, jesteś świrem i nerwy ci puściły. Wiemy, jak jest. Nie ma sprawy.

Rosie objęła Davida, który głośno wysiakał nos. Spojrzała na monitor.

— Co robią?

— Nie zorientowały się, że tu jesteśmy.

— To dobrze.

— I mamy nadzieję, że tak zostanie.

— A jeśli nie?

— Myślałem już o tym.

— Jeśli nie, spróbujemy oprzeć się na założeniach PRAZWIERZA i wykorzystać słabe punkty programu.

— To znaczy?

— Stworzymy stado. Charley zarżał jak koń.

— Jasne, zrobimy stado... I będziemy się modlić!

— Ja nie żartuję — powiedziałem.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat naukowcy badali zależności między drapieżnikiem i ofiarą na wszystkich możliwych przykładach: od lwów, przez hieny, aż po wojownicze mrówki. Udało im się zrozumieć niektóre techniki obronne, stosowane przez ofiary. Zebry czy karibu żyją w stadach nie dlatego, że są towarzyskie, ale dlatego, że pozwala im to lepiej się bronić przed atakiem. Kiedy stado rozpierzcha się nagle we wszystkie strony, napastnik jest zdezorientowany. Czasem dosłownie staje jak wryty. Inaczej mówiąc — jeśli ma do wyboru zbyt wiele ofiar, często nie rzuca się w pogoń za żadną z nich.

To samo dotyczy ptaków i ryb: skoordynowany ruch grupy utrudnia drapieżnikowi wyłowienie ze stada czy ławicy jednego konkretnego osobnika. A drapieżniki lubią ofiary, które czymś się wyróżniają — między innymi dlatego chętnie atakują młode, nie tylko jako najsłabsze sztuki w stadzie, ale także jako wyraźnie różniące się od reszty. Z tego też powodu ginie więcej samców niż samic, bo samce, które nie są najważniejsze w stadzie, trzymają się na jego obrzeżach. A tam łatwiej ich wypatrzeć.

Kiedy Hans Kruuk przed trzydziestu laty badał zachowanie hien w Serengeti, odkrył, że pochłapanie ofiary farbą dawało niemal stuprocentową gwarancję, że zostanie zabita w czasie najbliższego polowania. Lepiej się nie wyróżniać.

Wniosek był prosty. Musieliśmy trzymać się razem i wyglądać tak samo.

To mogła być nasza jedyna szansa.

Ale miałem nadzieję, że nie będziemy musieli tego sprawdzać.

Roje zniknęły nam z oczu — rozpoczęły oględziny drugiej strony budynku. Czekaliśmy w napięciu, aż w końcu pojawiły się z powrotem. Znów zaczęły badać wszystkie otwory w ścianie.

Nie odrywaliśmy wzroku od monitora. David spocił się jak mysz w połogu. Wytrzeł czoło rękawem.

— Długo tak mogą?

— Tak długo, jak będą miały ochotę — odparł Charley.

— Przynajmniej dopóki wiatr znów się nie zerwie — dodała Mae. — A na to się nie zanoszą.

— Jezu... Nie rozumiem, jak wy możecie tak spokojnie na to patrzeć — jęknął David.

Był błąd jak ściana, pot kapął mu z brwi na szkła okularów. Miałem wrażenie, że zaraz nam zemdleje.

— Może chcesz usiąść? — zaproponowałem.

— Tak, — Lepiej usiądę.

— Dobrze.

— Chodź, Davidzie. — Rosie odprowadziła go pod zlew i posadziła na podłodze. Podkulił kolana, objął je ramionami i oparł na nich głowę. Rosie zmoczyła papierowy ręcznik i delikatnie położyła mu go na karku.

— Co za popapraniec. — Charley pokręcił głową. — Diabli go nam nadali.

— Nie pomagasz nam, Charley... — upomniała go Mae.

— No to co? Siedzimy w tej zaszrannej szopie jak w pułapce! Nie jest hermetyczna, nic nie możemy zrobić, nie mamy dokąd uciec, a on się nam rozkleja jak dziecko. Gorzej być nie może.

— To wszystko prawda, ale twoje zachowanie w niczym nam nie pomaga,

Charley spojrzał na Mae z ukosa i zaczął coś nucić.

— Uważaj, Charley — powiedziałem.

Roje nie latały już przy samej ścianie, lecz zygzakiem oddalały się kawałek w głąb pustyni, a potem tą samą drogą wracały pod fabrykę. Wszystkie cztery podjęły ten sam płynny taniec.

— To coś nowego — zauważyła Mae.

— Właśnie. Poprzednia strategia nie zadziałała, więc próbują czegoś nowego.

— Gównu im to da — stwierdził Charley. — Mogą sobie tak latać do usranej śmierci, przecież drzwi się od tego nie otworzą.

Z fascynacją obserwowałem to nowe ich zachowanie. Zygzaki robiły się coraz wyraźniejsze, roje coraz bardziej oddalały się od budynków. Na naszych oczach wprowadzały zmiany do przyjętej strategii. — Niesamowite — mruknąłem. — Małe skurwysynki...

Jeden z rojów zbliżył się na odległość kilku metrów do martwego królika, zawrócił i pomknął z powrotem.

— Czy taki rój ma dobry wzrok? — zainteresowałem się.

Pstryknęło w słuchawkach. Zgłosił się Ricky.

— Znakomity. Przecież po to zostały stworzone. Dwadzieścia koma pięć, wysmienita

rozdzielczość. Znacznie lepsza niż u człowieka.

— Jak przetwarzają obraz?

— Składały się przecież z osobnych elementów. W ludzkim oku też są miliardy czopków i pręcików i dlatego impulsy muszą być przetwarzane centralnie, żeby powstał obraz. Jak to się odbywało w roju?

— No... — Ricky odchrząknął. — Nie wiemy.

— To zachowanie pojawiło się dopiero w nowszych pokoleniach — wyjaśnił Charley.

— Same wykształciły zmysł wzroku?

— Tak.

— Czy nie mamy pojęcia, jak tego dokonały?

— No właśnie. Nie ma jednak wątpliwości, że im się udało.

Rój odskoczył od ściany, zawrócił w stronę królika, znów wrócił pod budynek. Inne roje, rozstawione wzdłuż całej długości ściany, zachowywały się identycznie: wylatywały nad pustynię i wracały w cień.

— Czemu o to pytasz? — zaciekawiał się Ricky.

— Tak sobie.

— Myślisz, że znajdują królika?

— Nie o królika się martwię. Poza tym chyba już go przegapiły.

— No to o co ci chodzi?

— Ojej... — mruknęła ostrzegawczo Mae.

— Cholera jasna... — westchnął Charley.

Obserwowaliśmy najbliższy rój, ten, który właśnie przeoczył królika. Odleciał jeszcze z dziesięć metrów w głąb pustyni, ale nie zawrócił pod zakład, lecz zawisł w powietrzu. Nie poruszał się, pulsował tylko rytmicznie w górę i w dół.

— Co on robi? Dlaczego tak się porusza? J

— Może chce mieć lepszy obraz i próbuje się zogniskować?

— Nie, nie... Dlaczego w ogóle się zatrzymał?

— Czyżby zawiesił się program?

— Wątpię.

— Pokręciłem głową.

— To co się stało?

— Chyba coś zauważył.

— A niby co? — zdziwił się Charley.

Bałem się, że znam odpowiedź na jego pytanie. Mieliśmy do czynienia z kamerą o wysokiej rozdzielczości, sterowaną przez inteligencję rozproszoną. A sieci rozproszone świetnie wyłapują wszelkie szczegóły. To dlatego znalazły zastosowanie w systemach alarmowych, gdzie muszą rozpoznawać twarze podejrzanych to dlatego korzystali z nich archeologowie, składając skorupy porozbijanych naczyń. Sieci lepiej potrafią uporządkować dane niż ludzkie oko.

— O jakim uporządkowaniu mówisz? — zdziwił się Charley, kiedy mu o tym opowiedziałem. — Przecież tam jest tylko piach i kaktusy.

— I ślady — dodała Mae.

— Co? Nasze ślady? Ślady, które zostawiliśmy, idąc tutaj? Kurczę, Mae, przez piętnaście minut na pewno je zawiało. Nie widać żadnych śladów.

Patrzyliśmy, jak rój faluje, jakby oddychał. Poczerniał cały, tylko chwilami na jego powierzchni pojawiał się jakiś srebrzysty odblask. Przez dziesięć, może piętnaście sekund nie ruszał się z miejsca. Pozostałe roje dalej latały zygzakiem nad pustynią, a ten jeden trwał nieruchomo.

— Charley zagryzł wargę.

— Naprawdę myślicie, że coś zauważył?

— Nie wiem — odparłem. — Może.

Rój poderwał się, ale zamiast polecieć w naszą stronę, skierował się na skos przez pustynię, prosto do drzwi stacji zasilania. Zatrzymał się przy drzwiach.

— Co jest? — zdziwił się Charley. Wiedziałem, co to znaczy. Mae też.

— Cofnął się po naszych śladach — odparła. Rój znalazł drogę, którą doszliśmy do królika. Pozostawało tylko pytanie, co robi teraz.

Następne pięć minut upłynęło nam w ogromnym napięciu. Rój wrócił tą samą drogą do królika. Pokręcił się przy nim przez chwilę, zataczając małe kręgi, i znów cofnął się do drzwi. Znieruchomiał. I wrócił do królika.

Powtórzył tę sekwencję ruchów trzykrotnie. Pozostałe roje kontynuowały badanie okolicy i zniknęły poza kadrem. Tylko ten jeden kursował między stacją zasilania i martwym królikiem.

— Zapętlił się — stwierdził Charley. — W kółko powtarza te same ruchy.

— Całe szczęście.

Czekałem, kiedy rój zmieni coś w swoim zachowaniu. Na razie nic się nie działo. Jeśli miał ograniczoną pamięć, to mógł przypominać cierpiącego na chorobę Alzheimera i nie pamiętać, że się powtarza.

— Kołysząc się na boki, przeleciał nad królikiem. — Tak, pewnie się zapętlił — powtórzył Charley. Czekałem cierpliwie.

Nie zdążyłem przejrzeć wszystkich zmian w PRAZWIERZU, bo brakowało w nim głównego modułu, ale pierwotna wersja programu zawierała generator losowy, potrzebny w takich właśnie sytuacjach. Kiedy PRAZWIERZ nie potrafił osiągnąć wyznaczonego celu i brakowało impulsów zewnętrznych, które wymusiłyby nowe działania, jego zachowanie było modyfikowane w sposób przypadkowy. To nic nowego. Psychologowie uważają na przykład, że bez odrobiny przypadkowości niemożliwe są jakiegokolwiek innowacje. Nie można niczego stworzyć bez zapuszczania się w nieznanne.

— Ojej... — jęknęła Mae.

Rój zaczął zataczać coraz większe kręgi wokół królika i prawie natychmiast natknął się na nowy trop. Znieruchomiał, wzniósł się wyżej i ruszył w kierunku wiaty. Podążał po naszych śladach.

— A niech to — odezwał się Charley. — Chyba mamy przerabane.

Mae i Charley podbiegli do najbliższego okna, David i Rosie wyjrzeli przez okno nad zlewem.

— Nie! — krzyknąłem. — Odsuńcie się od okien!

— Dlaczego?

— Żeby rój nas nie zobaczył.

Nie bardzo mieliśmy się gdzie schować, ale Rosie z Davidem wczołgali się pod zlew, a Charley, nie zważając na ich protesty, wpełznął się obok. Mae wtopiła się w cień w rogu pomieszczenia, w luce między regałami. Można ją było wypatrzeć tylko przez zachodnie okno.

— Hej tam! — zatrzeszczało w słuchawkach. Ricky. — Jeden rój już do was leci. O rany! Dwa następne lecą za nim.

— Wyłącz się — powiedziałem. — Co?

— Cisza radiowa.

— Dlaczego?

— Wyłącz się, Ricky.

Przykłęknąłem za kartonem z zapasami w głównym pomieszczeniu. Nie mogłem się za nim cały ukryć — nogi i tak mi wystawały — ale przynajmniej nie rzucałem się w oczy. Trzeba by spojrzeć przez północne okno, w dół pod ostrym kątem, żeby mnie zobaczyć. Nic lepszego nie mogłem wymyślić.

Widziałem trójkę wciśniętą pod zlew żeby dostrzec Mae, musiałem wystawić głowę zza pudła. Wyglądała na spokojną i opanowaną. Schowałem się.

— Dlaczego mam się wyłączyć? — zapytał Ricky. — Kurczę... — mruknął pod nosem Charley. Przyłożyłem palec do ust i pokręciłem głową.

— Roje słyszą dźwięki, prawda, Ricky? — zapytałem.

— Trochę pewnie tak, ale...

— Więc zamknij się i rozłącz. — Ale...

Wyłączyłem zawieszony na pasku nadajnik i dałem znak siedzącym pod zlewem, żeby zrobili to samo. Posłuchali mnie.

Charley poruszył bezgłośnie ustami. Wydawało mi się, że mówi: „Ten skurwiel chce nas zabić”, ale nie byłem pewien.

Czekaliśmy.

Oczekiwanie trwało pewnie dwie, może trzy minuty, ale ciągnęło się w nieskończoność. Od klęczenia na betonie rozboleły mnie kolana. Poruszyłem się ostrożnie, próbując znaleźć sobie wygodniejszą pozycję. Byłem pewien, że pierwszy rój jest już gdzieś blisko. Na razie nie widziałem go w żadnym oknie i zaczynałem się zastanawiać, co go zatrzymało. Może samochody? Ciekawe, co taki rój może pomyśleć o samochodzie; jak zagadkowy musi mu się wydać taki pojazd. Ale dopóki samochody się nie poruszały, rój mógł je potraktować jak ogromne, kolorowe kamienie.

Co go w takim razie zatrzymało?

Z każdą chwilą nogi bolały mnie coraz bardziej. Oparłem się na rękach i oderwałem kolana od posadzki, jak sprinter w blokach startowych. Tak się zająłem sobą, że nie zauważyłem, kiedy oślepiająco biały prostokąt światła na podłodze pociemniał: najpierw czarny kształt pojawił się na środku, potem rozszedł się na boki, a po chwili cała słoneczna plama zszarzała.

Rój znalazł magazyn.

Nie wiedziałem, czy mnie słuch nie myli, ale wydawało mi się, że przez szum klimatyzacji przebija się niskie, rytmiczne buczenie. Widziałem, jak za oknem przy zlewie gęstnieje chmura nanomechanizmów, zupełnie jakby na dworze rozszalała się burza piaskowa. W magazynie zapanował półmrok.

David Brooks jęknął cicho, ale Charley zasłonił mu usta dłonią. Obaj patrzyli w górę, chociaż krawędź zlewu zasłaniała im okno.

Nagle rój się wycofał, równie szybko, jak przedtem się pojawił. Zrobiło się jaśniej.

Nikt się nie poruszył.

Czekaliśmy.

Po chwili tak samo pociemniało zachodnie okno. Zdziwiłem się, że rój nie próbuje się dostać do środka. Okna nie były przecież uszczelnione, nanokamery bez trudu wśliznęłyby się do środka przez

szpary. Wyglądało jednak na to, że nawet nie próbują.

Być może ich inteligencja zadziałała tym razem na naszą korzyść: może rój nauczył się przy laboratorium, że okna i drzwi są szczelne, i uznał, że nie ma sensu dalej próbować.

Nadzieja pozwoliła mi na chwilę zapomnieć o obolałych kolanach.

Zachodnie okno było wciąż zaciemnione, kiedy poszarzało także okno północne, to nad zlewem. Dwa roje jednocześnie zaglądały do środka. Ricky mówił o trzech, o czwartym nie wspomniał. Zastanawiałem się, co się stało z trzecim rojem.

Chwilę potem już wiedziałem.

Niczym czarna mgła rój zaczął się przesączać do pomieszczenia przez szparę pod zachodnimi drzwiami. Stopniowo coraz więcej nanomechanizmów przenikało do środka, już nie tylko dołem, ale przez wszystkie szczeliny w futrynie. Unosiły się beładnie w powietrzu, ale wiedziałem, że za kilka sekund odtworzą rój.

Drugi rój zaczął się wciskać przez szpary w północnym oknie z umieszczonych na suficie wylotów klimatyzacji sączyła się czarna struga nanocząstek.

Nie było sensu dłużej czekać. Zerwałem się na nogi i wyszedłem z ukrycia. Zawołałem pozostałych.

— Ustawcie się w dwóch szeregach!

Charley chwycił spryskiwacz z roztworem glukozy.

— Jak oceniasz nasze szansę? — mruknął.

— Lepszej okazji nie będzie. Pamiętajcie zasady Reynoldsa? Trzymajcie się blisko mnie. Zaczynamy.

Gdyby nie paralizujący strach, czuliibyśmy się pewnie jak ostatni idioci: powłócząc nogami, posuwaliśmy się rytmicznie przez pokój, w ciasnym szyku, próbując złapać wspólny rytm i udawać zbite w stado ptaki. Serce waliło mi jak młotem, krew dudniła w uszach. Zdawałem sobie sprawę, że poruszamy się niezdarnie, ale szybko nabieraliśmy wprawy. Pod ścianą zawróciliśmy i w zgodnym rytmie ruszyliśmy z powrotem. Zacząłem klaskać przy każdym kroku, inni podchwycili mój pomysł w ten sposób łatwiej było utrzymać rytm i zapomnieć o strachu. Uprawialiśmy, jak to później powiedziała Mae, „piekielny aerobik”.

Nie odrywaliśmy przy tym wzroku od przedostających się do pomieszczenia czarnych obłoków. Wydawało się nam, że trwa to bardzo długo, ale myślę, że po trzydziestu czy czterdziestu sekundach wszystkie nanomechanizmy znalazły się w środku. Pomieszczenie wypełniła ciemna, jednorodna mgła. Czulem lekkie ukłucia na całym ciele i wiedziałem, że pozostali też je czują. David znów jęknął rozpaczliwie, ale idąca tuż obok niego Rosie, nie szczędziła mu słów zachęty.

Nagle mgła się rozwiła i nanocząstki zebrały się w dwie pionowe kolumny, które zawisły w powietrzu na wprost nas. Po ich powierzchni w górę i w dół przebiegały regularne zmarszczki. Z bliska roje wydawały się nie tylko groźne, ale wręcz złośliwe. Słyszeliśmy wyraźnie ich basowe buczenie, od czasu do czasu przerywane wściekłym węzowym sykiem.

Ale nie zaatakowały. Tak jak miałem nadzieję, luki w programie działały na naszą korzyść. W obliczu skoordynowanego stada ofiar drapieżnik zgłupiał. Roje znieruchomiały.

Przynajmniej na razie.

— Nie do wiary... takie kretyństwo... — mówił Charley między kolejnymi klaśnięciami. — Ale działa!

— Działa, ale nie wystarczy na długo — odparłem. Bałem się, że David nie wytrzyma tego

napięcia. Nie wiedziałem też, ile czasu roje potrzebują na zmianę zachowania. — Proponuję iść... do drzwi z tyłu... i wynosić się stąd.

Zawróciliśmy łukiem pod ścianą i skierowaliśmy się w stronę drugiego pomieszczenia. Buczące roje ruszyły w ślad za nami.

— A co potem?! — zaskomlał David. Miał kłopoty z zachowaniem rytmu. Mrugał rozpaczliwie, kiedy pot zalewał mu oczy. Był tak przerażony, że cały czas mylił kroki.

— Idziemy dalej... w taki sam sposób... do laboratorium... do środka... musimy spróbować.

— Jezu Chryste... To tak daleko... Nie wiem, czy...

Potknął się i omal się nie przewrócił. Przestał klaskać. Niemal czułem przez skórę jego paniczny lęk, który kazał mu uciekać gdzie pieprz rośnie.

— Zostań z nami... jeśli pójdziesz sam... nie dobiegniesz... słyszysz mnie?

— Nie wiem, Jack... — jęknął w odpowiedzi. — Nie wiem, czy dam radę...

Potknął się i wpadł na Rosie, która poleciała na Charley'a. Charley złapał ją i pomógł jej stanąć na nogi, ale nasze stado się rozpadło. Rytm diabli wzięli.

Roje szerniały, zgęstniały i przypadły do ziemi, jakby szykując się do skoku.

— O kurwa... — szepnął Charley.

Przez chwilę bałem się, że naprawdę jest już po nas, ale wtedy udało się nam odzyskać rytm i roje rozciągnęły się na poprzednią wysokość. Straciły złowrogi, czarny odcień i znów zaczęły rytmicznie pulsować. Podążyły za nami do drugiego pomieszczenia, ale nadal nie atakowały. Zostało nam jakieś pięć metrów od drzwi — tych samych, którymi tu weszliśmy. Poczulem przypływ optymizmu pierwszy raz pomyślałem, że naprawdę może się nam udać.

I wtedy w jednej chwili wszystko trafił szlag.

David Brooks spanikował.

Mieliśmy właśnie wyminąć stojący na środku pokoju regał, gdy David ruszył biegiem, przemknął między rojami i popędził do drzwi za naszymi plecami. Roje natychmiast rzuciły się za nim w pogoń.

Rosie krzyknęła na niego, żeby wracał, jednak David myślał tylko o tym, żeby dopaść drzwi. I prawie mu się udało, już wyciągał rękę do klamki — ale roje poruszały się błyskawicznie. Jeden z nich opadł na podłogę przed Davidem, tworząc cieniutki czarny dywan.

Kiedy David postawił na nim nogę, pośliznął się jak na lodzie. Zaskowyczał z bólu, padając na beton. Próbował wstać, ale cały czas się ślizgał. Odłamki okularów zraniły go w nos. Czarna, ruchliwa masa pokryła mu wargi. Zaczął się dusić.

Rosie nie przestawała krzyczeć, gdy opadł na niego drugi rój: czerń pokryła jego twarz, wlała się do oczodołów, wpłynęła we włosy. David zaczął się miotać gorączkowo wył jak zwierzę, ślizgał się i zataczał, ale jakimś cudem na czworakach wciąż brnął do drzwi. Rzucił się na nie, chwycił klamkę i zdołał uklęknąć. Ostatnim rozpaczliwym gestem przekręcił klamkę i otworzył drzwi, a potem upadł na ziemię.

Światło zalało wnętrze magazynu. Do środka wpadł trzeci rój.

— Zróbcie coś! — wrzasnęła Rosie. Złapałem ją za rękę, kiedy rzuciła się Davidowi na pomoc. Zaczęła się szarpać w moim uścisku. — Musimy mu pomóc! Musimy mu pomóc!

— Nie pomożemy mu.

— Musimy!

— Rosie, nie możemy mu pomóc.

Pokryty od stóp do głów czarną powłoką David tarzał się po posadzce. Trzeci rój otoczył go

skłębioną chmurą, przez którą niewiele było widać. Wyglądał tak, jakby zamiast ust miał czarny otwór, a zamiast gałek ocznych — dwie czarne kule. Prawdopodobnie został oślepiiony. Oddech miał przyspieszony, urywany, jakby się dusił. Rój wlewał mu się do ust jak czarna rzeka.

Nagle dostał drgawek i złapał się za szyję. Jego pięty konwulsyjnie uderzały o podłogę. Nie było wątpliwości: David umierał.

— Chodź, Jack — powiedział Charley. — Spieprzajmy stąd.

— Nie możecie go tak zostawić! — zawołała Rosie. — Nie możecie! David powoli przesuwał się przez próg, na dwór. Przestał się miotać — poruszał jeszcze ustami, ale słyszeliśmy tylko chrapliwy oddech.

Rosie znów spróbowała się ode mnie uwolnić. Charley oparł jej dłoń na ramieniu.

— Do jasnej cholery, Rosie...

Wyrwała mu się. Tym razem nie zdołałem jej utrzymać. Wpadła do sąsiedniego pomieszczenia.

— David! — zawołała. — David!

David wyciągnął do niej rękę, czarną jak u górnika. Złapała go za nadgarstek i w tym samym momencie przewróciła się na śliskiej podłodze. Powtarzała jego imię, aż zaczęła się krztusić. Wokół jej ust wykwitła czarna obwódka.

— Chodźmy stąd — powiedział Charley. — Nie mogę na to patrzeć. Stałem jak wrośnięty w ziemię. Spojrzałem na Mae: łzy płynęły jej ciurkiem po policzkach.

— Chodźmy — zgodziła się.

Rosie przytuliła Davida, nie przestając wołać go po imieniu. Przyciągnęła go do piersi, ale on już nie reagował na to. Charley nachylił się do mnie.

— To nie twoja wina! — powiedział. Pokiwałem wolno głową. Wiedziałem, że ma rację.

— To dopiero twój pierwszy dzień w pracy. — Charley sięgnął do mojego nadajnika. Włączył go. — Idziemy.

Odwróciłem się do drzwi. Wyszliśmy na zewnątrz.

Dzień szósty, godzina 16.12

Pod blaszaną wiatą było gorąco i duszno. Obok nas stały rajdem samochody. Słyszałem terkot kamery na dachu: Ricky musiał nas widzieć na monitorze. Usłyszałem trzask w słuchawkach,

— Co się dzieje, do cholery? — zapytał Ricky.

— Nic dobrego.

Na razie znajdowaliśmy się w cieniu, ale na otwartym terenie słońce prażyło w najlepsze.

— Gdzie reszta? Nic się nikomu nie stało?

— Stało się.

— Noto powiedz...

— Nie teraz.

Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że wszyscy byliśmy w szoku chodziło nam tylko o to, żeby jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Od laboratorium dzieliło nas sto metrów pustyni mniej więcej w pół minuty mogliśmy dojść do drzwi stacji zasilania. Ruszyliśmy truchtem. Ricky cały czas coś mówił, ale nikt mu nie odpowiadał. Myśleliśmy tylko o jednym: za trzydzieści sekund będziemy za drzwiami. Będziemy bezpieczni.

— Niestety, zapomnieliśmy o czwartym roju.

— Kurwa mać! — zaklął nagle Charley.

Rój wypadł zza rogu budynku i popędził prosto na nas. Stanęliśmy jak wryci, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

— Co robimy? — spytała Mae. — Zbijamy się w stado?

— Nie. — Pokręciłem głową. — Jest nas tylko troje.

Tak mała grupa nie mogła zmylić drapieżnika, a mnie nic innego nie przychodziło do głowy. Zacząłem przypominać sobie wszystkie przeczytane artykuły na temat układu drapieżnik ofiara. Zgodne były w jednej kwestii: zarówno lwy z Serengeti, jak mrówki z Amazonii nie spoczną, aż zabiją wszystkie potencjalne ofiary — chyba że znajdą one jakąś kryjówkę. Takim azylem mogło być gniazdo na drzewie, nora w ziemi, głębina na zakręcie rzeki.

— Chyba już po nas — stwierdził Charley.

Rój mknął w naszą stronę. Już prawie czułem znajome ukłucia na skórze i suchy smak popiołu w ustach. Musieliśmy znaleźć jakąś kryjówkę! Powiodłem wzrokiem dookoła, ale nic nie wpadło mi w oko, poza...

— Czy samochody są pozamykane?

— Nie — zatrzeszczało w słuchawkach. — Powinny być otwarte. Obróciliśmy się w miejscu i zaczęliśmy biec.

Pierwszy z brzegu stał niebieski czterodrzwiowy ford. Otworzyłem drzwi od strony kierowcy, Mae wsiadła z drugiej strony. Rój deptał nam po piętach zatrzaszcząc drzwi, wyraźnie słyszałem charakterystyczne buczenie. Charley ze spryskiwaczem w ręku próbował otworzyć tylne drzwi po stronie pasażera, ale były zablokowane. Mae okręciła się w fotelu, otworzyła zamek, ale Charley już

dopadł do następnego auta — Toyoty land cruiser — wskoczył do środka i zamknął drzwi.

— Kurwa mać! — zaklął. — Ale żar!

— To fakt — przytaknąłem. W samochodzie było gorąco jak w piekarniku, pociliśmy się z Mae okropnie. Rój zawirował przed przednią szybą, cofnął się i zaczął pulsować w miejscu.

— Gdzie jesteście? — zabrzmiał w słuchawkach przerażony głos Ricky’ego. — Odezwiście się! Gdzie jesteście?!

— W samochodach.

— Których?

— Co to za różnica? — wściekł się Charley.

Rój podfrunął w stronę Toyoty. Patrzyliśmy, jak ślizga się po szybach, próbując dostać się do środka. Charley wyszczerzył zęby w uśmiechu,

— To nie magazyn — powiedział. — Samochody są szczelne. W dupie mam ten cały rój.

— A wywietrzniki? — zapytałem. — Zamknąłem.

— Przecież nie są hermetyczne, prawda?

— Nie, ale żeby je znaleźć, trzeba się najpierw dostać pod maskę. Albo do bagażnika. Nie wiem. Założę się, że ta bucząca chmara w życiu na to nie wpadnie.

Mae pozamykała wyloty powietrza na desce rozdzielczej, zajrzała do schowka na rękawiczki.

— Znalazłaś kluczyki?

Pokręciła głową.

— Hej! — odezwał się Ricky. — Macie nowe towarzystwo.

Zza magazynu wychyły następne dwa roje, które natychmiast dopadły do naszego auta. Poczulem się jak w sercu burzy piaskowej. Spojrzałem na Mae, która siedziała nieruchomo i w milczeniu obserwowała zachowanie rojów.

One zaś obleciały samochód bokiem i skupiły się z przodu. Jeden, połyskujący srebrem, zawisł na wysokości okna pasażera, drugi unosił się nad maską, przesuwał się to w jedną, to w drugą stronę. Od czasu do czasu rzucał się naprzód i rozbijał o szybę, a potem cofał się — i znów szarżował.

Charley zachichotał z satysfakcją.

— Próbuje wleźć do środka, ale nie może. Miałem rację.

Nie podzielałem jego pewności siebie. Do każdego kolejnego ataku rój brał coraz dłuższy rozbieg, cofał coraz dalej od szyby. Jeszcze trochę i znajdzie atrapę chłodnicy, a kiedy przez nią dostanie się pod maskę, zwęszy otwory wentylacyjne i będzie po nas.

Ze schowka między fotelami Mae wyjęła rolkę taśmy klejącej i torebkę foliową.

— Może zakleimy wyloty... Pokręciłem głową.

— Nanocząstki przenikną przez folię.

— Przez folię?

— Prześlizną się przez każdą szczelinę. Nie dany rady tak uszczelnić wozu, żeby nie wlażyły

— To co, mamy tak siedzieć i czekać?

— Chyba tak.

— Modlić się, żeby nie wpadły na to, jak się do nas dostać?

— Właśnie.

— Wiatr się wzmaga — oznajmił Bobby Lembeck. — Jedenaście kilo metrów na godzinę.

Chyba chciał nas podnieść na duchu, ale jedenaście kilometrów na godzinę to wciąż było

stanowczo za mało. Róje spokojnie uwijały się przy samochodzie.

— Jack! — odezwał się zaniepokojony Charley. — Moje gdzieś się za podziały. Widzisz je?

Obejrzałem się przez ramię: trzeci rój zniżył się na wysokość kół i przeciskał się tam i z powrotem przez otwory w kołpaku przedniego koła.

— Ogląda kołpaki na kołach.

— Hmm... — Charley nie był zachwycony. Nie dziwiłem mu się: gdyby rój metodycznie zbadał samochód, mógłby znaleźć drogę do środka. — Wszystko sprowadza się do wielkości komponentu. To, prawda?

— Tak — zgodziłem się.

— A po ludzku? — zapytała Mae.

Wyjaśniłem jej, że rój nie ma przywódcy, nie ma centrum sterowania. Jego inteligencja była sumą inteligencji poszczególnych cząstek. Cząstek, które samodzielnie stworzyły rój efektów tej samoorganizacji nie można było przewidzieć. Nikt nie wiedział, co się dalej stanie: rój mógł trwać w swoim bezproduktywnym zachowaniu, przypadkiem wpaść na rozwiązanie, albo zacząć go szukać w bardziej metodyczny sposób.

— Na razie jednak do tego nie doszło.

Moje ubranie przesiąkło potem. Pot ściekał mi po nosie i po szyi, otarłem czoło rękawem i spojrzałem na Mae. Była tak samo spocona.

— Jack! — usłyszałem głos Ricky'ego. — Co jest?

— Dzwoniła Julia. Wypisała się ze szpitala i...

— Nie teraz, Ricky.

— Wczorem tu będzie.

— Później porozmawiamy, Ricky.

— Pomyślałem po prostu, że chciałbyś o tym wiedzieć. Charley nie wytrzymał:

— Jezu Chryste! Niech mu ktoś powie, żeby się zamknął! Jesteśmy zajęci!

— Piętnaście kilometrów na godzinę — wtrącił się Bobby. — Nie, przepraszam... dwanaście.

— Te nerwy mnie zabijają... Jack, gdzie jest mój rój?

— Pod samochodem. Nie widzę, co robi... Zaraz, zaczekaj... Ogląda ci światła stopu.

— Lubi samochody. Niech sobie ogląda. Obserwowałem rój Charley'a, kiedy Mae powiedziała:

— Jack, patrz!

Rój, który unosił się na wysokości jej okna, zmienił się: zrobił się cały srebrny, migotał, ale utworzył prawie jednolitą powierzchnię, w której, jak w lustrze, odbijała się twarz, szyja i barki Mae.

— Zwierciadło... — powiedziałem.

— Nie — odparła Mae. — Wcale nie.

Odwróciła się od okna i spojrzała na mnie. Obraz na srebrnej powierzchni nie uległ zmianie: twarz Mae nadal zaglądała do samochodu. Dopiero po chwili rozmył się, rozplynął. Lustro uformowało się ponownie, tym razem ukazując tył jej głowy.

— Co to oznacza? — spytała Mae.

— Wydaje mi się, że wiem, ale...

Rój nad maską zachowywał się podobnie: w jego powierzchni odbijały się nasze dwie lekko rozmyte, przerażone twarze. Nie miałem już wątpliwości: to nie było zwykłe lustro. Rój generował obrazy, manipulując ustawieniem elementów, a to znaczyło... — Wcale mnie to nie cieszy —

poskarżył się Charley.

— Mnie też nie — zgodziłem się z nim. — Eksperymentują.

— Jak uważasz, czy to efekt preprogramowany?

— W zasadzie tak. Imitacja.

Mae znów pokręciła głową, nic nie rozumiejąc.

— W programie są zakodowane pewne gotowe strategie, mające ułatwić osiągnięcie celów.

Naśladują zabiegi stosowane przez drapieżniki w rzeczywistym świecie. Jedna z nich polega na tym, żeby przyciąć się nieruchomo i zaatakować ofiarę z zasadzki inna na tym, żeby aż do skutku przeczesywać rewir w poszukiwaniu zwierzyny jeszcze inna — na kamuflażu. Czwarta strategia to strategia imitacji, czyli naśladowania ofiary. — I sądzisz, że to właśnie obserwujemy?

— W pewnym sensie tak.

— Rój próbuje się do nas upodobnić?

— Tak

— Czy to zachowanie emergentne? Sam je wykształcił? — Tak.

— To źle — powiedział grobowym głosem Charley. — Bardzo, bardzo źle.

Siedziałem w samochodzie i wściekałem się coraz bardziej. Sztuczka, którą demonstrowały roje, świadczyła o tym, że nie znam prawdziwej struktury nanokamer. Powiedziano mi, że mają wbudowane płytki fotoelektryczne, które mogą odbijać światło. Nie dziwiło mnie więc, że powierzchnia roju odbija czasem światło słońca nie wymagało to jakiegoś szczególnie skomplikowanego ustawienia elementów. Na dobrą sprawę można było się spodziewać, że taki efekt będzie występował przypadkowo, tak jak korki na ruchliwych drogach, które czasem same się pojawiają i same rozładowują. Wystarczy zakłócić rytm jazdy kilku samochodów, żeby efekt ten rozszedł się po całej autostradzie jak fala. To samo powinno się odnosić do rojów, spodziewałem się więc podobnego falowego efektu. I rzeczywiście już go zaobserwowałem.

Ale ustawienie lustra było czymś zupełnie innym. Roje generowały kolorowe, dość stabilne obrazy. Model nanokamery, który widziałem, nie pozwoliłby osiągnąć takiego efektu. Ze srebrnej warstewki nie dałoby się łatwo wygenerować pełnego spektrum barw. Teoretycznie można by uzyskać rozszczepienie światła, ale taki efekt wymagałby niezwyklej precyzji ruchów.

Bardziej logiczne wydawało się więc założenie, że elementy roju generują kolory w jakiś inny sposób, a to zaś oznaczało, że nie powiedziano mi o nich całej prawdy. Ricky znów mnie okłamał, nic więc dziwnego, że byłem na niego wściekły.

Mimo tragedii w magazynie nie dotarło do mnie, że roje ewoluują tak szybko, że nie mamy szans za nimi nadążyć. Powinienem był zdać sobie sprawę z prawdziwego stanu rzeczy, kiedy zastosowały nową strategię: pokryły podłogę warstwą, na której ofiary ślizgały się i przewracały i na której dało się je potem przesuwac. U mrówek mielibyśmy do czynienia z transportem zbiorowym — zjawisko to zostało wielokrotnie opisane — ale u tych rojów było zachowaniem nowym, emergentnym. Strach sprawił, że nie doceniłem jego wagi.

— Jack! — Mae szturchnęła mnie pod zebro i z ponurą miną wskazała samochód Charley'a.

Rój, który kręcił się z tyłu Toyoty, przez uszczelkę na styku plastikowej oprawy lampy i karoserii przenikał do środka. Wyglądał jak wijąca się w powietrzu rzeka, która szybko zniknęła we wnętrzu auta.

— Charley... — powiedziałem do mikrofonu. — Chyba wlażyły do środka.

— Widzę. Skurwysyny...

Charley szukał czegoś na tylnym siedzeniu. Nanomechanizmów przybywało w samochodzie, który wyglądał jak wypełniony szarym, coraz gęstszym dymem. Charley zakaszał. Nie widzieliśmy, co robi, przechylony zniknął nam z oczu. Znów kaszlnął.

— Charley? Nie odpowiedział, ale usłyszałem, że klnie jak szewc. — Charley, wysiadaj.

— Skurwysyny.

— Rozległ się odgłos, którego nie potrafiłem zidentyfikować. Zerknąłem na Mae, która przyciskała słuchawki do uszu. Ona też to słyszała: dziwne, rytmiczne sapanie. Spojrzała na mnie pytająco.

— Charley?

— Zaraz... Spryskam to kurestwo. Zobaczymy, co powiedzą na deszczu.

— Chcesz rozpylić izotop? — upewniła się Mae.

Charley nie odpowiedział, ale chwilę później zobaczyliśmy, jak pryska we wszystkich kierunkach z butli po płynie do mycia szyb. Słomkowa ciecz zaczęła ściekać po szybach, a w środku robiło się coraz ciemniej. Wkrótce przestaliśmy w ogóle widzieć Charley'a. Zobaczyliśmy jeszcze przystawioną do szyby otwartą dłoń, która zaraz zniknęła. Kaszłał bez przerwy, sucho, uporczywie.

— Uciekaj, Charley!

— Po cholere?

— Osiemnaście kilometrów na godzinę — zameldował Bobby Lembeck. — Uciekajcie.

— Osiemnaście kilometrów na godzinę — niedużo, ale lepsze to niż nic.

— Charley, słyszałeś?

— Dobrze, już idę... — dobiegło nas z ciemnego wnętrza Toyoty. — Szukam tylko... Nie mogę namacać... gdzie jest ta cholerna klamka... — Charley rozkaszał się na dobre.

Usłyszałem w słuchawkach krótką wymianę zdań w laboratorium:

— Jest w Toyocie — powiedział Ricky. — Gdzie w Toyocie są klamki?

— Nie wiem — odpowiedział Bobby Lembeck. — To nie mój wóz. i

— A czyj? Vince'a?

— Nie, nie Vince'a. Tego gościa, co ma słaby wzrok. — Kogo?

— Inżyniera, cały czas tak mruga.

— Brooksa?

— No właśnie.

— Słyszeliście? — powiedział do nas Ricky. — Podejrzewamy, że to auto Davida.

— To nam nie...

Nie skończyłem, bo Mae wskazała właśnie na tylną kanapę naszego forda: ze szpary między siedzeniem i oparciem sączyła się czarna smuga cząstek.

Zauważyłem, że na podłodze przed tylnym siedzeniem leży koc. Mae była szybsza: przelazła przez oparcie fotela, kopiąc mnie przy okazji w głowę, złapała koc i zaczęła uszczelniać nim szparę. Słuchawki spadły mi z głowy i kabel zahaczył o kierownicę, kiedy próbowałem przedostać się do niej. W samochodzie było bardzo ciasno. Słuchawki piszczały cieniutko.

Nie zmieściłem się między fotelem i sufitem, więc przechylony przez oparcie i zgięty wpół pomagałem Mae upchnąć koc.

Kątem oka dostrzegłem, że drzwi Toyoty otworzyły się i z czarnej chmury wynurzyła się noga Charley'a. Najwyraźniej chciał spróbować szczęścia na zewnątrz pomyślałem, że powinniśmy chyba zrobić to samo. Koc nie mógł nas uratować, co najwyżej opóźniłby ruch roju. Czulem, że nanocząstki

przenikają przez materiał. Przybywało ich systematycznie, powietrze gęstniało z każdą chwilą. Czulem mrowienie na skórze.

— Uciekajmy, Mae.

Nie odpowiedziała, zajęta wciskaniem koca w szczelinę. Może myślała o tym, że na zewnątrz nie mamy szans: roje dogoniłyby nas, otoczyły, przewróciły, a potem udusiły. Tak jak pozostałych.

Zacząłem się krztusić. W półmroku wciąż słyszałem popiskiwanie, ale nie mogłem znaleźć słuchawek. Mae też straciła swoje wydawało mi się, że widziałem je na przednim siedzeniu, ale zrobiło się za ciemno, żeby to sprawdzić. Oczy mnie piekły, oboje z Mae kaszleliśmy już bez przerwy, nie widziałem, czy wciąż mocuje się z kocem — majaczyła mi jak cień we mgle.

Zacisnąłem powieki. Dławiłem się, zaczęło mi się kręcić w głowie wiedziałem, że nie przeżyjemy w samochodzie dłużej niż minutę. W ogóle przestałem widzieć Mae, słyszałem tylko, że kaszle. Próbowiałem, machając ręką, rozrzedzić rój i zobaczyć, co się z nią dzieje, ale na próżno. Machnąłem w stronę przedniej szyby i na chwilę udało mi się rozgonić czarne drobinki.

W oddali dostrzegłem laboratorium. Słońce świeciło jasno, wszystko wyglądało normalnie. Dostawałem szału na myśl o tym, że na zewnątrz toczy się normalne życie, a my tutaj lada chwila zakaszlemy się na śmierć. Nie widziałem nigdzie Charley'a. Znow musiałem machnąć ręką... Widziałem tylko... niesiony wiatrem piasek.

— Wiatrem.

— Jezu!

— Mae! — wykrztusiłem. — Mae, drzwi!

Nie wiem, czy mnie usłyszała, bo kaszlała rozpaczliwie. Sięgnąłem po omacku do klamki. Kompletnie zdezorientowany, namacałem jakiś gorący kawałek metalu, szarpnąłem go i drzwi się otworzyły. Do środka wpadło gorące, pustynne powietrze. Rój zawirował w podmuchu wiatru.

— Mae!

Mae dławiła się kaszlem. Przyszło mi do głowy, że nie może się ruszyć. Obijając sobie zebra o dźwignię zmiany biegów, sięgnąłem do tylnych drzwi. Mgła zrzędła. Dostrzegłem klamkę, przekręciłem ją i pchnąłem drzwi. Wiatr od razu je zatrzęsnał. Naparłem na nie mocniej, otworzyłem i przytrzymałem. W Fordzie zrobił się przeciąg.

Po kilku sekundach ciemna chmura z przodu zniknęła, ale na tylnym siedzeniu wciąż nic nie było widać. Wyczołgałem się z wozu od strony pasażera i otworzyłem tylne drzwi. Mae wyciągnęła do mnie ręce. Wywlokłem ją z auta. Oboje kaszleliśmy jak gruźlicy.

Do tej pory nie wiem, jakim cudem udało nam się wrócić do laboratorium. Roje zniknęły na wietrze. Oparta na mnie Mae zwisała bezwładnie, jej stopy ciągnęły się po piasku. Traciłem siły. Wstrząsany atakami kaszlu, co chwilę musiałem się zatrzymywać. Brakło mi tchu, kręciło mi się w głowie, nie wiedziałem, dokąd idę. Światło słońca miało zielonkawy odcień, przed oczami latały mi plamy. Mae kaszlała słabo, oddychała płytko i szybko. Bałem się, że umrze. Powłócząc nogami, brnąłem przez pustynię.

Gdzieś w oddali majaczyły drzwi. Udało mi się do nich dotrzeć i je otworzyć. Wniosłem Mae do ciemnego pomieszczenia. Po drugiej stronie śluzi czekali Ricky i Bobby. Coś mówili, ale ich nie słyszałem. Moje słuchawki zostały w samochodzie.

Szklane drzwi otworzyły się z sykiem. Wszedłem do środka, wciągnąłem za sobą Mae, która jakimś cudem stanęła o własnych siłach w śluzie, chociaż atak kaszlu zgiął ją wpół. Cofnąłem się. Włączyły się dmuchawy, a ja, bez tchu, oparłem się o ścianę.

Spojrzałem na zegarek. Minęły zaledwie trzy godziny od chwili, gdy po raz pierwszy cudem udało mi się ujść z życiem ze spotkania z rojem. Spojrzałem na Ricky'ego i Bobby'ego. Krzyczeli coś, pokazując na uszy. Pokręciłem głową.

— Nie widzieli, że nie mam słuchawek?

— Gdzie Charley? — spytałem.

— Odpowiedzieli mi coś, ale nadal nic nie słyszałem.

— Uciekł? Gdzie jest?

Skrzywiłem się, gdy z interkomu dobiegł ostry pisk.

— Niewiele można zrobić — usłyszałem ostatnie słowa Ricky'ego.

— Dotarł tu? Udało mu się uciec? — Nie.

— To gdzie jest?

— W samochodzie. W ogóle nie wysiadł, nie widziałeś?

— Miałem co innego na głowie. Charley został w aucie?

— Tak.

— Żyje?

— Tak, żyje.

Nie mogłem złapać tchu.

— Co takiego?!

— Trudno być tego pewnym, jak się patrzy na monitor, ale chyba żyje...

— To może byście po niego poszli, do cholery!

— Nie możemy, Jack — odparł spokojnie Ricky. — Musimy zająć się Mae.

— Wyślijcie kogoś.

— Nie mamy za dużo ludzi.

— Ja nie pójdę — zastrzegłem się. — Nie dam rady.

— To oczywiste — powiedział Ricky swoim ugodowym, kojącym głosem. Głosem przedsiębiorcy pogrzebowego. — Musisz być w szoku, Jack, po tym, co przeszedłeś...

— Kto po niego pójdzie?

— Będę z tobą brutalnie szczery: uważam, że nie ma sensu po niego iść. Miał drgawki. Niewiele życia mu zostało.

— Czyli nikt nie idzie?

— Nie ma sensu, Jack.

Bobby wyprowadzał właśnie Mae ze służy. Ricky czekał na mnie.

— Teraz ty, Jack, wchodź.

Nie zareagowałem. Stałem oparty o ścianę. Ktoś musi po niego pójść — uparłem się.

— Później. Wiatr w każdej chwili może znów osłabnąć.

— Ale on żyje.

— Już niedługo.

— Ktoś musi iść.

— Jack, wiesz równie dobrze jak ja, z czym mamy do czynienia. — Teraz Ricky próbował przemówić mi do rozsądku. — Ponieśliśmy straty w ludziach, nie możemy bardziej ryzykować. Zanim ktoś dotrze do Charley'a, on i tak umrze. Może nawet już nie żyje. Właź do służy.

Wysłuchałem się w swój rwany oddech. Miałem obolałą pierś, czułem śmiertelne zmęczenie. Nie mogłem iść po Charley'a w takim stanie. Wszedłem do służy.

Powiew powietrza przycisnął mi włosy do czaszki, zatrzepotał ubraniem, zdmuchnął czarne drobinki. Od razu zacząłem lepiej widzieć i swobodniej oddychać. Następny podmuch przyszedł z dołu. Wyciągnąłem przed siebie rękę i patrzyłem, jak z czarnej robi się szara, a potem przybiera normalny, cielisty kolor.

Włączyły się dmuchawy po bokach. Odetchnąłem głęboko. Ukłucia na skórze przestały być takie bolesne. Rozjaśniło mi się w głowie. Wziętem głęboki wdech. Nie czułem się jeszcze dobrze, ale na pewno lepiej niż przed chwilą.

Otworzyły się szklane drzwi. Ricky wyciągnął do mnie rękę.

— Jack! Dzięki Bogu, że udało się wam wrócić.

Nic nie powiedziałem. Okręciłem się na pięcie i wszedłem do śluzy.

— Jack...

Drzwi zasunęły się z sykiem, uszczelki szczęknęły.

— Nie zostawię go tam — powiedziałem.

— Co chcesz zrobić? Nie przeniesiesz go, jest za ciężki.

— Nie wiem, ale tak go nie zostawię, Ricky. Wyszedłem na dwór.

Oczywiście zachowałem się dokładnie tak, jak chciał tego Ricky — przewidział, że to zrobię — ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zresztą nawet gdyby ktoś mi to powiedział, nie uwierzyłbym. Nie podejrzewałem Ricky'ego o takie wyrafinowanie. Wydawało mi się, że stosuje najprostsze metody kierowania ludźmi. Tym razem jednak mnie przechytrzył.

Dzień szósty, godzina 16.22

Wiatr dmuchał całkiem solidnie. Rojów nie było nigdzie widać i bez przeszkód dotarłem do wiaty. Nie mając słuchawek, nie musiałem wysłuchiwać tyrad Ricky'ego.

Tylne drzwi Toyoty po stronie pasażera były otwarte. Charley leżał na plecach. Nie ruszał się. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jednak oddycha, chociaż płytko i nieregularnie. Z trudem udało mi się w końcu posadzić go na fotelu. Spojrzał na mnie pozbawionymi wyrazu oczyma. Usta miał sine, skórę matowoszarą. Łza spłynęła mu po policzku. Poruszył ustami.

— Nic nie mów — powiedziałem. — Oszczędzaj siły.

Stęknąłem z wysiłku, obracając go tak, żeby nogi miał skierowane na zewnątrz. Charley nie był ułomkiem: miał metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył dobre dziesięć kilogramów więcej ode mnie wiedziałem, że nie dam rady go nieść. Na szczęście w komorze bagażowej za tylną kanapą dostrzegłem krosowy motor na szerokich oponach. Powinien się nadać.

— Słyszysz mnie, Charley?

Odpowiedzią było ledwo dostrzegalne skinienie głowy.

— Możesz wstać? , Nie zareagował. Patrzył gdzieś przed siebie, w przestrzeń.

— Możesz wstać?

Znów skinął głową, wyprostował nogi i stanął chwiejnie na ziemi. Nogi się pod nim ugięły i musiał się na mnie oprzeć, żeby nie upaść.

— Dobrze, Charley... — Ostrożnie posadziłem go na progu wozu. — Zaczekaj tutaj, dobrze?

— Puściłem go.

— Zaraz wrócę. Obszedłem Toyotę od tyłu i otworzyłem bagażnik. W środku znajdował się motocykl krosowy. Był wyczyszczony do połysku i zapakowany w grubą foliową torbę. To mi pasowało do Davida taki właśnie był — czysty, schludny.

Wyprowadziłem motocykl z auta i postawiłem go na ziemi. W stacyjce nie było kluczyków. Przeszedłem do przodu i otworzyłem drzwi pasażera. Z przodu panowała idealna czystość i porządek. Na desce rozdzielczej znalazłem umocowany na przysawce notatnik, obok oprawkę telefonu komórkowego i zawieszony na haczyku słuchawki zestawu głośnomówiącego. Otworzyłem schowek. W nim też wszystko znajdowało się na swoim miejscu: dowód rejestracyjny w kopercie, podzielona na przegródki plastikowa tacka z wazeliną do ust, chusteczkami, plastrem. Kluczyków nie znalazłem. Zauważyłem wciśniętą między przednie fotele skrzynkę na odtwarzacz kompaktów, a przy nim zamknięty na kluczyk plastikowy pojemnik. Zamek wyglądał jak stacyjka, otwierało się go pewnie tym samym kluczem.

Uderzyłem w skrzynkę nasadą dłoni. W środku coś zagrzechotało metalicznie. Jak kluczyk.

Jak kluczyk do stacyjki motocykla.

No, w każdym razie jakiś mały kawałek metalu

Gdzie David trzymał kluczyki do Toyoty? Może Vince zabrał mu je od razu po przyjeździe? Jeśli tak, to były teraz w zakładzie. Niedobrze.

Spojrzałem w stronę laboratorium. Przyszło mi do głowy, żeby wrócić po kluczyki, ale w tej samej chwili zauważyłem, że wiatr trochę osłabł. Piasek nadal unosił się nad ziemią, ale poruszał się bardzo ospale.

No to pięknie. Tego mi tylko trzeba.

Czas naglił, postanowiłem więc zapomnieć o motorze bez kluczyków. Miałem nadzieję, że w magazynie znajdę coś, co pomoże mi przetransportować Charley'a do laboratorium. Nie pamiętałem, żebym widział tam coś podobnego, ale mimo to postanowiłem sprawdzić. Ostrożnie przeszedłem przez próg, słysząc jakiś łoskot, ale okazało się, że hałasują drugie drzwi, szarpane przez wiatr. Rosie leżała przy progu. Na jej skórze dostrzegłem taki sam biały nalot, jaki widziałem wcześniej na króliku, ale nie miałem czasu z bliska się jej przyjrzeć. Pospiesznie przeszukałem regały, zajrzałem do schowka, zajrzałem za stos skrzynek. Znalazłem ażurowy wózek na małych kółkach, używany do transportu mebli, ale na piasku do niczego by mi się nie przydał.

Wróciłem pod wiatę, do Toyoty. Nie pozostało mi nic innego, jak zanieść Charley'a do zakładu. Może dałbym sobie z tym radę, gdyby choć trochę mi pomógł. Miałem nadzieję, że czuje się lepiej.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie na jego twarz, żebym się przekonał, że się myliłem. Charley wyglądał jeszcze gorzej niż przedtem.

— Charley, co mam z tobą zrobić?

— Nie odpowiedział.

— Nie dam rady cię przenieść. A David nie zostawił kluczyków w samochodzie, więc mamy pecha...

Nie dokończyłem zdania.

A gdyby mu się drzwi zatrzasnęły? Był inżynierem, na pewno przewidział różne, nawet najbardziej nieprawdopodobne wypadki. Nie dałby się zaskoczyć. Nie dopuściłby do sytuacji, w której stojąc na poboczu, musiałby machać na przejeżdżające samochody i prosić o pożyczenie kawałka drutu. Nigdy w życiu.

Schowałby kluczyki. Może w jakiejś mocowanej na magnes skrzyneczce? Już miałem się położyć na ziemi i wczołgać pod samochód, kiedy przyszło mi do głowy, że David nie brudziłby ubrania tylko po to, żeby wyciągnąć kluczyki. Schowałby je sprytnie, ale zarazem tak, żeby łatwo się do nich dostać.

Powiodłem palcami po wewnętrznej krawędzi przedniego zderzaka. Nic nie znalazłem. Obmacałem tylny zderzak. Nic. Sprawdziłem pod progami. Nic, ani skrzynki, ani kluczyków. Nie mieściło mi się to w głowie, więc uklęknąłem i zajrzałem pod spód. Może przegapiłem jakiś wspornik.

Niczego nie przegapiłem. Kluczyków jak nie było, tak nie było.

Pokręciłem zdziwiony głową. Jeżeli skrzynka trzymała się na magnes, musiała przywrzeć do jakiejś stalowej powierzchni. Na dodatek w takim miejscu, żeby deszcz jej nie zaszkodził. Dlatego większość ludzi chowa kluczyki w zderzakach.

Większość, ale nie David.

Gdzie mógł je włożyć?

Obszedłem samochód dookoła. Obmacałem atrapę chłodnicy, sprawdziłem wgłębienie pod tylną tablicą rejestracyjną.

Nic z tego.

Zaczynałem się pocić, i to nie tylko z gorąca: wyraźnie czułem, że wiatr osłabł. Wróciłem do

siedzącego nieruchomo Charley'a.

— Jak się czujesz, Charley?

Nie odpowiedział, wzruszył tylko lekko ramionami. Zdjąłem mu z głowy słuchawki i sam je założyłem. Przez szum zakłóceń przebijała się jakaś cicha rozmowa. Wydawało mi się, że Ricky i Bobby o coś się kłócą. Przysunąłem mikrofon do ust.

— Halo? Odezwijcie się. Zrobiło się cicho.

— Jack? — Bobby był wyraźnie zaskoczony. — Tak, to ja.

— Nie możesz tam zostać. Od paru minut wiatr cały czas słabnie, teraz jest tylko osiemnaście kilometrów na godzinę.

— Dobrze...

— Wracaj, Jack.

— Jeszcze chwilę.

— Przy wietrze poniżej dwunastu kilometrów na godzinę roje mogą latać.

— Dobrze.

— Co to znaczy: dobrze? — wtrącił się Ricky. — Wracasz czy nie?! — Nie dam rady przenieść Charley'a.

— Wiedziałeś o tym, kiedy po niego szedłeś. — Wiedziałem.

— Niech cię cholera, Jack! Co ty wyprawiasz?

Usłyszałem terkot zainstalowanej w kącie kamery. Spojrzałem ponad dachem samochodu: obiektyw obracał się, ustawiając ostrość na mnie. Toyota to duży samochód, a ponieważ miała jeszcze bagażnik narciarski na dachu, prawie całkowicie zasłaniała mi kamerę. Zdziwiłem się, po co Davidowi taki bagażnik wiedziałem, że nie jeździ na nartach. Nienawidził zimna. Bagażnik musiał być w wyposażeniu standardowym i...

Zakląłem pod nosem. Było to jedyne miejsce, którego nie sprawdziłem.

Stałem na progu, przesunąłem palcami po bagażniku, po poprzecznych prętach przyśrubowanych do dachu. Namacałem taśmę izolacyjną — czarną na czarnej blasze. Odkleiłem ją i znalazłem kluczyk.

— Jack?! Szesnaście i pół kilometra na godzinę.

— Słyszę.

Usiadłem za kierownicą. Włożyłem kluczyk w zamek skrzynki, przekręciłem i otworzyłem ją. W środku był mały złoty klucz.

— Co robisz, Jack?

Podbiegłem do motoru i włożyłem kluczyk do stacyjki. Siadłem okrakiem na siodełku, kopnąłem starter. Motor zadudnił basowo, warkot poniósł się echem po blaszanej wiacie.

— Jack?!

Podprowadziłem motocykl do miejsca, w którym siedział Charley. Teraz czekało mnie najtrudniejsze zadanie. Motor nie miał nóżki. Podsunąłem się do Charley'a, żeby podciągnąć go na tylne siodełko. Miałem nadzieję, że pomoże mi trochę i nie stracę równowagi. Na szczęście zorientował się, o co mi chodzi. Usadziłem go za sobą i kazałem mu się mocno mnie trzymać.

— Jack?! — odezwał się Bobby Lembeck. — Już są. — Gdzie?

— Lecą w waszą stronę od południa.

— W porządku, przegazowałem silnik i zamknąłem drzwi Toyoty. Nie ruszyłem się z miejsca.

— Jack?! Co się z nim dzieje? — powiedział Ricky. — Przecież wie, co mu grozi.

— Nie — odparł Bobby. — 1 tak spokojnie tam siedzi?

— Charley objął mnie w pasie i oparł mi głowę na ramieniu. Wyraźnie słyszałem jego chrapliwy oddech.

— Trzymaj się, Charley. Pokiwał głową.

— Jack?! — Znowu Ricky. — Co ty wyrabiasz?

— Pieprzony kretyn — usłyszałem tuz przy uchu szept Charley'a. Skinąłem głową i czekałem dalej. Patrzyłem, jak roje wylatują zza rogu budynku. Było ich dziewięć. Ustawiły się w klin i puły prosto na nas. Dziewięć rojów. Niedługo zrobi się ich trzydzieści, potem dwieście...

— Widzisz je, Jack? — zaniepokoił się Bobby.

— Widzę.

— Jak mogłem ich nie widzieć?

Zmieniły się. Zrobiły się gęstsze, bardziej materialne. Nie ważyły już po półtora kilograma, ale po pięć, dziesięć kilo. A może nawet więcej, bliżej piętnastu. Miały swoją masę.

Czekałem bez ruchu. Zastanawiałem się, jak zmienią szyk, kiedy doleczą do mnie. Otoczą mnie? A może część z nich zatrzyma się w pół drogi i będzie czekać? Co pomyślą o ryczącym motocyklu?

Motocykl ich nie interesował — leciały prosto na mnie. Klin rozciągnął się w tyralierę, której skrzydła zaczęły przyspieszać. Usłyszałem znajome buczenie, przy dziewięciu rojach o wiele głośniejsze niż poprzednio.

Czarne kolumny znajdowały się dwadzieścia metrów ode mnie. Dziesięć metrów. Czy naprawdę poruszały się szybciej, czy tylko tak mi się wydawało? Wyczekałem do ostatniej chwili, a potem otworzyłem maksymalnie przepustnicę i ruszyłem z kopyta. Przebiłem się przez pierwszy rój. Na moment ogarnęła mnie ciemność, ale zaraz znów zrobiło się jasno. Pędziłem ku drzwiom stacji zasilania. Motor podskakiwał na nierównościach terenu, a ja bałem się obejrzeć za siebie. Wariacka przejażdżka trwała zaledwie kilka sekund. Przy drzwiach zsiadłem z motocykla, pomogłem zejść Charley'owi i razem przebrnęliśmy ostatnie dwa kroki po piasku.

Roje znajdowały się pięćdziesiąt metrów od nas, gdy udało mi się przekreślić klamkę, pociągnąć drzwi do siebie, wsadzić stopę w szparę i kopniakiem otworzyć je na oścież. Straciłem przy tym równowagę i razem z Charley'em upadłem do przodu na betonową posadzkę. Zamykane sprężyną drzwi uderzyły nas w nogi. Zabolały mnie obite kostki, ale najbardziej martwił mnie fakt, że drzwi pozostały uchylone. Przez szparę widziałem ścigające nas roje.

Zerwałem się z podłogi i wciągnąłem bezwładnego Charley'a do środka. Drzwi się zatrzasnęły, ale nie było to hermetyczne zamknięcie i nanocząstki mogły swobodnie się przez nie przedostać. Musieliśmy wejść do śluzy. Dopiero kiedy zasuną się za nami pierwsze szklane drzwi, będziemy bezpieczni.

Postępując, wciągnąłem Charley'a do śluzy. Posadziłem go na ziemi i oparłem o wylot bocznej dmuchawy, żeby drzwi nie przycięły mu nóg. Ponieważ w śluzie mogła znajdować się tylko jedna osoba naraz, cofnąłem się i czekałem, aż drzwi się zasuną.

Ani drgnęły.

Spojrzałem na ścianę w poszukiwaniu jakiegoś przycisku, ale nic nie znalazłem. W śluzie świeciło się światło, więc nie była to awaria zasilania. Niemniej jednak drzwi pozostały otwarte.

Roje zbliżały się bardzo szybko.

Z drugiej strony do śluzy podbiegali już Bobby i Mae. Machali rękami, gestykulowali gorączkowo, jakby chcieli, żebyśmy wrócili do śluzy. Wiedziałem jednak, że nic to nie da.

— Przecież trzeba przechodzić pojedynczo — powiedziałem do mikro fonu.

Nie mieli słuchawek, więc nie słyszeli, co mówię, ale cały czas pokazywali, żebym wszedł do środka.

— Pokazałem dwa wyprostowane palce i spojrzałem na nich pytająco.

Pokręcili głowami. Najwyraźniej nie o to im chodziło.

Pierwsze drobinki zaczynały już kłębić się pod moimi nogami jak czarny dym. Przeciskały się przez uszczelki zewnętrznych drzwi. Zostało mi najwyżej pięć, dziesięć sekund.

Wszedłem do śluzy. Bobby i Mae zgodnie pokiwali głowami, ale drzwi nadal się nie zamykały. Zaczęli wykonywać inne gesty, jakby kazali mi coś podnieść.

— Mam go dźwignąć?

Na to wyglądało. Pokręciłem głową. Charley siedział na podłodze śluzy bezwładny jak kłoc drewna. Nanocząstki wypełniały pomieszczenie szarą mgłą, która powoli sięgała także do śluzy. Czulem już pierwsze muśnięcia na skórze.

Obejrzałem się na Bobby'ego i Mae. Widzieli, co się dzieje, i wiedzieli, jak mało zostało czasu. Cały czas pokazywali mi na migi, żebym podniósł Charley'a. Pochyliłem się nad nim, złapałem go pod pachy i szarpnąłem do góry, ale nawet nie drgnął.

— Charley, na Boga, pomóż mi! — Stęknąłem i pociągnąłem drugi raz. Charley podkurczył nogi, odepchnął się rękami i dźwignął pół metra nad podłogę, po czym z powrotem osunął się po ścianie. — Jeszcze raz, Charley, chodź...

Zaparłem się, a on tym razem bardziej się postarał i udało mu się stanąć na nogi. Podtrzymałem go pod pachami. Charley dyszał ciężko. Obejrzałem się za siebie.

Drzwi były dalej otwarte.

Robiło się coraz ciemniej. Spojrzałem na Bobby'ego i Mae, którzy wymachiwali rękami, pokazując mi dwa palce. Nic nie rozumiałem.

Zgadza się, jest nas dwóch...

Do cholery, co się stało z tymi drzwiami? Mae schyliła się i pokazała na swoje buty. Nie słyszałem jej, ale widziałem, jak porusza ustami: „dwa buty”. Pokazała na Charley'a.

W porządku, stoi na dwóch nogach i ma dwa buty. Mae pokręciła głową i podniosła cztery palce. Cztery buty?

Uklucia na skórze nie pozwalały się skupić. Poczułem znajome znużenie i ociążałość myśli. O co jej chodziło z tymi czterema butami?

W śluzie też zaczynało się robić ciemno, coraz słabiej widziałem Bobby'ego i Mae. Znow coś mi pokazywali na migi, ale ja już nic nie rozumiałem. Byli coraz dalej i dalej ode mnie, coraz mniej mnie obchodzili. Nie miałem siły ani ochoty się nimi przejmować.

Dwa buty. Cztery buty.

Nagle zrozumiałem. Odwróciłem się plecami do Charley'a, oparłem się o niego i powiedziałem, by zarzucił mi ręce na szyję. Wtedy złapałem go pod kolana i oderwałem jego stopy od podłogi.

Drzwi zamknęły się z sykiem.

I o właśnie chodziło.

Włączyły się dmuchawy, powietrze się oczyściło. Utrzymałem Charley'a do chwili, gdy otworzyły się drugie drzwi i Mae z Bobby'm wbiegli do śluzy.

Wtedy osunąłem się na ziemię. Charley runął na mnie. Z tego, co się potem działo, niewiele pamiętam.

Gniazdo.

Dzień szósty, godzina 18.18

Obudziłem się w swoim łóżku w module mieszkalnym. Klimatyzacja huczała tak głośno, że czułem się jak na lotnisku. Przetarłem oczy i podszedłem do drzwi. Były zamknięte.

Jakiś czas waliłem w nie pięścią, ale nikt nie zareagował, nawet kiedy zacząłem krzyczeć. Włączyłem komputer na biurku. W menu, które pojawiło się na ekranie, zacząłem szukać jakiegoś programu do łączności wewnętrznej, ale niczego takiego nie znalazłem. Chwilę pobawiłem się komputerem i w końcu coś musiałem uruchomić, bo otworzyło się okienko, z którego uśmiechnął się do mnie Ricky.

— Widzę, że już nie śpisz. Jak się czujesz?

— Otwórz te francowate drzwi.

— A są zamknięte?

— Otwórz je, do cholery!

— Zamknęliśmy je dla twojego dobra.

— Otwórz je, Ricky.

— Już to zrobiłem. Są otwarte.

Podszedłem do drzwi, które posłusznie się otworzyły. Obejrzałem zamek i dostrzegłem dodatkowy bolec, najwyraźniej zdalnie sterowany. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby zalepić go taśmą.

— Pewnie chcesz się wykąpać — domyślił się Ricky.

— Chętnie. Dlaczego tak tu głośno?

Nastawiliśmy maksymalny nawiew w twoim pokoju, na wypadek, gdybyś miał na sobie jeszcze jakieś paskudztwo.

Wygrzebałem z torby świeże ubranie.

— Gdzie jest prysznic?

— Pomóc ci?

— Nie chcę twojej pomocy. Powiedz mi tylko, gdzie jest prysznic.

— Jesteś zły?

— Odwal się.

Prysznic dobrze mi zrobił. Stałem pod nim dobre dwadzieścia minut, a gorąca woda obmywała moje obolałe ciało. Miałem masę siniaków — na piersi, na udzie — ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy tak się urządziłem.

Kiedy wyszedłem spod prysznica, czekał na mnie Ricky. Siedział na ławeczce.

— Martwię się, Jack.

— Co z Charley'em?

— Chyba wszystko w porządku. Śpi teraz.

— Też zamknęliście go w pokoju?

— Wiem, że dużo wycierpiełeś, Jack. Chcę, żebyś wiedział, że wszyscy jesteśmy ci wdzięczni za

to, co zrobiłeś... To znaczy, firma jest ci wdzięczna i...

— Mam gdzieś waszą firmę. — Masz prawo być zły...

— Przestań, Ricky. Nie pomogliście mi — ani ty, ani nikt inny.

— Rozumiem, że tak to odbierasz...

— Bo tak właśnie było. Nikt mi nie pomógł.

— Ależ, Jack, proszę cię... Próbuję cię przeprosić za wszystko, co się stało. Okropnie się z tym czuję, naprawdę okropnie. Gdybym mógł cofnąć czas i wszystko zmienić, nie wahałbym się, wierze mi.

— Nie wierzę ci, Ricky.

— Mam nadzieję, że z czasem zmienisz zdanie.

— Nie zmienię.

— Wiesz, jak bardzo cenię sobie naszą przyjaźń. Zawsze była dla mnie najważniejsza.

Patrzyłem na niego bez słowa. W ogóle mnie nie słuchał, tylko gadał jak nakręcony, z tym swoim kretyńskim, optymistycznym uśmiechkiem przylepionym do twarzy. Przyszło mi do głowy, że musiał się czegoś naćpać. Dziwnie się zachowywał.

— Ale do rzeczy... — Z wyraźną ulgą zmienił temat. — Julia wyszła ze szpitala. To dobra wiadomość. Przyleci wieczorem.

— Dlaczego już się wypisała?

— Pewnie martwią ją te roje, które żyją na wolności.

— Czyżby? Przecież mogliście je zabić dawno temu, zanim zaczęły ewoluować. Ale nie zrobiliście tego.

— Tak jakoś wyszło. Widzisz, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy...

— Ja myślałem, że wiedzieliście. — Nie.

Ricky zrobił urażoną minę, jakbym niesłusznie go o coś oskarżał. Jego gierki zaczynały mnie nudzić.

Przyleciałem tu z grupką speców od kształtowania wizerunku firmy, Ricky. Kto im dał znać, że macie tu jakieś problemy?

— Nic o nich nie wiem.

— Zakazano im wysiadać ze śmigłowca. Wiedzieli, że to może być niebezpieczne.

— Nie mam pojęcia... — Ricky pokręcił głową. — Nie wiem, o czym mówisz.

— Wzruszyłem ramionami i wyszedłem z łazienki.

— Naprawdę nie wiem! — krzyknął jeszcze Ricky. — Słowo daję, nie mam o niczym pojęcia!

Pół godziny później przyniósł mi brakujący fragment kodu, o który wcześniej prosiłem. Chyba próbował wyciągnąć rękę na zgodę. Kodu było niewiele, mieścił się na jednej kartce papieru.

— Przepraszam, ale chwilę trwało, zanim to znalazłem — powiedział. — Kilka dni temu Rosie odłączyła cały podkatalog od sieci, bo musiała w nim pogrzebać. Potem chyba zapomniała go z powrotem podłączyć. Dlatego nie było go w głównym katalogu.

— Aha. — Przebiegłem wzrokiem wydruk. — Nad czym pracowała?

— Nie mam zielonego pojęcia. — Ricky wzruszył ramionami. — Nad jakimś innym plikiem.

Compstat_do !(Exec (move {0 ij (Cxl, Cyl, Czl)}) inicj

{@ij (xl, yl, zl)} stan. !{@ikl (xl, yl, zl) (x2, y2, z2)} śledź

Push (z(i)) zachowaj

React advan odn. stanu

01 {(dx(i, j, k))} {(place(Cj,Hj))}

@2 {(fx, (a,q))}

Place {z(q)} zachowaj r Intent advan odn. zamiaru @ijk {(dx(i, j, k))} {(place(Cj,Hj)). @x(fx, (a,q)) Load {z(i)} zachowaj Exec (move {0 ij (Cxl, Cyl, Czl)})r Exec (pre{0 ij (Hxl, Hyl, Hzl)}) Exec (post{0 ij (Hxl, Hyl, Hzl)}). Push {@i} (xl, yl, zl) } v. {@ikl (xl, yl, zl) move (x2, y2,)

[0,1,1,01)

— Przecież to się prawie nie różni od oryginału — zauważyłem.

— Niewiele. Zmiany są minimalne. Nie wiem, dlaczego to takie ważne. — Ricky wzruszył ramionami. — Od kiedy straciliśmy kontrolę nad rojem, nie można już zmienić kodu.

— Jak to się stało, że straciliście nad nim kontrolę? W tym kodzie nie ma algorytmu ewolucyjnego.

Ricky rozłożył ręce.

— Gdybyśmy to wiedzieli, Jack, wiedzielibyśmy wszystko. I nie tkwilibyśmy po szyję w tym bagnie.

— Ściągnęliście mnie tutaj, żebym przejrzał program napisany przez mój zespół. Powiedziano mi, że agenci gubią cel...

— Wyrwanie się spod kontroli radiowej można chyba nazwać utratą celu...

— Ale kod nie został zmieniony!

— Sam kod nikogo tak naprawdę nie interesuje. Chodzi raczej o jego implikacje, o zachowania, które wywołuje. I w tej sprawie potrzebujemy twojej pomocy, no bo jest to twój kod, prawda?

— Nasz rój.

— Tak.

Wzruszył ramionami i wyszedł. Pogapiłem się jeszcze chwilę na kod, a potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego Ricky wydrukował go dla mnie. Może nie chciał, żebym zobaczył go w postaci elektronicznej? Może jednak wprowadzono jakieś zmiany, które chciał przede mną zataić? Albo...

— Do diabła z tym! Zmiałem wydruk i wyrzuciłem do kosza. Jeżeli mieliśmy znaleźć rozwiązanie, na pewno nie należało go szukać w kodzie. Przynajmniej to było jasne.

Mae siedziała u siebie w laboratorium przed komputerem, oparta łokciem o blat, z brodą wspartą na ręce. i — Dobrze się czujesz? — spytałem.

— Dobrze — uśmiechnęła się. — A ty?

— Jestem tylko zmęczony. No i głowa znów mnie rozbolała.

— Mnie też, ale chyba od tego bakteriofaga. — Postukała w monitor z czarnobiałym obrazem wirusa, widzianego pod mikroskopem elektro nowym. Wirus przypominał pocisk moździerzowy: miał pękatą główkę osadzoną na zwężającym się korpusie.

— To jest ta nowa mutacja, o której mi mówiłaś?

— Tak. Jedną każdą już odłączyłam. Mamy sześćdziesiąt procent normalnej wydajności. Chociaż to chyba nie ma wielkiego znaczenia.

— Co z tą odłączoną kadzią?

— Wypróbuję antywirusy. Mało ich tu mamy, nie nastawialiśmy się na analizę zanieczyszczeń. Według instrukcji skażoną każdą należy po prostu odłączyć i oskrobać do czysta.

— To dlaczego tego nie zrobiłaś?

— Prędzej czy później będę musiała, ale ponieważ jest to nowy szczep, pomyślałam, że najpierw

poszukam jakiegoś antywirusa. Przyda się w przyszłości. Ten wirus wróci.

— Wróci? Wyewoluuje od nowa?

— Tak. Może zrobi się trochę mniej agresywny, może trochę bardziej, ale poza tym będzie taki sam.

Pokiwałem głową. Wiedziałem, o czym mówi, dzięki znajomości algorytmów genetycznych, czyli programów, które naśladowały ewolucję. Ludzie myślą, że ewolucja to jednorazowy, niepowtarzalny proces, zbieg przypadkowych okoliczności. Gdyby rośliny nie zaczęły produkować tlenu, nie pojawiłyby się zwierzęta gdyby asteroid nie zabił dinozaurów, ssaki nie zajęłyby dominującej pozycji w świecie gdyby jakaś ryba nie wypłynęła z wody, życie do dziś koncentrowałoby się w wodzie i tak dalej.

Jest w tym trochę racji, ale jest także druga strona medalu: niektóre formy organizmów wykształcają się cyklicznie. Na przykład pasożyty pojawiały się wielokrotnie w dziejach Ziemi, za każdym razem ewoluując niezależnie od poprzedników.

Podobne zjawisko obserwowano w algorytmach genetycznych: programy miały tendencję wynajdowania pewnych wypróbowanych, sprawdzonych rozwiązań. Programiści nazywali je maksimami wydajności i przedstawiali na trójwymiarowych, sztucznie kolorowanych wykresach, ale wszystko sprowadzało się do tego, że w ewolucji istnieją pewne stałe wartości.

Jeden z takich pewników stwierdzał, że każda większa kolonia bakterii zostanie prędzej czy później zakażona wirusem. Jeżeli wirus nie może od razu zarazić kolonii, mutuje do postaci, która mu to umożliwi. Było to równie pewne, jak znalezienie mrówek w cukiernicy, która za długo stoi na stole w ogródku.

Ewolucję badamy już od stu pięćdziesięciu lat, ale wciąż zadziwiająco mało wiemy na jej temat. Stare poglądy o przetrwaniu najsilniejszych organizmów dawno wyszły z mody stanowiły zbyt wielkie uproszczenie. Dziewiętnastowieczni uczeni widzieli „naturę zbrojną w kły i pazury, unurzaną we krwi”, świat, w którym silniejsze zwierzęta pożerały słabsze. Nie brali pod uwagę możliwości, że te słabsze będą rosły w siłę albo spróbują zareagować na przemoc w inny sposób. A przecież zawsze tak się dzieje.

Nowe podejście do ewolucji kładło nacisk na interakcje stale zmieniających się organizmów. Niektórzy mówili o wyścigu zbrojeń, mając na myśli rosnącą złożoność tych interakcji. Zaatakowana przez szkodniki roślina wytwarza w liściach substancję owadobójczą. Szkodnik ewoluuje, uodparnia się na pestycyd, więc roślina produkuje nowy, silniejszy. I tak to się toczy.

Inni mówili o koewolucji, w której dwie formy życia (lub więcej) ewoluują równolegle, ucząc się wzajemnej tolerancji. Roślina, którą atakują mrówki, uczy się tolerować, a z czasem nawet wytwarzać wabiący je pokarm. W zamian za to mrówki jej bronią, atakując zwierzęta, które próbują obgryzać liście. Wkrótce okazuje się, że roślina i mrówki nie mogą się bez siebie obejść.

Tego rodzaju procesy są tak powszechne, że wielu ludzi widziało w nich sedno ewolucji. Pasożytnictwo i symbioza, od samego początku obecne na tym świecie, miały być podstawą wszelkich ewolucyjnych zmian. Lynn Margulis wsławiła się udowodnieniem tezy, że bakterie wykształciły jądro komórkowe, połykając inne bakterie.

Na początku XXI wieku było już jasne, że koewolucja nie ogranicza się do wyizolowanych par organizmów, splecionych w wirującym tańcu. Może dotyczyć trzech, dziesięciu, dowolnej liczby form życia. Na polu kukurydzy rosło wiele roślin, które atakowane przez szkodniki wykształciły różne mechanizmy obrony kukurydza konkurowała z chwastami, szkodniki z innymi szkodnikami, a

duże zwierzęta zjadały i kukurydzę, i szkodniki. Wynik ten złożonej interakcji nigdy nie był ustalony. Cały czas się zmieniał.

Nie można go było przewidzieć.

To dlatego Ricky tak mnie wkurzył.

Powinien był zorientować się w niebezpieczeństwie, kiedy okazało się, że nie kontroluje rojów. To było szaleństwo pozwolić im swobodnie ewoluować. Wiedział, co to są algorytmy genetyczne i znał biologiczne podstawy najnowszych trendów w informatyce.

Wiedział, że samoorganizacja jest nieunikniona.

Wiedział, że nie można przewidzieć zachowań emergentnych.

Wiedział, że w ewolucji uczestniczą wszystkie żywe organizmy.

Wszystko to wiedział, a jednak to zrobił.

On albo Julia.

— Zajrzałem do Charley'a. Spał jak zabity.

— Długo tak śpi? — zapytałem przechodzącego Bobby'ego Lembecka.

— Odkąd wróciliście, czyli ze trzy godziny.

— Nie sądzisz, że powinniśmy go obudzić? Zapytać, jak się czuje?

— Na razie niech śpi. Zajrzemy do niego po kolacji.

A kiedy będzie kolacja? — Za pół godziny. Dziś ja gotuję.

To mi przypomniało, że w porze kolacji miałem zadzwonić do domu. Zadzwoniłem ze swego pokoju.

Odebrała Ellen.

— Halo? Co się tam dzieje?! — Sądząc po głosie, była umęczona. Słyszałem w tle płacz Amandy i krzyki Erica, który wydzierał się na Nicole. — Nicole, zostaw brata w spokoju!

— Cześć, Ellen — powiedziałem.

— Dzięki Bogu! Musisz porozmawiać z córką.

— Co się dzieje?

— Zaczekaj chwilę... Nicole, ojciec chce z tobą rozmawiać. Ellen oddała słuchawkę.

— Cześć, tato — usłyszałem.

— Co się tam u was dzieje, Nicole?

— Nic. Eric to głupi bachor. — Proste stwierdzenie faktu.

— Co zrobiłaś bratu?

— Tato. — Nicole zniżyła głos do szeptu. Zorientowałem się, że przysłoniła mikrofon ręką. — Ciotka Ellen jest taka niemiła...

— Słyszałam! — odezwała się Ellen, ale chyba wzięła Amandę na ręce, bo płacz ucichł.

Nicole, jesteś najstarsza z rodzeństwa. Liczę na to, że pomożesz cioci, dopóki nie wrócę.

— Staram się, tato, ale Eric to pacan.

— Nie jestem pacan! Ty głupia małpo!

— Sam słyszysz, tato, z kim ja się tu użeram.

— Wsadź sobie kij w tyłek! — zawołał Eric.

Spojrzałem na monitor. Pokazywał na zmianę obrazy ze wszystkich kamer zewnętrznych. W jednym kadrze znalazł się motocykl, który porzuciłem przy drzwiach stacji zasilania potem zobaczyłem magazyn z targanymi wiatrem drzwiami, które zasłaniały i odsłaniały leżące za progiem ciało Rosie. Dwie osoby zginęły, ja sam otarłem się o śmierć. Nagle rodzina, dzień wcześniej

najważniejsza w moim życiu, dziwnie straciła na znaczeniu.

— Wszystko ci wytłumaczę, tato — powiedziała Nicole jak najbardziej rozsądnym, dorosłym głosem. — Wróciliśmy z ciotką Ellen ze sklepu, gdzie kupiłam sobie bardzo ładną bluzkę na przedstawienie. Eric wpadł do mojego pokoju i zwał mi wszystkie książki na podłogę. Kazałam mu je pozbierać. Uparł się, że nie pozbiera i bardzo brzydko na mnie powie dział, więc kopnęłam go w tyłek, zresztą wcale nie mocno, i zabrałam mu G.I. Joego. I to wszystko.

G.I. Joe był ukochaną zabawką Erica, rozmawiał z nim, brał go do łóżka.

— Oddam mu go, jak tylko podniesie książki.

— Nicole...

— Tato, on naprawdę brzydko na mnie powiedział. — Oddaj mu G.I. Joego.

Obrazy z kamer zmieniały się cały czas, co kilka sekund. Chciałem znów zobaczyć magazyn, coś mnie w nim zaniepokoiło. — Nie jesteś jego mamą, Nicole...

— Właśnie, mama wpadła jak po ogień...

— Mama? Mama była w domu?

— Była. Powiedziała, że spiesz się na samolot.

— Aha... Słuchaj Ellen, Nicole...

— Mówiłam ci, tato, że ciotka jest...

— Ona rządzi w domu, dopóki nie wrócę. Macie robić to, co wam każe.

— To nierozsądne, tato.

— Ale tak ma być, skarbie.

— I co z moją sprawą...?

— Nicole, tak ma być i już. Do mojego powrotu.

— Kiedy wrócisz?

— Prawdopodobnie jutro.

— Dobrze.

— To jak, rozumiemy się?

— Tak, tato. Chociaż ja przez ten czas pewnie zwariuję.

— Obiecuję, że będę cię odwiedzał w szpitalu dla umysłowo chorych, jak tylko wrócę do domu.

— Bardzo śmieszne.

— Daj mi Erica.

Odbyłem krótką rozmowę z Erikiem, który kilkakrotnie powtórzył mi, że to nie fair. Kazałem mu sprzątnąć książki Nicole, na co odparł, że wcale ich nie zrzucił, tylko spadły przypadkiem. Powiedziałem, że i tak mają odłożyć na miejsce i zamieniłem jeszcze dwa słowa z Ellen. Staralem się dodać jej otuchy.

Rozmawiałem z nią, kiedy na ekranie pojawił się obraz magazynu: huśtające się drzwi, zewnętrzna ściana... Magazyn stał na lekkiej pochyłości terenu i do wejścia prowadziły cztery drewniane stopnie. Wszystko było na swoim miejscu. Nie miałem pojęcia, co mnie wcześniej zaniepokoiło.

Nagle doznałem olśnienia.

Ciało Davida! Nie było go nigdzie w kadrze. Wcześniej widziałem, jak wyslizguje się za drzwi, więc powinno leżeć gdzieś na zewnątrz. Biorąc pod uwagę nachylenie terenu, mogło się stoczyć parę metrów. Parę metrów, ale nie więcej.

Ciała nie było.

Może się myliłem, może odciągnęły je kojoty. Obraz na ekranie zmienił się i musiałbym prześledzić pełny cykl, żeby znów zobaczyć magazyn. Wolałem nie tracić czasu. Ciało Davida zniknęło, a ja nic nie mogłem na to poradzić.

Koło siódmej wieczorem zasiadliśmy do kolacji w maleńkiej kuchni w module mieszkalnym. Bobby podał ravioli z sosem pomidorowym i mieszankę jarzynową. Dostatecznie długo prowadziłem dom, żeby rozpoznać markę mrożonki.

— Contadina robi chyba lepsze ravioli — zauważyłem.

Bobby wzruszył ramionami.

Poszedłem do lodówki i wziąłem, co było.

Aż się zdziwiłem, że jestem taki głodny. Sprzątnąłem wszystko z talerza.

— Nie było chyba aż takie źle, co? — stwierdził Bobby.

Mae jak zwykle się nie odzywała. Vince mlaskał hałaśliwie. Ricky siedział naprzeciw mnie, na drugim końcu stołu, ze wzrokiem utkwionym w talerz. Nikt nie miał ochoty rozmawiać o Rosie i Davidzie puste miejsca przy stole wystarczająco kłuły w oczy.

— To co, dziś w nocy chcesz iść ich poszukać? — zapytał Bobby.

— Tak. O której robi się ciemno?

— Słońce zachodzi mniej więcej dwadzieścia po siódmej. — Włączył wbudowany w ścianę monitor. — Zaraz podam ci dokładny czas.

— Możemy wyjść trzy godziny później, po dziesiątej.

— Myślisz, że uda ci się wytropić rój?

— Mam nadzieję. Charley porządnie go spryskał.

— Teraz sam świecę po ciemku — zaśmiał się Charley, wchodząc do kuchni. Przysiadł się do nas.

Wszyscy się ucieszyli na jego widok. Zapytałem go, jak się czuje.

— W porządku. Jestem trochę osłabiony i we łbie mi huczy. — Wiem, jak to jest.

— Ja też — dodała Mae.

— Bardziej mnie boli niż od gładzenia Ricky'ego — dodał Charley. — I dłużej się utrzymuje.

— Ricky nie zareagował. Jadł w milczeniu.

— Myślisz, że te szajbki mogą się człowiekowi dostać do mózgu? No, te nanocząstki. Dostaną się do płuc, potem przeskoczą z krwi do mózgu. ..

— Bobby podsunął mu talerz ravioli. Charley posypał je obficie pieprzem.

— Może najpierw spróbuj?

— Bez urazy, ale jestem pewien, że pieprz im dobrze zrobi. — Charley zaczął jeść. — O to chyba chodzi, kiedy ludzie skarżą się, że nanotechnologia zanieczyszcza środowisko, prawda? Te drobinki są tak małe, że wślazą w miejsca, o których nikt by wcześniej nie pomyślał. Mogą się wcisnąć między neurony, mogą przeniknąć do cytoplazmy komórek serca, do jąder komórkowych... Wszędzie. Może jesteśmy zarażeni, Jack?

— Nie wyglądasz na zmartwionego — zauważył Ricky.

— Co mogę na to poradzić? Mam tylko nadzieję, że złapiesz tego syfa ode mnie. Wiecie co? To spaghetti jest naprawdę niezłe!

— Ravioli.— Brawo.

— Mniejsza z tym. Tylko pieprzu za mało.

— Zachód słońca: siódma dwadzieścia siedem — odczytał z monitora Bobby. — A pieprzu jest

w sam raz.

— Akurat!

— Dodałem pieprzu.

— Za mało.

— Nie brakuje nam kogoś? — zapytałem. — Nie. A co?

— Pokazałem na monitor.

— To kto tam stoi?

Dzień szósty, godzina 19.12

— Jasny gwint! — zaklął Bobby. Zerwał się od stołu i wybiegł nim Wszyscy pospieszyli za nim.

Ja szedłem ostatni.

Ricky mówił już do krótkofalówki:

— Vince, odetnij nas.

— Jesteśmy odcięci. Ciśnienie pięć ponad normę.

— Dlaczego nie włączył się alarm?

— — Nie wiem, może nauczyły się go unikać.

Zebraliśmy się w warsztacie, gdzie na dużych ciekłokrystalicznych ekranach wyświetlały się obrazy ze wszystkich zewnętrznych kamer. Widok na otaczającą nas pustynię.

Słońce schowało się już za widnokregiem, ale niebo było jeszcze w tym miejscu jasnopomarańczowe, dopiero dalej stopniowo przechodziło w fiolet i głęboki błękit. Na jego tle stał młody człowiek. Miał krótkie włosy, dzinsy i białą koszulkę z krótkimi rękawami. Wyglądał jak surfer. W zapadającym zmierzchu nie widzieliśmy dobrze jego twarzy, ale w jego ruchach było coś dziwnie znajomego.

— Są tu jakieś reflektory? — zapytał Charley, który przyniósł ze sobą talerz z ravioli.

— Już włączam — odparł Bobby i chwilę później pustynię zalało oślepiające światło. Teraz dokładnie widzieliśmy tego człowieka.

Nagle mnie olśniło: tak samo wyglądał mężczyzna, którego poprzedniego dnia wieczorem widziałem w samochodzie Julii, na krótko przed wypadkiem.

— Jezu, Ricky — odezwał się Bobby. — Przecież on wygląda jak ty.

— Rzeczywiście — zgodziła się Mae. — To Ricky. Nawet koszulka się zgadza.

Ricky poszedł do automatu po napój i dopiero teraz spojrzał na ekran.

— O czym wy mówicie?

— Ten gość wygląda dokładnie tak jak ty — powtórzyła Mae. — Ma nawet ten sam napis na koszulce, Jestem szefem.

Ricky spojrzał na swoją pierś, potem na ekran.

— A niech mnie... — wykrztusił.

— Nie wychodziłeś stąd, Ricky, prawda? — powiedziałem. — Jak to możliwe?

— Nie mam zielonego pojęcia. — Ricky niedbale wzruszył ramionami. Może zbyt niedbale?

— Nie widać dobrze twarzy — zauważyła Mae. — Nie można rozróżnić rysów.

Charley podszedł bliżej i zmrużył oczy.

— Nie można, bo ich nie ma. — Daj spokój.

— To tylko kwestia rozdzielczości, Charley.

— Właśnie że nie. Ta twarz nie ma rysów. Zrób zbliżenie, to sam się przekonasz.

Bobby powiększył obraz głowy nieznanego. Mężczyzna poruszał się, pojawiał się w kadrze i wychodził z niego, ale od razu stało się jasne, że Charley ma rację. Jego twarz była pozbawiona

rysów: pod linią jasnych włosów znajdował się blady owal z ledwie zarysowanym nosem, łukami brwiowymi i wypukłością w miejscu ust. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał wyrzeźbić twarz, ale zmienił zamiar.

Tylko brwi się w niej poruszały, wiły się i trzepotały od czasu do czasu. Złożyłem to na karb rozdzielczości obrazu.

— Wiecie chyba, co to jest, prawda? — mruknął ponuro Charley. — Zjedź niżej. Obejrzyjmy go całego.

Bobby przesunął kamerę. Zobaczyliśmy białe adidas, które jednak w ogóle nie dotykały ziemi. Unosiły się tuż nad jej powierzchnią. Można się było domyślać, że mają sznurówki, widzieliśmy zamazany znak firmowy Nike, ale mimo wszystko zaledwie przypominały nieudolną kopię butów.

— Bardzo dziwne... — powiedziała Mae.

— Skądże znowu — odparł Charley. — Rój ma za mało agentów, żeby zrobić buty w wyższej rozdzielczości, więc musi stosować aproksymację.

— Albo nie jest w stanie uzyskać lepszego efektu, bo nie ma odpowiednich środków — zauważyłem. — Przecież wszystkie kolory generuje dzięki światłu, które odbija się pod różnymi kątami od ogniw fotoelektrycznych. Tak jak ludzie na stadionie tworzą żywe obrazy.

— To wskazuje na bardzo złożone zachowanie — dodał Charley.

— Czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy — zgodziłem się.

— Rany boskie, jak się was słucha, można by pomyśleć, że ten rój to jakiś Einstein! — prychnął Ricky.

— Nie, to niemożliwe — uspokoił go Charley. — Przecież naśladuje ciebie. — Daruj sobie, Charley.

— To po co wciąż mnie prowokujesz.

— Dlaczego rój tak się zachowuje? — zapytała Mae. — Czy to imitacja ofiary?

— W zasadzie tak — odparłem.

— Nie lubię myśleć o sobie jak o ofierze — burknął Ricky.

— Czy to znaczy, że ma zaprogramowane fizyczne naśladowanie zwierzyny? — dopytywała się dalej Mae.

— Nie, instrukcje są znacznie mniej szczegółowe. Po prostu każą agentom dążyć do celu. Teraz obserwujemy zachowanie emergentne, bardziej złożone od poprzedniego. Pod wiatą rój tworzył płaskie obrazy, teraz mamy obraz trójwymiarowy.

Spojrzałem na programistów, którzy z ponurymi minami wpatrywali się w monitor. Oni najlepiej rozumieli, jakich postępów dokonał rój. Dołączenie trzeciego wymiaru oznaczało, że naśladował już nie tylko nasz wygląd, ale i zachowanie: sposób poruszania się, gestykulację.

— Czyli rój sam podjął taką decyzję?

— Owszem, chociaż określenie „decyzja” nie jest chyba najtrafniejsze. Zachowanie emergentne jest sumą zachowań poszczególnych agentów nie ma tam nikogo, kto podejmowałby jakieś decyzje. Rój nie ma mózgu.

— To umysł grupowy? W pewnym sensie... Wyróżnia go to, że nie ma centralnego ośrodka sterowania.

— Ale wygląda, jakby coś nim kierowało. Przypomina dobrze zorganizowany, spójny organizm.

— Tak jak każdy z nas — parsknął Charley.

Nikt się nie roześmiał. W pewnym sensie ciało ludzkie jest właśnie olbrzymim rojem. A

właściwie rojem rojów, ponieważ każdy organ — wątroba, krew, nerki — jest rojem samodzielnym. To, co przywykliśmy nazywać „ciałem”, jest ich sumą.

Wydaje nam się, że nasze ciało stanowi zwartą, jednolitą masę, ale to tylko złudzenie. Nie widzimy, co się dzieje na poziomie komórkowym. Gdyby odpowiednio powiększyć człowieka, przekonalibyśmy się, że nie jest niczym innym, jak tylko wirującą masą komórek i atomów, w której występują lokalne zgęszczenia.

Kogo to obchodzi? Cóż, wygląda na to, że przetwarzanie odbywa się w znacznej mierze właśnie na poziomie pojedynczych organów. I decyduje o naszym zachowaniu. To nie mózg nami steruje, lecz całe ciało.

Można by więc powiedzieć, że sami jesteśmy wyposażeni w „inteligencję roju”. Zmysłem równowagi steruje rój mózdzku, dlatego rzadko świadomie się nim przejmujemy. Inne informacje są przetwarzane w rdzeniu kręgowym, inne w żołądku, jeszcze inne w jelitach. Większość procesu widzenia odbywa się w oczach, na długo przed tym, zanim zaprzęgniemy do pracy mózg.

Zresztą najbardziej złożony procesy w mózgu również toczą się bez udziału naszej świadomości. Weźmy na przykład omijanie przeszkód. Robot na kółkach poświęca ogromną część mocy obliczeniowej tylko na to, żeby się swobodnie poruszać po okolicy. Ludzie też to robią, ale wcale o tym nie myślą — przynajmniej dopóki ktoś im nie zgasi światła. Wtedy na własnej skórze przekonują się, jak wiele wysiłku to wymaga.

Wszystko to pozwala twierdzić, że cała struktura świadomości, poczucie samokontroli i celowości działań są tylko iluzją. W rzeczywistości wcale nie mamy nad sobą kontroli, tylko tak się nam wydaje.

Fakt, że człowiek nauczył się myśleć, że jest spójną całością, nie znaczy jeszcze, że ma rację. Wyglądało na to, że ten przeklęty rój również ma pewne poczucie swojej tożsamości.

Obraz na monitorze zaczynał się rozjeżdżać, rój miał kłopoty z jego utrzymaniem. Zaczęły się fluktuacje: głowa i ramiona rozmywały się na chwilę, by potem znów się uformować. Robiło to niesamowite wrażenie.

— Chyba się zmęczył — stwierdził Charley.

— To znaczy, kończy mu się energia?

— Tak myślę. Musi się nieźle napocić, żeby poustawiać odpowiednio te wszystkie drobinki.

Rój przybierał znajomą postać czarnej chmury.

— Przechodzi w tryb czuwania?

— Na to wygląda. Kamery na pewno miały optymalizację zarządzania energią.

— Jeśli nie, to już się tego nauczyły. Ściemniało się coraz szybciej. Pomarańczowy blask spleźł z nieba.

— Coraz trudniej było coś dostrzec na monitorze. — Rój zawrócił i oddalił się w głąb pustyni.

— Niech mnie diabli — mruknął Charley. Odprowadziłem chmurę wzrokiem.

— Za trzy godziny będzie już po wszystkim — pocieszyłem go.

Dzień szósty, godzina 22.12

Zaraz po kolacji Charley wrócił do łóżka i o dziesiątej, kiedy szykowaliśmy się z Mae do wyjścia, jeszcze spał. Musieliśmy założyć puchowe kamizelki i kurtki, bo zapowiadała się zimna noc. Potrzebowaliśmy jeszcze jednego ochotnika. Ricky powiedział, że musi czekać na Julię, która mogła się zjawić w każdej chwili. Nie protestowałem — i tak nie chciałem zabierać go ze sobą. Vince gdzieś zniknął siedział pewnie przed telewizorem i pił piwo. Został nam Bobby.

Nie chciał z nami iść. Dopiero Mae udało się go przekonać. Należało jeszcze znaleźć jakiś środek transportu — kryjówka roju mogła znajdować się dość daleko od zakładu. Mieliśmy wprawdzie motocykl Davida, ale mogły na nim jechać tylko dwie osoby. Na szczęście okazało się, że Vince trzyma pod wiatą czterokołowy pojazd terenowy. Znalazłem go w stacji zasilania i poprosiłem o kluczyki. Siedział na sofie i oglądał Milionerów.

— Nie mam — odpowiedział.
— Jak to nie masz?
— Kluczyki są w stacyjce. Nigdy ich nie wyjmuję.
— Zaraz, to znaczy, że pod wiatą cały czas stoi maszyna z kluczykami w stacyjce?
— Oczywiście.
— Pytanie za pięć tysięcy dolarów — dobiegło z telewizora. — Jak się nazywa najmniejsze państwo w Europie?
— Krew mnie zalała.
— Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?
— Nie wiem. — Vince wzruszył ramionami. — Nikt ranie nie zapytał. Wróciłem do laboratorium.

— Gdzie ten skurczybyk Ricky?
— Rozmawia przez telefon z Doliną — odparł Bobby. — Z szefostwem.
— Spokojnie — powiedziała Mae.
— Jestem spokojny. Gdzie go znajdę? W głównym budynku?
— Jack. — Oparła mi dłonie na ramionach. — Już po dziesiątej.
— Mam mu to darować? Mogliśmy przez niego zginąć.
— Teraz mamy coś ważniejszego do zrobienia.
Spojrzałem na nią. Przypomniałem sobie, jak sprawnie wypatroszyła królika.
— Słusznie.

Odwróciła się do mnie plecami.
— Trzeba znaleźć jakieś plecaki i będziemy mogli jechać. Pomyślałem, że nie bez powodu wygrywa wszystkie spory. Z szafki w magazynie przyniosłem trzy plecaki. Rzuciłem jeden Bobby'emu.

— No to do roboty.
Noc była pogodna, świeciły gwiazdy. Szliśmy w stronę wiaty, rysującej się ciemnym konturem na

tle nieba. Pchałem przed sobą motor. — Musimy wziąć jakieś latarki — zauważył Bobby.

— Nie tylko to — odparła Mae. — Mam tu całą listę. Otworzyliśmy drzwi do magazynu. Bobby zawahał się, aleja śmiało

Wszedłem do środka, namacałem wyłącznik i zapaliłem światło.

W środku nic się nie zmieniło. Mae zaczęła przeglądać zawartość półek.

— Latarki... lont... race... tlen...

— Tlen? — zdziwił się Bobby. — Mówisz poważnie?

— Jeśli kryjówka jest pod ziemią... Poza tym przyda się termit.

— Rosie znalazła termit — odpowiedziałem. — Może zdążyła go odłożyć, zanim...

Przeszedłem do drugiego pomieszczenia. Przewrócone pudełko leżało na podłodze, obok rozsypały się ładunki termitowe. Rosie musiała je upuścić, kiedy zaczęła biec. Może jakiś ładunek został w jej ręce? Odwróciłem się do drzwi.

Ciało Rosie zniknęło.

— Chryste Panie...

— Co jest?! — Bobby wpadł do pokoju. — Co się stało? Pokazałem na drzwi. — Nie ma Rosie.

..

— Jak to: nie ma?

Po prostu. — Spojrzałem mu w oczy. — Przedtem zwłoki leżały tutaj, a teraz nie leżą.

— Jak to możliwe? Odciągnęło je jakieś zwierzę?

— Nie wiem.

Przykucnąłem w miejscu, gdzie leżały zwłoki. Kiedy ostatni raz widziałem je z bliska — pięć, może sześć godzin wcześniej — pokrywał je biały nalot. Zostało go trochę na podłodze: przypominał gruby osad zaschniętego mleka. Dalej od progu, tam gdzie znajdowała się głowa Rosie, nalot miał gładką powierzchnię, ale bliżej drzwi był poślubiony rysami.

— Wygląda na to, że coś ją wyciągnęło na zewnątrz — stwierdził Bobby.

— To prawda.

Szukałem odcisniętych w osadzie śladów. Samotny kojot nie dałby sobie rady z ciałem, a gdyby było ich więcej, zostałyby tropy. Nic nie znalazłem.

Podszedłem do drzwi. Bobby stał w progu i patrzył w ciemność.

— Widzisz coś? — zapytał. — Nie.

Wróciłem do Mae, która znalazła wszystkie potrzebne materiały: rolkę lontu magnezowego, rakielnice, przenośne reflektory halogenowe, lampę czołową, lornetkę i noktowizory. Miała też nadajnik radiowy, butle z tlenem i maski tlenowe z przezroczystego tworzywa. Maski wyglądały prawie identycznie jak te, które poprzedniego wieczoru widziałem u ludzi w furgonetce SSTV. Różniły się tylko kolorem.

— Czy to naprawdę było wczoraj wieczorem? No tak, przecież dopiero co minęły dwadzieścia cztery godziny.

Miałem wrażenie, że upłynął z miesiąc.

Mae pakowała bagaż do trzech plecaków. Zdałem sobie nagle sprawę, że jest wśród nas jedyną osobą, która ma jakieś doświadczenie w pracy w terenie. W porównaniu z nią byliśmy bandą domatorów i teoretyków.

Bobby stęknął i dźwignął pierwszy z brzegu plecak.

— Naprawdę myślisz, że powinniśmy to wszystko zabrać?

— Przecież nie będziesz musiał nosić plecaka. Pojedziemy. A poza tym przezorny zawsze ubezpieczony.

— No dobrze, dobrze, ale... po co nadajnik?

— Nigdy nic nie wiadomo.

— Z kim się chcesz skontaktować?

— Widzisz, Bobby, zawsze żałujemy, że czegoś nie wzięliśmy jak jest nam natychmiast potrzebne.

— Rozumiem, ale...

Mae bez wysiłku zarzuciła drugi plecak na ramię. Spojrzała na Bobby'ego.

— Co mówiłeś?

— Już nic.

Wziąłem trzeci plecak. Nie był bardzo ciężki Bobby biadolił, bo się bał. Faktem było, że wolałbym nieść mniejszą i lżejszą butlę z tlenem, która łatwiej zmieściłaby się w plecaku, ale Mae uparła się, żeby zabrać większą rezerwę.

— Rezerwę? — spytał niepewnie Bobby. — Myślisz, że ta kryjówka jest taka duża?

— Nie mam pojęcia, ale te najnowsze roje są ogromne.

Zdjęła znad zlewu miernik promieniowania, ale kiedy wyjęła wtyczkę z gniazdka, okazało się, że bateria siadła. Musieliśmy znaleźć nową, odkręcić pokrywę, wymienić... A ja się bałem, że zapasowa też może być nie do użytku. To byłaby tragedia.

— Z noktowizorami też trzeba będzie uważać — ostrzegła nas Mae. — Nie wiem, na ile wystarczą baterie.

Licznik zaterkotał głośno, wskaźnik poziomu baterii świecił się jasno.

— Pełna. Wystarczy na cztery godziny.

— Zaczynamy powiedziałem. — Była godzina 22.43.

Licznik zwariował, kiedy zbliżyliśmy się do Toyoty: terkotanie zlało się w jeden ciągły dźwięk. Trzymając go przed sobą, Mae wyminęła samochód i wyszła na pustynię. Odwróciła się na zachód — terkotanie przycichło na wschód — i licznik wyraźnie się ożywił. Kiedy jednak zrobiła kilkanaście kroków w tym kierunku, dźwięk znów ścichł. Zareagował za to, kiedy skręciła na pomoc.

— Północ — stwierdziła.

Wsiadłem na motor, zapaliłem i przegazowałem silnik. Bobby wyjechał spod wiaty na czterokołowym ATV, pojeździe terenowym na szerokich tylnych kołach, z kierownicą motocyklową. Maszyna wyglądała niezgrabnie, ale na pewno lepiej od motoru nadawała się do nocnych eskapad po pustyni.

Mae usiadła za mną, wychyliła się z siodelka, żeby trzymać licznik bliżej ziemi, i zarządziła: — Jedziemy. Ruszyliśmy w głąb ciągnącej się pod bezchmurnym niebem pustyni.

Plama światła z reflektora skakała gwałtownie i nie bardzo widziałem, co mam przed sobą. Pustynia, za dnia tak monotonna i równa jak stół, w nocy zaskakiwała nas wydymami, pełnymi kamieniami zagłębieniami i głębokimi, suchymi wąwozami. Prowadzenie motoru kosztowało mnie sporo wysiłku, tym bardziej, że Mae cały czas pokrzykiwała:

W lewo... teraz w prawo... w prawo... Nie, nie, za daleko, w lewo... Czasem kręciliśmy się w kółko, żeby mogła wybrać właściwy kierunek.

Gdyby ktoś za dnia pojechał naszym tropem, musiałby dojść do wniosku, że kierowca motocykla był pijany, tak kręty zostawialiśmy ślad. Motor ślizgał się i zarzucał na piasku. Odjechaliśmy dobre

kilka kilometrów od laboratorium i zaczynałem się już niepokoić. Licznik terkotał coraz wolniej, coraz trudniej było odróżnić ślad roju od promieniowania tła. Nie rozumiałem tego, ale fakty mówiły same za siebie. Jeśli nie znajdziemy zaraz kryjówki roju, w ogóle zgubimy trop.

Mae też się denerwowała. Jedną ręką obejmowała mnie w pasie, drugą — tę z licznikiem — starała się trzymać jak najniżej, ja zaś jechałem coraz wolniej, bo znalezienie śladu przychodziło nam z coraz większym trudem. Gubiliśmy go, znajdowaliśmy, znów gubiliśmy, cofaliśmy się i jeździliśmy w kółko pod gwiazdzistym niebem. Złapałem się na tym, że wstrzymuję z napięcia oddech.

Licznik terkotał z zupełnie przypadkową częstotliwością. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że zgubiliśmy ślad.

Znajdowaliśmy się na środku pustyni i krążyliśmy w kółko.

Zgubiliśmy trop..

Zmęczenie dopadło mnie bez ostrzeżenia, z całą mocą. Przez cały dzień funkcjonowałem na adrenalinie i teraz, kiedy musiałem się przyznać do porażki, ogarnęła mnie fala ogromnego znużenia. Oczy mi się zamykały, jeszcze chwila i zasnę na motocyklu.

Zatrzymałem się. Siedząca na tylnym siodełku Mae wyprostowała się.

— Nie przejmuj się.

— Jak mam się nie przejmować? Mój plan spalił na panewce, Mae.

— Może jeszcze nie całkiem.

— Podjechał do nas Bobby.

— Patrzyliście za siebie? — Nie, a co?

— To spójrzcie. Zobaczcie, ile ujechaliśmy.

Obejrzałem się przez ramię. Na południu, zadziwiająco blisko, widać było światła zakładu Xymosu dwa, może trzy kilometry od nas. Musieliśmy zatoczyć ogromne półkole i zaczęliśmy wracać do punktu wyjścia.

— Dziwne...

Mae zsiadła z motoru i podstawiła licznik pod reflektor, żeby odczytać wskazania.

— Hm...

— I co, Mae? — zapytał z nadzieją Bobby. — Wracamy?

— Jeszcze nie. Patrzcie.

Obaj nachylili się nad licznikiem. Wyświetlacz ukazywał wykres natężenia promieniowania, które najpierw powoli, a potem bardzo szybko opadało. Bobby zmarszczył czoło.

— Co to jest?

— Natężenie w funkcji czasu, wykres z naszej przejażdżki. Wynika z niego, że od samego początku natężenie zmniejszało się w postępie arytmetycznym, linia prosta. A teraz doszło do zera.

— No i co? — spytał Bobby. — Co z tego wynika? Nic nie rozumiem.

— A tak. — Mae wsiadła na motocykl. — Chyba wiem, co się stało. Jedź, tylko powoli.

Puściłem sprzęgło i motocykl z warkotem ruszył naprzód. Teren wznosił się lekko, reflektor wyławiał z mroku kaktusy.

— Wolniej, Jack.

Zwolniłem. Jechaliśmy tak wolno, że pieszy by nas dogonił. Ziewnąłem. Nie było sensu zadawać pytań Mae, całkowicie skoncentrowanej na liczniku. A ja czułem się przegrany i miałem wszystkiego dość. Jechaliśmy pod górkę, potem teren się wyrównał, aż w końcu motocykl przechylił się w dół...

— Stop.

Zatrzymałem się.

Tuż przed nami teren gwałtownie opadał.

— Co to, jakieś urwisko?

— Nie, po prostu skarpa.

Podjechałem odrobinę dalej. Staliśmy na krawędzi wysokiego na pięć metrów wzniesienia, na brzegu wyschniętego koryta rzeki. W dole leżały wygładzone przez wodę kamienie i głazy na drugim brzegu, ciągnęła się dalej równa jak stół pustynia.

— Teraz rozumiem — powiedziałem. — Rój pofrunął.

— Właśnie. A my zgubiliśmy ślad.

— Mógł wylądować gdzieś tam dalej. — Bobby wskazał łożysko rzeki.

— Mógł, ale nie musiał.

Obawiałem się, że znalezienie zjazdu na dół zajmie nam sporo czasu. Potem przez całą wieczność przeszukiwalibyśmy koryto, zanim znowu trafilibyśmy na ślad roju. O ile w ogóle by się nam poszczęściło. Przerazał mnie bezmiar rozpościerającej się przed nami pustyni.

Rzeczywiście, rój mógł tu wylądować — przyznałem. — Albo prze lecieć na drugi brzeg. Albo pół kilometra dalej.

Mae nie dała się tak łatwo zniechęcić.

— Bobby, zostań tutaj. Zaznacz miejsce, w którym rój zerwał się do lotu. Ja z Jackiem zjedziemy do koryta i udamy się prosto na wschód, aż znowu trafimy na ślad. Prędzej czy później musi się nam udać.

— Dobrze, zrozumiałem.

— W porządku — zgodziłem się.

— Czemu nie spróbować? Nie mieliśmy nic do stracenia. Nie wróżyłem naszej próbie powodzenia.

Bobby wychylił się z siodełka ATV.

— A co znowu?

— CO?

— Jakieś zwierzę. Widziałem, jak mu się oczy zaświeciły.

— Gdzie?

— W tamtych krzakach. — Wskazał na środek koryta. Wyteżyłem wzrok. Nasze reflektory oświetlały całkiem spory kawałek łożyska rzeki. Nie widziałem żadnych zwierząt.

— Tam! — krzyknęła Mae.

— Nic nie widzę.

— Schowało się za tym jałowcem. Widzisz ten krzak w kształcie piramidy? Na wpół uschnięty?

— Widzę, ale...

— Wciąż nie mogłem dostrzec żadnego zwierzęcia.

— Porusza się na boki, w lewo i w prawo. Zaczekaj chwilę.

Rzeczywiście: dostrzegłem dwa jarzące się zielono punkciki, nisko przy ziemi. Przesuwały się w prawo. Mignęło mi coś białego — i wtedy zaniepokoiłem się. Bobby chyba też wyczuł, że coś tu nie gra, bo skręcił kierownicę i skierował reflektor prosto w podejrzany krzew. Spojrzał przez lornetkę.

— To nie zwierzę... — powiedział.

Znów dostrzegliśmy coś białego. Białego jak ciało. Ze zdumieniem rozpoznałem ludzką dłoń, wleczoną po ziemi. Dłoń z rozcapierzonymi palcami.

— Jezu Chryste! — jęknął Bobby.

— Co? Co widzisz?

— Coś wlecze ludzkie ciało — odparł i dziwnym głosem dodał: — Ciało Rosie.

Dzień szósty, godzina 22.58

Dodałem gazu i ruszyliśmy z Mae skrajem urwiska do miejsca, w którym łagodnie schodziło do koryta rzeki. Bobby został na posterunku, obserwując poruszające się zwłoki Rosie. Przy drugim brzegu zawróciliśmy z powrotem, kierując się na światła ATV.

— Zwolnij, Jack — powiedziała Mae.

Zwolniłem i wychylony nad kierownicą wypatrywałem drogi przed nami. Nagle licznik promieniowania zaterkotał.

Jechaliśmy dalej, aż znaleźliśmy się naprzeciwko stojącego na skarpie Bobby'ego. Jego reflektor oświetlał ziemię. Pomachałem, żeby jechał tutaj. Kiedy ruszył z miejsca, nagle wokół nas zrobiło się ciemno.

Wtedy zobaczyliśmy Rosie.

Rosie Castro leżała na plecach, z głową wykręconą w taki sposób, że zdawała się patrzeć prosto na mnie. Miała szeroko otwarte oczy i wyciągała rękę w naszą stronę. Jej twarz miała błagalny, przerażony wyraz. Zesztywniałe ciało podrygiwało, zahaczając o krzaki i kaktusy.

Coś ją wlokło po ziemi, ale nie było to zwierzę.

— Zgaś światło — poradziła mi Mae.

— Co ją ciągnie? Widzę pod nią jakiś cień..

— To nie cień. To one. — One ją ciągną?

Mae pokiwała głową.

— Zgaś światło.

Wyłączyłem reflektor i otoczyła nas ciemność.

— Wydawało mi się, że po trzech godzinach rojom kończy się energia — powiedziałem.

— To Ricky tak twierdził.

— Znów nas okłamał?

— Może nie, może na wolności roje rozwiązały ten problem. Jeżeli roje działały dwadzieścia cztery godziny na dobę, mogło się okazać, że kiedy znajdziemy ich kryjówkę, będą aktywne. A ja miałem nadzieję, że znajdziemy je leżące na ziemi, nieruchome. Można powiedzieć, że chciałem wymordować je we śnie. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że roje wcale nie śpią.

Staliśmy tak w ciemnościach, pogrążeni w rozmyślnościach, aż w końcu Mae przerwała milczenie:

— Czy te roje nie naśladują zachowania owadów?

— Zasadniczo nie, głównym wzorem był dla nas układ drapieżnik — ofiara. Ponieważ jednak rój jest zbiorowiskiem oddziałujących na siebie drobin, pod pewnymi względami przypomina rój owadów. Dlaczego pytasz?

— Owady potrafią układać plany, których realizacja trwa dłużej niż życie jednego pokolenia.

Przy budowie gniazd pracuje wiele pokoleń, prawda?

— Tak mi się wydaje...

— Może przez kawałek drogi jeden rój holował ciało, potem następny może ten jest już trzecim

albo czwartym.

— Coraz gorzej.

— To by oznaczało, że roje współpracują. Że coś koordynuje ich wysiłki.

— Teraz najwyraźniej tak.

— Ale to niemożliwe! Nie mają się jak porozumiewać.

— Kilka pokoleń wstecz nie miały jak — zgodziła się ze mną Mae. — Teraz to się zmieniło.

Pamiętasz, jak atakując cię, ustawiły się w klin? To było skoordynowane działanie.

— Miała rację. Po prostu wtedy, pod wiatą, nie zwróciłem na to uwagi. Zastanawiałem się, co jeszcze przegapiłem. Wyteżyłem wzrok.

— Dokąd ją ciągną?

Mae rozpięła mój plecak i wyjęła noktowizor. — Sam zobacz.

Chciałem jej pomóc i wyjąć drugi, ale mnie uprzedziła. Widać było, że ma wprawę.

Założyłem noktowizor na głowę, dociągnąłem pasek i opuściłem szkła na oczy. Nowe gogle czwartej generacji wyświetlały obraz w przyćmionych barwach. Od razu dostrzegłem Rosie, która zniknęła mi szybko z oczu za krzakami.

— No dobrze, ale dokąd ją ciągną? — powtórzyłem. Podniosłem wzrok i nagle zrozumiałem. Z daleka wyglądał jak naturalna formacja ziemna: ciemny kopiec miał pięć metrów średnicy i ze dwa wysokości. Erozja wyłobila w nim głębokie, pionowe bruzdy. Łatwo było go przeoczyć.

Tylko że to nie był twór natury. I to nie erozja nadała mu taką fakturę. Miałem przed sobą budowlę podobną do gniazd afrykańskich termitów i innych owadów społecznych.

Mae założyła gogle, chwilę przyglądała się mrowisku, i w końcu zapytała:

— Chcesz mi powiedzieć, że to jest produkt samoorganizacji roju? Efekt zachowań emergentnych?

— W rzeczy samej.

— Trudno w to uwierzyć.

— Wiem.— Mae była doskonałym biologiem, ale specjalizowała się w ssakach naczelnych. Przywykła badać małe grupy bardzo inteligentnych zwierząt, które wykształcały w stadach hierarchie i miały swoich przywódców. Dla niej złożone zachowanie było wynikiem działania złożonego umysłu. Nie potrafiła ogarnąć potencjału zachowań samoorganizowanych w bardzo dużej populacji prymitywnych stworzeń.

To typowo ludzkie uprzedzenie. Człowiek w każdej organizacji spodziewa się znaleźć centrum decyzyjne. Państwa mają rządy, firmy prezesów, szkoły dyrektorów, a armie — generałów. Mamy skłonność do myślenia, że bez centrum dowodzenia w organizacji zapanuje chaos i nic nie da się osiągnąć.

Przyjąwszy taki punkt widzenia, trudno uwierzyć, że małe organizmy, o mózgach mniejszych niż łypek od szpilki, mogą tworzyć konstrukcje o wiele bardziej złożone od wszelkich ludzkich projektów. Takie jednak są fakty.

Afrykańskie termyty są tu klasycznym przykładem. Budują zamkopodobne kopce o średnicy kilkudziesięciu metrów, z iglicami sięgającymi na pięć metrów w górę. Aby docenić to osiągnięcie, warto sobie wyobrazić, że gdyby termyty były wielkości ludzi, ich gniazda miałyby osiem kilometrów średnicy i półtora kilometra wysokości. Jak każdy drapacz chmur mają skomplikowaną konstrukcję, która umożliwia napływ świeżego powietrza, odpływ nadmiaru dwutlenku węgla, chłodzenie. W środku znajdują się ogrody, w których produkowana jest żywność, rezydencje rodziny królewskiej i

mieszkania dla dwóch milionów termitów. Nie ma na świecie dwóch identycznych kopców: każda konstrukcja jest dostosowana do miejsca, w którym powstała.

Budowy nie nadzoruje żaden architekt ani majster, żaden inspektor, a termyty nie mają zakodowanych w genach planów. Olbrzymie konstrukcje powstają dzięki zachowaniu prostych reguł, którymi kierują się owady (na przykład: jeśli wyczułeś, że był tu przed tobą inny termit, zostaw w tym miejscu grudkę ziemi). W ten sposób efekty pracy termitów przewyższają wszystkie dzieła rąk ludzkich.

Teraz mieliśmy przed sobą twór zupełnie nowych, nieznanych dotąd istot i trudno było powiedzieć, jak dokładnie powstał. No bo jak rój mógł zbudować kopiec? Rozumiałem już jednak, że zadawanie sobie takich pytań tu, na środku pustyni, to czysty idiotyzm. Roje ewoluowały błyskawicznie, zmieniały się niemal z minuty na minutę. Próba ogarnięcia tych zmian byłaby tylko stratą czasu zanim cokolwiek bym zrozumiał, wszystko by się zmieniło.

Bobby zatrzymał się obok nas i zgasił reflektor. Tylko gwiazdy świeciły nad nami.

— Co robimy? — zapytał.

— Idziemy za Rosie.

— Rosie wybiera się chyba do tego kopczyka. — Czy to znaczy, że wchodzimy za nią?

— Jak najbardziej.

Mae zaproponowała, żebyśmy resztę drogi przebyli pieszo. Z ciężkimi plecakami pokonanie ostatniego odcinka zajęło nam prawie dziesięć minut. Zatrzymaliśmy się piętnaście metrów od kopca. W powietrzu rozchodził się mdlący odór zgnilizny i rozkładu. Żołądek podszedł mi do gardła. Z wnętrza kopca sączyła się delikatna, zielonkawa poświata.

— Naprawdę chcecie tam wejście? — spytał szeptem Bobby.

— Za chwilę — odparła równie cicho Mae.

Wyciągnęła rękę. Ciało Rosie przesunęło się w górę po stoku kopca. Kiedy znalazło się na krawędzi, sztywne nogi przez chwilę sterczały w powietrzu, a potem przeważyły i zwłoki wpadły do środka. Zatrzymały się jednak jeszcze raz: znad krawędzi wystawała głowa Rosie i jej rozpaczliwie chwytająca powietrze ręka. Powoli i one zsunęły się do środka.

Bobby wzdrygnął się.

— Teraz — szepnęła Mae. — Idziemy.

Ruszyła pierwsza. Jak zwykle poruszała się bezszelestnie. Staralem się iść równie cicho, ale Bobby hałasował niesamowicie. Gdy Mae spiorunowała go wzrokiem, rozłożył bezradnie ręce.

— Patrz pod nogi — wyszeptała Mae.

— Właśnie że nie. — I tak jest ciemno.

— Postaraj się.

Nigdy przedtem nie widziałem Mae poirytowanej, ale wszyscy byliśmy teraz zestresowani. Smród zwał z nóg. Mae ruszyła dalej, Bobby też — hałasując tak jak przedtem. Zrobiliśmy zaledwie kilka kroków, kiedy Mae gestem nakazała mu się zatrzymać.

Bobby pokręcił głową. Nie chciał zostać sam.

Mae złapała go za ramię, pokazała palcem na ziemię i szepnęła: — Zostajesz tutaj.

— Nie...

— Przez ciebie wszyscy zginiemy!. — Obiecuję...

— Mae pokręciła głową.

W końcu Bobby usiadł we wskazanym miejscu.

Mae spojrzała na mnie. Skinąłem głową i poszliśmy dalej. Od kopca dzieliło nas pięć, może sześć metrów. Odór zapierał dech w piersi. Bałem się, że zwymiotuję. Słyszeliśmy już basowe buczenie, które było w tym wszystkim chyba najbardziej przerażające.

Mae nie zwolniła kroku.

Wspięliśmy się na krawędź kopca i położyliśmy się tam na brzuchach. Na twarz Mae padała zielona poświata. Smród nagle przestał mi przeszkadzać może za bardzo się bałem.

Z bocznej kieszeni plecaka Mae wyjęła miniaturową kamerę, wielkości kciuka, na cienkim teleskopowym wysięgniku. Wyciągnęła też maleńki wyświetlacz ciekłokrystaliczny i wysunęła pręt z kamerą poza krawędź.

W zielonkawym wnętrzu krateru o gładkich, falistych ścianach nic się nie poruszało. Mae pokręciła kamerą na boki, ale wszędzie widzieliśmy tylko zielone ściany. Rosie zniknęła bez śladu.

Mae odwróciła się do mnie, wskazała oczyma. Zajrzemy?

Skinąłem głową.

Pomalutku przesunęliśmy na sam skraj krateru.

Tak Nie spodziewałem się tego.

Kopiec posłużył po prostu do zwężenia istniejącego wcześniej otworu w skale. Otwór znajdował się na prawo od nas, w dole, i pierwotnie miał średnicę ponad pięciu metrów. To z niego sączyła się zielonkawa poświata.

Mieliśmy przed sobą wejście do dużej jaskini. Z miejsca, w którym znajdowaliśmy się, nie mogliśmy zajrzeć do środka, ale dobiegające stamtąd buczenie kazało nam się domyślać, że roje nie śpią. Mae wsunęła kamerę w otwór. Jaskinia była pochodzenia naturalnego, miała ze dwa i pół metra wysokości i dobre trzy metry szerokości. Białe ściany wyglądały tak, jakby pokrywała je ta sama substancja, którą widziałem na ciele Rosie.

Zwłoki Rosie znajdowały się nieopodal wejścia: zza załomu skalnego wystawała jeszcze jej sztywna ręka. Z tego miejsca nie można było zajrzeć głębiej do jaskini.

Mae zapytała bez słów: schodzimy?

Skinąłem głową. Nie wiadomo, co czai się za zakrętem, ale naprawdę nie mieliśmy wyboru.

Mae machnęła rękaw kierunku Bobby'ego: bierzemy go?

Pokręciłem głową. Na nic by się nam nie przydał.

Mae zaczęła bezszelestnie wyślizgiwać się z uprząży plecaka, gdy nagle znieruchomiała.

Spojrzałem na ekran i zmartwiałem jak ona.

Zza załomu wyszedł człowiek. Stał u wejścia do jaskini i rozglądał się na wszystkie strony.

To był Ricky.

Sprawiał wrażenie, jakby coś go zaniepokoiło. Kamera zwisała nad krawędzią kopca, ale była tak maleńka, że mógł jej nie zauważyć.

W napięciu wpatrywałem się w ekran.

Kamera nie miała najwyższej rozdzielczości, ale nie miałem wątpliwości: to był Ricky. Nie wiedziałem tylko, skąd się tu wziął i co właściwie robi. Nagle zza załomu wychynął drugi człowiek.

Drugi Ricky.

Zerknąłem na Mae. Nawet nie drgnęła. Była jak posąg, tylko jej oczy się poruszały.

Te dwie postaci wydawały się identyczne pod każdym względem: były tak samo ubrane, tak samo się poruszały, tak samo gestykulowały. Nie widziałem dobrze ich twarzy, miałem jednak wrażenie, że jest w nich więcej szczegółów niż przedtem.

Chyba nie zauważyli kamery. Spojrzeli na niebo, na skalne osypisko, a potem wrócili do środka. Mae ani drgnęła.

Zza rogu wyszła następna postać. Tym razem był to David Brooks. Z początku szedł sztywno i niezdarne, ale jego ruchy szybko stały się bardziej płynne. Miałem wrażenie, że obserwuję efekt pracy lalkarza, który coraz lepiej opanowuje tajniki animacji. David zmienił się w Ricky'ego, potem znów w Davida. W końcu David cofnął się w głąb jaskini.

Mae odczekała jeszcze dwie minuty, zanim cofnęła kamerę znad otworu. Skinęła palcem za siebie, dając sygnał do odwrotu. Odczołgaliśmy się do tyłu, ześliznęliśmy po zboczu kopca i po cichu oddaliliśmy na bezpieczną odległość.

Zebraliśmy się sto metrów na zachód stamtąd, przy pojazdach. Mae wyjęła z plecaka notatnik i flamaster. Włączyła latarkę i zaczęła rysować.

— To jest wejście do tej jaskini. Za zakrętem teren opada sto metrów w dół, tworząc wielką komorę, wysoką na trzydzieści i szeroką na ponad sto metrów. Z tej ogromnej pieczary nie ma innych wyjść, w każdym razie ja żadnych nie widziałam.

— Jak to: nie widziałaś? — Byłam w niej.

— Kiedy?

— Dwa tygodnie temu, kiedy pierwszy raz szukaliśmy kryjówki roju. Znalazłam jaskinię za dnia i weszłam do środka. Nie znalazłam ani śladu roju.

— Dodała jeszcze, że w jaskini zalęgło się mnóstwo nietoperzy, które zwieszały się ze stropu tak gęsto, że tworzyły jednolitą, piszczącą masę.

— Fe! — skrzywił się Bobby. — Nie cierpię nietoperzy.

— Dziś nie widziałam ani jednego. — Uciekły?

— Raczej zostały zjedzone.

— Jezu Chryste, ja jestem zwykłym informatykiem. — Bobby pokręcił głową. — Nie dam rady. Nie wejdę tam.

— Jeżeli wejdziemy, musimy zaraz przy wejściu odpalić pierwszy ładunek — mówiła dalej Mae, nie zwracając na niego uwagi. — A potem odpalać kolejne, aż dotrzemy do końca jaskini. Nie wiem, czy wystarczy nam termitu.

— Może nie wystarczy — powiedziałem. Co innego mnie martwiło. — Jeżeli nie uda nam się zniszczyć wszystkich rojów, stracimy tylko czas, prawda? — Bobby i Mae zgodnie pokiwali głowami. — Liczyłem na to, że w nocy zabraknie im energii i dorwiemy je na ziemi. Ale one ciągle są w ruchu. Jeżeli choć jeden nam ucieknie, wyfrunie z jaskini... — Wzruszyłem ramionami. — To cała nasza wycieczka straci sens.

— To fakt — przytaknął Bobby.

— Musimy jakoś uwięzić je w jaskini — stwierdziła Mae.

— Nie damy rady!

— Może znajdzie się na to sposób. — Mae zaczęła grzebać w plecaku. — A na razie rozproszmy się.

— Po co? — zapytał niepewnie Bobby.

— Róbcie, co mówię. Szybko!

Dociągnąłem paski plecaka, żeby sprzączki nie dzwoniły, zsunąłem noktowizor na czoło i ruszyłem przed siebie. Pokonałem połowę odległości do kopca, kiedy na krawędzi dostrzegłem jakąś ciemną sylwetkę.

Przypadłem do ziemi najciszej jak umiałem. Ukryłem się w wysokiej na metr kępie bylicy. Obejrzałem się przez ramię, ale nigdzie nie dostrzegłem Bobby'ego ani Mae też musieli położyć się na ziemi. Nie wiedziałem nawet, czy już się rozdzielili. Ostrożnie rozchyliłem zielsko przed sobą i spojrzałem w stronę kopca.

Nogi postaci rysowały się wyraźnie w zielonej poświacie, tułowia nie widziałem dobrze na tle nieba. Spuściłem gogle na oczy, przeczekałem niebieski rozbłysk i patrzyłem, jak obraz się stabilizuje.

Tym razem miałem przed sobą Rosie. Chodziła po krawędzi kopca, rozglądała się, widać było, że stoi na straży — tylko że poruszała się jak mężczyzna. Zmieniła się w Ricky'ego...

Ricky przykucnął, jakby wypatrywał czegoś ponad trawami. Ciekaw byłem, co go wywabiło ze środka, ale nie musiałem się nad tym długo głowić.

Na zachodzie zapłonęło białe światło. Świeciło coraz intensywniej, a wkrótce usłyszałem warkot wirnika helikoptera. Pomyślałem, że to Julia leci do laboratorium. Skąd ten pośpiech? Dlaczego wbrew zaleceniom lekarzy wypisała się ze szpitala?

Śmigłowiec włączył szperacz. Ricky przez chwilę obserwował go, a potem zniknął w głębi kopca.

Helikopter przemknął nad moją głową, oślepiając mnie na krótką chwilę, skręcił ostro i zatoczył koło.

O co mu chodziło?

Wolno przeleciał nad kopcem, ale zawisł w powietrzu nad moją kępą bylicy. Zalało mnie białe światło. Przetoczyłem się na plecy i machnąłem rękaw stroną laboratorium, wskazując pilotowi kierunek.

Przez chwilę wydawało mi się, że śmigłowiec zaraz koło mnie wyląduje. Potem nagle skręcił i nisko nad ziemią pomknął prosto w stronę betonowego lądowiska. Łoskot wirnika ucichł w oddali.

Uznałem, że powinienem jak najszybciej zmienić kryjówkę. Podniosłem się i w kucki przeszedłem ze trzydzieści metrów. Potem znów rozplaszczylem się na ziemi.

Kiedy spojrzałem w stronę kopca, na jego krawędzi dostrzegłem już trzy... nie, cztery postaci. Zaczęły schodzić w różnych kierunkach. Wszystkie wyglądały jak Ricky. Weszły między krzewy. Serce waliło mi jak młotem, gdy jedna z nich skręciła w moją stronę. Po drodze zoczyła jednak nieco w prawo — prosto do miejsca, w którym ukrywałem się przed chwilą. Tam zatrzymała się i zaczęła rozglądać.

Była całkiem blisko. Widziałem w noktowizorze, że ma kompletną twarz Ricky'ego i znacznie bardziej szczegółowo odwzorowane ubranie. Poza tym poruszała się tak, jakby miała ciężar odpowiedni do swego wzrostu. Wyglądało na to, że rój ważył teraz dobre dwadzieścia pięć kilogramów. A może nawet pięćdziesiąt? Miał zatem dostateczną masę, żeby poturbować człowieka. Albo nawet go przewrócić.

Widziałem, że porusza i mruga oczami. Powierzchnia twarzy wyglądała jak prawdziwa skóra, dawało się odróżnić pojedyncze pasma włosów, wargi się poruszały, język oblizywał je nerwowo. Stwór do złudzenia przypominał Ricky'ego. Spojrzał w moją stronę i ruszył w tym kierunku.

Więc już po mnie. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Nie przewidziałem takiego obrotu sytuacji, nie miałem gdzie się ukryć, nie wiedziałem, jak się bronić. Mogłem próbować ucieczki, ale dokąd uciec? Dookoła ciągnęła się pustynia, na której roje szybko by mnie dogoniły. W kilka chwil byłoby...

Rozległ się ryk silnika. Wracał śmigłowiec. Sobowtór Ricky'ego zadarł głowę, odwrócił się i rzucił do ucieczki. Dosłownie leciał ponad piaskiem, nie starał się już poruszać nogami. Przeszły mnie ciarki na widok tej kopii człowieka, która szybowiała nad pustynią.

Pozostali trzej Ricky'owie też uciekali. Widać było, że są przerażeni. Czyżby roje bały się helikoptera? Na to wyglądało. A kiedy tak na nie patrzyłem, zrozumiałem, o co chodzi. Mogły urosnąć i przybrać na wadze, ale silny podmuch wiatru nadal był dla nich zabójczy. Śmigłowiec leciał na wysokości trzydziestu metrów, ale i tak tłoczone wirnikiem powietrze rozmazywało kontury postaci, rozplaszczało je jak gigantyczny młot.

W końcu wszystkie cztery stwory zniknęły w kopcu.

Obejrzałem się na Mae. Stała wyprostowana w korycie rzeki i przez radio rozmawiała z pilotem śmigłowca. Rzeczywiście, nadajnik się przydał.

— Idziemy! — krzyknęła do mnie i zaczęła biec w moją stronę.

Kątem oka widziałem, jak Bobby w panice ucieka do swojego ATV, ale teraz nie miałem czasu, żeby zawracać sobie nim głowę. Śmigłowiec zawisł nad kopcem, wzniesając tumany piasku, które aż kłuły w oczy.

Mae dobiegła do mnie. Ściągnęliśmy noktowizory i założyliśmy maski tlenowe. Otworzyła zawór mojej butli z tlenem, ja zrobiłem to samo z jej butlą. Potem znów założyliśmy gogle. Byłem obwieszony sprzętem jak choinka bombkami. Mae przypięła mi do paska halogenową latarkę, drugą wzięła dla siebie i krzyknęła: Uważaj

— Gotowy?!

— Gotowy!

— No to idziemy!

Nie było nad czym się zastanawiać. W ogłuszającym ryku śmigłowca i furkocie ubrań wdrapaliśmy się na kopiec. Krawędź ledwie majaczyła w otulającym wszystko piasku, dalej nie widzieliśmy absolutnie nic. Nie wiedzieliśmy, co czeka nas na dole.

Mae wzięła mnie za rękę i razem skoczyliśmy.

Dzień szósty, godzina 23.22

Wylądowałem na sypkim piargu, po którym niezdarnie zjechałem prawie pod samo wejście do jaskini. Łoskot wirnika nie ustawał. Mae zsunęła się tuż obok mnie, ale w tym cyklonie piaskowym ledwie ją widziałem. Mae wyjęła kapsułki z termitem, podała mi zwój magnezowego lontu i zapalniczkę. Nie widziałem jej twarzy skrytej pod maską ani zasłoniętych goglami oczu.

Wskazała wejście do jaskini. Pokiwałem głową.

Postukała mnie w ramię i wskazała na mój noktowizor. Nie wiedziałem, o co jej chodzi, więc wyciągnęła rękę i pstryknęła jakimś przełącznikiem przy moim policzku.

— ... Słyszysz mnie teraz?

— Słyszę.

— No to idziemy.

Weszliśmy do jaskini. Gęsty pył w powietrzu stłumił zieloną poświatę, pozostały więc nam tylko podczerwone latarki, zamontowane na górze noktowizorów. Nie było widać żadnych sylwetek. Warkot śmigłowca zagłuszał wszelkie inne dźwięki, ale im głębiej schodziliśmy, tym stawał się cichszy.

Podmuchy też słabły.

— Bobby? — odezwała się Mae napiętym głosem. — Słyszysz mnie?

— Słyszę.

— No to rusz się.

— Próbuję...

— Nic nie próbuj, tylko złaż tutaj.

Pokręciłem głową. Znałem Bobby'ego Lembecka i mogłem się założyć, że nie zejdzie do tej dziury. Minęliśmy zakręt, ale wciąż widzieliśmy tylko unoszące się w powietrzu tumany piasku i przezierające spod nich zarysy jaskini. Ściany były gładkie, pozbawione wnek nigdzie nie mogliśmy się schować. Nagle z kłębow pyłu wynurzył się Ricky. Miał twarz całkowicie pozbawioną wyrazu. Szedł prosto na nas. Z lewej strony dołączyła do niego druga taka sama postać, potem trzecia. Miarowym krokiem zbliżały się do nas: trzech identycznych Rickych z kamiennymi twarzami.

— Lekcja pierwsza — powiedziała Mae, podsuwając mi kapsułkę z termitem.

— Miejmy nadzieję, że jej nie opanują — mruknąłem.

Zapaliłem lont, który od razu sypnął iskrami. Mae rzuciła ładunek przed siebie. Spadł na ziemię metr przed napierającymi postaciami, które w ogóle nie zwróciły na niego uwagi.

— Liczę do trzech... — uprzedziła mnie Mae. — Raz, dwa, trzy... Od wróc się!

Odwróciłem się i zasłoniłem twarz ramieniem w tej samej chwili, gdy w tunelu wybuchła oślepiąco biała kula. Była tak jasna, że po otwarciu powiek przed oczami latały mi ciemne plamy.

Mae już szła naprzód. Unoszący się w powietrzu piasek przybrał wyraźnie ciemniejszy odcień. Trzy postaci zniknęły bez śladu.

— Uciekły?

— Nie. Wyparowały — odparła z satysfakcją Mae. — Nowe doświadczenie.

Nasz sukces podniósł mnie na duchu. Jeżeli założenia programu wciąż obowiązywały, roje powinny z pewnym opóźnieniem reagować na nowe sytuacje. Z czasem nauczą się pokonać zagrożenie, ale z początku ich reakcja będzie chaotyczna, niezborna. Na tym polega słabość inteligencji rozproszonej: była potężna, elastyczna, ale miała dużą bezwładność.

— Miejmy nadzieję — dodała Mae.

Stanęliśmy nad dziurą w ziemi, o której mówiła. W podczerwieni ujrzałem pochylnię, po której zbliżało się cztery lub pięć postaci. Za nimi majaczyły chyba trzy następne. Wyglądały jak Ricky, ale nie wszystkie były równie precyzyjnie uformowane. Te z tyłu wyglądały jak zwykłe chmury cząstek. Buczenie narastało.

Lekcja druga.

Mae podała mi kapsułkę, a kiedy zapalony lont zasyczał, sturlała ją w dół po ziemi. Postaci zawahały się.

— Cholera jasna — mruknąłem, ale w tej samej chwili musiałem się odwrócić i zasłonić oczy. Eksplozja zagrziała echem w zamkniętej przestrzeni, poczułem, jak w plecy uderza mi fala gorąca. A kiedy znów spojrzałem w dół, większość rojów zniknęła. Kilka jednak wciąż się unosiło.

Uczyły się.

I to szybko.

Czas na następną lekcję.

Tym razem zapaliłem dwa lonty. Jedną kapsułkę Mae stoczyła po ziemi, drugą rzuciła w głąb tunelu. Wybuchły równocześnie uderzył w nas potężny podmuch gorąca, koszula zaczęła się na mnie tlić. Mae ugasila ją kilkoma szybkimi uderzeniami otwartej dłoni.

Na początku mieliśmy dwadzieścia pięć kapsułek termitu, teraz zostało nam dwadzieścia jeden, a pokonaliśmy dopiero króciutki odcinek drogi. Mae przyspieszyła kroku i musiałem podbiec, żeby się z nią zrównać. Instynkt jej nie zawiódł: nieliczne roje, które próbowały stanąć nam na drodze, cofnęły się.

Zapędzaliśmy je wszystkie do głównej komory.

— Gdzie jesteś, Bobby? — spytała Mae. — Próbuję... dostać...

— Rusz się, do cholery!

Cały czas posuwaliśmy się w dół i wkrótce w słuchawkach słyszeliśmy już tylko jednostajny szum. Kurz wirował w powietrzu, rozpraszając światło podczerwonych lamp. Widzieliśmy ściany i ziemię tuż przed nami, ale dalej wszystko skrywał mrok. Przerazała mnie ta ciemność i świadomość, że jesteśmy tu odcięci od świata. Nie widziałem, co się dzieje po bokach, dopóki nie obróciłem głowy i nie skierowałem tam snopu podczerwieni. W nozdrzach znów poczułem ostry, mdlący odór zgnilizny.

Znaleźliśmy się na równym gruncie. Z pół tuzina rojów zawisło w powietrzu przed nami, ale Mae zachowała olimpijski spokój. Podała mi następną kapsułkę do podpalenia. Zanim jednak zapaliłem lont, roje się cofnęły. Mae natychmiast ruszyła za nimi.

— To jak poskramianie lwa — zauważyła.

— Przynajmniej na razie.

Nie wiedziałem, jak długo uda nam się zachować przewagę. Jaskinia była ogromna, znacznie większa, niż sądziłem mało prawdopodobne, żeby dwadzieścia jeden kapsułek mogło nam

wystarczyć. Ciekawe, czy Mae też o tym myśli. Nie wyglądała na zaniepokojoną.

Coś chrzęściło nam pod nogami. Spojrzałem w dół: ziemia była zasłana tysiącami drobnych, żółtawych kości. Mae miała rację: nietoperze zostały zjedzone.

W prawym górnym rogu mojej maski zapaliła się czerwona lampka. Domyśliłem się, że to jakieś ostrzeżenie, zapewne o słabnącej baterii.

— Mae... — odezwałem się, ale światelko zgasło równie nagle, jak się zapaliło.

— Słucham? Co się stało?

— Już nic.

Weszliśmy do głównej, największej komory, od dołu do góry wypełnionej ciemnymi kulami o średnicy nieco ponad pół metra, zaopatrzonymi w sterzące na wszystkie strony wypustki. Przypominały gigantyczne jeżowce.

— Czy to jest to, co myślę? — odezwała się Mae spokojnym głosem naukowca.

— Chyba tak. — Jeśli przecucia nas nie myliły, mieliśmy przed sobą organiczną wersję fabryki, którą Xymos zbudował na powierzchni ziemi. — W ten sposób się rozmnażają.

Podszedłem bliżej.

— Nie jestem pewna, czy powinniśmy tam wchodzić...

— Musimy, Mae.

— Myślisz, że istnieje jakieś centrum tego wszystkiego?

— Może...

Jeśli rzeczywiście istniał główny ośrodek, chciałem przypalić go termitem. Szedłem więc dalej.

Dziwnie się czułem, przechodząc między stertami jeżowców. Gęsty, śluzowaty płyn ściekał z ich kolców, a same kule pokrywał gęsty, rozedrgany żel, który sprawiał, że zdawały się poruszać jak żywe. Zatrzymałem się przy jednej z nich i obejrzałem ją z bliska.

Powierzchnia kul rzeczywiście żyła własnym życiem: w żelu wiło się mrowie czarnych robaków.

— O Boże...

— Te robaki były tu wcześniej. Żyły w zalegającej grunt warstwie guana, kiedy byłem tu pierwszy raz. Żywią się materią organiczną i wydalają związki bogate w fosfor.

— A teraz pomagają rojom rozmnażać się. Wystarczyło kilka dni i proszę: koewolucja jak się patrzy. Kule dostarczają im pewnie pokarmu i w jakiś sposób wykorzystują ich odchody.

— Albo wykorzystują same robaki — zauważyła Mae.

— Być może.

— Mrówki hodują mszyce tak samo, jak my krowy inne owady hodują w ogrodach grzyby, które potem zjadają.

Weszliśmy głębiej. Roje kłębiły się ze wszystkich stron, ale zachowywały bezpieczny dystans. Następne nieoczekiwane zdarzenie: intruzi w gnieździe. Nie wiedziały, co z tym fantem zrobić. Poruszałem się bardzo ostrożnie, bo grunt zrobił się śliski pokrywała go gęsta maź, która w wielu miejscach świeciła zielonkawo. Zielone smugi zdawały się biec do środka, w głąb jaskini. Miałem też wrażenie, że teren lekko się obniża.

— Daleko jeszcze? — spytała Mae.

Jej głos nie zdradzał napięcia, ale chyba nie była już taka spokojna jak na początku. Ja sam też coraz bardziej się denerwowałem. Nie widziałem już wyjścia z jaskini. Przesłoniły je zlepki koleczastych kul.

Nagle kule się skończyły. Mieliśmy przed sobą miniaturę zbudowanego na zewnątrz kopca. Był

idealnie okrągły, z odchodzącymi na boki płaskimi łopatkami. Znaczyły go zielone smugi. Z łopatek unosił się ja sny dym.

Podeszliśmy bliżej.

— Jest gorący — zauważyła Mae. — Jak myślisz, co jest w środku? Spojrzałem pod nogi.

Zielone smugi, które widzieliśmy wcześniej przy kulach, zbiegały się na kopczyk.

— Monterzy — odparłem.

—Jeżowce wytwarzały surową materię organiczną, która spływała do centrum, gdzie monterzy produkowali z niej docelowe molekuly. W kopcu odbywał się ostateczny montaż.

—Znaleźliśmy serce roju.

— Można tak powiedzieć — zgodziłem się z Mae.

— Roje otaczały nas ze wszystkich stron, ale trzymały się blisko kolczastych kul. Jakby nie chciały zbliżyć się do centrum i wołały na nas poczekać.

— Ile chcesz? — Mae sięgnęła do plecaka po termit. , Rozejrzałem się.

— Tutaj pięć. Musimy sobie coś zostawić, żeby wyjść.

— Nie damy rady zapalić pięciu naraz... Daj. — Wyciągnąłem rękę.

— Ale, Jack...

— Daj mi je, Mae.

Podana mi pięć kapsulek. Nie zapalając, rzuciłem je na kopczyk. Roje zafalowały, ale nie zbliżyły się ani na krok.

— Świetnie.

Widząc, co zamierzam, Mae wyjęła więcej termitu.

— Cztery — powiedziałem, obserwując roje. Pulsowały niespokojnie, nie wiedziałem, jak długo pozostaną nieruchome. — Trzy dla ciebie, jedna dla mnie. Załatw roje.

— Dobrze... — Zapaliłem trzy kapsułki i Mae rzuciła je w kierunku, z którego przyszliśmy. Roje odskoczyły.

— Raz... dwa... trzy...

Przykucnęliśmy, uchylając się przed ognistym podmuchem. Coś trzasnęło. Kiedy otworzyłem oczy, skupiska jeżowców zaczęły się rozpadać, kolce posypały się na ziemię. Bez chwili namysłu zapaliłem następną kapsułkę i rzuciłem nią w kopiec.

— Uciekamy!

Rzuciliśmy się biegiem do wyjścia. Kule rozlatywały się na naszych oczach. Mae przeskakiwała nad walającymi się po ziemi kolcami, pędziła jak na skrzydłach. Biegłem za nią, odliczając w myślach: raz... dwa... trzy...

Rozległ się piskliwy skrzek, potem dmuchnął w nas gorący gaz, usłyszałem ogłuszający huk i poczułem ból w uszach. Fala uderzeniowa powaliła mnie na ziemię przejechałem w mazi ładny kawałek, czując, jak kolce wbijają mi się w ciało. Zgubiłem gogle i otoczyła mnie ciemność. Całkowita czerń. Nic nie widziałem. Otarłem maż z twarzy, chciałem wstać, ale znów się przewróciłem.

— Mae! — zawołałem. — Mae... Gdzie jesteś, Mae? Nic nie widzę. Było ciemno choć oko wykol. Tkwię w jakiejś przekłetej jaskini, wokół pełno ostrych szpikulców, a ja nic nie widzę! Zdławiłem narastającą panikę.

— Tu jestem. — Mae złapała mnie za ramię i pomogła mi wstać. — Przy pasie masz latarkę.

Namacalem zatrzask, ale nie mogłem go otworzyć. Palce ślizgały mi się po nim. Usłyszałem

buczenie — z początku było ciche, lecz szybko stawało się coraz wyraźniejsze. Wreszcie udało mi się odpiąć latarkę od pasa. Z ulgą ją włączyłem. Najpierw zobaczyłem Mae, która — wciąż w goglach — odwróciła głowę. Omiotłem jaskinię promieniem światła. Po eksplozji wyglądała zupełnie inaczej: zlepki kul porozpadały się, kolce zaścielały ziemię, jakaś substancja zaczęła się palić, wydzielając gryzący dym. Pociemniało, dym zgęstniał... Cofnąłem się i nadepnałem na coś miękkiego.

Spojrzałem pod nogi i rozpoznałem koszulę Davida Brooksa. Zdałem sobie sprawę, że depczę po białawej galarecie w miejscu, w którym kiedyś znajdował się jego tułów. Upiornie biała twarz Davida upodobniła się do twarzy rojów. Zrobiło mi się niedobrze. — Chodź! — Mae złapała mnie za rękę. — Chodź, Jack! .. Mlasnęło, kiedy wyciągnąłem stopę z galarety. Chciałem wytrzeć but o ziemię, oczyścić go z tego białego ohydztwa. Przestałem racjonalnie myśleć, próbowałem już tylko opanować mdłości i narastającą panikę. Chciałem uciec. Mae coś do mnie mówiła, ale jej nie słuchałem. Ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, że roje znów nas otaczają i że jest ich coraz więcej. Zewsząd słyszałem ich buczenie.

— Jesteś mi potrzebny, Jack — powiedziała Mae, podając mi cztery kapsułki termitu.

Jakimś cudem, omal nie wypuszczając latarki, zdołałem je zapalić, a Mae rzuciła je w cztery strony świata. Zasłoniłem oczy ręką, kiedy wokół eksplodowały kule białego żaru. Gdy znów spojrzałem, rojów nie było. Zaraz jednak zaczęły się na nowo formować: jeden, trzy, sześć, dziesięć... Straciłem rachubę. Bucząc wściekle, zacieśniały krąg wokół nas.

— Ile nam zostało termitu? — zapytałem.

— Osiem kapsulek.

Wtedy zrozumiałem, że się nam nie uda. Byliśmy za głęboko, nie mieliśmy szans się wydostać. Nie miałem pojęcia, ile rojów nas otoczyło, ale w świetle latarki przywodziły na myśl prawdziwą armię.

— Jack... — Mae wyciągnęła rękę z trzema kapsułkami, które zapaliłem. Rzuciła je i cofnęła się w stronę wyjścia. Przesuwałem się razem z nią, ale widziałem, że nasza sytuacja jest beznadziejna. Każdy wybuch tylko na chwilę rozpraszał roje. Było ich stanowczo za dużo i błyskawicznie formowały się z powrotem.

— Jack.

Mae podawała mi następne kapsułki. Od wyjścia z komory dzieliło nas dosłownie kilka metrów. Oczy łzawiły mi od dymu, wąziutki promień światła z trudem przebijał się przez tumany kurzu, powietrze gęstniało od nanomechanizmów.

Nastąpiła ostatnia seria oślepiających eksplozji i znaleźliśmy się przy wejściu. Pochyły tunel prowadził ku powierzchni. Nie przypuszczałem, że dojdziemy tak daleko. Przestałem w ogóle myśleć, rejestrowałem tylko oderwane wrażenia.

— Ile zostało?

Mae nie odpowiedziała. Gdzieś w górze zawarczał silnik. Podniosłem wzrok i zobaczyłem białe, podskakujące światło w górnej jaskini. Grzmot silnika narastał, aż wreszcie zobaczyłem stojący u wylotu tunelu ATV.

— Uciekajcie! — wrzasnął Bobby.

Mae odwróciła się i pobiegła do góry. Ruszyłem za nią. Wydawało mi się, że Bobby podpalił coś, a potem Mae odepchnęła mnie pod ścianę, kiedy pozbawiony kierowcy ATV z rykiem stoczył się do dolnej komory. Ze zbiornika paliwa zwisała płonąca szmata. Bobby przyrzędził

zmotoryzowany koktajl Mołotowa.

— Gdy tylko ATV nas minął, Mae szturchnęła mnie w plecy.

— Biegiem!

Przebiegłem sprintem ostatnie kilka metrów. Bobby pomógł nam wydostać się na górę. Potknąłem się i zdarłem skórę z kolana, ale prawie nie poczułem bólu. Bobby szarpnięciem postawił mnie na nogi. Ruszyłem w stronę wyjścia z jaskini, kiedy ognisty podmuch uniósł mnie w powietrze i cisnął o ścianę. W uszach mi dzwoniło, latarka gdzieś zginęła.

Obejrzałem się na Bobby'ego i Mae, którzy powoli wstawali z ziemi. Helikopter wciąż wisiał nad naszymi głowami, kiedy wdrapaliśmy się na kopiec i stoczyliśmy po jego zewnętrznym stoku w mrok pustynnej nocy.

Zobaczyłem jeszcze, jak Mae macha do pilota śmigłowca, żeby uciekał, uciekał, uciekał...

Potem jaskinia eksplodowała.

Ziemia zadrżała mi pod nogami. Upadłem, czując przeraźliwy ból w uszach, wywołany falą uderzeniową. Usłyszałem głębokie dudnienie i u wylotu jaskini wyrosła wściekła kula ognia, pomarańczowa, obramowana czarną koronką. Przetoczyła się po mnie fala gorąca, a potem zrobiło się chłodno, cicho, a cały świat pogrążył się w mroku.

Nie wiem, jak długo leżałem tak pod gwiazdami. Musiałem stracić przytomność. Ocknąłem się, kiedy Bobby próbował mnie wepchnąć na tylny fotel w kabinie śmigłowca. Mae siedziała już w środku, teraz pomogła mi zapiąć pasy. Oboje mieli zatroskane twarze. Zastanawiałem się, czy nie jestem ranny ale nie czułem bólu. Drzwi się zatrzasnęły i Bobby usiadł obok pilota.

— Udało nam się.

W głowie mi się nie mieściło, że to już koniec.

Helikopter wzniósł się w powietrze. W oddali ujrzałem światła zakładu.

ZWIERZYNA

Dzień siódmy, godzina 0.12

— Jack! — Julia wybiegła mi na spotkanie. We wpadającym z góry świetle wyglądała ślicznie. Była jeszcze piękniejsza niż ta, jaką zapamiętałem. Miała obandażowaną kostkę i nadgarstek w gipsie. Zarzuciła mi ręce na szyję. Jej włosy pachniały lawendą. — Och, Jack, Jack... Bogu dzięki, nic ci się nie stało!

— Nie, nic mi nie jest — zachrypiałem.

— Tak się cieszę... Tak się strasznie cieszę.

Czułem, jak mnie przytula odpowiedziałem uściskiem na jej uścisk. Czyż mógłbym inaczej zareagować? Była taka podekscytowana, a ja czułem się kompletnie pozbawiony sił.

— Na pewno dobrze się czujesz? — upewniła się, nie wypuszczając mnie w objęć.

— Na pewno — odparłem nieco głośniejszym szeptem.

— Co z twoim głosem? — Julia odsunęła mnie na wyciągnięcie ręki i spojrzała na mnie badawczo. — Co się stało?

— Pewnie ma poparzone struny głosowe — odparła Mae równie chrapliwie jak ja. Twarz miała czarną od sadzy, skórę rozciętą na policzku i na czole.

Julia znów mnie przytuliła. Namacała moją przypaloną koszulę.

— Jesteś ranny, kochanie...

— To tylko koszula...

— Na pewno nic ci nie jest? Bo mnie się wydaje, że coś ci się stało...

— Nie, mam się całkiem nieźle. — Odsunąłem się od niej niezdarnie.

Nie wiem, jak ci dziękować za to, co dziś zrobiłeś, Jack. Jak wam wszystkim dziękować. — Julia odwróciła się do pozostałych. — Tobie, Bobby'emu i Mae. Przykro mi, że nie mogłam wam pomóc. Wiem, że to wszystko moja wina. Jesteśmy wam wdzięczni. Firma jest wam wdzięczna.

— Firma?

— Zrobiliśmy tylko to, co do nas należało — odparłem.

— Oczywiście, oczywiście. Zareagowaliście szybko i zdecydowanie. Dzięki Bogu, Jack.

Ricky stał z tyłu i kiwał głową. Przypominał mechaniczne ptaki, co same piją wodę ze szklanki. Tak samo ruszają łebkami, w górę i w dół. Miałem wrażenie, że gram w jakimś przedstawieniu, takie mi się to wszystko wydawało nierzeczywiste.

— Powinniśmy to uczcić — stwierdziła Julia, gdy szliśmy korytarzem. — Na pewno mamy tu jakiegoś szampana. Mamy, Ricky? Tak? Chcę z wami wypić za to, co zrobiliście.

— Ja chcę spać — powiedziałem.

— Daj spokój, napijesz się kieliszek.

Cała Julia. Zatopiona w swoim własnym świetle, niewrażliwa na uczucia innych. Picie szampana było w tej chwili ostatnią rzeczą, na jaką mieliśmy ochotę.

— Ja też dziękuję. — Mae pokręciła głową.

— Na pewno? Byłoby fajnie. A ty, Bobby? — Może rano.

— Jak chcecie, przecież to wy jesteście bohaterami. Napijemy się jutro.

Gestykulowała więcej niż zwykle, gadała jak nakręcona. Przypomniałem sobie, co Ellen mówiła o narkotykach. Julia rzeczywiście wyglądała tak, jakby coś brała.

— Opowiedziałam o wszystkim Larry’emu Handlerowi, prezesowi firmy — ciągnęła. — On też wam dziękuje.

— To miło z jego strony — odparłem. — Poinformuje wojsko?

— Wojsko? O czym?

— O nieudanym eksperymencie.

— To już załatwione. Sami to załatwiliście.

— Nie jestem pewien, jakiś rój mógł uciec. Mogą mieć zresztą drugie gniazdo. Na wszelki wypadek powinniście wezwać wojsko.

— Nie sądziłem, żebyśmy coś przeoczyli, ale chciałem, żeby w fabryce znaleźli się jacyś ludzie z zewnątrz. Byłem zmęczony, marzyłem o tym, żeby ktoś mnie zastąpił.

— Wojsko? — Julia zerknęła na Ricky’ego. — Masz całkowitą rację, Jack — powiedziała stanowczo. — Sytuacja jest niezwykle poważna. Jeżeli istnieje choćby najmniejsze ryzyko, że nie zniszczycie wszystkich rojów, trzeba zawiadomić wojsko.

— I to zaraz.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. Natychmiast. Już do nich dzwonię.

Spojrzałem na Ricky’ego: szedł obok nas, kiwając mechanicznie głową. Dziwne, przecież jeszcze niedawno tak się bał, żeby ktoś nie dowiedział się o eksperymencie. I co, nagle przestało go to obchodzić?

— Kładźcie się spać, a ja zadzwonię do Pentagonu — powiedziała Julia.

— Pójdę z tobą zaproponowałem.

— Nie trzeba.

— jednak pójdę.

— Spojrzała na mnie z uśmiechem.

— Nie ufasz mi?

— Nie o to chodzi. Mogą zadawać pytania, na które tylko ja znam odpowiedź.

— W porządku, to nawet dobry pomysł. Znakomity.

Czułem przez skórę, że coś tu śmierdzi znów miałem wrażenie, że wszyscy wokół mnie grają rolę w jakiejś sztuce, której nie znam. Spojrzałem na Mae. Nachmurzyła się też musiała coś wyczuć.

Przeszliśmy przez służbę i znaleźliśmy się w module mieszkalnym. Powietrze zrobiło się nieprzyjemnie chłodne, aż zatrzęsło mnie z zimna. Weszliśmy do kuchni. Julia podniosła słuchawkę telefonu.

— Chodź, Jack, zadzwonimy.

Wyjąłem z lodówki piwo imbirowe, Mae wzięła sobie herbatę mrożoną, a Bobby piwo. Wszystkim nam chciało się pić. Zauważyłem w lodówce butelkę szampana. Dotknąłem jej — była zimna. Podobnie jak sześć stojących obok niej kieliszków. Julia wszystko zaplanowała.

Podniosła słuchawkę. Usłyszeliśmy sygnał. Wybrała numer, ale nie udało jej się uzyskać połączenia.

— Spróbuję jeszcze raz.

— Wybrała numer powtórnie, ale znów na próżno.

— Ciekawe... Ricky, nie mam wyjścia na zewnątrz.

— Do trzech razy sztuka — pocieszył ją Ricky.

— Patrzyłem na nich, sącząc piwo imbirowe. Nie miałem wątpliwości, że odstawiają szopkę, przygotowaną specjalnie na nasz użytek. Julia posłusznie zadzwoniła po raz trzeci. Ciekaw byłem, jaki numer wybiera. Czyżby знаła na pamięć telefon do Pentagonu?

— Jest głuchy – powiedziała. Ricky obejrzał aparat.

— Wygląda w porządku... — powiedział z udawanym zdziwieniem. Nie wytrzymałem.

— Wygląda na to, że coś się stało i nie mamy łączności ze światem.

— Wcale nie — zaprotestował Ricky.

— Przed chwilą dzwoniłam — poparła go Julia. — Tuż przed waszym powrotem.

— Sprawdzę linię — zaofiarował się Ricky. Spojrzałem na niego złowieszczo.

— Sprawdź, sprawdź.

— Martwię się o ciebie, Jack — odezwała się Julia.

— Aha. Jesteś zły.

— Nie lubię, jak się mnie robi w konia.

Spojrzała mi w oczy.

— Daję ci słowo, że nikt nie robi cię w konia.

Mae wstała od stołu i powiedziała, że idzie wziąć prysznic. Bobby poszedł do świetlicy pograć w jakąś grę komputerową. Zawsze tak się relaksował wkrótce usłyszeliśmy terkot karabinu maszynowego i przedśmiertne wrzaski bandziorów. Zostaliśmy z Julią sami w kuchni.

Pochyliła się nad stołem.

— Jestem ci chyba winna wyjaśnienie — powiedziała cichym, natarczywym głosem.

— Wcale nie.

— Mam na myśli moje zachowanie. Decyzje, które podjęłam w ostatnich dniach.

— To bez znaczenia. — Nie dla mnie.

— Innym razem, Julio.

Muszę ci to teraz powiedzieć. Widzisz, ja tylko chciałam ratować firmę, Jack. Kamera nawaliła, nie umieliśmy jej naprawić, straciliśmy kontrakt, wszystko się posypało. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się, żeby firma, z którą byłam związana, upadła. Zainwestowałam w Xymos, miałam udział w akcjach, a poza tym chyba poniosła mnie ambicja. Chciałam ocalić Xymos. Wiem, że zachowałam się nierozsądnie. To wyłącznie moja wina. Inni chcieli mnie powstrzymać, ale ja przeforsowałam swój pomysł. — Wzruszyła ramionami. — I tak wszystko poszło na marne. Firma lada dzień padnie. Przegrałam. — Nachyliła się do mnie. — Ale ciebie nie chcę stracić. Nie chcę stracić rodziny i tego, co jest między nami.

Zniżyła głos jeszcze bardziej. Położyła rękę na mojej dłoni. — Chcę ci to wynagrodzić, Jack. Chcę, żeby wszystko było jak dawniej. Mam nadzieję, że tobie też na tym zależy.

— Sam już nie wiem.

— Jesteś zmęczony.

Byłem wściekły, że Julia tak mnie dręczy. Przecież omal nie zginąłem z jej winy.

— Jack, spróbujmy być tacy jak dawniej. — Pochyliła się nad stołem, żeby pocałować mnie w usta. Odwróciłem głowę. Spojrzała na mnie błagalnie. — Proszę cię, Jack.

— To nie czas ani miejsce, żeby o tym rozmawiać.

Zamilkła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

— Dzieci za tobą tęsknią — wykrztusiła w końcu. — Nie wątpię. Ja za nimi też.

Rozplakała się.

— Za mną nie tęsknią... Nic ich nie obchodzi, mają w nosie własną matkę...

Znów złapała mnie za rękę. Nie cofnąłem jej. Czulem się niezręcznie. Chciałem, żeby przestała płakać.

— Julio...

Pstryknął interkom i rozległ się wzmocniony głos Ricky'ego:

— Jesteście tam? Z tym telefonem to poważna sprawa. Sami zobaczcie.

Centrum łączności było małą kłitką, wydzieloną z warsztatu. Miało masywne, hermetyczne drzwi z małym okienkiem z hartowanego szkła. Widać było przez nie szafy ze sprzętem, dzięki któremu laboratorium miało łączność ze światem. Zobaczyłem, że większość kabli zostało wyrwanych z gniazd. W kącie kłitki leżał Charley Davenport. Wyglądał jak martwy miał sinoszarą skórę, wytrzeszczone oczy i otwarte usta. Nad jego głową krążył czarny rój.

— Nie rozumiem, jak to się mogło stać — powiedział Ricky. — Kiedy do niego zaglądałem, spał jak kamień...

— Kiedy to było?

— Pół godziny temu. — A ten rój? Jak się tu dostał?,

— Nie mam pojęcia. Charley musiał go przywlec z zewnątrz,

— Jak? Przecież przeszedł przez wszystkie śluzy. — Wiem, ale...

— Ale co, Ricky? Wytłumacz mi to.

— Może... Nie wiem, może miał go w gardle...

— W gardle? Rój schował mu się między migdałkami? Dobrze wiesz, że to draństwo zabija człowieka.

— No wiem, wiem. — Ricky wzruszył ramionami. — Nic już nie rozumiem.

Patrzyłem na niego, próbując coś wyczytać z jego twarzy. Właśnie odkrył, że śmiertelnie niebezpieczny rój przedostał się do jego laboratorium, ale wcale nie wyglądał na zaniepokojonego.

Do warsztatu wpadła Mae. Jednym rzutem oka oceniła sytuację.

— Czy ktoś sprawdził zapis kamer?

— Wszystko jest tam — odparł Ricky, wskazując na centrum łączności — w środku. Ale i tak teraz nie działa.

— Nie wiecie, jak tam wszedł?

— Nie, ale wiemy, że chciał nam odciąć telefony. Tak to w każdym razie wygląda.

— Po co Charley miałby się tam pchać? Pokręciłem głową. Nie miałem zielonego pojęcia.

— Pomieszczenie jest hermetyczne — wtrąciła Julia. — Może wiedział, że jest zainfekowany, i chciał się odizolować. Zamknął drzwi od środka.

— Tak? — zdziwiłem się. — Skąd wiesz?

— No... domyślam się... — Zajrzała przez okienko. — Zamek odbija się w tych chromowanych okuciach, widzisz?

Nie chciało mi się sprawdzać, ale Mae zerknęła do środka.

— Faktycznie, Julio, masz rację. Jesteś bardzo spostrzegawcza. Ja nie zwróciłabym na to uwagi.

Jej głos brzmiał sztucznie, ale Julii najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Zatem wszyscy już brali udział w przedstawieniu wszyscy grali według scenariusza. Tylko ja jeden nie rozumiałem dlaczego. Kiedy jednak patrzyłem, jak Mae rozmawia z Julią, zauważyłem, że

obchodzi się z nią jak z jajkiem. Jakby się jej bała.

To było dziwne.

Trochę niepokojące.

— Można jakoś otworzyć te drzwi? — zapytałem.

— Chyba tak — odparł Ricky. — Vince powinien mieć klucz uniwersalny. Ale nie można otworzyć drzwi z tym rojem w środku.

— Czyli jesteśmy odcięci od świata?

— Przynajmniej do jutra. Rano jak zwykle przyleci śmigłowiec. — Ricky zajrzał przez okienko.

— Rany, zniszczył wszystkie łącznice.

— Jak ci się wydaje, po co to zrobił? Ricky pokręcił głową.

— Sam wiesz, że był trochę taki... Musiała mu brakować piątej klepki.

— Nigdy bym tego o nim nie powiedział. — To tylko moja opinia.

Stałem przy nim i zajrzałem do środka. Rój unosił się nad głową Charley'a, którego ciało pokrywał biały nalot.

— Gdyby wpompować tam ciekły azot? — zaproponowałem. — Zamrozimy rój.

— W ten sposób moglibyśmy uszkodzić sprzęt — odparł Ricky.

— No to podkręć klimatyzację, niech wysie to świństwo.

— Klimatyzacja jest nastawiona na maksa.

— To może by je potraktować gaśnicą?

— Mamy tylko halonowe gaśnice. Nic im nie zrobią.

— Czyli nie możemy się tam dostać.

— Na to wychodzi.

— A komórki?

Ricky pokręcił głową.

— Sygnał przechodzi do anteny przez ten pokój. Wszystko, co mamy — komórki, Internet, szybka transmisja danych — idzie przez ten pokój.

— Charley wiedział, że drzwi są hermetyczne — wtrąciła Julia. — Na pewno zamknął się tam, żeby nas ocalić. To piękny, heroiczny akt.

Rozwijała swoją teorię o bohaterstwie Charley'a, ubarwiała ją, dodawała nowe szczegóły. Trochę mnie to rozpraszało, wciąż nie wiadomo było, jak sforsować drzwi i pozbyć się roju.

— Nie ma tam drugiego okna? — zapytałem. — Nie.

— Tylko to w drzwiach?

— Tak.

— No dobrze. Zaciemnijmy je i zgaśmy światło w środku. Za parę godzin rojowi zabraknie energii.

— Sam nie wiem.. — mruknął z powątpiewaniem Ricky.

— To doskonały pomysł — wtrąciła się Julia. — Na pewno warto spróbować.

— Dobrze. — Ricky natychmiast się jej podporządkował. — Jednak potem musimy odczekać sześć godzin.

— Poprzednio mówiłeś o trzech — zauważyłem.

— Zgadza się, ale lepiej zachować ostrożność. Jeżeli wypuścimy ten rój, będzie po nas.

Stałem na tym, że zakryliśmy okienko czarnym materiałem, a na wierzch przykleiliśmy kawałek czarnego kartonu. Pogasiliśmy światła, zakleiliśmy wyłącznik w pozycji „wyłączone”. Kiedy

skończyliśmy, byłem wykończony. Spojrzałem na zegarek: pierwsza w nocy.

— Muszę się przespać — oznajmiłem.

— Sen przyda się nam wszystkim — zawtórowała mi Julia. — Wrócimy tu rano.

Poszliśmy do modułu mieszkalnego.

— Jak się czujesz? — zapytała Mae.

— Dobrze, tylko plecy mnie trochę bolą.

— Chyba powinnam je obejrzeć.

— Po co?

— Na wszelki wypadek. Zanim się położysz..

— Jack, najdroższy! — zawołała Julia. — Mój ty biedaku!

— Co się stało? Zdjąłem koszulę i siedziałem na stole w kuchni, a Julia i Mae z troską oglądały moje plecy.

— Co się stało? — powtórzyłem.

— Masz kilka bąbli — odparła Mae.

— Kilka bąbli! Całe plecy ma poparzone.

— Chyba znajdą się tu jakieś opatrunki — powiedziała Mae i z szafki pod zlewem wyjęła apteczkę.

— Mam nadzieję. — Julia uśmiechnęła się do mnie. — Nawet nie wiesz, jak mi przykro, że musiałeś się tak nacierpieć.

— Może zabołec — uprzedziła mnie Mae.

Wiedziałem, że chce ze mną porozmawiać w cztery oczy, ale na razie nie było okazji. Julia nie odstępowała nas ani na krok. Zawsze była zazdrosna o Mae, od samego początku. Teraz też próbowała z nią konkurować o moje względy.

Opatrunek z początku był przyjemnie chłodny, ale po chwili oparzenia zaczęły piec paskudnie. Skrzywiłem się z bólu.

— Przydałyby się jakieś środki przeciwbólowe — powiedziała Mae. — Masz rozległe poparzenia drugiego stopnia.

Julia grzebała gorączkowo w apteczce, rozrzucając jej zawartość na wszystkie strony Fiolki i pudełka poleciały na podłogę.

— Morfina. — Triumfalnym gestem pokazała mi buteleczkę. Uśmiechnęła się promiennie. — Na pewno ci pomoże.

— Nie chcę morfiny — odparłem.

Jej podniecenie działało mi na nerwy. Poza tym chciałem zostać sam z Mae.

— Oprócz tego jest tylko aspiryna.

— Wezmę aspirynę.

— Obawiam się, że to za słabe...

— Wezmę aspirynę — powtórzyłem z naciskiem.

— Nie musisz na mnie krzyczeć.

— Przepraszam, kiepsko się czuję. Julia cofnęła się od stołu.

— Jeśli chcecie zostać sami, wystarczy powiedzieć.

— Nie, nie chcemy zostać sami

— Julia znów zainteresowała się apteczką.

— Może znajdzie się coś jeszcze... — Tym razem na podłodze wylądowały plastry i buteleczki z

antybiotykami.

— Przestań, Julio. Proszę cię.

— A co ja takiego robię? Co ja takiego straszniego robię?!

— Po prostu przestań.

— Chciałam tylko pomóc.

— Wiem.

— No dobrze, skończyłam — oznajmiła Mae. Ziewnęła szeroko. — Do jutra powinno wystarczyć. A teraz wybaczenie, ale idę spać.

— Podziękowałam jej i odprowadziłam ją wzrokiem. Kiedy się odwróciłam, Julia podała mi szklanekę wody i dwie aspiryny.

— Dziękuję.

— Nigdy jej nie lubiłam.

— Chodźmy spać. — Tu są tylko pojedyncze łóżka

— Wiem. — Przysunęła się do mnie.

— Chciałabym być z tobą, Jack.

— Jestem naprawdę zmęczony. Zobaczymy się rano, Julio.

Poszedłem do swojego pokoju i spojrzałem na łóżko. Nie chciało mi się rozbierać. Nie pamiętam, kiedy przyłożyłem głowę do poduszki.

Dzień siódmy, godzina 4.42

Źle spałem, cały czas dręczyły mnie koszmary. Śniło mi się, że znów jestem w Monterrey i żenię się z Julią. Stałem przed księdzem i czekałem, aż dołączy do mnie Julia w ślubnej sukni. Uniosła welon. Zdziwiłem się, że jest taka piękna, młoda i zgrabna. Uśmiechnęła się do mnie, a ja odpowiedziałem jej uśmiechem. Nagle stwierdziłem, że twarz ma wychudzoną, wynędzniałą: skóra i kości.

Odwróciłem się do księdza, ale zamiast niego zobaczyłem Mae, która przelewała jakieś kolorowe płyny w probówkach. Spojrzałem na Julię. Była wściekła i przypomniła mi, że nigdy nie lubiła tej kobiety. To wszystko moja wina. Wyłącznie moja.

Obudziłem się zlany potem. Poduszkę miałem mokrą, więc obróciłem ją na drugą stronę i znów zasnąłem. Widziałem siebie śpiącego na łóżku. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że drzwi do pokoju są otwarte. Z korytarza wpadało do środka trochę światła. Na łóżko padł jakiś cień: to Ricky wszedł do pokoju i patrzył na mnie. Twarz miał ukrytą w cieniu, nie widziałem więc jej wyrazu, kiedy powiedział:

— Zawsze cię kochałem, Jack.

Pochylił się, jakby chciał mi coś szepnąć do ucha, ale kiedy to zrobił, zorientowałem się, że zamierza mnie pocałować — namiętnie, w usta. Oblizał rozchylone wargi. Nie wiedziałem, jak się zachować, ale nagle do pokoju weszła Julia.

— Co tu się dzieje? — zapytała.

Ricky pospiesznie odsunął się ode mnie, odpowiadając coś wymijająco.

— Nie teraz, durniu — powiedziała rozzłoszczona Julia. — To całkiem zbędne. Sam o to zadba.

— Pamiętaj o współczynnikach zwężenia przy globalnej optymalizacji interwałowej algorytmów deterministycznych — powiedział Ricky.

— Nie robi ci krzywdy, jeśli nie będziesz się opierać — dodała Julia. Zgasiła światło i wyszła.

Znów znalazłem się w kościele w Monterrey. Odziana w biel Julia stała obok mnie, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem siedzącą w pierwszym rzędzie trójkę naszych dzieci. Uśmiechały się wesoło. Kiedy tak na nie patrzyłem, wokół ust wykwitła im czarna obwódka. Czerń szybko spłynęła w dół, pokrywając całkowicie ich ciała. Dzieci dalej się uśmiechały, aleja byłem przerażony. Podbiegłem do nich, próbowałem zderzyć z nich czarne płaszcze, ale bez skutku.

— Pamiętaj o spryskiwaczach, tato — powiedziała Nicole.

Obudziłem się zaplątany w pościel, spocony jak mysz. Przez otwarte drzwi padało na łóżko światło z korytarza. Spojrzałem na monitor włączonego komputera: za pięć piąta. Zamknąłem oczy, ale przez długą chwilę nie mogłem zasnąć. Postanowiłem wziąć prysznic.

Tuż przed piątą wstałem z łóżka.

Na korytarzu było cicho, kiedy szedłem do łazienki. Zdziwiłem się, że wszystkie sypialnie są pootwierane wszędzie też paliły się światła. Zobaczyłem śpiącego Ricky'ego, Bobby'ego, Julię i Vince'a. Łóżko Mae było puste, podobnie, rzecz jasna, jak łóżko Charley'a.

Zaszedłem do kuchni po piwo imbirowe. Okropnie chciało mi się pić, obolałe gardło wyschło na pieprz. Obejrzałem dokładnie butelkę z szampanem nagle nabrałem głupich podejrzeń, że ktoś mógł przy niej majstrować. Wyjąłem ją, obejrzałem z bliska korek i pokrywającą go metalową folię. Wyglądały zupełnie normalnie: żadnych rys, śladów po igle, nic.

Odstawiłem butelkę na miejsce i zamknąłem lodówkę.

Zaczynałem się zastanawiać, czy nie jestem wobec Julii niesprawiedliwy. Może naprawdę zrozumiała swój błąd i starała się go naprawić? Może rzeczywiście byłem dla niej zbyt szorstki, zbyt okrutny?

Bo jak się tak głębiej zastanowić, to co właściwie złego zrobiła? Co było w tym podejrzanego? Ucieszyła się na mój widok, nawet jeśli okazywała nadmierny entuzjazm. Wzięła na siebie odpowiedzialność za eksperyment, przeprosiła nas wszystkich. Była gotowa od razu wezwać wojsko. Przystała na mój plan zgładzenia roju w centrum łączności. Na każdym kroku okazywała mi swoje poparcie.

Mimo to coś mi się w niej nie podobało.

Osobną sprawą był Charley i jego rój. Pomysł Ricky'ego, że Charley przemycił rój do laboratorium — w ustach czy pod pachą — nie trzymał się kupy. Taki rój zabija człowieka w niespełna minutę. Pozostawało więc pytanie, jak znalazł się w centrum łączności? Przedostał się z zewnątrz? To dlaczego wcześniej nie zaatakował Ricky'ego, Julii ani Vince'a?

Zapomniałem o prysznicu.

Postanowiłem pójść do warsztatu i obejrzeć pomieszczenie, w którym znaleźliśmy Charley'a. Może coś przeoczyłem... Julia gadała jak nakręcona, nie pozwalała mi się skupić, zupełnie jakby nie chciała, żebym coś zauważył.

No proszę, znów się czepiałem Julii.

Przeszedłem przez służbę, korytarz, drugą służbę. Byłem zmęczony i gwałtowne podmuchy powietrza irytowały mnie bardziej niż zwykle. Znalazłszy się w warsztacie, od razu podszedłem do drzwi klitki z aparaturą łączności. Nie ciekawego nie zauważyłem.

— Usłyszałem za to stukot klawiatury. Zajrzałem do laboratorium biologicznego i zobaczyłem Mae siedzącą przy komputerze.

— Co robisz?

— Przeglądam zapis kamer.

— Myślałem, że nie da się tego zrobić, bo Charley powyrywał kable.

— Tak mówił Ricky, ale to nieprawda.

Chciałem obejść stół i spojrzeć jej przez ramię, ale powstrzymała mnie gestem.

— Może ci się to nie spodobać, Jack — uprzedziła.

— Jak to? Dlaczego?

— To trochę... Nie wiem, czy jesteś na to przygotowany. Lepiej za czekaj z tym do jutra.

— Naturalnie po tych słowach natychmiast popędziłem do monitora — i stanąłem jak wryty. Ekran przedstawiał pusty korytarz. U dołu widniał zegar.

— To wszystko?

— Nie. — Mae odwróciła się do mnie. — System zapisuje obraz automatycznie ze wszystkich kamer, przełączając je po kolei. Każda rejestruje tylko dziesięć klatek na minutę...

— Pokaż mi to, o czym mówiłaś.

— Muszę trochę cofnąć...

Podobnie jak wiele nowoczesnych systemów kontrolnych, system używany w Xymosie opierał się na technologii przeglądarek internetowych i pozwalał cofać się po własnych śladach.

Kadry przeskakiwały wstecz, zanim Mae znalazła interesujący ją moment. Od tego miejsca włączyła normalne odtwarzanie. Obrazy z kolejnych kamer zmieniały się rytmicznie. Korytarz. Główny budynek zakładu. Główny budynek, widziany pod innym kątem. Śluza. Następny korytarz. Warsztat. Korytarz. Kuchnia. Salon. Widok na zewnątrz z kamery na poziomie ziemi. Następny korytarz.

— Długo się tak bawisz? — Z godzinę.

— O Jezu...

— Korytarz. Ricky w korytarzu. Stacja zasilania. Widok na zewnątrz. Julia w świetle reflektora. Korytarz. Julia i Ricky przytuleni, korytarz, a potem...

— Zatrzymaj — poprosiłem.

— Mae wcisnęła guzik i spojrzała na mnie bez słowa. Pstrykając innym klawiszem, powoli przesuwała obraz do przodu. Zatrzymała się przy kamerze, która pokazywała Ricky'ego i Julię.

— Dziesięć klatek.

— Postaci rozmazywały się w ruchu: Ricky i Julia zbliżyli się do siebie, objęli się. A potem zaczęli się namiętnie całować.

— Cholera jasna! — Odwróciłem się tyłem do monitora. — Cholera, cholera, cholera!

— Przykro mi, Jack. Nie wiem, co powiedzieć.

— Zakręciło mi się w głowie, jakbym zaraz miał upaść. Przysiadłem na skraju stołu. Nie chciałem patrzeć na ekran. Nie mogłem. Westchnąłem ciężko. Mae coś mówiła, ale jej nie słyszałem. Odetchnąłem jeszcze raz, przeczesałem palcami włosy.

— Wiedziałaś?

— Nie. Dowiedziałam się dopiero przed chwilą.

— Inni wiedzą?

— Nie. Czasem sobie żartowaliśmy, że coś między nimi jest, ale nikt w to nie wierzył.

— Jezus Maria... — Jeszcze raz odgarnąłem włosy. — Bądź ze mną szczera, Mae. Muszę znać prawdę. Wiedziałaś czy nie?

— Nie, Jack, nie wiedziałam.

Próbowałem zapanować nad sobą.

— Od jakiegoś czasu podejrzewałem, że Julia ma romans. Byłem prawie pewien. Nie wiedziałem tylko z kim... To znaczy... Wiesz, niby się tego spodziewałem, a jednak to szok.

— Na pewno.

Nie domyśliłbym się, że to Ricky. Z niego jest taki... wazeliniarz. Chyba spodziewałem się, że Julia wybierze kogoś lepszego.

Przypomniałem sobie rozmowę z Ellen po kolacji. Po tym, jak zobaczyłem tego gościa w samochodzie.

— O Boże... — Pokręciłem głową. Byłem wstrząśnięty, wściekły. I było mi wstyd.

Mae siedziała nieruchomo. Nic nie mówiła, czekała, aż się otrząsnę.

— Chcesz oglądać dalej? — zapytała w końcu.

— Jest jakieś „dalej?”

— Tak.

— Nie wiem, czy... Nie, wolałbym nie.

— Może powinieneś.

— Nie.

— Może lepiej się poczujesz.

— Wątpię, żebym mógł to znieść.

— To może być coś innego, niż myślisz, Jack. Możesz się mylić.

— Przepraszam cię, Mae, ale mam dość udawania. Wiem, co widziałem

— Myślałem, że zawsze będziemy razem, że łączy nas rodzina, dom, wspólne życie. Cóż, sprawy nigdy nie układają się tak, jak tego oczekujemy.

Mae zaczęła stukać w klawisze.

— Co robisz?

— Szukam Charley'a. Zobaczę, co się z nim działo przez ostatnie kilka godzin.

Mae miała rację. W moim życiu osobistym sprawy zaszły za daleko i nic nie mogłem na to poradzić. W każdym razie nie teraz. Spojrzałem na monitor.

— Dobrze — powiedziałem — poszukajmy Charley'a. }

Gubiłem się w zmieniających się obrazach z różnych kamer; ludzie pojawiali się w kadrze i znikali. Zobaczyłem Julię w kuchni — najpierw samą, potem z Ricky'm. Drzwi lodówki: raz otwarte, raz zamknięte. Vince mignął mi w głównej hali zakładu, potem w korytarzu, a później zniknął z widoku.

— Nigdzie nie widzę Charley'a.

— Pewnie jeszcze śpi.

— Możemy sprawdzić sypialnie?

— Tak, tam też są kamery, ale musiałabym włączyć inną sekwencję wyświetlania. W standardowym cyklu sypialnie nie są uwzględnione.

— Czy to takie trudne?

— Nie wiem, Ricky się tym zajmuje. System jest dość skomplikowany i tylko on wie, jak naprawdę działa. Na razie poczekajmy.

Czekaliśmy więc dobre dziesięć minut, czy Charley pojawi się w kadrze którejś ze standardowych kamer. Od czasu do czasu musiałem odwrócić wzrok od monitora. W końcu wypatrzyliśmy Charley'a w korytarzu modułu mieszkalnego: musiał się niedawno obudzić, bo przecierał oczy.

— Jest.

— Która to godzina? — zapytałem.

— Mae zatrzymała odtwarzanie: było dziesięć minut po północy.

— Pół godziny przed naszym powrotem — zauważyłem.

— Zgadza się.

Mae włączyła przewijanie: Charley zniknął z korytarza, mignął nam w łazience, potem pojawili się Ricky i Julia w kuchni. Spałem się cały, ale tym razem tylko rozmawiali. Julia włożyła szampana do lodówki, Ricky podał jej kieliszki.

Nie byłem pewny, co stało się później. Przy dziesięciu klatkach na minutę obraz jest rejestrowany co sześć sekund, więc szybki ruch zostaje odwzorowany skokowo i nieostro; za dużo dzieje się pomiędzy klatkami filmu.

— Wydaje mi się jednak, że wydarzenia przebiegały mniej więcej w następujący sposób: Charley wszedł do kuchni, wszyscy troje zaczęli rozmawiać. Z uśmiechem pokazał na kieliszki, które

Julia z Ricky'm wstawiali do lodówki. Podniósł rękę, jakby chciał ich powstrzymać.

Pokazał na kieliszek, który Julia trzymała w ręce, i coś powiedział.

Julia pokręciła głową i włożyła kieliszek do lodówki.

Charley zrobił zdziwioną minę. Wskazał następny kieliszek. Julia znów pokręciła głową. Charley przygarbił się i wysunął podbródek do przodu, jak zawsze, kiedy coś go zdenerwowało. Wyprostowanym palcem postukał w stół, podkreślając swoje słowa.

Ricky ich rozdzielił, jakby próbował zapobiec kłótni. Podniósł ręce w uspokajającym geście.

Charley nie zamierzał ustąpić. Pokazał zlew pełen brudnych naczyń.

Ricky pokręcił głową i położył mu dłoń na ramieniu.

Charley ją odtrącił.

Zaczęli się sprzeczać. Przez ten czas Julia spokojnie wstawiła resztę kieliszków do lodówki. Zachowywała się tak, jakby tocząca się obok kłótnia w ogóle jej nie obchodziła, jakby nic nie słyszała. Charley próbował przepchnąć się do lodówki, ale Ricky blokował mu przejście.

Widać było, że traktuje Charley'a jak człowieka niespełna rozumu.

— Czy to możliwe, że rój oddziałuje jakoś na Charley'a? — zdziwiła się Mae. — Czy dlatego tak się zachowuje?

— Trudno powiedzieć. — Nachyliłem się nad ekranem. — Nie widzę roju.

— Ja też nie, ale Charley jest wściekły.

— Czego on od nich chce?

Mae pokręciła głową.

— Żeby wyjęli kieliszki? Umyli je? Wzięli inne? Nie wiem.

Charley nie przejąłby się brudnymi kieliszkami. Potrafił jeść z nieumytego talerza. — Uśmiechnąłem się. — Widziałem to na własne oczy.

Nagle Charley cofnął się i znieruchomiał, jakby dokonał jakiegoś zaskakującego odkrycia. Ricky coś do niego powiedział. Charley zaczął gestykulować i krzyczeć na nich oboje. Ricky ruszył w jego stronę.

Charley dalej się cofał, a w końcu sięgnął po słuchawkę zawieszoną na ścianie telefonu. Ricky rzucił się do przodu — jego sylwetka rozmazała się na ekranie — wyrwał mu słuchawkę i odwiesił na miejsce. Odepchnął Charley'a. Zdziwiłem się: Charley, choć nie był ułomkiem, pchnięty przez Ricky'ego upadł i przejechał kawałek po podłodze. Wstał, krzycząc cały czas, i wybiegł z kuchni.

Julia i Ricky spojrzeli po sobie. Julia coś powiedziała.

Ricky rzucił się w pogoń za Charley'em.

Julia pobiegła za nimi.

Dokąd oni biegną?

Mae puściła przycisk pauzy, mignął napis Aktualizacja i znów przez ekran zaczęły przemykać obrazy z wszystkich kamer po kolei. Widzieliśmy, jak Charley biegnie korytarzem i jak Ricky zaczyna go gonić.

Następny cykl.

Charley był już w warsztacie, gdzieś dzwonił. Obejrzał się przez ramię. Zaraz potem Ricky wpadł do pomieszczenia i Charley odłożył słuchawkę. Zaczęli się kłócić, krążąc wokół siebie jak drapieżniki.

Charley złapał łopatę i zamachnął się na Ricky'ego. Ricky za pierwszym razem zrobił unik, ale za drugim dostał w bark i przewrócił się na ziemię. Charley zamachnął się, celując w głowę Ricky'ego;

nie było wątpliwości — chciał go zabić. Ricky w ostatniej chwili uniknął ciosu. Łopata wyszczerbiła beton.

— O Mój Boże... — jęknęła Mae.

Kiedy Ricky próbował wstać, Charley odwrócił się i zobaczył wchodzącą do pomieszczenia Julię. Podniosła rękę, mówiąc coś do niego. Może prosiła, żeby odłożył łopatę? Charley spojrział niepewnie na nią, na Ricky'ego — i na Vince'a, który właśnie stanął w progu. W obliczu trojga przeciwników stracił zapal do walki. Otoczyli go.

Nagle skoczył w kierunku centrum łączności, wpadł do środka i chciał zamknąć za sobą drzwi, ale Ricky był szybszy: wsunął stopę w szparę. Za szybą widzieliśmy wykrzywioną wściekle twarz Charley'a. Vince dołączył do Ricky'ego, zupełnie zasłaniając widok. Miałem wrażenie, że Julia wydaje im polecenia. Wydawało mi się też, że przez szparę włożyła rękę do środka, ale nie miałem pewności.

W każdym razie drzwi się otworzyły i Vince z Ricky'm wtargnęli do klitki. Następne kadry były niewyraźne, zamazane, ale chyba wywiązała się bójka; Ricky zaszedł Charley'a z tyłu i wykręcił mu rękę. Wspólnie z Vince'em zmusili Charley'a do uległości. Przestał się szarpać, obraz zrobił się wyraźniejszy.

— Co tam się dzieje? — mruknęła Mae.

Ricky i Vince przytrzymywali Charley'a, który dyszał ciężko, spazmatycznie, ale już się nie wrywał. Podeszła Julia i coś do niego powiedziała.

Potem pocałowała go w usta. Długo, namiętnie.

Vince złapał szarpiącego się Charley'a za włosy, a Julia nie przerywała pocałunku. Kiedy się odsunęła, zobaczyłem łączącą ich usta czarną smugę. Przez krótką chwilę wisiała w powietrzu, a potem rozmyła się bez śladu.

— Mój Boże...

Julia z uśmiechem otarła usta. Wyszła z klitki.

Charley zwiotczał, osunął się na ziemię. Wyglądał na oszołomionego. Czarna chmura wydobyła się z jego ust i zawisła nad nim. Vince poklepał go po głowie i wyszedł.

Ricky podszedł do szaf ze sprzętem. Zaczął wrywać kable i rozbijać panele. Odwrócił się do Charley'a, powiedział coś i też wyszedł.

Charley zerwał się na równe nogi, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Ricky i Julia roześmiali się; zdawali sobie sprawę, jak daremny jest jego gest. Charley osunął się na ziemię i zniknął nam z oczu.

Ricky i Julia objęci wyszli z pokoju.

— Ależ z was ranne ptaszki!

— Odwróciłem się.

W drzwiach stała Julia.

Dzień siódmy, godzina 5.12

— Uśmiechnęła się i weszła do pokoju.

— Wiesz co, Jack? Gdyby nie to, że ufam ci bez zastrzeżeń, pomyślałabym, że coś we dwójkę kombinujecie.

— Serio? — Odsunąłem się od komputera. Mae szybko stukała w klawisze. Poczułem się bardzo niezręcznie. — A niby dlaczego?

— Nie wiem, co oglądaliście, ale bardzo was ten widok zafascynował. Co to właściwie było?

— Takie... sprawy techniczne.

— Mogę zobaczyć? Interesują mnie sprawy techniczne. Ricky wam nie mówił? Naprawdę. Ta technologia mnie fascynuje. To całkiem nowy świat. Prawdziwy dwudziesty pierwszy wiek. Nie, nie wstawaj, Mae, zerknę ci przez ramię.

— Zmarszczyła brwi na widok kultur bakterii na warstwie pożywki. — Co to jest?

— Kolonie bakterii coli — odparła Mae. — Jakieś świństwo je zanieczyściło, jedną każdą musiałam odłączyć. Próbuujemy odgadnąć, co się dzieje.

— Pewnie jakieś fagi, co? Czy to nie wirusy najczęściej zagrażają bakteriom? — Julia westchnęła. — Cała ta inżynieria molekularna jest taka delikatna. Bardzo łatwo coś zepsuć. Trzeba mieć oczy szeroko otwarte. — Spojrzała na mnie i na Mae. — Ale chyba nie to was tak zafrapowało?

— Właśnie to — odparłem.

— Zdjęcia pleśni?

— Bakterii.

— No właśnie, bakterii. Cały czas się na nie gapicie, Mae?

— Tak — odparła Mae, wzruszając ramionami. — Taki mamy zawód.

— Pozwolisz?

Wyciągnęła rękę i błyskawicznym ruchem wcisnęła „back” na klawiaturze.

Cofnęliśmy się do innego zdjęcia kolonii bakterii.

Potem do fotografii wirusa pod mikroskopem elektronowym.

Potem do tablicy z informacjami o hodowli z ostatnich dwunastu godzin.

— Julia wcisnęła klawisz jeszcze kilkakrotnie, ale na ekranie zmieniały się tylko zdjęcia bakterii, wirusów, wykresy i tabele. Cofnęła dłoń.

— Poświęcasz tej sprawie masę czasu — zauważyła. — Czy to naprawdę aż takie ważne?

— Zanieczyszczenie to poważna sprawa. Jeśli go nie powstrzymamy, będziemy musieli wstrzymać produkcję.

W takim razie pracuj dalej. — Julia spojrzała na mnie. — Zjemy śniadanie? Na pewno umierasz z głodu.

— Świetny pomysł.

— Chodź, coś razem upichcimy.

— Dobrze. — Zerknąłem na Mae. — Zobaczymy się później. Daj znać, gdybym się do czegoś

mógł przydać.

— Skierowaliśmy się z Julią do modułu mieszkalnego.

Nie wiem dlaczego, ale ta kobieta mnie drażni

— Też nie wiem. Jest świetnym naukowcem.

— I bardzo ładną kobietą.

— Czy to dlatego nie chciałeś mnie pocałować? Coś was łączy?

— Julio, na Boga...

Spojrzała na mnie wyczekująco.

— Posłuchaj, wszyscy przez ostatnie parę tygodni sporo przeszliśmy powiedziałem. — Ciężko

było z tobą wytrzymać.

— Z pewnością.

— Szczerze mówiąc, jestem na ciebie wściekły.

— Masz powód. Przepraszam cię za to, co przeze mnie wycierpiałeś. — Pocałowała mnie w

policzek. — Ale to już przeszłość. Może pocałujemy się na zgodę?

— Później, na razie mamy robotę.

Julia zaczęła się wygłupiać: wydymała wargi, cmokała, przesyłała mi całusy.

— Chodź, mały całusek ci nie zaszkodzi...

— Później — powtórzyłem.

Poddała się z ciężkim westchnieniem. Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

— Unikasz mnie, Jack — stwierdziła w końcu śmiertelnie poważnym głosem. — Chcę wiedzieć

dlaczego.

Jedyną moją odpowiedzią było przeciągłe westchnienie, jakby jej skargi nie zasługiwały na inną reakcję. W duchu coraz bardziej się niepokoiłem.

Nie mogłem wiecznie się wymigiwać od pocałunków, bo prędzej czy później domyśliłaby się, że za dużo wiem. Może nawet już się domyślała, bo mimo dziecinnego rozszczebiotania wydawała mi się bardziej czujna niż kiedykolwiek przedtem. Miałem wrażenie, że nic nie ujdzie jej uwagi. Tak samo było z Ricky'm, jakby oboje funkcjonowali na wyższym stopniu gotowości.

Przede wszystkim niepokoiło mnie to, co zobaczyłem u Mae na komputerze: ta czarna chmura, która wypływała z jej ust. Czy naprawdę ją widziałem? Przecież roje natychmiast zabijały ofiarę. Nie znaly litości. Tymczasem wyglądało na to, że Julia dała jednemu z nich schronienie. Jak to było możliwe? Czyżby wykształciła jakąś szczególną odporność na toksynę? Czy może rój z nieznanymi mi przyczyn tolerował ją, i nie chciał jej zabić? A co z Ricky'm i Vince'em, czy oni też byli uodpornieni?

Jedno nie ulegało wątpliwości: Julia i Ricky nie chcieli, żebyśmy gdziekolwiek dzwonili. Celowo odcięli nas od świata, wiedząc, że za kilka godzin przybędzie tu śmigłowiec. Najwyraźniej tyle czasu miało im wystarczyć. Ale na co? Żeby nas zabić? Czy tylko zainfekować?

Szedłem z żoną korytarzem, ale czułem się, jakbym siedł obok obcej osoby. Zupełnie obcej. I śmiertelnie niebezpiecznej.

Spojrzałem na zegarek: do przylotu śmigłowca zostały niecałe dwie godziny.

— Co to, jesteś gdzieś umówiony? — Julia uśmiechnęła się. — Nie. Po prostu czas na śniadanie.

— Dlaczego nie chcesz być ze mną szczery, Jack?

— Jestem szczery...

— Wcale nie. Właśnie się zastanawiasz, kiedy przyleci śmigłowiec. Wzruszyłem ramionami.

— Za dwie godziny — ciągnęła. — Na pewno chętnie się stąd wyrwiesz, co? — Na pewno, ale nigdzie nie polecę, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona do końca.

— Jaka sprawa? Co jeszcze chcesz załatwić?

— Znaleźliśmy się już w module mieszkalnym, poczułem zapach jajecznicy na bekonie. Ricky wyszedł zza zakrętu korytarza i uśmiechnął się na mój widok.

— Cześć, jak się spało?

— W porządeczku.

— Na pewno? Jesteś jakiś oklapnięty.

— Miałem męczące sny.

— W takiej sytuacji to nic dziwnego...

— Każdemu się zdarza.

— Weszliśmy do kuchni, gdzie Bobby przygotowywał śniadanie.

— Jajecznicą ze szczypiorkiem i serem topionym — oznajmił radośnie. — Jaki chleb chcecie?

Julia poprosiła o pszenny chleb, Ricky o grzanek, ja podziękowałem za pieczywo. Patrzyłem na Ricky'ego znów uderzyło mnie to, jaki jest muskularny. Mięśnie rysowały mu się wyraźnie pod koszulką. Zauważył, że mu się przyglądam.

— Coś nie tak?

Nie, po prostu podziwiam muskulaturę.

Starłem się nadać moim słowom lekki ton, ale czułem się w kuchni bardzo niepewnie, otoczony ze wszystkich stron. Cały czas miałem przed oczami obraz Charley'a, którego zaatakowali błyskawicznie. Straciłem apetyt chciałem się jak najszybciej stąd wydostać. Nie wiedziałem jednak, jak to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń.

— Julia otworzyła lodówkę. Szampan dalej się chłodził.

— To jak, może teraz uczymy wasze zwycięstwo?

— Chętnie — odparł Bobby.

— Nie ma mowy — przerwałem mu. — Julio, naprawdę powinnaś po ważniej podejść do sprawy. To jeszcze nie koniec kłopotów. Musimy sprowadzić tu wojsko. Nie czas na szampana.

— Ależ ty marudzisz — skrzywiła się Julia.

— Zastanów się nad sytuacją.

— Nie złość się tak, Jack, pocałuj mnie, pocałuj...wydęła wargi i wychyliła się do mnie nad stołem. — Nie pozostało mi nic innego, jak udać atak wściekłości.

— Do diabła, Julio! Tkwimy w tym szambie po uszy przede wszystkim dlatego, że od początku zlekceważyłaś problem! Ile to już, dwa tygodnie? Od dwóch tygodni lata wam po pustyni rój, nad którym nie umiecie zapanować, a ty, zamiast go zniszczyć, wołałaś się z nim bawić! Wydurnialiście się, aż się wam wymknął, a teraz cztery osoby nie żyją! Naprawdę nie ma się z czego cieszyć, Julio. Wydarzyła się tragedia. Nie zamierzam pić żadnego zasranego szampana, a póki tu jestem, wy też się go nie napijecie. — Wyjąłem butelkę z lodówki i rozbiłem ją w zlewie. — Jasne?

— To było zupełnie niepotrzebne — powiedziała z kamienną twarzą Julia.

Ricky przyglądał mi się bacznie, jakby ważył w myślach jakąś decyzję. Stojący przy kuchence Bobby odwrócił się do nas plecami, zażenowany małżeńską sprzeczką. Czyjego też już dopadli? Wydawało mi się, że widzę na jego szyi cienką czarną kreskę, ale nie miałem odwagi dłużej się na niego gapić.

— Niepotrzebne?! To byli moi przyjaciele. Twoi też, Ricky, i twoi, Bobby. I nie chcę więcej

słyszeć o żadnych toastach!

— Chciałem wyjść z kuchni, ale omal nie zderzyłem się w progu z Vince'em.

— Spokojnie, stary — powiedział. — Bo cię krew zaleje.

— Odpierdol się.

— Zdumiony Vince uniósł brwi, a ja przepchnąłem się obok niego na korytarz.

— Mnie nie nabierzesz, Jack! — zawołała za mną Julia. — Wiem, co ci chodzi po głowie!

Żołądek podszedł mi do gardła, ale nie zwolniłem kroku.

Potrafię cię przejrzeć na wylot. Wiem, że wrócisz do niej.

— Masz rację! — mruknąłem.

Czy naprawdę o to właśnie mnie podejrzewała? Nie wierzyłem jej. Próbowала mnie zwieść, chciała uspić moją czujność, żeby... Żeby co? Co planowali?

Było ich czworo, a nas tylko dwoje. Jeśli nie dopadli jeszcze Mae...

Nie znalazłem jej w laboratorium, ale kiedy się rozejrzałem, zauważyłem uchylone boczne drzwi, prowadzące na niższy poziom, do kadzi fermentacyjnych. Z bliska kadzie były znacznie większe, niż sądziłem — olbrzymie stalowe kule miały blisko dwa metry średnicy. Oplatał je labirynt rur z zaworami i termostatami. W pomieszczeniu tym było bardzo głośno i bardzo ciepło.

Dostrzegłem Mae przy trzeciej kadzi. Zapisała coś w notatniku i zamknęła zawór. Obok, na ziemi, stał stojak z probówkami. Podszedłem do niej. Spojrzała na mnie, potem zerknęła na sufit, gdzie zainstalowana była kamera. Przeszliśmy na drugą stronę kadzi, gdzie nie sięgało oko kamery.

— Spali przy włączonych światłach — powiedziała. Pokiwałem głową. Teraz już wiedziałem, co to znaczy.

— Są zainfekowani

— Zgadza się.

— Ale rój ich nie zabił.

— Wiem, ale nie rozumiem, jak to możliwe.

— Musiał nauczyć się ich tolerować. Tak szybko?

— Ewolucja przebiega szybko. Słyszałeś o pracach Ewalda. Słyszałem. Paul Ewald badał zarazki cholery. Okazało się, że cholera ewoluuje błyskawicznie, żeby nie można było zbyt łatwo powstrzymać epidemii. Tam, gdzie wody do picia dostarcza brudny strumień, płynący przez środek wioski, cholera atakuje ludzi i doprowadza do rychłej śmierci z odwodnienia. Wraz z kałem chory wydala miliony nowych bakterii, które przedostają się do wody i zarażają innych ludzi. Epidemia rozwija się lawinowo.

— Tam jednak, gdzie ludzie piją czystą wodę, agresywny szczep cholery nie ma takiego pola do działania: chory może umrzeć, ale nowe bakterie nie przenikną do wody. Zabraknie następnych ofiar — i epidemia wygasa. W takiej sytuacji wykształca się łagodniejsza odmiana bakterii, która nie powala ofiary na miejscu. Chory przez pewien czas funkcjonuje w miarę normalnie, a zarazki rozprzestrzeniają się przez bezpośredni kontakt i brudną pościel.

Mae sugerowała, że rój zachował się tak samo: wytworzył łagodniejszą odmianę, która przenosiła się z osoby na osobę.

— Na samą myśl dostaję dreszczy — przyznałem. Mae skinęła głową.

— Co możemy zrobić? — spytała i rozplakała się bezgłośnie. Łzy po ciekły jej po policzkach. A zawsze była taka silna. Patrząc na nią, zacząłem się bać. — Nic, Jack, nic! Jest ich czworo, są od nas silniejsi. Zabiją nas, tak jak zabili Charley'a.

Wtuliła głowę w moje ramię. Objąłem ją, aleni umiałem jej pocieszyć. Miała rację. Byliśmy zgubieni.

Winston Churchill powiedział kiedyś, że pod ostrzałem człowiek zaczyna jaśniej myśleć. Mój mózg pracował teraz na zdwojonych obrotach. Popełniłem błąd — typowo ludzki błąd — a teraz myślałem o tym, jak go naprawić.

Biorąc pod uwagę, że żyjemy w ewolucyjnych czasach — mamy biologię ewolucyjną, medycynę ewolucyjną, ekologię ewolucyjną, psychologię ewolucyjną, ekonomię ewolucyjną i programowanie ewolucyjne — zadziwiająco rzadko zdarza nam się myśleć w kategoriach ewolucji. To taka biała plama w naszym umyśle. Oglądamy otaczający nas świat jak zdjęcie, chociaż mamy do czynienia z filmem, którego kadry cały czas się zmieniają. Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tych zmian, ale zachowujemy się tak, jakby wcale nie zachodziły. Zaprzeczamy ich obecności, przez co nieodmiennie nas zaskakują. Tak jak dorastanie dzieci zawsze zaskakuje rodziców.

Mnie zaskoczyła ewolucja roju, tymczasem nie istniał żaden racjonalny powód, dla którego nie mogłaby od początku przebiegać dwutorowo. Albo w trzech, czterech czy dziesięciu niezależnych kierunkach. Powinienem był przewidzieć taką możliwość, szukać jej. Może wtedy wiedziałbym, co zrobić w takiej sytuacji.

Ja potraktowałem rój jako wyłącznie tutejszy problem. Zignorowałem inne możliwości.

Ciekawe, co jeszcze uszło mojej uwagi? Gdzie zbłądziłem? Jaką przesłankę przeoczyłem? Prawdopodobnie fakt, że pierwsze spotkanie z rojem wywołało u mnie reakcję alergiczną — reakcję, która omal mnie nie zabiła. Mae stwierdziła, że mam uczulenie na produkowaną w roju toksynę colipochodną. Jej wydzielanie było z pewnością efektem ewolucyjnej zmiany w bakteriach E. coli. Na dobrą sprawę pojawienie się bakteriofaga w kadzi też wynikało z ewolucji: wirus zareagował na bakterię, która...

— Zaraz, Mae...

— Co?

— Może uda nam się ich powstrzymać.

Miała wątpliwości, widziałem to po jej twarzy, ale otarła łzy i zaczęła mnie słuchać.

— Rój składa się z nanomechanizmów i bakterii, prawda? — Tak...

— Bakterie dostarczają nanocząstkom surowców do reprodukcji. A więc jeżeli bakterie wymrą, rój zginie, tak?

— Prawdopodobnie tak. — Mae zmarszczyła brwi. — Masz na myśli jakiś antybiotyk? Mielibyśmy go wszystkim podać? Bo wiesz, infekcja E. coli wymaga dużej dawki leku, musieliby go przyjmować przez kilka dni z rzędu, a nie sądzę...

— Nie, nie chodzi mi o antybiotyk. — Wskazałem ręką na kadź. — Chodzi mi o to.

— Czemu nie?

— Nie wiem, czy zadziałają. Może tak, ale... Jak chcesz im je podać? Przecież nie połkną ich z własnej woli.

— Rozpylimy je w powietrzu. Nikt się nie zorientuje, a fagi same przenikną do płuc.

— Jak chcesz je rozpylić?

— To akurat będzie łatwe. Nie odłączaj tej kadzi, wpuść bakterie do systemu. Niech linia produkcyjna zacznie wytwarzać wirusy, dużo wirusów. Potem je wypuścimy.

— To się nie uda. — Mae westchnęła.

— Dlaczego?

— Nie da się wyprodukować takiej ilości wirusów.

— Czemu?

— Ze względu na specyfikę rozmnażania. Wiesz, jak to wygląda: wirus fruwa sobie tu i tam, potem przysysa się do komórki i wchodzi do środka. Przerabia RNA komórki w taki sposób, żeby sama rodziła nowe wirusy. Procesy metaboliczne zostają wstrzymane i produkcja wirusów rusza pełną parą. Wkrótce komórka jest tak wypchana wirusami, że pęka jak balonik i wirusy wylatują na zewnątrz. Czepiają się następnych komórek i cała zabawa zaczyna się od początku.

— No tak... Co z tego wynika?

— Jeżeli wpuszczę faga do aparatury, będzie się rozmnażał bardzo szybko, ale tylko przez krótki czas. Pozostawi po sobie całą masę zniszczonych komórek, takiego białkowego śmiecia, które natychmiast zatka filtry. Po godzinie, dwóch aparatura zacznie się przegrzewać, włączy się system przeciwpożarowy i odetnie zasilanie. Produkcja stanie. Koniec z wirusami.

— Nie można obejść tego systemu?

— Można, ale nie wiem jak.

— A kto wie?

— Tylko Ricky.

— To na nic. — Pokręciłem głową. — Na pewno nie znasz żadnego...

— System jest zabezpieczony szyfrem, którego poza Ricky'm nikt nie zna.

— Aha.

A w ogóle to zbyt niebezpieczne. Niektóre części systemu pracują w wysokiej temperaturze albo pod wysokim napięciem. Wydziela się dużo ketonów i metanu. Ich poziom jest stale kontrolowany, w razie potrzeby są odsysane, żeby nie osiągnęły zbyt wysokiego stężenia. Gdybyśmy prze stali je odsysać, a coś by w aparaturze zaiskrzyło...

— To co? Mogłoby dojść do wybuchu?

— Na pewno by doszło. I to bardzo szybko, sześć, góra osiem minut po wyłączeniu systemu przeciwpożarowego. Lepiej, żeby cię tu wtedy nie było. Z zabezpieczeniami czy bez, nie da się wyprodukować takiej ilości wirusa.

Zapadła cisza.

Frustrująca cisza.

Rozejrzałem się dookoła. Spojrzałem na stalowy zbiornik, na stojak z probówkami, na mopa, wiadro i pięciolitrową butlę wody w kącie. Mae wciąż była o krok od płaczu, ale trzymała się dzielnie.

Ja już miałem plan.

— Mniejsza z tym. Zrób tak, jak mówiliśmy: wpuść wirusa do systemu.

— Ale po co?

— Zrób to.

— Po co w ogóle tak się staramy, Jack? Oni pewnie wiedzą, że odkryliśmy ich tajemnicę nie nabierzemy ich. Są za sprytni. Jeżeli ich sprowokujemy, dopadną nas od razu.

— Myślę, że masz rację — zgodziłem się.

— A w dodatku nie da się wyprodukować wirusa. Więc po co to wszystko, Jack? Co nam z tego przyjdzie?

Mae przez cały czas wiernie stała po mojej stronie, ale teraz, kiedy obmyśliłem plan, nie zamierzałem jej go zdradzić. Musiałem jakoś odwrócić uwagę pozostałych. Oszukać ich. Mae mogła

mi w tym pomóc, ale w tym celu musiała wierzyć, że plan wygląda zupełnie inaczej.

Wyprowadzimy ich w pole, Mae, odwrócimy ich uwagę. Wpuść wirusa do aparatury. Niech się nim zajmą. Przez ten czas ja zaniosę próbkę wirusa na górę hali, pod dach, i wrzucę ją do zbiornika spryskiwaczy.

— A potem je włączysz?

— Właśnie.

— Woda z wirusem zaleje wszystkich w zakładzie. Tak!

— To się może udać, Jack.

— W każdym razie nic lepszego nie wymyślę. Otwórz zawór i nabierz wirusa do probówek.

Wpuść też trochę do tej butli w kącie.

— Zawór jest z drugiej strony. — Mae się zawahała. — Kamera nas zobaczy.

— Trudno, nic na to nie poradzimy. Chcę, żebyś zyskała dla mnie trochę czasu.

— W jaki sposób?

— Powiedziałem jej. Zrobiła zdziwioną minę.

— Żartujesz! W życiu na to nie pójda!

— Oczywiście że nie. Ale mnie wystarczy chwila.

— Obeszliśmy każdą dookoła i Mae napełniła probówki gęstą, brunatną mazią, która cuchnęła odchodami. I wyglądała jak odchody.

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł? — zapytała Mae.

— Nie mam wyboru.

— Ty pierwszy.

— Wziąłem do ręki probówkę, wstrzymałem oddech i duszkiem wypilem jej zawartość. Była obrzydliwa, bałem się, że zwymiotuję, ale udało mi się powstrzymać mdłości. Odetchnąłem jeszcze raz, popilem wodą z butli i spojrzałem na Mae.

— Ohyda, co?

— Ohyda.

Mae wzięła drugą probówkę, zatkała nos i wypila. Poczekałem, aż przestanie się krztusić. Podałem jej butlę z wodą. Trochę wypila, resztę wylała na ziemię i napełniła butlę brunatnym paskudztwem.

— Odkręciła duży zawór.

— Proszę bardzo. Wpuściłam wirusa do systemu.

— Dobrze. — Wziąłem od niej dwie probówki i schowałem je do kieszeni. Zabrałem też plastikową butlę napis na etykietce głosił „Arrowhead: czysta woda”. — Do zobaczenia.

— Wybiegłem na górę.

— Kiedy znalazłem się na korytarzu, zdałem sobie sprawę, że mam jedną szansę na sto. Może jedną na tysiąc.

— Ale ją mam.

— Obejrzałem potem cały zapis kamer, więc wiedziałem, co się przydarzyło Mae.

— Weszła do kuchni ze stojakiem z probówkami. Julia zmroziła ją wzrokiem, Vince nie zwrócił na nią uwagi, jedząc śniadanie, a Ricky zapytał: Co tam masz?

— Faga.

— PO CO?

— Teraz Julia też się nią zainteresowała.

— Przyniosłam go z kadzi fermentacyjnej.

— No to nic dziwnego, że tak cuchnie.

— Jack właśnie wypił porcję. Mnie też kazał wypić.

— Piłaś to? — Ricky parsknął śmiechem. — Boże, to cud, że się nie otrułaś.

— Niewiele brakowało. — Jack chce, żebyście też wypili.

— Nie żartuj! — Bobby zaśmiał się. — Niby po co?

— Chce mieć pewność, że nikt z was nie jest zainfekowany.

— Zainfekowany? — nachmurzył się Ricky. — Jak to: zainfekowany?

— Jack powiedział, że jeśli rój ukrył się w ciele Charley'a, może się ukryć w każdym z nas.

Kiedy wypijecie ten roztwór, fag zabije bakterie i rój zginie.

— Mówisz poważnie? — zapytał z niedowierzaniem Bobby. — Naprawdę mamy wypić ten syf?

Nie ma mowy!

— Mae spojrzała na Vince'a

— Śmierdzi gównem. Niech ktoś inny pierwszy spróbuje.

— Ricky? Może ty dasz przykład?

— Nie będę tego pił. — Ricky pokręcił głową. — Po jaką cholerę?

— Przede wszystkim będziesz miał pewność, że jesteś czysty. A przy okazji my też się

upewnimy.

— Co to ma być, jakiś test? — Mae wzruszyła ramionami.

— To pomysł Jacka.— Julia spojrzała nią ponuro.

— Gdzie on jest?

— Nie wiem, ostatnio widziałam go przy kadziach. Nie wiem, dokąd potem poszedł.

— Ależ wiesz — stwierdziła lodowato Julia. — Wiesz doskonale, dokąd poszedł.

— Nie powiedział mi.

— Kłamiesz, on ci o wszystkim mówi. Zaplanowaliście tę szopkę od początku do końca, prawda? Nie sądziłaś chyba, że namówisz nas do wypicia tego paskudztwa. Gdzie jest Jack?!

— Już ci mówiłam, że nie wiem. Julia zwróciła się do Bobby'ego:

— Sprawdź monitory i znajdź go. — Obeszła stół. — No dobrze, Mae — powiedziała głosem, nie wróżącym niczego dobrego. — Chcę, żebyś od powiedziała na moje pytanie. I żebyś powiedziała prawdę.

— Mae cofnęła się. Ricky i Vince zachodzili ją z boków. Oparła się plecami o ścianę.

— Teraz wszystko mi powiesz, Mae. I nie kłam.

— Mam go — zameldował Bobby. — Jest w hali produkcyjnej. Ma ze sobą całą butlę tego szajsu.

— Powiedz mi, Mae. — Julia podeszła tak blisko, że ich usta niemal się zetknęły. Mae zamknęła oczy, zacisnęła wargi. Trzęsa się ze strachu. Julia pieszczotliwie pogładziła ją po głowie. — Nie bój się, nie masz się czego bać. Powiedz mi, co Jack chce zrobić z tą butlą.

— Mae zaczęła szlochać histerycznie.

— Wiedziałam, że to się nie uda. Mówiłam mu, że się domyślisz.

— Oczywiście, że się nie uda — szeptała Julia. — Jak mogłam się nie domyślić? Mów.

— Ma całą butlę wirusa i chce go wlać do zbiornika spryskiwaczy. — Naprawdę? Jaki on sprytny... Dziękuję ci, skarbie.

Julia pocałowała Mae w usta. Mae próbowała się wyrwać, ale Julia przyparła ją do ściany i

przytrzymała za głowę.

— Nie denerwuj się — powiedziała, kiedy się od niej odsunęła. — Pamiętaj: nie zrobi ci krzywdy, jeśli nie będziesz się opierać. —

Wyszła z kuchni. .

Dzień siódmy, godzina 6.12

— Wydarzenia potoczyły się szybciej, niż się tego spodziewałem. Słyszając tupot nóg w korytarzu, pospiesznie schowałem butlę, cofnąłem się. Wpadli do środka. Zacząłem biec, ale Vince złapał mnie wpół. Upadłem na betonową posadzkę, a Ricky natychmiast skoczył na mnie. Straciłem oddech. Vince kopnął mnie dwa razy w zębra i razem postawili mnie na nogi przed Julią.

— Cześć, Jack! — Uśmiechnęła się. — Jak leci?

— Bywało lepiej.

— Odbyłam miłą rozmowę z Mae, więc nie ma co owijać w bawełnę. — Rozejrzała się. — Gdzie masz butlę?

— Jaką butlę?

— Jack... — Pokręciła ze smutkiem głową. — Mówię o butli z zawiesiną wirusa, którą chciałeś wlać do spryskiwaczy.

— Nie mam żadnej butli.

Podeszła bliżej, tak że czułem na twarzy jej oddech.

— Znam tę minę, Jack. Masz jakiś plan, prawda? Powiedz, gdzie schowałeś butlę?

— Jaką butlę?

Musnęła ustami moje usta. Stałem nieruchomo jak posąg.

— Jack, kochanie... Wiesz, że nie powinieneś igrać z ogniem. Gdzie jest butla?

— Nie poruszyłem się.

— Pocałuj mnie, Jack... — zamruczała uwodzicielsko.

— Daruj sobie, Julio — powiedział Ricky. — On się ciebie nie boi. Połknął wirusa i myśli, że to go ochroni.

— Uchroni? — Julia cofnęła się o krok.

— Może... Założę się jednak, że wciąż boi się umrzeć.

Zaczęli mnie z Vince'em ciągnąć przez halę, prosto do pokoiku z elektromagnesem. Próbowałem się im wyrwać.

— Właśnie, o to chodzi — mówił Ricky. — Wiesz, co cię czeka, prawda?

Tego nie przewidziałem nie tak wyglądał mój plan. Nie wiedziałem, co robić. Szarpałem się i kopałem, ale Vince i Ricky byli znacznie silniejsi i wlekli mnie bez przeszkód. Julia otworzyła stalowe drzwi, za którymi zobaczyłem dwumetrowy, stalowy bęben elektromagnesu.

Wrzucili mnie do środka. Upadłem na ziemię, uderzając głową o metalową osłonę. Słyszałem, jak drzwi się zamykają. Szczęknął zamek.

Wstałem.

— Pompy układu chłodzącego zagrały miarowo. Pstryknął interkom i usłyszałem głos Ricky'ego:

— Zastanawiałeś się kiedyś, Jack, dlaczego ta klatka ma stalowe ściany? Elektromagnesy impulsowe bywają niebezpieczne. Może je rozerwać własne pole. Będą się ładowały przez minutę. Krótko mówiąc, masz minutę do namysłu.

Oglądałem to pomieszczenie, kiedy Ricky oprowadzał mnie po zakładzie. Pamiętałem, że na wysokości kolan jest przycisk awaryjny, którym można odłączyć zasilanie. Nacisnąłem go.

— Nic z tego — powiedział Ricky. — Odwróciłem połączenie. Teraz ten guzik uruchamia elektromagnes, zamiast go wyłączać.

Dudnienie pomp narastało, ściany wpadły w lekką wibrację. Powietrze gwałtownie się ochłodziło, wiedziałem, że za chwilę zobaczę w powietrzu parę ze swojego oddechu.

— Pewnie ci zimno? Ale to nie potrwa długo. Kiedy magnes pracuje, pokój szybko się nagrzewa... Jeszcze czterdzieści siedem sekund.

Rozległo się stłumione dudnienie, jakby gdzieś w pobliżu pracował młot pneumatyczny. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, ledwie słyszałem słowa Ricky'ego:

— Pomyśl, Jack, masz rodzinę. Rodzinę, która cię potrzebuje. Zastanów się, co robisz.

— Chcę rozmawiać z Julią — powiedziałem.

— Ale ona nie chce rozmawiać z tobą. Rozczarowałaś ją.

— Dajcie mi z nią porozmawiać.

— Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Julia nie będzie z tobą rozmawiać, dopóki nie powiesz jej, gdzie schowałeś butlę z wirusem.

— Zrobiło się wyraźnie cieplej. Płyn chłodzący zabulgotał w przewodach. Kopnąłem kolanem w wyłącznik.

— Mówiłem ci, Jack, ten przycisk służy do włączania elektromagnesu. Nie słyszysz mnie?

— Słabo! — odkrzyknąłem.

— To niedobrze. Ogłuszające dudnienie wypełniało cały pokój, miałem wrażenie, że od dźwięku drży powietrze. Łoskot pomp kojarzył mi się z gigantycznym aparatem do badania rezonansu magnetycznego. Zaczęła mnie boleć głowa. Spojrzałem na elektromagnes, na grube śruby, mocujące osłonę. Śruby, które za chwilę miały się stać pociskami.

— Żarty się skończyły, Jack. Naprawdę nie chcielibyśmy cię stracić. Dwadzieścia sekund.

Minutę trwało naładowanie kondensatorów, które później zaczną generować milisekundowe impulsy elektryczne. Zacząłem się zastanawiać, ile impulsów potrzeba będzie, żeby rozerwać magnes na strzępy.

Pewnie wystarczy kilka sekund. Rzeczywiście niewiele zostało mi czasu, a wciąż nie wiedziałem, co robić. Wszystko tak się poplątało, a najbardziej przygnębiał mnie fakt, że straciłem jedyną przewagę: wszyscy już zdali sobie sprawę ze znaczenia wirusa.

a nic nie mogłem na to poradzić.

Nie wiedziałem, co z Mae. Czy w ogóle jeszcze żyje? Czuję się oderwany od rzeczywistości, zobojętniałem na wszystko. Znalazłem się we wnętrzu olbrzymiej maszyny do badania rezonansu magnetycznego. Słuchając łoskotu pomyślałem, że podobnie musiała się czuć Amanda w szpitalu...

— Dziesięć sekund. Daj spokój, Jack, nie zgrywaj bohatera. Powiedz, gdzie jest butla. Sześć sekund. Pięć. Jack...

— Dudnienie ucichło, zamiast tego rozległ się głośny trzask. To elektromagnes włączył się na kilka milisekund.

— Pierwszy impuls — powiedział Ricky. — Nie bądź frajerem, Jack. Kolejne impulsy. Widziałem, jak po każdym z nich osłona instalacji chłodniczej coraz bardziej się odkształca. Za szybko się to działo. Nie mogłem tego dłużej znieść.

— Dobrze, Ricky! — krzyknąłem. — Powiem!

— Mów, Jack. Słucham.

— Nie! Najpierw to wyłącz! Powiem Julii!

— To bardzo nierozsądne z twojej strony, Jack. Nie jesteś w najlepszej pozycji do negocjacji.

— Chcecie dostać wirusa? Czy wolicie mieć niespodziankę?

Nagle zrobiło się cicho, słyszałem tylko szmer chłodziwa w przewodach. Magnes zrobił się gorący, ale szpitalny dźwięk ucichł.

Szpitalny dźwięk...

Stałem i czekałem na przyjscie Julii. Po namyśle postanowiłem jednak usiąść. — Szczęknięcie zamka, drzwi się otworzyły i Julia weszła do środka.

— Nic ci się nie stało, Jack?

— Nie, mam tylko nerwy w strzępach.

— Nie rozumiem, po co się tak katujesz. To bez sensu. No, ale mam przynajmniej dobrą wiadomość dla ciebie: jest już śmigłowiec.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Przyleciał trochę wcześniej niż zwykle. Nie chciałbyś wsiąść do niego i wrócić do domu? Do rodziny?

Siedziałem pod ścianą, patrząc na nią z dołu.

— Czy to znaczy, że mogę odlecieć?

— Oczywiście, Jack. Nie mamy powodu trzymać cię tutaj. Oddaj mi butlę z wirusem i leć do domu.

Nie wierzyłem jej ani przez chwilę. Miałem przed sobą przyjacielską, uwodzicielską Julię, ale jej nie ufałem.

— Gdzie Mae?

— Odpoczywa.

— Skrzywdziłaś ją.

— Nie, wcale nie. Dlaczego miałabym jej robić krzywdę? — Julia pokręciła głową. — Ty naprawdę nic nie rozumiesz? Nikogo nie chcemy krzywdzić, Jack. Ani ciebie, ani Mae, nikogo. Zwłaszcza ciebie.

— Powiedz to Ricky'emu.

— Jack, proszę... Pohamuj emocje i spróbuj przez chwilę myśleć logicznie. Sam jesteś sobie winien. Dlaczego nie chcesz się pogodzić z nową sytuacją? — Podała mi rękę i pomogła wstać. Była silna, silniejsza niż dawniej. — To wszystko twoja zasługa. Zabiłeś dziką mutację, Jack. Zrobiłeś to dla nas.

— Dzięki temu łagodna mutacja może się spokojnie rozwijać... — No właśnie. Może się rozwijać, współżyć z człowiekiem.

— Tak jak w twoim przypadku.

— Tak.

— Julia uśmiechnęła się. Na widok jej uśmiechu przeszedł mnie dreszcz.

— Co to właściwie jest? Koegzystencja? Koewolucja?

— Symbioza.

— Gadasz głupstwa, Julio. To jest choroba!

— Nie dziwię się, że tak mówisz. Tak niewiele wiesz, nie wiesz, jakie to uczucie. — Objęła mnie. Nie wyrywałem się. — Nie masz pojęcia, co cię czeka.

— Przygoda życia.

— Chociaż raz nie bądź taki uparty. Poddaj się. Jesteś zmęczony, Jack.

— Jestem. — Westchnąłem. Byłem zmęczony, a w jej ramionach czułem się słaby jak dziecko. I byłem pewien, że ona o tym wie.

— Odpreż się i obejmij mnie, Jack.

— Nie wiem, może nawet masz rację...

— Na pewno. — Uśmiechnęła się i zmierzwiła mi włosy. — Och, Jack, jak ja za tobą tęskniłam.

— Ja za tobą też. — Objąłem ją i przytuliłem z całej siły. Wyglądała prześlicznie z rozchyłonymi wargami i płonącymi, łagodnymi oczami. Czułem, jak rozluźnia mięśnie. — Powiedz mi tylko jedną rzecz, Julio. Nie daje mi to spokoju.

— O chodzi, Jack?

— Dlaczego w szpitalu nie zgodziłaś się na badanie rezonansu magnetycznego?

— Słucham? — Odchyliła się i spojrzała na mnie podejrzliwie. — O czym ty mówisz?

— Czy jesteś podobna do Amandy?

— Do Amandy?

— Naszej najmłodszej córeczki. Rezonans ją wyleczył. W jednej chwili.

— Co ty wygadujesz?!

— Czy rój źle znosi pole magnetyczne? Wytrzeszczyła oczy i zaczęła się szarpać w moim uścisku.

— Puść mnie! Ricky! Ricky!

— Przykro mi, kotku — powiedziałem i kolanem wcisnąłem guzik. Rozległo się głośny trzask, kiedy kondensatory wygenerowały im puls.

Julia zaczęła krzyczeć.

Miała napiętą twarz i szeroko otwarte usta. Spomiędzy jej warg dobywał się nieprzerwany, przeraźliwy dźwięk. Trzymałem ją mocno. Jej twarz zafalowała, zadrżała, a potem zaczęła się nagle powiększać, jakby puchła. Julia krzyczała, a w jej oczach malował się strach. Skóra zaczęła spływać z jej twarzy cieniutkimi strużkami.

Nagle Julia dosłownie rozleciała się na moich oczach, a nanocząstki pofrunęły ku ścianom pomieszczenia. Ciało Julii robiło się coraz lżejsze. Jeszcze chwila i trzymałem już w ramionach trupioblada postać z głęboko zapadniętymi oczami, wąskimi, spękanymi wargami, z przezroczystą skórą i bezbarwnymi, kruchymi włosami. Po bokach kościstej szyi sterczały obojczyki. Wyglądała jak człowiek, który umiera na raka. Poruszyła ustami. Słowa, które usłyszałem, były niewiele głośniejsze od jej oddechu. Nastawiłem ucha.

— Jack... — szepnęła. — On mnie pożera...

— Wiem.

— Musisz coś zrobić.

— Wiem.

— Jack... Dzieci...

— Rozumiem.

— Ja je... całowałam...

Nic nie powiedziałem, zamknąłem tylko oczy...

— Ratuj moje... dzieci... Jack...

— Dobrze — obiecałem.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem powiększony, płaski obraz ciała i twarzy Julii. Drobiny wciąż

układały się w jej podobiznę, ale pole magnetyczne rozprasowało je na ścianach. Poruszały się, naśladowując ruch jej ust, trzepotanie powiek. Widziałem, jak odrywają się od ścian i strumieniem suną w stronę Julii.

— Julio! — krzyczał Ricky. — Julio!

— Kopnął dwa razy w drzwi, ale nie wszedł do środka. Wiedziałem, że się nie odważy. Odczekałem pełną minutę, żeby kondensatory całkowicie się naładowały. Nie powstrzymałby mnie przed włączeniem elektromagnesu. Byłem panem sytuacji, przynajmniej dopóki nie wyczerpie się ładunek w kondensatorach. Ale nie wiedziałem, ile to potrwa.

— Jack...

— Przeniosłem wzrok na Julię. Patrzyła na mnie błagalnie. i — Jack, ja nie wiem...

— Nie przejmuj się.

Cząsteczki zlatywały się do jej ciała, odtwarzały jej twarz. Nabierała ciała i piękniała w oczach.

Kopnąłem przycisk.

Trzask.

Drobiny odskoczyły, odepchnięte pod ściany, ale tym razem poruszały się wolniej. A ja znów trzymałem w objęciach żywego trupa Julii, który wpatrywał się we mnie prosząco.

Wyjąłem z kieszeni probówkę z zawiesiną wirusa.

— Wypij to — powiedziałem.

— Nie, nie... — Julia nagle się ożywiła. — Za późno... żeby... Spróbuj. — Przytknąłem jej probówkę do ust. — No, kochanie, spróbuj. i — Nie... proszę...

— Julio! — darł się Ricky, bijąc pięściami w drzwi. — Julio! Nic ci się nie stało?!

Trupie oczy zwróciły się w stronę drzwi. Julia poruszyła ustami, kościste palce próbowały złapać mnie za koszulę i ześliznęły się po materiale. Chciała mi coś powiedzieć. Przysunąłem ucho do jej warg.

Oddychała płytko i słabo, nie potrafiłem rozróżnić słów. Ale nagle zrozumiałem:

— Teraz muszą cię zabić.

— Wiem o tym.

— Nie pozwól... Dzieci...

— Nie pozwolę.

Dotknęła mojego policzka.

— Wiesz, że zawsze cię kochałam, Jack — wyszeptała. — Nigdy bym cię nie skrzywdziła.

— Wiem, Julio. Wiem.

Drobinki oderwały się od ścian i zlatywały z powrotem do jej ciała. Wcisnąłem przycisk kolanem, ale rozległ się tylko głuchy, metaliczny szczęk.

Wyczerpał się ładunek w kondensatorach.

Z przeraźliwym świstem wszystkie cząstki sfrunęły na miejsce. Julia znów zrobiła się piękna i silna. Odepchnęła mnie, spojrzała na mnie pogardliwie i powiedziała:

Przykro mi, że musiałeś to oglądać, Jack. Gdzie jest butla z wirusem? Chcę ją natychmiast dostać.

W pewnym sensie potem było już łatwiej. Zrozumiałem, że Julia jest dla mnie obcą istotą. Musiałem się martwić tylko o Mae, o ile jeszcze żyła, i o siebie.

Dzień siódmy, godzina 7.12

Dobrze — powiedziałem. — Przyniosę ci wirusa.

Znów masz taki wyraz twarzy...Julia spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Nie bój się. Oddam ci go.

— To dobrze. Zaczynaj od tych próbek, które masz w kieszeni. Ricky i Vince już na mnie czekali za drzwiami.

— Mogłeś ją zabić, skurwielu, mogłeś zabić własną żonę! — powie dział Ricky.

— Grzebałem w kieszeni, nie mogąc wydobyć próbek. Na wszelki wypadek znów mnie złapali — Vince z jednej strony, Ricky z drugiej.

— Puśćcie go — rozkazała Julia.

— Jeszcze czego — zaperzył się Vince. — Zaraz wykręci nam jakiś numer.

Szarpiąc się z nimi, wyjąłem jedną próbkę i rzuciłem ją na podłogę. Roztrzaskała się o beton. Wylała się z niej brunatna maź.

— Boże! — Vince i Ricky puścili mnie i odskoczyli. Zaczęli oglądać swoje nogi, czy przypadkiem nic na nich nie chlapnęło.

Rzuciłem się do ucieczki.

Wyciągnąłem butlę z ukrycia i popędziłem przez halę. Musiałem przebiec ją w poprzek, do windy, i wjechać na samą górę, gdzie znajdowały się urządzenia klimatyzacyjne, skrzynki sterownicze i zbiornik wody dla spryskiwaczy. Gdybym się tam dostał, byłbym bezpieczny.

Od windy dzieliło mnie blisko pięćdziesiąt metrów.

Biegłem tak szybko, jak tylko potrafiłem, przeskakiwałem nad najniższymi ramionami ośmiornicy, schylałem pod innymi. Obejrzałem się, ale płatanina instalacji zasłaniała moich prześladowców. Słyszałem jednak ich pokrzykiwania i tupot nóg.

— Biegnie do spryskiwaczy! — krzyknęła Julia. Z przodu widziałem już żółtą klatkę windy. Wyglądało na to, że jednak mi się uda.

Nagle potknąłem się i runąłem jak długi. Wypuściłem z rąk butlę, która zatrzymała się na jednym ze wsporników. Poderwałem się, chwyciłem ją, ale wiedziałem, że teraz pogoń jest tuż za mną. Nie odważyłem się spojrzeć do tyłu.

Uchyliłem się przed ostatnią rurą, a kiedy znów spojrzałem w stronę windy, Vince już tam na mnie czekał. Musiał znać krótszą drogę przez labirynt. Stał teraz przy otwartej klatce i szczyrzył zęby w uśmiechu. Obejrzałem się za siebie: Ricky był kilka metrów ode mnie.

— Poddaj się, Jack! — zawołała Julia. — To nie ma sensu!

Nie miałem szans wyminąć Vince'a, nie liczyłem też na to, że ucieknę Ricky'emu. Przeskoczyłem nad jakąś rurą i skryłem się za stojącą obok skrzynkę sterowniczą. Kiedy Ricky przebiegł obok, uderzyłem go łokciem po piszczelach. Zaskowyczał z bólu i padł na ziemię. Kopnąłem go z całej siły w głowę. Za Charley'a.

Pobiegłem dalej.

Vince czekał przy windzie z zaciśniętymi pięściami. Nie mógł się doczekać bijatyki. Uśmiechnął się od ucha do ucha, kiedy zobaczył, że pędzę prosto na niego.

W ostatniej chwili skręciłem w lewo.

Zacząłem wchodzić po umocowanej do ściany drabinie

— Łapcie go! — krzyczała Julia. — Łapcie go!

Trudno było mi się wspinać, bo w jednej ręce trzymałem butlę z wirusem. Mam lęk wysokości i wolałem nie patrzeć w dół. Nagle ktoś złapał mnie za nogi, próbując ściągnąć z drabiny. Nie mogłem się wyrwać.

Obejrzałem się. Znajdowałem się trzy metry nad ziemią. Tuż za mną wisiał na drabinie Ricky. Szarpnął mnie za nogi, ale jakoś utrzymałem się.

Ricky przyglądał mi się z zawziętym uśmiechem na twarzy. Wierzgałem, próbując kopnąć go w twarz, ale trzymał moje stopy w żelaznym uścisku. Wreszcie zdołałem uwolnić jedną nogę i nadepnałem mu na dłoń, którą trzymał się drabiny. Krzyknął, puścił moją drugą nogę i złapał się szczebla. Kopnąłem go w podbródek. Zsunął się o pięć szczebli. Wisiał teraz na samym dole drabiny.

Ruszyłem do góry.

— Julia biegła przez halę. — Łapcie go!

Zgrzytnęła winda: jadący nią Vince chciał zaczekać na mnie na górze. Wspinałem się dalej.

Cztery metry nad ziemię, pięć, sześć. Ricky wdrapywał się za mną, ale został daleko w tyle, nie zanosilo się na to, żeby mnie dogonił. Nagle Julia, kręcąc się jak fryga, oderwała się od ziemi, podleciała do góry i złapała się drabiny obok mnie. Tyle że nie była to prawdziwa Julia, lecz rój, w dodatku tak rozproszony, że w niektórych miejscach prześwitywał. W innych wyraźnie widziałem cząstki, z których się składał. Spojrzałem w dół: prawdziwa Julia, blada jak ściana, patrzyła na mnie oczami osadzonymi w oczodołach głębokich jak u trupa. Tymczasem rój zgęstniał, znów do złudzenia przypominając moją żonę. Jej usta się poruszyły.

— Przykro mi, Jack — usłyszałem.

Rój zgęstniał jeszcze bardziej, skurczył się i Julia na drabinie zmaląła. Miała teraz niewiele ponad metr wzrostu.

Odwróciłem się i ruszyłem do góry.

Mała Julia uderzyła we mnie całą swoją masą. Poczulem się tak, jakby przygniótł mnie worek cementu. Na chwilę straciłem oddech, omal nie puściłem drabiny, a Julia zaatakowała ponownie. Stękałem z bólu, próbowałem robić uniki i mimo kolejnych ciosów brnąłem uparcie dalej. Rój był dostatecznie ciężki, żeby mnie poobijać, ale nie mógł mnie zrzucić z drabiny.

Musiało to do niego dotrzeć, bo mała Julia skurczyła się do rozmiarów niewielkiej kuli i otoczyła mi głowę gęstą chmurą. Oślepiłem, nie widziałem dosłownie nic, jakby wokół mnie rozpętała się burza piaskowa. Po omacku chwyciłem następny szczebel, potem kolejny. Ukłucia na twarzy i dłoniach stawały się coraz boleśniejsze, rój szybko uczył się zadawać ból. Na szczęście nie umiał chyba dusić. Nie próbował utrudniać mi oddychania.

Szedłem dalej w ciemnościach.

I nagle poczułem, że Ricky łapie mnie za nogi. Wtedy zrozumiałem, że to koniec.

Wisiałem na drabinie osiem metrów nad ziemią, z całej siły zaciskając dłonie na szczeblach, mając na kciuku zawieszoną butlę z brązową mazią. Vince czekał na górze, Ricky próbował ściągnąć mnie na dół, rój oślepił mnie i kąsał boleśnie. Byłem wykończony, miałem wszystkiego dość, czulem, jak opuszczają mnie siły. Wystarczy puścić się i spaść, a koszmar się skończy. I tak było już

po mnie.

Namacalem następny szczebel, chwycilem go i podciągnalem się do góry. Ricky z całej siły ciągnął w dół, a ja wiedziałem, że w końcu wygra. Oni zawsze będą wygrywać.

Wtedy pomyślałem o Julii, bladej jak ściana i kruchej jak szkło, która szeptała „ratuj moje dzieci”. Pomyślałem o dzieciach, które czekają na mój powrót oczyma wyobraźni widziałem, jak siedzą przy stole i czekają na kolację. I zrozumiałem, że bez względu na okoliczności nie mogę się poddać.

Nie do końca wiem, co się stało z Ricky’em. Wyrwałem mu się, zawisłem na rękach i pewnie udało mi się kopnąć go w twarz.

Ricky zaczął ześlizgiwać się z drabiny, bezskutecznie próbując chwycić się szczebli.

Nie, Ricky! — usłyszałem i rój zostawił mnie w spokoju. Spojrzałem w dół: Julia zawisła w powietrzu obok Ricky’ego, który zdołał wreszcie zatrzymać się trzy metry nad ziemią. Patrzył na mnie wściekły, z nosa i ust buchała mu krew. Chciał ruszyć do mnie, ale rój, który był Julią, powstrzymał go: Nie, Ricky! Nie dasz rady. Zostaw go Vince’owi.

Wtedy Ricky bezwładnie zsunął się z drabiny na ziemię. Rój wrócił do ciała Julii i oboje przyglądali mi się z zadartymi głowami. " Odwróciłem się od nich i spojrzałem w górę

Vince stał pochylony na najwyższym szczeblu drabiny. Nie mogłem go ominąć. Zatrzymałem się, żeby ocenić sytuację. Przeniosłem ciężar na jedną nogę, drugą postawiłem na wyższym szczeblu. Poczulem, że coś ciąży mi w kieszeni.

Miałem jeszcze jedną próbkę z wirusem,

Wyjąłem ją, odkorkowałem zębami i pokazałem Vince’owi.

— Hej, Vince, masz ochotę na prysznic z gówna? Nie poruszył się. Zmrużył tylko oczy. Wszedłem o szczebel wyżej.

— Lepiej się cofnij — poradziłem mu. Dyszałem ciężko, więc trudno mi było zdobyć się na groźny ton. — Cofnij się, zanim cię ochlapie...

Dzieliły nas już tylko trzy szczeble.

— Decyzja należy do ciebie, Vince. — Pokiwałem trzymaną w wolnej ręce próbkę. — Stąd nie chlapnę ci w twarz, ale na pewno obryzgam ci nogi. Czy to jakaś różnica?

Następny szczebel.

Vince ani drgnął.

— Lubisz ryzyko, co?

Zatrzymałem się. Gdybym przesunął się o następny szczebel, Vince mógłby mnie kopnąć w głowę. Dlatego wołałem się nie ruszać.

— Co ty na to, Vince? Będziesz tak stał? Zmarszczył brwi. Patrzył to na mnie, to na próbkę. Wreszcie odsunął się od drabiny.

Doskonale.

Podciągnalem się o jeden szczebel.

Cofnął się tak daleko, że straciłem go z oczu. Pomyślałem, że zaszarżuje, kiedy znajdę się na górze, więc przygotowałem się do uniku.

— Ostatni szczebel.

Zobaczyłem go. Nie planował żadnego podstępu, tylko skulił się w ciemnym kącie i trząsł ze strachu, jak zapędzone w pułapkę zwierzę. Nie widziałem jego oczu, ale drżał na całym ciele.

— Uważaj, Vince, wchodzę.

Stałem na ażurowym chodniku, otoczony ryczącą maszyną. Niespełna dwadzieścia kroków ode mnie znajdowały się dwa stalowe zbiorniki wody do spryskiwaczy. Ricky i Julia śledzili moje ruchy. Zastanawiałem się, czy wiedzą, jak niewiele brakuje mi do osiągnięcia celu.

Obejrzałem się na Vince'a w samą porę, żeby zobaczyć, jak ściąga z jakiejś skrzyni kawał przezroczystej folii. Owinął się nią, jakby zakładał zbroję, i z gardłowym okrzykiem rzucił się na mnie. Stałem na skraju drabiny. Stałem bokiem do niego i zaparłem się o metrowej średnicy rurę.

Vince wpadł na mnie z impetem. Probówka wysliznęła mi się z ręki i rozbiła o chodnik. Butla potoczyła się, zatrzymując na samej jego krawędzi. Niewiele brakowało, żeby spadła na ziemię. Ruszyłem w jej stronę.

Owinięty folią Vince uderzył mnie drugi raz. Wyrzuciłem plecami w rurę, głowa odskoczyła mi do tyłu i zadzwieczała o metal. Pośliznąłem się na ściekającej z chodnika mazi, złapałem równowagę i wtedy Vince wpadł na mnie po raz trzeci.

Był tak przerażony, że nie zauważył, kiedy straciłem broń. A może po prostu zwoje folii nie pozwalały mu tego dostrzec. W każdym razie uderzał mnie całym ciałem, aż w końcu pośliznąłem się raz jeszcze i upadłem na kolana. Na czworakach rzuciłem się w stronę butli, odległej teraz najwyżej o trzy metry. Zaskoczony Vince znieruchomiał, ściągnął folię z twarzy, zobaczył butlę i skoczył w jej stronę.

Spóźnił się. Zdążyłem sprzątnąć mu ją sprzed nosa, a on — wciąż w zwojach folii — wylądował w miejscu, gdzie przed chwilą się znajdowała. Uderzył głową o krawędź chodnika, co na chwilę go oszołomiło.

Chwyciłem brzeg folii i szarpnąłem z całej siły.

Vince z krzykiem stoczył się z chodnika.

Widziałem, jak uderzył o beton i znieruchomiał. Jego rój uniósł się nad ciałem jak duch i wzbił się w powietrze. Dołączył do obserwujących mnie Ricky'ego i Julii, którzy jak na komendę zawrócili i zaczęli uciekać, przeskakując nad ramionami ośmiornicy.

To dobrze, że tak się przestraszyli.

Wstałem i podszedłem do zbiorników. Na niższym z nich przyklejona była instrukcja obsługi. Odkręciłem zawór wlotowy, zdjąłem pokrywę, odczekałem, aż sprężony azot z sykiem się ulotni i wlałem do środka zawartość butli. Chwilę słuchałem, jak maź bulgocze w zbiorniku, a potem zamknąłem zbiornik, zakręciłem zawór i wpuściłem sprężony azot.

Udało się.

Odetchnąłem głęboko.

Zanosilo się na to, że jednak wygram.

Zjechałem windą na dół. Pierwszy raz tego dnia poczułem ulgę.

Dzień siódmy, godzina 8.12

Stłoczyli się po drugiej stronie hali: Julia, Ricky i Bobby, który do nich dołączył. Niezbyt gęsty rój Vince'a trzymał się z tyłu, tuż nad ziemią. Ciekaw byłem, które z nich jest w tej chwili tylko rojem. Nie wiedziałem, jak to rozpoznać, ale nie miało to wielkiego znaczenia.

Stali przed ścianą monitorów, na których wyświetlały się informacje o procesie produkcyjnym: wykresy temperatury, wydajności i Bóg wie co jeszcze. Nie patrzyli jednak na ekrany, tylko na mnie.

Szedłem w ich stronę spokojnym, miarowym krokiem. Nie musiałem się spieszyć. Wprost przeciwnie: przejście przez halę do miejsca w którym na mnie czekali, zajęło mi dobre dwie minuty. Obserwowali mnie ze zdumieniem, a potem rozbawieniem na twarzach.

— Cześć, Jack — pierwsza odezwała się Julia. — Jak leci?

— Nie najgorzej. Powiedziałbym nawet, że coraz lepiej.

— Jesteś bardzo pewny siebie. Wzruszyłem ramionami.

— Wszystko pod kontrolą, co? Znów wzruszyłem ramionami.

— Nie zastanawiałeś się czasem, gdzie jest Mae?

— Nie, a co?

— Bobby nigdzie nie mógł jej znaleźć.

— Nie mam pojęcia, gdzie może być. Dlaczego jej szukaliście?

— Pomyślałam, że powinniśmy być razem, kiedy przyjdzie koniec.

— Koniec?

— Tak, Jack. — Julia pokiwała głową.

— Nie mogłem ryzykować spojrzenia na zegarek musiałem zdać się na własne wyczucie czasu. Jakieś trzy, może cztery minuty. — Co planujecie?

— Bardzo mnie rozczarowałaś, Jack. — Julia zaczęła się przechadzać przed monitorami. — Bardzo. Wiesz, jak mi na tobie zależy. Nie pozwoliłabym, żeby przydarzyło ci się coś złego, gdyby nie fakt, że z nami walczysz. I nie chcesz ustąpić. Nie możemy tego tolerować.

— Rozumiem.

— Po prostu nie możemy.

— Wyjąłem z kieszeni zapalniczkę. Nie wiem, czy któreś z nich to zauważyło, w każdym razie nic nie dali po sobie poznać.

— Stawiasz mnie w trudnej sytuacji — mówiła dalej Julia. — Dlaczego?

— Spotkał cię zaszczyt, byłeś świadkiem narodzin czegoś naprawdę nowego. Nowego i cudownego. Ale ty tego nie rozumiesz.

— Nie, nie rozumiem.

— Wszystko rodzi się w bólach. — i w bólach umiera. Tak... — Cały czas chodziła w tę i z powrotem. — Również umiera. — Czego chcesz?

— Gdzie jest Mae?

— Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. ?

— Musimy ją znaleźć, Jack.

— I znajdziecie.

— Tak, znajdziemy.

— W takim razie ja nie będę wam już potrzebny. Załatwcie resztę sami. Jeśli pamięć mnie nie myli, to wy jesteście przyszłością tego świata; nic was nie powstrzyma. A ja jestem zwykłym człowiekiem.

— Julia zaczęła zataczać koło wokół mnie. Widziałem po niej, że nie rozumie mojego zachowania. Taksowała mnie wzrokiem. Może przeszarżowałem, posunąłem się za daleko i nabrała podejrzeń. Zaczynałem się niepokoić.

— Nerwowo obracałem w dłoniach zapalniczkę.

— Rozczarowałeś mnie, Jack.

— Już to mówiłaś.

— Mówiłam, ale wciąż nie jestem pewna...

— Jak na komendę inni też zaczęli mnie obchodzić. Poruszali się wokół mnie po koncentrycznych okręgach. Co to mogło znaczyć? Chyba upłynęło już pięć minut.

— Podejdź tu, Jack, coś ci pokażę.

— Julia zaprowadziła mnie do jednego z grubych ramion ośmiornicy. Miało ze dwa metry średnicy i lustrzaną powierzchnię. Zobaczyłem w niej nasze odbicie.

— Czyż nie udana z nas para? Taka szkoda, mielibyśmy przed sobą wspianą przyszłość.

— Może...

— Kiedy to powiedziałem, strużka jasnych cząstek oderwała się od ciała Julii, zawirowała w powietrzu i opadła na mnie jak deszcz. Wcisnęła mi się do ust. Zaciśnąłem wargi, ale nie miało to wielkiego znaczenia. Widziałem, jak moje ciało rozmywa się i zmienia w ciało Julii. Teraz przed lustrem stały dwie identyczne Julie.

— Daruj to sobie, Julio.

— Dlaczego? — Roześmiała się. — To takie zabawne!

— Przestań. — Głos mi się nie zmienił, chociaż dobywał się z ciała Julii. — Przestań.

— Nie podoba ci się? Bo ja się świetnie bawię. Chociaż przez chwilę czujesz, jak to jest żyć w mojej skórze.

— Powiedziałem: przestań.

— Nie umiesz się bawić! Podniosłem rękę do twarzy, próbując zderzyć ją jak maskę, ale pod palcami czułem tylko moją własną skórę. Kiedy zadrapałem się w policzek, w lustrze pojawiła się rysa na policzku Julii. Dotknąłem włosów i zdenerwowany upuściłem zapalniczkę, która stuknęła głośno o beton.

— Zdejmij to ze mnie — powiedziałem. — Zdejmij to!

— Rozległ się świst i skóra Julii odkleiła się ode mnie, wzbiła w powietrze i opadła na nią — z tym, że teraz to Julia wyglądała jak ja. Przed lustrem stało dwóch Jacków.

— Tak lepiej?

— Nie rozumiem, co próbujesz mi udowodnić. Podniosłem zapalniczkę.

— Niczego nie próbuję ci udowodniać. Sonduję cię, Jack. I wiesz, co ci powiem? Skrywasz jakiś sekret i miałeś nadzieję, że się o nim nie dowiem.

— Tak?

— Ale się dowiedziałam.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Nie wiedziałem już, gdzie właściwie jestem, a nagle zmiany wyglądu tak bardzo wyprowadziły mnie z równowagi, że straciłem poczucie czasu.

— Martwisz się upływem czasu, Jack. Niepotrzebnie, mamy go aż nadto. Wszystko jest pod kontrolą. Zdradzisz nam swoją tajemnicę? Czy chcesz, żebyśmy cię do tego zmusili?

Za plecami miała ścianę monitorów. Na tych, które znajdowały się w rogach, wyświetlał się jakiś migający pasek nie byłem w stanie odczytać napisu. Linie na niektórych wykresach wznosiły się stromo i zmieniały kolor z niebieskiego na żółty, z żółtego na czerwony...

— Nic nie powiedziałem.

Julia odwróciła się do swoich kompanów.

— Dobrze, zajmijcie się nim.

Trzej mężczyźni ruszyli w moją stronę. Przyszedł czas na mały pokaz. Teraz moja kolej.

— Proszę bardzo — powiedziałem.

Podniosłem zapalniczkę, zapaliłem ją i przytknąłem do spryskiwacza nad głową.

Wszyscy trzej zatrzymali się i patrzyli, co robię.

Trzymałem zapalniczkę w wyciągniętej ręce, spryskiwacz poczerniał od kopcia, ale nic się nie wydarzyło.

— Od gorąca zaczęła się topić płytka z miękkiego metalu, umieszczona tuż pod głowicą spryskiwacza. Na podłogę kapały srebrne krople. I wciąż nic się nie działo. Spryskiwacz się nie włączył.

— Cholera jasna! — zakląłem.

Julia przyglądała mi się z namysłem.

— Niezła sztuczka. Bardzo pomysłowa, Jack. Dowodzi że umiesz myśleć, ale o czymś zapomniałeś.

— O czym?

— W zakładzie jest zainstalowany system przeciwpożarowy. Kiedy dowiedzieliśmy się, że chcesz użyć spryskiwaczy, Ricky go wyłączył. Odłączył zabezpieczenia, odciął spryskiwacze. — Julia wzruszyła ramionami. — Chyba masz pecha.

Zgasiłem zapalniczkę. Stałem przed nimi i czułem się jak idiota. Nagle wydało mi się, że w powietrzu unosi się słaba, słodkawa, mdląca woń. A może nos mnie zwodzi?

— Staraleś się, przyznaję, ale co za dużo, to niezdrowo. Skinęła głową na pozostałych. Znow ruszyli w moją stronę.

— Hola, panowie... — próbowałem coś do nich powiedzieć. Nie reagowali. Twarze mieli jak wykute z kamienia. Złapali mnie i zaczęliśmy się szarpać.

— Dajcie spokój... — Wyrwałem się im.

— Nie utrudniaj, Jack — powiedział Ricky.

— Odwal się.

Zanim cisnęli mnie na podłogę, naplułem Ricky'emu w twarz miałem nadzieję, że wirus dostanie mu się do ust. Chciałem go sprowokować do bójki, zyskać na czasie. Ale przygnietli mnie do betonu, a potem zaczęli dusić. Czyjeś ręce zaciskały mi się na szyi, Bobby dłońmi zatkał mi nos i usta. Próbowałem go ugryźć, ale on tylko wpatrywał się tępo w moją twarz. Ricky uśmiechał się obojętnie, jakby mnie nie znał, jakby mój los nic go nie obchodził. Wymachiwałem pięściami, dopóki Ricky nie przygniół mi kolanem jednej ręki do ziemi, a Bobby nie unieruchomił drugiej. Teraz już nie mogłem się ruszyć. Chciałem ich kopnąć, ale Julia usiadła mi na nogach. Pomagała im. Oczy mi

się zamgliły, świat poszarzał. Coś strzeliło jak prażona kukurydza albo pękające szkło.

— Co to było?! — krzyknęła Julia.

— Napastnicy puścili mnie i wstali. Odsunęli się ode mnie. Leżałem na ziemi i kaszlałem.

— Co to było?! — powtórzyła Julia.

— Wysoko nad nami pękały pierwsze szklane ramiona ośmiornicy. Z sykiem sączył się z nich brunatny płyn. Strzelił następny przewód, i jeszcze jeden. Syczenie narastało, w powietrzu kłębiła się brązowa mgła.

— Co się dzieje?

— Linia produkcyjna się przegrzała — wyjaśnił Ricky. — I pęka. — Ale jak? Jak to możliwe?

— Wstałem, ciągle jeszcze wstrząsany kaszlem.

— Przecież wyłączyliście zabezpieczenia, prawda? Aparatura rozpyła wirusa po całej hali.

— Już niedługo — stwierdziła Julia. — Zaraz włączymy je z powrotem. — Ricky gorączkowo wprowadzał szyfr do komputera.

— To dobry pomysł, Julio — powiedziałem i podstawilem zapaloną zapalniczkę pod spryskiwacz.

— Nie! — krzyknęła Julia. — Ricky, nie.

Ricky znieruchomiał.

— Obojętne, co zrobicie, macie przechłapanie — zauważyłem.

— Nienawidzę cię — wysyczała Julia.

Jej ciało szarzało na moich oczach, robiło się dziwnie monochromatyczne. Z Ricky'ego też odpływał cały kolor. Obecny w powietrzu wirus powoli zabijał ich troje.

Któraś z wyższych macek sypnęła iskrami, po niej następna.

— Julio! — wrzasnął Ricky. — Musimy zaryzykować! Wpisał szyfr do końca i uruchomił system przeciwpożarowy. Zawyły syreny, ekrany zaświeciły na czerwono, donosząc o niebezpiecznym stężeniu metanu w powietrzu. Na głównym monitorze wyświetlił się napis: SYSTEM WŁĄCZONY.

Spryskiwacze siknęły brązową cieczą.

Krzyczeli, kiedy spadały na nich krople. Wili się i kurczyli. Julia wpatrywała się we mnie z nienawiścią w oczach. Jej twarz wykrzywiła się groteskowo, całe ciało zaczynało się rozpadać. Upadła na kolana, potem przewróciła się na plecy. Pozostali tarzali się w agonii po posadzce.

— Chodź, Jack. — Ktoś pociągnął mnie za rękaw. Odwróciłem się i zobaczyłem Mae. — Chodź, tu jest pełno metanu. Musimy stąd iść.

— Zawahałem się, patrząc na Julię. A potem odwróciłem się i wybiegliśmy z hali.

Dzień siódmy, godzina 9.11

— Pilot śmigłowca otworzył nam drzwi, kiedy biegliśmy przez lądowisko. Wskoczyliśmy do środka.

— Startuj! — krzyknęła Mae.

Muszę państwu przypomnieć o zapięciu pasów...

— Leć! — wrzasnąłem.

— Przykro mi, ale takie są przepisy bezpieczeństwa...

Z drzwi stacji zasilania, skąd przed chwilą wybiegliśmy, zaczął się wydobywać czarny dym. Buchnął słupem prosto w niebo. Na jego widok pilot krzyknął: Trzymajcie się!

Poderwał maszynę i skręcił na północ, żeby szerokim łukiem wyminąć fabrykę. Dym buchał ze wszystkich wywietrzników. Powietrze pociemniało.

— Nie martw się, ogień spali i nanocząstki, i bakterie — pocieszyła mnie Mae.

— Dokąd lecimy? — zapytał pilot.

— Do domu.

Skręciliśmy na zachód i kilka minut potem zabudowania zostały daleko w tyle, aż w końcu zniknęły za horyzontem. Mae siedziała skulona w fotelu i zaciskała kurczowo powieki.

— Miałem nadzieję, że wybuchnie — powiedziałem. — Ale zdążyli włączyć system przeciwpożarowy, więc pewnie nic z tego.

— Nie zareagowała.

— Po co ten cały pośpiech? — zapytałem. — I gdzie się w ogóle podziewałaś? Nikt cię nie mógł znaleźć.

— Byłam na zewnątrz, w magazynie.

— Po co tam poszłaś?

— Po termit.

— I co,? — Znalazłaś?

Nad pustynią rozbłysło oślepiające, żółte światło, które zaraz przygasło. Właściwie można by pomyśleć, że nic się nie stało, gdyby nie fala uderzeniowa, która zatrzęsała śmigłowcem

— Matko Boska, co to było?! — zdziwił się pilot.

— Wypadek w fabryce. Nieszczęśliwy wypadek. Pilot włączył radio.

— Chyba powinienem o tym zameldować.

— Dobrze by było — zgodziłem się.

— Lecieliśmy na zachód, aż po zielonej linii lasów i łagodnych wzniesieniach Sierry poznałem, że to już Kalifornia.

Dzień siódmy, godzina 23.57

Dochodzi północ. W domu jest cicho. Nie wiem, jak to się wszystko skończy. Dzieci czują się fatalnie, podałem im wirusa i mają teraz mdłości. Słyszę, jak mój syn i córka wymiotują, każde w innej łazience. Zajrzałem do nich przed chwilą, chciałem sprawdzić, jak się czują. Są bladzi jak ściana. Boją się, bo wiedzą, że ja się boję. Nie mówiłem im jeszcze o Julii. Nie pytali. Na razie są zbyt chorzy, żeby pytać.

Martwię się o małą, bo i jej musiałem podać wirusa. Inaczej nie byłoby dla niej nadziei. Ellen ją dogląda, ale też źle się czuje. Mała jeszcze nie wymiotowała. Nie wiem, czy to dobrze, czy nie. Małe dzieci reagują inaczej niż dorośli.

Ze mną chyba wszystko w porządku. Przynajmniej na razie. Jestem śmiertelnie zmęczony cały czas przysypiam. Siedzę i patrzę przez okno na ogródek, czekam na Mae. Przelazła przez płot na końcu ogrodu i teraz pewnie brnie przez krzaki na zboczu. Twierdzi, że widziała tam słabą zieloną poświatę. Mówiłem jej, żeby nie szła sama, ale nie miałem siły jej towarzyszyć. Mogłaby poczekać do jutra. Przyjedzie wojsko z miotaczami ognia i zrobi porządek ze wszystkim, co się tam chowa.

Armia nabrała wody w usta, ale mam w domu komputer Julii i jej archiwum na dysku. Na wszelki wypadek wyjąłem dysk z komputera, skopiowałem go, a oryginał złożyłem w skrzynce depozytowej w mieście. Wojskiem się nie martwię, chodzi mi raczej o Larry'ego Handlera i całą tę bandę z Xymosu. Wiedzą, że czeka ich koszmarny proces. Firma jeszcze w tym tygodniu ogłosi upadłość, ale nadal będzie można wytoczyć im proces karny. Zwłaszcza Larry'emu. Nie żartuję się, jeśli pójdzie siedzieć.

Udało nam się z Mae odtworzyć przebieg wydarzeń z ostatnich dni. Uczulenie u mojej córeczki wywołali monterzy gamma, mikromaszyny, które z protocząsteczek składały docelowe molekuly. Julia musiała przynieść je na ubraniu. Przewidziała to, dlatego zaraz po powrocie szła się wykąpać. W laboratorium obowiązywały ścisłe procedury dekontaminacyjne, ale ona stykała się z rojami także poza zakładem. Zdawała sobie sprawę z ryzyka.

W każdym razie tamtej nocy niechcący wpuściła trochę monterów do pokoju małej. Gammy są tak zaprojektowane, że z łatwością tną twarde materiały, ale nie radzą sobie z miękką substancją — taką jak skóra. Mogą spowodować tylko bolesne mikrourazy, o jakich lekarzom się nie śniło. Nic dziwnego, że Amanda dostała gorączki. Wprawdzie niczym się nie zaraziła, ale miliardy maleńkich robocików skubały całe jej ciało. Pole magnetyczne od razu ją wyleczyło: wystarczył jeden impuls, żeby odessać wszystkie cząsteczki gamma.

Wyglądało na to, że podobnie rzecz się miała z tamtym biologiem na pustyni. Jakimś cudem wszedł w kontakt z partią monterów. Biwakował niecałe dwa kilometry od zakładu Xymosu.

Julia wiedziała, co się dzieje z Amandą, ale nikomu o tym nie powiedziała. Wezwała z Xymosu ekipę odkażającą, która zjawiała się w domu w środku nocy. Ja byłem wtedy z małą w szpitalu i tylko Eric ich widział. Teraz wreszcie rozumiałem, co naprawdę zobaczył. Ci sami ludzie byli u mnie przed paroma godzinami. Wyczyścili cały dom. I tych samych ludzi widziałem wtedy w furgonetce na

miejscu wypadku.

Najważniejszy jest człowiek w srebrnym, antymagnetycznym kombinezonie. Srebrna maska całkowicie zasłania mu twarz i jeszcze bardziej upodabnia go do zjawy. To on pierwszy wchodzi na skażony teren i robi zwiad. Za nim podąża czterech ludzi w zwykłych skafandrach, z odkurzacami. Wmawiałem Ericowi, że mu się przyśnili, ale to on miał rację. Pod łóżkiem Amandy zostawili czujnik, który miał wykryć obecność przegapionych monterów. Skonstruowano go w taki sposób, żeby przypominał stabilizator napięcia.

Kiedy to wszystko do mnie dotarło, wściekłem się na Julię, że nic mi nie powiedziała. Że pozwoliła mi się martwić. Ale Julia, naturalnie, była zainfekowana. Zresztą nie ma sensu teraz się na nią złościć.

Gammy pocięły kość pamięci w odtwarzaczu Erica, tak samo jak zniszczyły pamięć w komputerach pokładowych samochodów pod wiatą i w aparacie do rezonansu magnetycznego w szpitalu. Z jakiegoś powodu cięły na kawałki kości pamięci, a nie ruszały procesorów. Na razie nie znalazłem żadnego wyjaśnienia tego faktu.

Tamtego wieczoru Julia rzeczywiście przywiozła ze sobą rój. Przyjechał z nią z pustyni. Nie wiem, czy sprowadziła go tu celowo, czy nie. Mógł się z łatwością rozproszyć, więc nic dziwnego, że Eric niczego w samochodzie nie znalazł. Ja zaś nie byłem pewien, czy wzrok nie płata mi figli, kiedy patrzyłem, jak Julia odjeżdża spod domu. Rój odbijał światło na najdziwniejsze sposoby. Wydawało mi się, że przypomina Ricky'ego, ale w rzeczywistości było chyba jeszcze za wcześnie, żeby mógł do tego stopnia naśladować ludzi.

Po wypadku Julia wezwała ekipę odkażającą — i stąd się wzięła furgonetka na poboczu. Czekali, żeby zejść do wąwozu i posprzątać. Nie wiem, dlaczego doszło do wypadku czy miało to coś wspólnego z rojem, czy nie. Nie mam już teraz kogo o to zapytać.

Fabryka została całkowicie zniszczona. W hali zebrało się tyle metanu, że ognista kula osiągnęła temperaturę tysiąca stu stopni. Wszelkie materiały organiczne uległy spaleni.

Mimo to trochę się martwię. W zgliszczach nie znaleziono żadnych ciał. Nawet szkieletów.

Mae zabrała próbkę bakteriofaga do swojego dawnego laboratorium w Palo Alto. Trzymam kciuki, żeby ich przekonała. Sytuacja jest naprawdę dramatyczna. Mae milczy na temat ich reakcji. Uważam, że powinni wpuścić wirusa do wody pitnej, ale Mae twierdzi, że chlor go zabije. Może w takim razie powinno się pomyśleć o programie szczepień? Z naszej wiedzy wynika, że wirus zabija roje.

Chwilami dzwoni mi w uszach. To niepokojący objaw. Czuję też jakieś drżenie w piersi i brzuchu. Nie wiem, czy to tylko złudzenie, czy naprawdę coś jest ze mną nie w porządku. Przy dzieciach staram się nadrabiać miną, ale, jak wiadomo, dzieci oszukać się nie da. Wiedzą, że się boję.

Pozostała jeszcze jedna tajemnica: dlaczego roje z takim uporem wracały do laboratorium? Nie mogłem tego zrozumieć. Nijak nie pasowało to do założeń PRAZWIERZA. Po co drapieznik miałby wracać w jakieś jedno, konkretne miejsce?

Patrząc na to z perspektywy czasu wiem, że odpowiedź może być tylko jedna: roje wracały, bo tak je zaprogramowano.

Ale po co? i Dowiedziałem się tego dopiero przed kilkoma godzinami.

Kod, który pokazał mi Ricky, nie miał wiele wspólnego z tym, który naprawdę wprowadzono do pamięci nanocząstek. Nie mogłem pokazać mi prawdziwego programu, bo od razu bym się zorientował,

jakich zmian dokonano. Ricky nic mi o zmianach nie powiedział. Nikt mi nie powiedział.

Martwi mnie email, który dziś znalazłem na dysku Julii. Był adresowany do Ricky'ego Morse'a, z kopią do Larry'ego Handlera, prezesa Xymosu, i zawierał szkic procedury, którą należało wdrożyć, aby kamery mogły pracować przy silnym wietrze. Założenie było takie, że rój zostanie wypuszczony na wolność.

Tak właśnie zrobili. _.

Udawali, że to przypadkowe zanieczyszczenie, spowodowane brakiem odpowiednich filtrów. To dlatego Ricky oprowadził mnie po całym zakładzie i ze szczegółami opowiadał o kłopotach z klimatyzacją. Nie powiedział mi jednak ani słowa prawdy. Wypuszczenie roju było zaplanowane.

Od samego początku.

Kiedy okazało się, że rój nie radzi sobie na wietrze, próbowali wymyślić jakieś techniczne rozwiązanie, ale bez powodzenia. Elementy roju były na to za małe, za lekkie i prawdopodobnie za głupie. Miały wady wrodzone, których zespół Xymosu nie umiał usunąć. Wart miliony dolarów kontrakt dla Departamentu Obrony wymykał im się z rąk, a oni nie potrafili nic na to poradzić.

Dlatego postanowili zobaczyć, czy rój sam rozwiąże ich problem.

Przerobili kamery dołożyli źródło zasilania, pamięć i uzupełnili program o algorytm genetyczny a potem wypuścili je na wolność, żeby się rozmnażały i ewoluowały. Byli ciekawi, czy rój przetrwa.

Przetrwał.

Ich głupota była obezwładniająca. Nie miałem pojęcia, jak mogli zabrać się do realizacji takiego planu, ani przez moment nie myśląc o konsekwencjach. Jak wszystko, co widziałem w Xymosie, pomysł był poroniony, niedopracowany, stworzony w pośpiechu. Miał służyć doraźnym celom. Przyszłość nikogo nie obchodziła. Z nożem na gardle wiele firm zachowuje się podobnie, ale zabawa z taką technologią jest śmiertelnie niebezpieczna.

Technologia sama wypracowała nowe zachowania sieć rozproszonych agentów z założenia działała samodzielnie. O to właśnie chodziło: można było siedzieć z założonymi rękoma i czekać, co się wydarzy. Jednak co innego wpuścić populację wirtualnych agentów do pamięci komputera i czekać, aż rozwiążą problem, a co innego uwolnić prawdziwe maszyny w rzeczywistym świecie.

Ci ludzie nie rozumieli tej różnicy. Albo nie chcieli jej zrozumieć. Uwolnili rój.

Fachowo nazywa się to „autooptymalizacją”. Rój ewoluuje samodzielnie, mniej udani agenci umierają, z tych lepszych rodzi się następne pokolenie. Po dziesięciu czy stu pokoleniach ewolucja pozwala znaleźć najlepsze rozwiązanie. Rozwiązanie optymalne.

W informatyce jest to standard. Procedury takie stosuje się nawet do generowania nowych algorytmów. Już dawno temu Danny Hillis optymalizował w ten sposób program sortujący. Zaciekawilo go, czy komputer potrafi sam usprawnić swoją pracę. Jego algorytm zadziałał i inni szybko poszli w jego ślady.

Nikt jednak nie eksperymentował na robotach w świecie rzeczywistym. O ile mi wiadomo, Xymos był pierwszy, chociaż może prowadzono już podobne doświadczenia, tylko trzymano je w tajemnicy. Na pewno nie jest to ostatni taki przypadek.

Zapewne nie będziemy musieli długo czekać na następne.

Jest druga w nocy. Dzieci nareszcie przestały wymiotować i poszły spać. Śpią spokojnie, mała też. Za to Ellen nadal czuje się fatalnie. Musiałem się znowu zdrzemnąć. Nie wiem, co mnie obudziło. Widzę Mae, zmierzającą w stronę domu. Obok niej idzie facet w srebrnym kombinezonie i czterech innych ludzi z ekipy SSVT. Mae się uśmiecha. Mam nadzieję, że przynosi dobre wieści.

Julia napisała „Nie mamy nic do stracenia”, ale ostatecznie stracili wszystko: firmę, życie dosłownie wszystko. Jak na ironię, ich pomysł się sprawdził. Rój rozwiązał problem, który przed nim postawili.

Tylko że potem ewoluował dalej.

Oni mu w tym nie przeszkadzali.

Nie wiedzieli, co robią.

Obawiam się, że tak będzie brzmiało epitafium na nagrobku ludzkości.

Chociaż może nie.

Może będziemy mieli więcej szczęścia.